

Mary Higgins Clark

JESTEŚ TYLKO MOJA

Prolog

Wcześniej robił to wielokrotnie i z góry zakładał, że tym razem będzie tak samo jak poprzednio. Toteż z przyjemnym zdziwieniem stwierdził później, że było naprawdę podniecająco, lepiej niż kiedykolwiek.

Wsiadł na statek w Perth w Australii zaledwie wczoraj. Zamierzał płynąć aż do Kobe, ale ponieważ znalazł ją niemal natychmiast, podróż do kolejnych portów okazała się zbędna. Siedziała przy stoliku przy oknie w jadalni wyłożonej drewnem. Pomieszczenie miało w sobie urok dyskretnej elegancji, typowej dla „Gabrielle”. Luksusowy statek wycieczkowy okazał się idealny dla jego celów, aczkolwiek on zwykle wybierał mniejsze statki, zawsze te, które odbywały snobistyczne rejsy dookoła świata.

Z natury był ostrożny, chociaż właściwie istniało nikłe prawdopodobieństwo, że rozpozna go ktoś ze współpasażerów, z którymi uczestniczył w poprzednich rejsach. Stał się mistrzem w zmienianiu wyglądu – talent, który odkrył w klubie teatralnym w college’u, teraz sprawdzał się w praktyce.

Obserwując Reginę Clausen, uznał, że powinna całkowicie zmienić styl. Zaliczała się do tych kobiet dobiegających czterdziestki, które byłyby całkiem atrakcyjne, gdyby tylko wiedziały jak się ubrać i zaprezentować. Miała na sobie drogi, stalowoniebieski kostium, który pasowałby do urody blondynki, przy jej kredowobladej twarzy natomiast tylko pogarszał całą sprawę, sprawiając, że Regina wyglądała szaro i nijako. Jasnobrązowe włosy o naturalnym, interesującym odcieniu tworzyły na jej głowie sztywny, obficie spryskany lakierem kask – nawet z drugiego końca

pomieszczenia widać było, że w tej fryzurze wygląda staro i niemodnie – niczym drobnomieszczańska matrona z lat pięćdziesiątych.

Oczywiście wiedział, kim jest ta kobieta. Kilka miesięcy temu widział ją na spotkaniu akcjonariuszy, a także w CNBC, gdzie dała popis swoich możliwości jako analityk rynku giełdowego. Wtedy wydała mu się silna i bardzo pewna siebie.

I dlatego, ujrawszy ją pogrążoną w zadumie, siedzącą samotnie przy stoliku, i później, kiedy zobaczył malującą się na jej twarzy ulgę i niemal dziewczęce podniecenie, gdy jeden z mężczyzn poprosił ją do tańca, stwierdził, że z dziecinną łatwością zrealizuje swój plan.

Podniósł kieliszek i prawie niezauważalnym ruchem wzniósł za nią toast.

– Twoje modlitwy zostały wysłuchane, Regino – powiedział cicho. – Od tej chwili jesteś tylko moja.

Trzy lata później

Stawiając czoło śnieżycy, przybierającej bez mała rozmiary huraganu, doktor Susan Chandler próbowała dotrzeć pieszo ze swojego mieszkania w Greenwich Village do gabinetu mieszczącego się w stuletniej kamienicy w SoHo. Jako psycholog kliniczny prowadziła dobrze prosperującą prywatną praktykę, a jednocześnie udzielała się publicznie, prowadząc popularną audycję radiową „Spytaj doktor Susan”, emitowaną pięć razy w tygodniu.

Październikowy poranek był mroźny i wietrzny, toteż szybko stwierdziła, że włożenie pod żakiet swetra z golfem było dobrym pomysłem.

Żałowała natomiast, że nie wzięła również szala – lodowaty wiatr bezlitośnie szarpał jej nadal wilgotnymi po kąpiel, długimi do ramion włosami w kolorze ciemnoblonde. Susan przyszła na myśl uwaga, którą wielokrotnie wygłaszała jej babcia: „Nigdy nie wychodź na dwór z mokrą głową – zaziębisz się na śmierć!” Ostatnio zdumiewająco często myślała o babci Susie, która wychowała się w Greenwich Village. Susan często zastanawiała się, czyjej duch nie błąka się gdzieś w pobliżu.

Zatrzymała się przed przejściem dla pieszych na rogu Mercer i Houston. O wpół do ósmej rano ulice były jeszcze puste. W ciągu godziny miasto ożyje, a ulice zapełnią się nowojorczykami powracającymi do pracy w poniedziałkowy ranek.

Dzięki Bogu, już po weekendzie, pomyślała Susan z ulgą. Ostatnie dwa

dni spędziła w Rye z matką, która miała wyjątkowo kiepski humor. Cóż, pomyślała Susan, trudno się dziwić, zważywszy, że w niedzielę przypadłaby jej czterdziesta rocznica ślubu. A na dokładkę, co jeszcze pogorszyło sytuację, ona sama natknęła się w Rye na swoją starszą siostrę, Dee, która akurat przyjechała z Kalifornii z wizytą.

W niedzielne popołudnie, przed powrotem do miasta, złożyła jeszcze grzecznościową wizytę w eleganckim domu swojego ojca w pobliskim Bedford Hills, gdzie on i jego druga żona Binky wydawali przyjęcie. Susan podejrzewała, że termin rautu nie był przypadkowy i wybrała go Binky. „Dzisiaj mijają cztery lata od naszej pierwszej randki” – opowiadała wszystkim.

Naprawdę kocham z całego serca oboje rodziców, sumitowała się w duchu Susan, wchodząc do budynku. Ale czasami mam ochotę powiedzieć im, żeby w końcu dorośli.

Zwykle Susan pojawiała się na najwyższym piętrze pierwsza, ale dzisiaj, przechodząc obok kancelarii swojej długoletniej przyjaciółki i mentorki, Neddy Harding, stwierdziła ze zdumieniem, że ktoś już pozapalał światła w korytarzach i recepcji. Uznała, że tym rannym ptaszkiem musi być Nedda.

Otwierając drzwi wejściowe, które powinny być zamknięte na klucz, pokręciła głową z dezaprobatą. Ruszyła korytarzem, mijając po drodze pogrążone w półmroku biura młodszych partnerów i pracowników Neddy, po czym stanęła w otwartych drzwiach prowadzących do gabinetu przyjaciółki i uśmiechnęła się szeroko. Nedda była tak pochłonięta pracą, iż nawet nie zauważyła, że ktoś stoi w drzwiach.

Siedziała bez ruchu, jak zawsze, gdy przeglądała dokumenty – czoło

podparte ręką, łokieć na biurku; prawa dłoń zawisła w powietrzu, gotowa do przerzucenia kolejnej strony grubego skoroszytu spoczywającego na blacie. Krótko przystrzyżone siwe włosy były w nieładzie, okulary zsunęły się niebezpiecznie na czubek nosa, a cała pozycja, którą przybrała Nedda, upodobniała ją do lekkoatletki gotowej do biegu. Nedda była jednym z najlepszych adwokatów w Nowym Jorku i chociaż jej wygląd łagodnej starszej pani mógł zmylić niejednego, inteligencja i agresywna energia tej kobiety ujawniały się w całej okazałości, gdy na sali sądowej brała świadka w krzyżowy ogień pytań.

Susan i Nedda poznały się i zaprzyjaźniły dziesięć lat temu na Uniwersytecie Nowojorskim. W tym czasie Susan była dwudziestodwuletnią studentką drugiego roku prawa, a Nedda prowadziła gościnnie wykłady. Na trzecim roku Susan tak ułożyła sobie plan zajęć, aby móc dwa razy w tygodniu praktykować w kancelarii Neddy.

Nedda jako jedyna z grona jej przyjaciół nie była wstrząśnięta, gdy Susan rzuciła po dwóch latach pracę asystentki prokuratora w prokuraturze hrabstwa Westchester i wróciła na uczelnię, by zrobić doktorat z psychologii. Zdumionym znajomym oświadczyła jedynie: „Po prostu muszę to zrobić”.

Czując obecność Susan, Nedda podniosła głowę. Na jej twarzy zagościł krótki, ale ciepły uśmiech.

– A któż to przyszedł? Jak tam weekend, Susan? A może nie powinnam pytać?

Nedda wiedziała o przyjęciu Binky i rocznicy matki Susan.

– Było tak, jak przewidywałam – odparła Susan. – Dee przyjechała już w sobotę i wkrótce obie z mamą pograżyły się we łzach. Tłumaczyłam

Dee, że jej depresja tylko pogarsza samopoczucie mamy, ale mnie objechała. Powiedziała, że gdybym przeżyła to, co ona dwa lata temu, kiedy widziała, jak jej mąż, Jack, zostaje porwany przez lawinę i ginie przysypany tonami śniegu, być może zdołałabym zrozumieć, jak cierpi. Oświadczyła także, że na pewno bardziej pomogłabym mamie, pozwalając jej się wyplakać na swoim ramieniu, niż próbując przekonać ją, żeby zebrała się wreszcie do kupy. Kiedy wtrąciłam, że dostaję już reumatyzmu od tych wszystkich łez wylanych na moje ramię, Dee naprawdę się wściekła. Ale przynajmniej mama się roześmiała. No, a potem przyjęcie taty i Binky – ciągnęła. – Z bliżej niesprecyzowanych powodów tata życzy sobie teraz, żebym mówiła do niego „Charles”. Nic więcej nie muszę chyba dodawać. – Westchnęła głęboko. – Tak właśnie wyglądał mój weekend. Jeszcze jeden taki wyjazd i sama będę musiała udać się do terapeuty. A ponieważ nie stać mnie na niego, będę się zwierzać sama sobie!

Nedda spojrzała na nią współczująco. Ze wszystkich znajomych Susan tylko ona знаła całą prawdę na temat Jacka i Dee i historię burzliwego rozwodu rodziców Susan.

– Wygląda na to, że potrzebny ci plan pozostania przy zdrowych zmysłach – orzekła.

Susan zaśmiała się.

– Może ty go przygotujesz dla mnie? Po prostu dopisz go do rachunku, razem ze wszystkim, co jestem ci winna za załatwienie pracy w radiu. Chyba już pójdę. Muszę uporządkować materiały do programu. A propos – czy dzisiaj już ci za to dziękowałam?

Przed rokiem Marge Mackin, popularna prezenterka radiowa i bliska

przyjaciółka Neddy, zaprosiła Susan do swojego programu. Susan wystąpiła tam w podwójnej roli: biegłego sądowego i psychologa, komentując jakiś mocno nagłośniony proces. Sukces, jaki osiągnęła po tym pierwszym występie na antenie, sprawił, że zaczęła regularnie pojawiać się w programie Marge jako gość, a kiedy ta odeszła do telewizji, Susan zajęła jej miejsce w radiu.

– Nie bądź głupia. Nie dostałabyś tej pracy, gdybyś nie potrafiła tego robić. Jesteś naprawdę świetna i dobrze o tym wiesz – rzuciła szorstko Nedda. – Kogo zaprosiłaś dzisiaj do programu?

– W tym tygodniu mówimy o tym, że kobiety powinny czuć się bezpiecznie w codziennym życiu. Donald Roberts, psychiatra specjalizujący się w kryminologii, wydał książkę „Znikające kobiety”. Opisuje w niej niektóre tajemnicze zaginięcia, z którymi zetknął się w swojej pracy. Wiele spraw rozwiązał, ale jest jeszcze sporo przypadków, dla których nie znalazł wyjaśnienia. Przeczytałam tę książkę, jest naprawdę dobra. Przedstawia pokrótce życie każdej z tych osób i okoliczności, w których zniknęły. Omawia prawdopodobne motywy, które mogły skłonić inteligentną kobietę do związania się z mordercą, a także odtwarza krok po kroku jej przypuszczalne losy po zniknięciu. Tak więc zamierzam porozmawiać z nim o tej książce i przytoczyć kilka ciekawszych przykładów, a potem będziemy wspólnie się zastanawiać, w jaki sposób nasze słuchaczki mogą uniknąć potencjalnych zagrożeń.

– Niezły temat.

– Tak myślę. Zamierzam poruszyć sprawę Reginy Clausen. Jej zniknięcie od początku mnie intrygowało. Pamiętasz tę sprawę? Oglądałam jej program w CNBC i bardzo mi się podobała. Jakieś sześć lat

temu tata podarował mi na urodziny czek i za te pieniądze kupiłam akcje, które polecała. Niezłe na nich zarobiłam. Może to dziwne, ale wydaje mi się, że coś jej zawdzięczam.

Nedda spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Regina Clausen zaginęła prawie trzy lata temu – zrezygnowała w pół drogi z rejsu dookoła świata, opuściła statek w Hongkongu i nikt jej więcej nie widział. Dobrze to pamiętam – swego czasu ta sprawa była dosyć głośna.

– To było już po tym, jak odeszłam z prokuratury – rzekła Susan. – Ale akurat odwiedzałam przyjaciółkę, gdy do prokuratora okręgowego przyszła matka Reginy Clausen z prośbą o pomoc. Ponieważ jednak nie było żadnych dowodów na to, że Regina opuściła Hongkong, biuro okręgowe nie mogło, rzecz jasna, zająć się tą sprawą. Biedna kobieta przyniosła ze sobą zdjęcia córki i cały czas powtarzała, jak Regina cieszyła się na tę podróż. W każdym razie ja nigdy nie zapomniałam o tej sprawie i zamierzam poruszyć ją dzisiaj na antenie.

Nedda przybrała łagodniejszy wyraz twarzy i powiedziała:

– Znam trochę Jane Clausen. Byłyśmy na jednym roku w Smith.

Teraz mieszka przy Beekman Place. Zawsze była bardzo cicha i nieśmiała i z tego co wiem, Regina odziedziczyła po niej tę cechę. Susan uniosła nieznacznie brwi.

– Szkoda, że nie wiedziałam, że znasz panią Clausen. Mogłabyś umówić mnie z nią na spotkanie. Z moich notatek wynika, że matka Reginy nie wiedziała nic o tym, żeby jej córka się z kimś spotykała. Ale gdybym mogła porozmawiać z nią osobiście, może przypomniałaby sobie coś, jakiś drobiazg, który wtedy wydawał jej się bez znaczenia, a dla mnie

mógłby stanowić wskazówkę.

Nedda ściągnęła w zamyśleniu brwi.

– Może nie jest jeszcze za późno. Doug Layton jest prawnikiem Clausenów. Spotkałam go kilka razy. Zadzwoń do niego o dziewiątej i zobacz, czy zdoła nas z nią skontaktować.

Dziesięć po dziewiątej na biurku Susan zabrzączał interkom. Dzwoniła jej sekretarka, Janet.

– Mam na linii prawnika, Douglasa Laytona. Niech się pani przygotuje jego głos nie brzmiał zachęcająco.

Każdego dnia Susan modliła się, aby Janet, skądinąd świetna sekretarka, powstrzymała się od komentarzy na temat dzwoniących do niej ludzi. Jednakże prawdziwie zadziwiający był fakt, co musiała uczciwie przyznać, że uwagi Janet okazywały się niezwykle trafne.

Już po pierwszych słowach prawnika Clausenów zorientowała się, że rzeczywiście Layton nie jest zachwycony jej prośbą.

– Doktor Chandler, stanowczo potępiamy wszelkie próby zakłócania spokoju pani Clausen i czerpania korzyści z tej tragedii. Regina była jedynaczką. Już odnalezienie jej ciała byłoby koszmarem dla matki, a ponieważ go nie znaleziono, pani Clausen zadręcza się codziennie, żyje w piekle własnych myśli, zastanawiając się, gdzie jest jej córka i czy w ogóle jeszcze żyje. Myślałem, że kobieta taka jak Nedda Harding jest jak najdalsza od pogoni za tanią sensacją i wykorzystywania cudzego nieszczęścia do amatorskiej psychoanalizy.

Susan z całej siły zacisnęła usta, aby nie wyrwały się z nich ostre słowa, które przyszły jej w tym momencie na myśl. Kiedy w końcu się

odezwała, jej głos był chłodny, ale opanowany:

– Panie Layton, sam pan podał powód, dla którego trzeba głośno mówić o tej sprawie. Z pewnością o wiele gorsze dla pani Clausen są rozmyślania na temat losu jej córki niż poznanie całej prawdy. Jak rozumiem, ani policja w Hongkongu, ani prywatni detektywi wynajęci przez panią Ciausen nie wpadli na najmniejszy trop, który wyjaśniałby, co Regina zrobiła albo gdzie się udała po opuszczeniu statku. Mój program jest emitowany w pięciu stanach. Wiem, że to jeszcze nic nie znaczy, ale może ktoś, kto będzie nas dzisiaj słuchał, był wtedy na statku lub w Hongkongu. Może zadzwoni do nas z informacją, może widział Reginę po zejściu z „Gabrielle”. Bądź co bądź, regularnie pokazywała się w CNBC, a niektórzy ludzie mają świetną pamięć do twarzy.

Nie czekając na odpowiedź, Susan odłożyła słuchawkę, pochyliła się nad biurkiem i włączyła radio. Nagrała zapowiedzi dzisiejszego programu, w których napomknęła o swoim gościu i sprawie Reginy Ciausen. Puszczono je na antenie w piątek, a jej producent, Jed Geany, obiecał, że zostaną jeszcze raz wyemitowane dzisiaj rano. Na wszelki wypadek pomodliła się w myślach, prosząc, aby Jed nie zapomniał o obietnicy.

Dwadzieścia minut później, przeglądając dokumenty ze szkoły swojego siedemnastoletniego pacjenta, usłyszała pierwszą z zapowiedzi. Teraz trzeba mocno trzymać kciuki, pomyślała, i mieć nadzieję, że usłyszał ją także ktoś, kto wie coś o tej sprawie.

To, że właśnie w piątek nastawił radio w samochodzie na tę stację, było bez wątpienia szczęśliwym zbiegiem okoliczności; tylko dzięki temu miał szansę usłyszeć zapowiedź. Na drodze był spory korek i ledwie zwracał uwagę na monotonne słowa płynące z radia. Ale gdy padło nazwisko Reginy Clausen, wzmocnił głos i zaczął uważnie słuchać.

Naturalnie nie ma powodów do obaw. Był tego pewien. Z Reginą poszło mu najłatwiej. Jak żadna inna, z dziecinną naiwnością i zapałem przystała na jego plan; bez cienia podejrzeń zgodziła się, żeby ich wakacyjny romans utrzymać w absolutnej tajemnicy przed współpasażerami.

Jak zawsze, podjął wszelkie środki ostrożności, czyż tak nie było?

Ale teraz, gdy w poniedziałkowy rano ponownie usłyszał zapowiedź programu, nie był już taki pewien. Następnym razem wykaże większą ostrożność. Poza tym następny raz będzie zarazem ostatnim. Do tej pory zrobił to cztery razy. Został mu jeszcze jeden. Wybierze ją w przyszłym tygodniu – a kiedy będzie już należeć do niego, misja dobiegnie końca i on w końcu odzyska spokój.

Oczywiście nie popełnił żadnego błędu. To było jego posłannictwo i nikt nie mógł stanąć mu na drodze. Ze złością słuchał ciepłego, przyjaznego głosu doktor Susan Chandler: „Regina Clausen była znanym doradcą inwestycyjnym. Ale była też córką, przyjaciółką i wyjątkowo hojnym dobroczyńcą wielu akcji charytatywnych. W moim dzisiejszym programie będziemy rozmawiać o jej zaginięciu. Chcemy rozwiązać tę

tajemnicę. Może ktoś z was dołoży kawałek do tej układanki? Proszę, słuchajcie nas”.

Gwałtownym ruchem wyłączył radio.

– Doktor Susan – powiedział na głos. – Lepiej daruj sobie ten pomysł, i to szybko. To nie twój interes, a ostrzegam cię, jeśli zmusisz mnie, żebym zajął się tobą, twoje dni będą policzone.

Kiedy Susan dotarła do studia, doktor Donald Richards, autor „Znikających kobiet” i jej dzisiejszy gość, już na nią czekał. Był wysokim, lekko przygarbionym mężczyzną o ciemnych włosach, po trzydziestce. Wstał, aby ją powitać, i zdjął z nosa okulary do czytania. Ściskając dłoń, którą mu podała Susan, spojrzał na nią ciepło niebieskimi oczami i uśmiechnął się przelotnie.

– Doktor Chandler, muszę panią ostrzec. To moja pierwsza książka. Jestem nowy w tej branży i trochę się denerwuję. Gdybym zaczął mówić od rzeczy, proszę mi pomóc, dobrze?

Susan zaśmiała się.

– Doktorze Richards, proszę mówić mi Susan i zapomnieć o mikrofonie. Niech pan sobie wyobrazi, że po prostu plotkujemy na rogu ulicy.

Kogo on oszukuje? – zastanawiała się kwadrans później, słuchając, jak Richards lekkim, fachowym tonem omawia niektóre z przypadków opisanych w swojej książce. Pokiwała z aprobatą głową, słysząc jego słowa:

– Kiedy ktoś znika – oczywiście mam tu na myśli osobę dorosłą, nie dziecko – władze w pierwszej kolejności pytają, czy nie była to dobrowolna ucieczka. Jak wiesz, Susan, zdumiewająco wielu ludzi pewnego dnia nie wraca z pracy do domu, postanawia zacząć wszystko od nowa, przybrać zupełnie nową tożsamość. Zwykle przyczyną takiej decyzji są problemy rodzinne lub finansowe i z pewnością jest to

tchórzostwo – ale tak się dzieje. W każdym razie, niezależnie od okoliczności, pierwszym krokiem, który należy zrobić, poszukując osoby zaginionej, jest sprawdzenie, czy posługiwała się swoją kartą kredytową.

– Ona albo ktoś, kto ją jej ukradł – wtrąciła Susan.

– Otóż to – zgodził się Richards. – A zwykle, gdy mamy do czynienia z dobrowolną ucieczką, okazuje się, że zaginiony po prostu nie potrafi! dłużej stawiać czoła swoim problemom. Taka ucieczka to w rzeczywistości wołanie o pomoc. Rzecz jasna, nie wszystkie zaginięcia są zaplanowane i dobrowolne; niektóre noszą znamiona przestępstwa. Jednak udowodnienie tego nie jest łatwe. Trudno na przykład udowodnić komuś morderstwo, jeśli nie ma zwłok. Często zdarza się, że zabójcy unikają kary, ponieważ tak dokładnie pozbyli się ciał swoich ofiar, że nie istnieją żadne dowody zbrodni. Weźmy choćby...

Rozmawiali o kilku nadal otwartych sprawach, które Richards opisał w swojej książce – przypadkach, kiedy ofiary nie zostały znalezione. A potem Susan powiedziała:

– Przypominam, że rozmawiam dzisiaj z doktorem Donaldem Richardsem, kryminologiem, psychiatrą i autorem „Znikających kobiet” – fascynującej, napisanej przystępnym językiem książki, zawierającej historie kobiet, które zniknęły bez śladu w ciągu ostatnich dziesięciu lat. A teraz chciałabym wysłuchać pańskiej opinii na temat sprawy, o której nie wspomniał pan w swojej książce. – mówię o zaginięciu Reginy Clausen. Ale najpierw przedstawię naszym słuchaczom okoliczności jej zniknięcia. – Susan nie musiała zerkać do swoich notatek, mówiła z pamięci: – Regina Clausen była szanowanym doradcą inwestycyjnym w Lang Taylor Securities. W momencie zaginięcia miała czterdzieści trzy lata i jak

twierdzą ci, którzy ją znali, prywatnie była bardzo nieśmiała. Mieszkała samotnie, a urlopy spędzała zwykle z matką. Trzy lata temu jej matka przechodziła rehabilitację po złamaniu nogi, dlatego Regina Clausen pojechała na urlop sama. Wykupiła część rejsu dookoła świata na luksusowym liniowcu „Gabrielle”. Weszła na pokład w Perth z zamiarem zwiedzenia Bali, Hongkongu, Tajwanu i Japonii. Statek miała opuścić w Honolulu. Zrezygnowała jednak z dalszej podróży już w Hongkongu, twierdząc, że chce tu spędzić więcej czasu i wróci na „Gabrielle” w czasie postoju statku w Japonii. Uczestnicy imprez tego rodzaju często postępują w ten sposób, zmieniając plan podróży w czasie jej trwania, toteż zamierzenia Reginy nie wzbudziły żadnych podejrzeń. Schodząc na ląd, zabrała ze sobą tylko jedną walizkę i podręczny neseser, a współpasażerowie twierdzą, że była w świetnym humorze i wyglądała na bardzo szczęśliwą. Taksówką pojechała do hotelu Peninsula, tam wynajęła pokój, zostawiła w nim bagaże i natychmiast opuściła hotel. Od tej pory nikt już nie widział. Doktorze Richard gdyby zabierał się pan do zbadania tej sprawy, od czego by pan zaczął?

– Chciałbym zobaczyć listę pasażerów i sprawdzić, czy ktoś inny także nie zamierzał spędzić kilku dni w Hongkongu – odparł bez wahania Richards. – Chciałbym wiedzieć, czy na statku nie odbierała żadnych telefonów lub faksów. Centrala powinna prowadzić jakiś rejestr. Porozmawiałbym także z współpasażerami – może ktoś zauważył, czy czasem nie zaprzyjaźniła się z kimś na statku, zwłaszcza z jakimś samotnie podróżującym mężczyzną. – Przerwał. – To na początek.

– Wszystko to zostało zrobione – oznajmiła Susan. – Przeprowadzono dokładne śledztwo – uczestniczyli w nim przedstawiciele armatora,

prywatni detektywi i władze w Hongkongu. Trzy lata temu Hongkong był jeszcze pod jurysdykcją brytyjską. I jedyne, co dało się z całą pewnością ustalić, to to, że Regina Clausen zniknęła tuż po wyjściu z hotelu.

– Powiedziałbym, że umówiła się z kimś i za wszelką cenę starała się utrzymać to w tajemnicy – powiedział Richards. – To mógł być ktoś, kogo poznała na statku. Zakładam, że przesłuchano innych pasażerów.

– Tak, ale nikt nie zauważył, żeby spędzała z kimś szczególnie dużo czasu – wyjaśniła Susan.

– W takim razie być może od początku planowała jakieś spotkanie w Hongkongu, ale ze znanych tylko sobie powodów chciała, aby jej decyzja o zejściu na ląd i powrocie na statek w Japonii wyglądała na spontaniczną – zasugerował Richards.

W tym momencie Susan usłyszała w słuchawkach sygnał oznaczający, że na linii czekają telefonujący słuchacze.

– Teraz chwila przerwy, a potem porozmawiamy ze słuchaczami – oznajmiła.

Zdjęła słuchawki.

– Chwila przerwy, czyli inaczej mówiąc – reklamy. To dzięki nim płacimy rachunki.

Richards skinął głową.

– Nie ma w tym nic złego. Nie było mnie w kraju, gdy sprawa Reginy Clausen stała się głośna, ale to naprawdę interesujący przypadek. Chociaż nie znam wszystkich szczegółów, uważam, że za jej zniknięciem stoi jakiś mężczyzna. Nieśmiała, samotna kobieta wyrwana ze znajomego otoczenia, z dala od pracy i rodziny, które dają jej poczucie bezpieczeństwa, staje się bezbronna.

Szkoda, że nie znasz mojej matki i siostry, pomyślała złośliwie Susan.

– Przygotuj się – zaraz wracamy na antenę. Przez jakieś piętnaście minut będziemy odbierać telefony od słuchaczy – powiedziała. – A potem – odpowiadać na ich pytania.

– Jak sobie życzysz.

Włożyli słuchawki, przez które słyszeli odliczanie sekund do wejścia na antenę. Susan odezwała się:

– Doktor Susan Chandler wita was po przerwie. Moim gościem jest doktor Donald Richards, kryminolog, psychiatra, autor książki „Znikające kobiety”. Przed reklamami omawialiśmy sprawę znanej maklerki Reginy Clausen, która zaginęła trzy lata temu w Hongkongu, podczas rejsu dookoła świata na luksusowym liniowcu „Gabrielle”. A teraz przejdźmy do telefonów od słuchaczy. – Rzuciła okiem na ekran. – Mamy na linii Louise z Fort Lee. Louise, jesteś na antenie.

Z głośnika popłynął następnie potok dalszych rozmów: „W jaki sposób tak inteligentne kobiety dają się nabrać mordercy?”

„Co doktor Richards sądzi o sprawie Jimmy’ego Hoffy?” „Czy to prawda, że dzięki badaniu DNA nawet po wielu latach można zidentyfikować ofiarę na podstawie kości?”

A potem nadano kolejny blok reklamowy i przyszedł czas na ostatni telefon.

Podczas przerwy Susan rozmawiała z producentem obserwującym przebieg programu z pokoju realizatorów.

– Jest jeszcze jedna rozmowa, którą chcę puścić. Muszę cię jednak ostrzec – kimkolwiek jest ta kobieta, udało jej się zablokować ze swojego telefonu nasz system identyfikacji rozmówcy. Najpierw nie chciałem

wpuścić jej na antenę, ale upiera się, że być może wie coś na temat zniknięcia Reginy Clausen, więc chyba warto spróbować. Mówi, żeby nazywać ją Karen – to nie jest jej prawdziwe imię.

– Dawaj ją – rzuciła Susan. Ponieważ właśnie zapaliła się lampka informująca, że są na antenie, powiedziała do mikrofonu: – Naszym ostatnim rozmówcą jest Karen, która, jak twierdzi mój producent, ma nam coś ważnego do przekazania. Witaj, Karen.

Rozmówczynie mówiła ściszym głosem, chwilami nie było jej prawie słychać.

– Doktor Susan, dwa lata temu wykupiłam wycieczkę w ramach rejsu dookoła świata. Czułam się wtedy fatalnie, bo właśnie zdecydowałam się na rozwód. Nie mogłam dłużej tolerować zazdrości mojego męża. Na statku był pewien mężczyzna. Wyraźnie wpadł mi w oko, ale okazywał to w prawie niezauważalny, powiedziałabym, niezwykle ostrożny, sposób. W portach, do których zawijaliśmy, umawiał się ze mną w jakimś oddalonym od nabrzeża miejscu i razem zwiedzaliśmy miasto. Potem rozdzielaliśmy się i osobno wracaliśmy na statek. Tłumaczył, że to konieczne, ponieważ nie chce, abyśmy stali się obiektem plotek. Był czarujący i uprzedzająco grzeczny – wtedy właśnie tego potrzebowałam. Później zaproponował, żebym zeszła ze statku w Atenach i została tam na dłużej. Następnie mieliśmy polecieć do Algieru i wrócić na statek w Tangerze.

Susan przypomniało się uczucie, którego doświadczyła już kiedyś, gdy pracując w biurze prokuratora, przesłuchiwała jakiegoś świadka i była już o krok od wydobycia z niego ważnych informacji. Zobaczyła, że Donald Richards także pochylił się nad blatem i w napięciu wsłuchuje się w słowa

Karen.

– Czy przystałaś na jego propozycję? – spytała tajemniczą rozmówczynię.

– Chciałam, ale właśnie wtedy zadzwonił mój mąż i prosił, żebym dała naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę. Tymczasem mężczyzna, z którym miałam się spotkać, już zszedł ze statku. Próbowałam skontaktować się z nim i powiedzieć, że zostaję na pokładzie, w hotelu jednak, w którym mieliśmy zamieszkać, nikt o nim nie słyszał. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Ale mam jedno zdjęcie, na którym jest widoczny, a poza tym dał mi pierścionek z wygrawerowanym napisem: „Jesteś tylko moja”. Naturalnie nie było sposobu mu go zwrócić.

Susan uważnie dobierała słowa:

– Karen, to, co nam powiedziałaś, może być bardzo ważne dla śledztwa w sprawie zniknięcia Reginy Clausen. Czy spotkasz się ze mną, żeby pokazać mi tę fotografię i pierścionek?

– Nie... nie mogę się w to angażować. Mój mąż dostanie szału na samą myśl, że brałam pod uwagę odejście z innym mężczyzną.

Nie powiedziała nam wszystkiego, pomyślała Susan. Nie nazywa się Karen i próbowała zmienić głos. A zaraz pewnie się rozłączy.

– Karen, proszę, przyjdź do mojego gabinetu – rzuciła pośpiesznie. – Zapisz sobie adres, – Szybko podała adres gabinetu i zapewniła przekonywającym tonem: – Matka Reginy Clausen powinna wiedzieć, co się stało z jej córką. Obiecuję, że uszanuję twoje prawo do prywatności.

– Będę o trzeciej – szepnęła Karen i rozłączyła się.

Carolyn Wells wyłączyła radio i nerwowym krokiem podeszła do okna. Po drugiej stronie ulicy stał budynek Metropolitan Museum of Art – pusty i wyciszony, jak zwykle w poniedziałki, kiedy był zamknięty dla zwiedzających.

Od rozmowy na antenie programu „Spytaj doktor Susan” nie mogła pozbyć się dręczącego przeczucia, że wkrótce wydarzy się coś złego.

Gdybym tylko nie naciągnęła Pameli na seans jasnowidzenia, pomyślała, wspominając szalony piątkowy wieczór. Wydawała kolację z okazji czterdziestych urodzin swojej dawnej współlokatorce Pameli; zaprosiła także dwie pozostałe kobiety, z którymi dzieliły przed laty mieszkanie na Wschodniej Osiemdziesiątej. Doborową czwórkę tworzyły Pamela, obecnie wykładowca w college’u, Lynn – partnerka w firmie zajmującej się *public relations*, Vicky – gruba ryba w telewizji kablowej, i ona – dekoratorka wnętrz.

Postanowiły, że urządzią sobie babski wieczór. Żadnych mężów i narzeczonych, tylko one cztery, plotkujące o starych znajomych. Od lat nie prosiły Pameli, żeby „rzuciła okiem” w przyszłość. Kiedy były młodsze i z początku czuły się nieswojo w obcym mieście, niemal co wieczór zasypywały przyjaciółkę pytaniami o przyszłość, prosząc żartem, aby przewidziała, jak ułoży się nowa znajomość lub czy warto podjąć inną pracę. Później jednak zdolności Pameli wszystkie zaczęły traktować poważnie. Chociaż Pamela niechętnie się do tego przyznawała, jej dar jasnowidzenia był często, aczkolwiek dyskretnie, wykorzystywany przez

policję w sprawach dotyczących porwań czy tajemniczych zniknięć. Mimo to jej przyjaciółki wiedziały, że chociaż czasami nie była w stanie udzielić pomocy, o jaką ją proszono, często z zadziwiającą wręcz precyzją potrafiła podać szczegóły, które przyczyniały się do rozwikłania wielu pozornie beznadziejnych spraw.

Tamtego piątku, kiedy siedziały zrelaksowane po kolacji, popijając porto, Pamela uległa perswazjom i dała się namówić na krótki seans. Jak zwykle, poprosiła każdą z kobiet, aby dała jej jakiś osobisty przedmiot – przy przepowiadaniu przyszłości pomagała jej bliskość rzeczy należącej do zainteresowanej osoby.

Ja byłem ostatnia, przypomniała sobie Carolyn, wracając pamięcią do emocjonujących chwil tamtego wieczoru. I coś mówiło mi, że nie powinnam się w to bawić. Dlaczego dałam jej właśnie ten cholerny pierścionek? Nigdy go nie nosiłam i był zupełnie bezwartościowy. Nie mam pojęcia, czemu w ogóle go nie wyrzuciłam.

Tak naprawdę wyjęła pierścionek z kasetki z biżuterią, ponieważ wcześniej tego dnia przyszedł jej na myśl Owen Adams, mężczyzna, który jej go podarował. Wiedziała, dlaczego akurat dzisiaj przypomniała sobie o nim – mijały właśnie równo dwa lata od dnia ich spotkania.

Pamela wzięła pierścionek do ręki, zauważyła prawie niewidoczny napis wygrawerowany po wewnętrznej stronie obrączki i przyjrzała mu się uważnie.

– „Jesteś tylko moja” – odczytała z pewnym zaniepokojeniem. – Carolyn, nie sądzisz, że jak na dzisiejsze czasy brzmi to trochę zbyt poważnie? Mam nadzieję, że Justin nie traktuje tego serio.

Carolyn dobrze pamiętała, że poczuła się wtedy nieswojo.

– Justin nic o tym nie wie. Gdy byliśmy w separacji, dostałam ten pierścionek od jednego faceta na statku. Dopiero co go spotkałam i w ogóle go nie znałam; zawsze byłam ciekawa, co się z tym człowiekiem stało. Ostatnio myślałam o nim.

Pamela zamknęła dłoń na pierścionku i natychmiast cała jej postać uległa niezwykłej zmianie. Nagle zeszywniała, a jej twarz przybrała przerażająco poważny wyraz.

– Carolyn, ten pierścionek mógł się stać przyczyną twojej śmierci – powiedziała. – Nadal może nią być. Ten, kto ci go dał, chciał cię skrzywdzić. – Gwałtownie wypuściła pierścionek z ręki, jakby nagle zaczął ją parzyć.

W tej chwili rozległ się szcęk klucza w drzwiach wejściowych i wszystkie podskoczyły, niczym uczennice złapane na niedozwolonej zabawie. Na mocy niepisanego porozumienia natychmiast zaczęły rozmawiać o czymś innym. Wiedziały, że separacja jest dla Justina tematem tabu, a poza tym mąż Carolyn nie wierzył ani za grosz przepowiedniom Pameli.

Carolyn pamiętała, że szybko chwyciła pierścionek ze stołu i schowała go do kieszeni żakietu. Nadal tam był.

Chorobliwa zazdrość Justina była przyczyną ich rozstania dwa lata temu. Carolyn miała tego w końcu dość. „Nie mogę żyć z kimś, kto nabiera podejrzeń, gdy spóźnię się kilka minut – tłumaczyła mężowi. – Mam swoją pracę, chcę zrobić karierę. Czasami muszę zostać dłużej w biurze – nic na to nie poradzę”.

Kiedy zadzwonił do niej na statek, przyrzekał, że się zmieni. I Bóg świadkiem, że się stara, myślała Carolyn. Chodzi do psychoterapeuty, ale

jeśli zaangażuję się w tę sprawę doktor Susan, Justin gotów pomyśleć, że naprawdę było coś między mną a tym Owenem Adamsem, i wszystko zacznie się od nowa.

Podjęła decyzję – nie spotka się z Susan Chandler. Wyśle jej pocztą zdjęcie zrobione na przyjęciu na statku, to, na którym widać w tle Owena Adamsa. Odetnie z niego swoją postać i wyśle je wraz z pierścionkiem i nazwiskiem Owena do tej Chandler. Napiszę wiadomość drukowanymi literami na zwykłej kartce papieru, tak żeby żaden ślad nie prowadził do mnie. W krótkich słowach wyjaśnię jej o co chodzi, postanowiła.

Jeśli istnieje jakaś nić wiążąca Owena Adamsa z Reginą Clausen, Susan Chandler będzie musiała ją odnaleźć sama. Głupotą byłoby pisać, że nawiedzona przyjaciółka Carolyn twierdzi, iż pierścionek jest symbolem śmierci! Przecież nikt nie weźmie tego poważnie!

Mówi doktor Susan Chandler. Dziękuję naszemu gościowi, doktorowi Donaldowi Richardsowi, i wszystkim, którzy nas dzisiaj słuchali. Czerwona lampka kontrolna zgasła, a Susan zdjęła z uszu słuchawki.

– To by było na tyle – powiedziała.

Do studia wszedł jej producent Jed Geany.

– Jak myślisz, Susan, czy ta kobieta mówiła prawdę?

– Tak. Mam tylko nadzieję, że nie zmieni decyzji co do spotkania.

Donald Richards wyszedł ze studia razem z Susan i poczekał, aż złapie taksówkę. Gdy wsiadała do samochodu, powiedział z wahaniem:

– Istnieje mała szansa, że Karen rzeczywiście przyjdzie na spotkanie. Jeśli jednak się zdecyduje, chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co zapewne powie. Może będę mógł pomóc.

Susan poczuła nagle ukłucie gniewu, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

– Zobaczymy – odparła niezobowiązująco.

– Chcesz powiedzieć: nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – powiedział Richards. – Mam nadzieję, że przyjdzie. Do widzenia.

W mieszkaniu przy Beekman Place siedemdziesięcioletnia Jane Clausen wyłączyła radio i przez dłuższy czas siedziała, patrząc bezmyślnie przez okno na płynącą wartkim nurtem East River. Charakterystycznym gestem przyglądała kosmyk miękkich, siwych włosów, który opadł jej na czoło. Od ponad trzech lat, od dnia, w którym zaginęła jej córka Regina, żyła niczym w okowach wiecznego lodu. Codziennie nasłuchiwała odgłosu klucza w zamku, dzwonka telefonu, gotowa podnieść słuchawkę i usłyszeć ciepły głos Reginy: „Mamo, nie przeszkadzam?”

Była przekonana, że Regina nie żyje. W głębi serca nie miała co do tego wątpliwości – przepełniała ją pierwotna, instynktowna pewność. Wiedziała to od samego początku, od chwili, gdy zadzwoniono do niej ze statku z informacją, że Regina nie pojawiła się na pokładzie, tak jak zapowiadała.

Rano zatelefonował do niej jej prawnik, Douglas Layton. Był najwyraźniej zły, pragnął uprzedzić ją, że doktor Susan Chandler ma zamiar omawiać sprawę Reginy w dzisiejszym programie.

– Próbowałem odwieść ją od tego, ale upierała się, że z pewnością chciałaby pani poznać całą prawdę, po czym, nie dając mi dojść do słowa, odłożyła słuchawkę – wyjaśniał poirytowany.

Cóż, doktor Chandler myliła się. Regina – tak inteligentna i szanowana w świecie finansów – w życiu prywatnym była niesłychanie skryta.

Nawet bardziej niż ja, skonstatowała Jane Clausen. Dwa lata temu w programie telewizyjnym poświęconym osobom zaginionym chciano

poruszyć sprawę jej córki. Wówczas odmówiła współpracy – z tego samego powodu, dla którego słuchając dzisiaj audycji doktor Chandler, poczuła przenikliwe ukłucie bólu, gdy ten psychiatra, Donald Richards, zasugerował, że Regina mogła być na tyle naiwna, aby wyjechać z obcym niemal mężczyzną.

Znałam swoją córkę, pomyślała Jane Clausen. To nie było w jej stylu. Ale nawet jeśli popełniła takie głupstwo, zasługiwała na coś lepszego niż szarganie jej osoby w telewizji i radiu, gdzie wystawiona na oczy całego świata, mogła budzić jedynie litość i współczucie. Jane potrafiła wyobrazić sobie artykuły na pierwszych stronach gazet, eksponujące fakt, że mimo doskonałego pochodzenia i sukcesów finansowych Regina Clausen nie była na tyle bystra czy rozsądna, żeby przejrzeć zamiary jakiegoś łajdaka.

Jedynie Douglas Layton, prawnik z firmy inwestycyjnej zajmującej się majątkiem rodziny, wiedział, jak ona sama rozpaczliwie usiłuje znaleźć rozwiązanie tej tajemnicy. Tylko on wiedział o najlepszych prywatnych detektywach, którzy próbowali rozwikłać zagadkę, nawet wtedy, gdy policja już dawno zrezygnowała z tej sprawy.

Ale nie miałam racji, pomyślała Jane Clausen. Przekonywałam sama siebie, że śmierć Reginy była w pewnej mierze dziełem przypadku. W ten sposób łatwiej było pogodzić się z jej stratą. Historia, którą ułożyła sobie w myślach i która w jakiś sposób ją uspokajała, zakładała, że Regina, która w przeszłości miała pewne kłopoty z sercem, dostała ataku – podobnie jak jej ojciec, który odszedł przedwcześnie. Pewnie ktoś – może taksówkarz – przestraszył się kłopotów i w dyskretny sposób pozbył się ciała. Regina z pewnością nie była świadoma, że umiera, i nie cierpiała.

Lecz jak w takim razie wytłumaczyć tamtą rozmowę telefoniczną i słowa kobiety przedstawiającej się jako Karen, która opowiedziała o mężczyźnie próbującym nakłonić ją doopuszczenia statku? Mówiła coś o pierścionku – pierścionku z wygrawerowanym napisem: „Jesteś tylko moja”.

Jane Clausen od razu wiedziała, że gdzieś już widziała te słowa, a gdy usłyszała je dzisiaj rano, przeszedł ją dziwny dreszcz. Regina miała zakończyć podróż na „Gabrielle” w Honolulu. Gdy nie wróciła na statek, spakowano jej ubrania i wszystkie rzeczy, które tam zostawiła, i odesłano do domu. Na prośbę policji Jane przejrzała je uważnie, sprawdzając, czy niczego nie brakuje. Zwróciła uwagę na pierścionek, ponieważ był taki tandetny, najwyraźniej tani. Mały, słodki pierścioneczek z turkusem, z gatunku tych, które namiętnie kupują turyści. Była przekonana, że Regina albo w ogóle nie zauważyła sentymentalnego napisu wrytego po wewnętrznej stronie obrączki, albo nie przykładała do niego żadnej wagi. Turkus był kamieniem jej znaku zodiaku.

Ale przecież ta Karen dostała identyczny pierścionek dwa lata temu. Czyżby osoba, która była odpowiedzialna za śmierć Reginy, nadal prowadziła swoje koszarne polowanie? Regina zniknęła z powierzchni ziemi w Hongkongu. Karen twierdziła, że miała opuścić statek i jechać do Algieru.

Jane Clausen wstała, poczekała, aż ból w plecach zelżeje, a następnie wolnym krokiem wyszła z gabinetu i skierowała się do pokoju, który ona i jej gospodyni uparcie określały mianem gościnnego.

Rok po zniknięciu córki zlikwidowała mieszkania Reginy i sprzedała swój zbyt duży dom w Scarsdale. W zamian kupiła pięciopokojowe

mieszkanie przy Beekman Place. Jeden z pokoiów umeblowała sprzętami Reginy, do szuflad i szaf włożyła jej ubrania, na ścianach porozwieszała jej obrazy, a na blatach komody i biurka ustawiła bibeloty córki.

Czasami, gdy czuła się samotnie, przychodziła do tego pokoju z filiżanką herbaty, siadała w głębokim, obitym brokatem fotelu, który Regina kupiła kiedyś na aukcji, i oddawała się wspomnieniom o dawnych, szczęśliwych dniach.

Teraz podeszła do komody, wysunęła górną szufladę i wyjęła szkatułkę obitą skórą, w której Regina przechowywała biżuterię.

Turkusowy pierścionek leżał w przegródce wyłożonej aksamitem. Wyjęła go i wsunęła na palec.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer Douglasa Laytona.

– Douglas – zaczęła cicho. – Dzisiaj za kwadrans trzecia musimy być w gabinecie doktor Susan Chandler. Zakładam, że słuchałeś audycji?

– Tak, proszę pani.

– Muszę porozmawiać z kobietą, która zadzwoniła podczas programu.

– Wobec tego zadzwonię i uprzedzę doktor Chandler, że przyjdziemy.

– Właśnie tego nie chcę. Zamierzam tam pójść i osobiście porozmawiać z tą kobietą.

Jane Clausen odłożyła słuchawkę. Od kiedy dowiedziała się, że zostało jej niewiele czasu, pocieszała ją myśl, że wkrótce cierpienie dobiegnie końca. Ale teraz czuła, że musi dokonać jeszcze jednego – musi zrobić wszystko, aby żadna inna matka nie musiała doświadczać takiego bólu, jaki przepełniał ją przez ostatnie trzy lata.

Wracając taksówką do gabinetu, Susan Chandler robiła w myśli przegląd zaplanowanych na dzisiaj wizyt. Za niecałą godzinę, o pierwszej, miała przeprowadzić badanie psychologiczne siódmoklasisty, który wykazywał objawy depresji. Przypuszczała, że w tym wypadku chodzi o coś więcej niż typowe młodzieńcze problemy z samookreśleniem. Godzinę później czekało ją spotkanie z sześćdziesięciolatką, która lada dzień miała odejść na emeryturę, w związku z czym dręczyła ją bezsenność i całe noce spędzała, roztrząsając liczne wątpliwości.

A o trzeciej miała nadzieję spotkać się z kobietą, która przedstawiła się jako Karen. Przez telefon sprawiała wrażenie naprawdę przestraszonej i Susan martwiła się, że zrezygnuje ze spotkania. Czego ona się tak boi? – zastanawiała się w myślach.

Pięć minut później otworzyła drzwi od gabinetu i na progu natknęła się na Janet, która powiedziała z aprobatą:

– Dobry program, pani doktor. Sporo osób dzwoniło tutaj w sprawie pani audycji. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę Karen.

– Ja też – przyznała Susan, ale w jej głosie słychać było nutkę pesymizmu. – Są jakieś ważne wiadomości?

– Tak. Pani siostra, Dee, dzwoniła z lotniska. Powiedziała, że żałuje, że nie mogła spotkać się z panią wczoraj. Chciała przeprosić za sobotnią awanturę. Była też ciekawa pani opinii na temat niejakiego Alexandra Wrighta. Poznała go na przyjęciu, pani już wtedy nie było. Twierdzi, że jest niezwykle atrakcyjny – dodała Janet, wręczając Susan świstek papieru.

– Wszystko zapisałam.

Susan pomyślała o mężczyźnie, który słyszał przypadkiem, jak ojciec prosi ją, by mówiła do niego po imieniu. Po czterdziestce, jakieś sześć stóp wzrostu, włosy koloru piasku i czarujący uśmiech. Podeszedł do niej, gdy ojciec ją opuścił, ruszając na powitanie kolejnych gości.

– Nie przejmuj się. To zapewne pomysł Binky – powiedział ze zrozumieniem. – Napijmy się szampana i wyjdźmy na dwór.

To był jeden z tych wspaniałych wczesnojesiennych wieczorów. Stali na tarasie, od niechcienia pociągając szampana z wysmukłych kieliszków. Wypielęgnowany trawnik i dopieszczony w każdym calu ogród stanowiły idealne tło dla posiadłości imitującej zamek obronny, którą ojciec zbudował dla Binky.

Susan spytała Aleksa Wrighta, skąd zna jej ojca.

– Poznałem go dopiero dzisiaj – wyjaśnił. – Ale Binky jest moją starą znajomą. – Potem zapytał Susan o jej pracę i uniósł brwi w podziwieniu, gdy dowiedział się, że jest psychologiem klinicznym.

– Nie jestem aż tak mało inteligentny – dodał pośpiesznie. – Po prostu słysząc słowa „psycholog kliniczny”, widzę przed oczyma osobę starszą i bardzo na serio, . tymczasem ty jesteś młodą i wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Trudno mi uwierzyć, że masz taki zawód.

Tego wieczoru była w obcisłej ciemnozielonej sukni z krepy i dobranym do niej jasnozielonym szalu – tę kreację kupiła ostatnio na obowiązkowe przyjęcie u ojca.

– Zwykle w niedzielne popołudnie zadowolam się džinsami i rozciągniętym swetrem – powiedziała. – Ale wtedy nie wyglądam tak dobrze.

Wkrótce potem, starając się zejść z oczu ojcu emablującemu Binky, a jednocześnie nie wpaść na Dee, Susan opuściła przyjęcie. Zdążyła jednak jeszcze wysłuchać informacji wygłoszonej szeptem przez jedną ze znajomych, z której wynikało, że Alex Wright jest synem zmarłego Alexandra Wrighta, legendarnego filantropa.

– Biblioteka Wrightów. Muzeum Sztuki Wrightów, Centrum Teatralne Wrightów. To naprawdę gruba ryba! – oznajmiła kobieta zaaferowanym tonem.

Susan spoglądała na wiadomość zostawioną przez siostrę. To prawda, jest bardzo atrakcyjny, pomyślała. Hmm...

Corey Marcus, jej dwunastoletni pacjent, pomyślnie przebrnął przez testy. Ale w trakcie rozmowy Susan przypomniała sobie po raz tysięczny, że w psychologii najważniejszy jest nie intelekt, lecz uczucia. Rodzice chłopca rozwiedli się, gdy miał dwa lata, ale nadal mieszkali niedaleko siebie, utrzymywali przyjacielskie kontakty, a chłopiec czuł się swobodnie w obu domach. Teraz jego matce zaproponowano pracę w San Francisco i ten wygodny układ został poważnie zagrożony. Corey z trudem panował nad łzami, mówiąc:

– Wiem, że zależy jej na tej pracy, ale jeśli tam pojedziemy, przestanę widywać tatę tak często jak dotąd.

Rozum chłopca nakazywał mu cieszyć się z szansy, którą dostała matka, i z tego, jakie ta szansa ma znaczenie dla jej kariery. Jednak w głębi serca Corey miał nadzieję, że matka będzie wolała zrezygnować z pracy niż rozdzielać go z ojcem.

– A twoim zdaniem, co powinna zrobić? – spytała Susan. Pomyślał chwilę i odparł:

– Chyba mama powinna wziąć tę pracę. To nie fair, żeby musiała z niej zrezygnować.

To naprawdę dobre dziecko, uznała Susan. Teraz powinna skoncentrować się na tym, aby pomóc chłopcu zyskać pozytywne nastawienie do zmian, które pociągnie za sobą przeprowadzka.

Esther Foster, sześćdziesięcioletnia kobieta tuż przed emeryturą, która przyszła o drugiej, miała bladą i ściągniętą twarz.

– Dwa tygodnie do przyjęcia pożegnającego, czyli „pakuj swoje manatki, Essy” – Widać było, że jest załamana tą perspektywą. – Doktor Chandler, poświęciłam tej pracy całe swoje życie – powiedziała. – Ostatnio wpadłam przypadkiem na mężczyznę, którego mogłam niegdyś poślubić. Odniósł sukces – on i jego żona są bardzo szczęśliwi.

– Chce pani powiedzieć, że żałuje, że za niego nie wyszła? – spytała ostrożnie Susan.

– No pewnie, że żałuję!

Susan spojrzała prosto w oczy Esther Foster. Po chwili w kącikach ust kobiety pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Był wtedy głupi jak but i, prawdę mówiąc, niewiele się zmienił, doktor Chandler – dodała Esther. – Ale przynajmniej nie byłabym sama.

– Może ustalmy, co pani ma na myśli, mówiąc: „sama” – zaproponowała Susan.

Esther Foster wyszła za piętnaście trzecia, mijając w drzwiach Janet, która przyniosła kubeczek z rosółem i paczkę krakersów.

W chwilę później Janet poinformowała Susan, że w recepcji czekają na nią matka Reginy Clausen i jej prawnik, Douglas Layton.

– Zaprowadź ich do sali konferencyjnej – poleciła Susan. – Zaraz tam

przyjdę.

Jane Clausen wyglądała prawie tak samo jak wtedy, gdy Susan natknęła się na nią w biurze prokuratora okręgowego. Była ubrana w nienagannie skrojony czarny kostium, który musiał kosztować fortunę; siwe włosy tworzyły idealne uczesanie. Wokół niej roztaczała się niewidzialna mgiełka rezerwy, która, podobnie jak wąskie dłonie i rasowe kostki u nóg, znamionowała doskonale pochodzenie.

Adwokat, który jeszcze przed południem zachowywał się nieuprzejmie, teraz nabrał pokory.

– Doktor Chandler, mam nadzieję, że nie przeszkadzamy. Pani Clausen chciała pokazać pani coś ważnego, a poza tym byłaby bardzo zobowiązana, gdyby mogła spotkać się z kobietą, która dzwoniła dziś rano w trakcie pani audycji.

Susan powstrzymała się od uśmiechu, widząc, jak na mocno opalonej twarzy mężczyzny pojawia się zdradziecki rumieniec. Zauważyła, że ciemnoblond włosy prawnika przetykają pasemka rozjaśnione słońcem; mimo eleganckiego garnituru i krawata Laytonowi udawało się wyglądać na kogoś, kto spędza sporo czasu na świeżym powietrzu.

Pewnie żeglujecie, pomyślała.

Rzuciła okiem na zegarek. Za dziesięć trzecia – a więc najwyższy czas przejść do sedna sprawy. Ignorując Laytona, zwróciła się bezpośrednio do matki Reginy:

– Pani Clausen, nie mam żadnej pewności, że kobieta, która dzwoniła podczas programu, rzeczywiście się pojawi. Obawiam się, że gdy dowie się o pani obecności, ucieknie spod drzwi. Dlatego lepiej będzie, jeśli zostanie pani w tym pomieszczeniu. Ja spotkam się z Karen w moim

biurze i dopiero gdy się dowiem, co ma nam do powiedzenia, spróbuję namówić ją na spotkanie z panią. Ale sama pani rozumie – jeśli się nie zgodzi, nie mogę pozwolić pani ingerować w jej prywatność.

Jane Clausen otworzyła torebkę i wyjęła z niej turkusowy pierścionek.

– Moja córka miała ten pierścionek w swojej kajucie na „Gabrielle”. Znalazłam go w jej rzeczach, które mi odesłano. Proszę, niech pani go pokaże Karen. Jeśli ona dostała taki sam... muszę z nią porozmawiać. Oczywiście proszę zaznaczyć, że nie chcę znać jej prawdziwego nazwiska, a jedynie wszystko, co wie na temat mężczyzny, którego poznała na statku.

Wręczyła pierścionek Susan.

– Proszę spojrzeć na napis – wtrącił Layton.

Susan zmrużyła oczy i przyjrzała się uważnie drobnym literkom. Po chwili podeszła do okna, podniosła pierścionek do światła i obracała go w palcach, próbując odcyfrować inskrypcję.

Westchnęła i odwróciła się do kobiety, która stała, patrząc na nią wyczekująco.

– Proszę usiąść, pani Clausen. Moja sekretarka przyniesie państwu kawę albo herbatę. Teraz pozostaje nam już tylko modlić się, aby Karen przyszła.

– Obawiam się, że muszę już iść – wtrącił szybko Layton. – Pani Clausen, bardzo mi przykro, ale nie mogłem odwołać umówionego spotkania.

– Rozumiem, Douglas. – W głosie kobiety słychać było nieznaczny, ale wyraźnie ostry ton. – Samochód zaczeka na mnie przed budynkiem. Dam sobie radę.

Jego twarz rozjaśniła się.

– W takim razie opuszczam panie. – Skinął głową na pożegnanie.

Susan obserwowała z narastającym niepokojem, jak długa wskazówka zegara powoli przesuwa się po tarczy – pięć po, dziesięć... Kwadrans wkrótce przeistoczył się w pół godziny. Za piętnaście czwarta wróciła do sali konferencyjnej. Twarz Jane Clausen przybrała barwę popiołu. Susan uświadomiła sobie, że maluje się na niej prawdziwy ból.

– Jeśli herbata jest nadal aktualna, doktor Chandler, chyba się jednak napiję – powiedziała pani Clausen. Tylko nieznaczne drżenie głosu zdradzało, jak bardzo jest rozczarowana.

O czwartej po południu Carolyn Wells zmierzała ulicą Osiemdziesiątą Pierwszą w kierunku poczty. Pod pachą niosła szarą kopertę zaadresowaną na nazwisko Susan Chandler. Niezdecydowanie i wątpliwości ustąpiły miejsca stanowczemu przekonaniu, że powinna jak najszybciej pozbyć się pierścionka i fotografii mężczyzny, którego znała jako Owena Adamsa. Jednak ochota na spotkanie z Susan Chandler przeszła jej bezpowrotnie po rozmowie, którą odbyła o pół do drugiej ze swoim mężem, Justinem.

– Kochanie, nie uwierzysz – powiedział przez telefon rozbawionym tonem. – Barbara, nasza recepcjonistka, słuchała dzisiaj rano radia i akurat nadawali jakiś program, chyba „Spytaj doktor Susan” czy coś takiego. Nieważne, w każdym razie jedną z rozmówczyń była jakaś Karen. Miała głos bardzo podobny do ciebie i opowiadała coś o jakimś facecie, którego poznała na statku dwa lata temu. Czyżbyś zapomniała mi o czymś powiedzieć? Nagle żartobliwy ton zniknął. – Carolyn, muszę znać prawdę. Czy powinienem coś wiedzieć na ten temat?

Carolyn poczuła, że jej dłonie pokrywa warstewka zimnego potu. Słyszała w jego głosie pytanie, podejrzenie, ton znamionujący narastający gniew. Wyśmiała go, zapewniając, że nie ma czasu, aby słuchać radia w środku dnia. Ale znając skłonności Justina do nieuzasadnionej, niemal obsesyjnej zazdrości, obawiała się, że mąż nie da się zwieść tak łatwo. Teraz chciała jedynie, aby pierścionek i zdjęcie na zawsze zniknęły z jej życia.

Na ulicach było, nawet jak na tę porę dnia, wyjątkowo tłoczno. Patrząc

na zdesperowanych niedoszłych pasażerów, próbujących dopaść jakiejś wolnej taksówki, przypomniała sobie, że złapanie taksówki między czwartą a piątą jest prawie niemożliwe.

Na Park Avenue stała przed przejściem dla pieszych, patrząc bezsilnie na sznur samochodów, które nie zważając na czerwone światło, nieprzerwanie jechały ulicą, by zniknąć za rogiem. Przecież piesi mają na pasach pierwszeństwo, pomyślała. I co z tego?

Tuż przed nią z piskiem opon skręcała furgonetka. Carolyn instynktownie próbowała się cofnąć, odsunąć od krawężnika, ale nie było gdzie. Ktoś stanął tuż za nią, blokując drogę odwrotu. Nagle poczuła, jak jakaś dłoń wyszarpuje jej spod pachy kopertę, a druga popycha w plecy. Carolyn zachwiała się na krawędzi chodnika. W półobrocie zdołała dojrzeć znajomą twarz, wyszeptała: „nie” i runęła do przodu, prosto pod koła furgonetki.

Czekał na nią przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet Susan Chandler. W miarę upływu czasu, gdy stawało się jasne, że nie przyjdzie, przebiegł całą gamę uczuć – od ulgi do irytacji. Ulgi, bo jednak stchórzyła, a gniewu, bo stracił niepotrzebnie mnóstwo czasu i teraz będzie musiał szukać jej od nowa.

Szczerliwie pamiętał nazwisko Carolyn i wiedział, gdzie ona mieszka, więc gdy nie pojawiła się w gabinecie Susan Chandler, zadzwonił do niej do domu, a gdy podniosła słuchawkę, rozłączył się. Instykt, który przez tyle lat ratował go z opresji, podpowiadał mu teraz, że chociaż zrezygnowała z dzisiejszego spotkania, nadal może być niebezpieczna.

Poszedł do Metropolitan Museum of Art i przysiadł na schodach budynku w pobliżu grupki studentów i turystów, którzy kręcili się tutaj, nawet gdy muzeum było zamknięte. Stąd miał doskonały widok na budynek, w którym znajdowało się jej mieszkanie.

O czwartej jego cierpliwość została wynagrodzona. Zobaczył, jak portier przytrzymuje ciężkie drzwi, a ona wychodzi szybkim krokiem na ulicę z małą szarą kopertą pod pachą.

Do jego sukcesu przyczyniła się wyjątkowo przyjemna pogoda i tłumy przechodniów na chodnikach. Mógł iść tuż za nią, a nawet odczytać część adresu na kopercie, wypisanego drukowanymi literami: DR SU...

Domyślił się, że w kopercie znajduje się pierścionek i fotografia, o których mówiła w audycji. Wiedział, że musi ją powstrzymać, zanim dotrze na pocztę. Okazja sama się nadarzyła na rogu Park Avenue i

Osiemdziesiątej Pierwszej, gdzie sfrustrowani kierowcy uparcie blokowali przejście dla pieszych.

Gdy ją popchnął, Carolyn zdążyła się odwrócić i ich oczy spotkały się. Znała go jako Owena Adamsa, angielskiego biznesmena. Na statku miał doklejone wąsy i kasztanową perukę, nosił okulary i barwne szkła kontaktowe. A mimo to był pewien, że tuż przed upadkiem zauważył w jej oczach błysk rozpoznania.

Z satysfakcją przypominał sobie krzyki i piski przechodniów, którzy widzieli, jak jej ciało znika pod kołami furgonetki. Bez trudu zdołał wysliznąć się ze spanikowanego tłumu z kopertą ukrytą pod płaszczem.

Mimo że był bardzo ciekaw, co się w niej znajduje, powstrzymał się od natychmiastowego rozdarcia koperty. Dopiero gdy dotarł do swojego biura, otworzył ją, wcześniej przekręciwszy klucz w drzwiach.

Pierścionek i zdjęcie były włożone do plastikowej torebki. Nie załączyła żadnego listu czy kartki z informacją. Uważnie przyjrzał się zdjęciu. Pamiętał dokładnie miejsce, w którym zostało zrobione – na statku, w salonie, gdzie odbywało się przyjęcie wydane przez kapitana na cześć pasażerów, którzy dołączyli do wycieczki w Hajfie. Rzecz jasna, wykręcił się od tradycyjnego zdjęcia z kapitanem, ale najwyraźniej nie był wystarczająco ostrożny. Podchodząc swoją ofiarę, popełnił błąd, trzymając się zbyt blisko Carolyn, i w rezultacie znalazł się w zasięgu obiektywu. Pamiętał, że od początku wyczuwał wokół niej aurę smutku, która była niezbędna do zrealizowania jego planu. Jej przygnębienie było tak wyraźnie wyczuwalne, że od razu wiedział, iż to ona będzie następną ofiarą.

Bacznym wzrokiem badał fotografię. Chociaż był ustawiony profilem,

miał zupełnie inny kolor włosów i wyraźnie widoczne wąsy, wprawne oko mogło go pod tym kamuflażem rozpoznać.

Na zdjęciu stał sztywno wyprostowany; także prawy kciuk, który zwykł odruchowo zakładać za krawędź kieszeni, mógł go zdemaskować. Uważny obserwator dostrzegłby także charakterystyczną pozycję, jaką przybrał – prawa stopa lekko wysunięta do przodu; pozostałość po starej kontuzji.

Wrzucił zdjęcie do niszcarki dokumentów i z zadowoleniem przyglądał się, jak fotografia zmienia się w niemożliwe do rozpoznania paski papieru. Pierścioneł wsunął na palec. Bardzo go lubił – przyglądał mu się przez chwilę, po czym z westchnieniem wyjął chusteczkę i zaczął go polerować do czysta.

Niedługo kolejna kobieta włoży ten pierścioneł na palec.

Uśmiechnął się na myśl o kolejnej, ostatniej ofierze.

Kwadrans po czwartej Justin Wells wrócił do biura i próbował zabrać się z powrotem do pracy. Charakterystycznym gestem przeciągnął dłonią po ciemnych włosach, odłożył pióro, odsunął krzesło i wstał. Mimo że był słusznej postury, wysunął się zza stołu kreślarskiego zadziwiająco płynnym ruchem, z wprawą, która dwadzieścia pięć lat temu pomogła mu osiągnąć niebywale sukcesy w futbolu amerykańskim.

Nie poradzi sobie. Został wybrany do zaprojektowania nowego holu. drapacza chmur i nie powinien myśleć o niczym innym. Naturalnie dzisiaj nie był w stanie się skupić na pracy.

Tchórzliwy lew. Tak właśnie nazywał siebie w myślach. Przerażony. Zawsze pełen obaw. Każde nowe zlecenie zaczynał z dręczącym przekonaniem, że tym razem nawali. Ćwierć wieku temu podobne uczucia towarzyszyły mu przed każdym meczem. Teraz, gdy był współwłaścicielem firmy budowlanej Benner, Pierce and Wells, nadal gnębiły go te same wątpliwości.

Carolyn. Był pewien, że któregoś dnia odejdzie na zawsze. Wścieknie się, gdy odkryje, co robię, tłumaczył sobie, przebierając nerwowo palcami, które niestrudzenie zmierzały w kierunku telefonu. Zdobył numer tej stacji radiowej. Nigdy się nie dowie, pocieszał się. Po prostu poproszę o taśmę z nagraniem porannej audycji „Spytaj doktor Susan”. Powiem, że to ulubiony program mojej matki, a dzisiaj z powodu wizyty u dentysty nie mogła go wysłuchać.

Tak, tylko czy recepcjonistka miała rację, czy to Carolyn dzwoniła w

trakcie programu, opowiadając o swoim romansie z jakimś mężczyzną na statku?

Justin wrócił pamięcią do chwil sprzed dwóch lat, kiedy to po okropnej awanturze Carolyn pod wpływem nagłego impulsu wykupiła rejs z Bombaju do Portugalii na statku odbywającym wycieczkę dookoła świata. Powiedziała mu wtedy, że po powrocie ma zamiar wnieść sprawę rozwodową. Twierdziła, że nadal zależy jej na nim, ale nie może znieść jego zazdrości i ciągłych pytań o to, gdzie i z kim była.

Zadzwońłem tuż przed wypłynięciem statku do portu w Atenach, wspominał. Powiedziałem jej, że pójdę do terapeuty i zrobię wszystko, co możliwe, jeśli tylko wróci do domu i spróbuje wraz ze mną naprawić nasze małżeństwo. A jak widać, miałem się o co obawiać, pomyślał. Najwyraźniej ledwo odeszła ode mnie, już sobie kogoś znalazła.

Ale może Barbara się myliła, rozważał. Może to nie Carolyn dzwoniła? Przecież recepcjonistka widziała Carolyn zaledwie kilka razy. Ale z drugiej strony, głos Carolyn jest łatwy do rozpoznania – wyraźna modulacja, cień angielskiego akcentu, pamiątka po wakacjach spędzanych w dzieciństwie w Anglii.

Pokręcił bezradnie głową.

– Muszę wiedzieć – wyszeptał.

Wykręcił numer stacji radiowej i po kilku minutach wysłuchiwanie ciągnących się bez końca instrukcji: „Wciśnij jedynekę, aby uzyskać informację o planach dyżurów; wciśnij dwójkę, aby połączyć się z informacją; wciśnij trójkę, jeśli chcesz rozmawiać z kierownictwem, wciśnij czwórkę... piątkę... poczekaj na zgłoszenie operatora” – w końcu połączono go z biurem Jeda Geany’ego, producenta audycji „Spytaj doktor

Susan”.

Zdawał sobie sprawę, że jego nieporadne wyjaśnienie, jakoby pragnął zdobyć dla matki nagranie ulubionej audycji, brzmi mało wiarygodnie. Na pytanie, czy chce nagranie całego programu, odparł bezmyślnie:

– Nie, nie, tylko telefony słuchaczy – po czym zaczął płatać się w zeznaniach, dodając pośpiesznie: – To znaczy, moja mama lubi je najbardziej, ale proszę przegrać mi całą audycję.

Jakby tego nie było dość, do telefonu podszedł sam Jed Geany, aby osobiście przekazać mu, jak bardzo cieszy się, że słuchacze tak się interesują jego programem. A potem spytał o nazwisko i adres.

Justin Wells miał już dość tej rozmowy, a ponadto czuł lekkie wyrzuty sumienia, toteż uległe podał swoje nazwisko i adres biurowy.

Ledwo odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. Dzwoniono ze szpitala Lennox Hill z informacją, że jego żona została poważnie ranna w wypadku samochodowym.

Kiedy o szóstej wieczorem Susan zatrzymała się przed biurkiem Neddy, zobaczyła, że ta właśnie zamyka biurko i szykuje się do wyjścia.

– Dostyc ma dzień swego utrapienia – oznajmiła Nedda grobowym głosem. – Napijesz się wina?

– Czemu nie? – Susan przeszła korytarzem do mikroskopijnej kuchenki i otworzyła lodówkę, w której chłodziła się butelka pinot grigio. Sprawdzając etykietę, przypomniała sobie pewne dawne wydarzenie.

Miała wtedy pięć lat i przyszła z rodzicami do sklepu monopolowego. Jej ojciec wybrał z półki butelkę wina.

– Może być to, kochanie? – spytał, podając butelkę matce. Mama sprawdziła etykietę i zaśmiała się z pobłażaniem.

– Charley, nauczyłeś się! Wspaniały wybór.

Mama miała rację, pomyślała Susan, przypomniawszy sobie o sobotniej depresji matki. Nauczyła tatę wszystkich zasad dobrego wychowania: poczynając od stosownego ubioru, a na właściwym wyborze sztucców na przyjęciach kończąc. Przekonała go do odejścia ze sklepu dziadka i życia na własną rękę. Pomogła mu osiągnąć sukces, zyskać wiarę w siebie, a potem on odebrał jej to wszystko.

Wzdychając ciężko, otworzyła butelkę, napelniła dwa kieliszki winem, wysypała na talerzyk kilka precli i wróciła do gabinetu Neddy.

– Czas na małe przyjęcie – oznajmiła. – Zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteśmy w Le Cirque.

Nedda spojrzała na nią poważnie.

– Co prawda, to ty jesteś psychologiem, ale jeśli chcesz znać opinię amatora, to muszę powiedzieć, że wyglądasz na załamana.

Susan skinęła głową.

– Chyba masz rację. Nadal męczy mnie weekendowa wizyta u rodziców, a i dzisiaj nie poszło najlepiej. – Opowiedziała Neddzie o napastliwym telefonie od Douglasa Laytona, o dziwnej rozmowie z osobą, która kazała nazywać siebie Karen, oraz o niespodziewanej wizycie Jane Clausen. – Zostawiła mi ten pierścionek. Powiedziała, że powinnam go zatrzymać na wypadek, gdyby Karen jednak zdecydowała się przyjść. Odniosłam wrażenie, że Jane Clausen nie czuje się dobrze.

– Jak myślisz – czy Karen odezwie się jeszcze? Susan pokręciła głową.

– Po prostu nie wiem.

– Jestem zdziwiona, że Doug Layton zadzwonił do ciebie. Gdy z nim rozmawiałam, nie wydawał się zły z powodu tego programu.

– Cóż, widocznie zmienił zdanie – odparta Susan. – Przyszedł do mojego gabinetu z panią Clausen, ale nie posiedział długo. Powiedział, że śpieszy się na jakieś spotkanie.

– Na jego miejscu wolałabym zostać – oświadczyła sucho Nedda. – Przypadkiem wiem, że w zeszłym roku Jane uczyniła go zarządcą funduszu powierniczego Clausenów. Ciekawe, cóż takiego ważnego miał do załatwienia, że zostawił ją u ciebie samą? Zwłaszcza że wiedział, iż Jane ma szansę spotkać się z osobą, która być może potrafi opisać mężczyznę, odpowiedzialnego prawdopodobnie za zniknięcie, a może i śmierć jej córki.

Nieco zaniedbany apartament Donalda Richardsa przy Central Park West pełnił zarówno funkcję mieszkania, jak i gabinetu. Do pomieszczeń, w których przyjmował pacjentów, prowadziło osobne wejście z korytarza. Pięć pozostałych pokoi, w których mieszkał, miało typowo męski charakter – wyraźnie widać było, że od dawna brakuje tu kobiecej ręki. Cztery lata temu żona Donalda, Kathy, która pracowała jako modelka, zginęła podczas sesji zdjęciowej w Catskills.

Nie było go przy niej, gdy to się zdarzyło, a z pewnością i tak nie mógłby nic zrobić, a mimo to zawsze obwiniał się za jej śmierć. Nigdy nie pogodził się z tą stratą.

Kajak, w którym pozowała Kathy, obrócił się do góry dnem. Łódź z fotografem i jego asystentami cumowała dwadzieścia stóp dalej. Ciężka suknia z początku wieku, którą Kathy miała na sobie, pociągnęła ją na dno błyskawicznie, zanim ktokolwiek zdołał do niej dopłynąć.

Nigdy nie znaleziono jej ciała. „Nawet latem woda jest naprawdę lodowata, a jezioro bardzo głębokie” – powiedziano mu.

Przed dwoma laty spakował ostatnie zdjęcia żony, które nadal trzymał w sypialni, mając nadzieję, że w ten sposób ostatecznie zamknie tę część swojego życia.

Ale oczywiście niczego to nie zmieniło i ciągle tkwiło w nim poczucie nie dokończonych spraw. I on, i rodzice Kathy zyskaliby spokój, gdyby spoczęła na cmentarzu koło innych zmarłych członków rodziny – dziadków i brata, którego nigdy nie poznała.

Często śnił o niej. Czasami widział ją we śnie: leżała w lodowatej wodzie, uwięziona pod jedną z podwodnych skał – wieczna Śpiąca Królowna. Innym razem sen się zmieniał. Jej twarz rozmywała się, a na jej miejscu pojawiały się inne. Wszystkie szeptały: „To twoja wina”.

Na obwolucie „Znikających kobiet” nie było ani słowa o Kathy, a tym bardziej o tym, co ją spotkało. Pod jego zdjęciem zamieszczono krótką notkę biograficzną, która mówiła, że doktor Donald Richards od urodzenia mieszkał na Manhattanie, ukończył Yale, naukę kontynuował w Harvardzie, gdzie uzyskał stopień doktora medycyny i zrobił doktorat z psychologii klinicznej, a następnie zaliczył kurs kryminologii na Uniwersytecie Nowojorskim.

Po zakończeniu programu „Spytaj doktor Susan” pojechał prosto do domu. Tam czekała na niego Rena, z pochodzenia Jamajka, która zaczęła prowadzić mu dom wkrótce po śmierci Kathy. Zatrudnił ją z polecenia jej siostry, która była gospodynią matki Donalda w domu w Tuxedo Park.

Don był święcie przekonany, że każdorazowo, gdy Rena jedzie z wizytą do Tuxedo Park, matka wyciąga z niej wszelkie informacje na temat jego życia osobistego. Jasno dawała mu do zrozumienia, że – jej zdaniem – powinien częściej wychodzić z domu.

Podczas lunchu Don myślał o Karen, kobiecie, która dzwoniła w trakcie audycji. Susan Chandler otwarcie odrzuciła jego propozycję porozmawiania na temat tego, co kobieta mogła ewentualnie wyjawić, zakładając oczywiście, że w ogóle stawi się na spotkanie. Uśmiechnął się na wspomnienie nie ukrywanej wrogości i upor, które pojawiły się wtedy w pociemniałych oczach Susan.

Susan Chandler jest bardzo atrakcyjną i interesującą kobietą.

Postanowił, że zadzwoni do niej i umówi się z nią na kolację. Miał nadzieję, że w nieco intymniejszej atmosferze będzie bardziej otwarta i zechce porozmawiać o tej sprawie.

Przypadek był naprawdę intrygujący. Regina Clausen zniknęła trzy lata temu. Kobieta, która przedstawiła się jako Karen, twierdziła, że wdała się w wakacyjny romans zaledwie dwa lata temu. Susan Chandler z pewnością wyciągnie słuszne wnioski z tego zbiegu okoliczności. Jeśli obie kobiety zostały uwiedzione przez tego samego mężczyznę, być może nadal prowadzi on swoje mordercze polowanie.

Susan pakuje się w gniazdo szerszeni, uznał Donald. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

Dee Chandler Harriman siedziała w samolocie lecącym do Kalifornii, pociągając z kieliszka perriera. Zsunęła z nóg sandały i odchyliła się na siedzeniu, tak że jej włosy w kolorze miodu swobodnie opadły na ramiona. Była przyzwyczajona do zaciekawionych, pełnych uwielbienia spojrzeń, ale starała się unikać wzroku mężczyzny siedzącego po drugiej stronie przejścia, który już dwukrotnie próbował wciągnąć ją do rozmowy.

Jedyną biżuterią, jaką nosiła, była zwykła złota obrączka i wąski, również złoty naszyjnik. Prążkowany kostium od znanego projektanta, który miała dziś na sobie, stanowił przykład eleganckiej prostoty. Miejsce koło niej było wolne, z czego była bardzo zadowolona.

Przyjechała do Nowego Jorku w piątek po południu. Zatrzymała się w apartamencie w Essex House. W tym samym budynku mieściła się założona przez nią agencja modelek Belle Aire. Tegoż popołudnia spotkała się z dwiema modelkami, które miała nadzieję zatrudnić. Spotkania przebiegły pomyślnie i cały dzień można było uznać za udany.

Szkoda, że tego samego nie mogła powiedzieć o sobocie, kiedy to pojechała odwiedzić matkę. Widok matki ciągle cierpiącej po zdradzie i odejściu ojca doprowadził ją do łez.

Nie powinnam się tak zachować wobec Susan, pomyślała. To ona była cały czas przy mamie i wzięła na swoje barki stres związany z separacją i rozwodem. No, ale ona ma przynajmniej doświadczenie. A ja – trzydzieści siedem lat i z trudem zdaną maturę. Z drugiej strony, od kiedy skończyłam siedemnaście lat, interesowało mnie tylko bycie modelką – nie miałam

czasu na nic innego. Powinni byli zmusić mnie do nauki w college'u. Dwie rozsądne rzeczy, które zrobiłam, to wyjście za Jacka i zainwestowanie oszczędności w agencję.

Niestety, znowu przypomniała sobie, jak źle potraktowała Susan, wymawiając jej, że nie ma pojęcia, jak to jest, gdy straci się męża.

Szkoda, że minęłyśmy się wczoraj u taty, pomyślała, ale dobrze, że dzisiaj do niej zadzwoniłam. Nie kłamałam, mówiąc, że ten Alex Wright jest cudowny.

Na twarzy Dee pojawił się uśmiech na myśl o przystojnym mężczyźnie o ciepłych, pełnych inteligencji oczach – atrakcyjnym, ujmującym, z poczuciem humoru i dobrym pochodzeniem. Alex spytał ją, czy Susan spotyka się z kimś.

Na jego prośbę Dee dała mu numer do gabinetu Susan. Nie mogła Aleksowi odmówić, ale nie chciała podawać domowego numeru siostry.

Dee pokręciła przecząco głową, gdy stewardesa zaproponowała jej kolejny kieliszek perriera. Uczucie pustki, które pojawiło się podczas wizyty u matki, a pogłębiło na widok ojca świętującego u boku drugiej żony, najwyraźniej nie zamierzało ustąpić.

Brakowało jej małżeństwa. Chciała znowu „mieszkać w Nowym Jorku. To tam Susan przedstawiła jej Jacka, zawodowego fotografa. Wkrótce po ślubie przenieśli się do Los Angeles.

Spędzili razem pięć lat, i wtedy, dwa lata temu, Jack namówił ją na weekend na nartach.

Dee poczuła, jak oczy pieką ją od wzbierających łez. Mam dosyć samotności, pomyślała ze złością. Gwałtownym ruchem sięgnęła po dużą torbę podróżną, pogrzebała w niej i wyciągnęła to, czego szukała: folder

reklamujący dwutygodniowy rejs przez Kanał Panamski.

Dlaczego nie? – zadała sobie w duchu pytanie. Od dwóch lat nie miałam prawdziwych wakacji. W biurze podróży powiedziano jej, że są jeszcze wolne miejsca na najbliższy rejs. Wczoraj ojciec gorąco namawiał ją do wyjazdu. „Weź pierwszą klasę, kochanie. Ja płacę” – powiedział.

Statek odpływał z Kostaryki w przyszłym tygodniu. Dee podjęła decyzję. Będzie na pokładzie.

Pamela Hastings nie miała nic przeciwko samotnym wieczorom, pod warunkiem że nie zdarzały się zbyt często. Jej mąż George wyjechał w sprawach służbowych do Kalifornii, a córka, Amanda, mieszkała w pobliżu college'u Wellesley, gdzie w tym roku rozpoczęła naukę. Wyjechała zaledwie miesiąc temu i chociaż Pamela bardzo za nią tęskniła, nie mogła nie przyznać, że odpowiada jej obecny stan rzeczy – kojąca cisza w mieszkaniu, telefon spokojnie stojący na stoliku, nie rozrywany ciągłymi dzwonkami, i wręcz nienaturalny porządek w sypialni Amandy.

Zeszły tydzień na uniwersytecie Columbia był wypełniony obowiązkami. Oprócz zwykłych wykładów doszły jeszcze spotkania z personelem i konferencje ze studentami. Pamela zawsze z niecierpliwością wyczekiwała piątkowego wieczoru, wytęsknionego i zasłużonego odpoczynku, a spotkanie „bandy czterech” – jak nazwały się kiedyś – u Carolyn było bardzo przyjemne, aczkolwiek pozostawiło uczucie psychicznego kaca.

Gwałtowne dotknięcie zła, którego doświadczyła, biorąc do ręki turkusowy pierścionek, nadal ją przerażało. Od tamtej pory nie rozmawiała z Carolyn, ale wchodząc do swojego mieszkania przy zbiegu Madison i Sześćdziesiątej Siódmej zanotowała sobie w pamięci, aby zadzwonić do przyjaciółki i namówić ją do pozbycia się tego pierścionka. Spojrzała na zegarek. Była za dziesięć piąta. Przeszła prosto do sypialni, gdzie zrzuciła oficjalny ciemnoniebieski kostium i włożyła wygodne szerokie spodnie i jedną z koszul męża. Następnie nalała sobie szkockiej i usiadła przed

telewizorem. Szykuje się spokojny wieczór, pomyślała. Pięc po piątej jej uwagę przykuł obraz pokazywany w wiadomościach. Na ekranie widać było odgrodzony taśmą fragment Park Avenue i Osiemdziesiątej Pierwszej, zapchany samochodami. Wokół tłoczyły się tłumy gapiów, wpatrzonych w zachlapaną krwią furgonetkę z wgniecioną maską.

Z niedowierzaniem słuchała relacji przybyłego na miejsce reportera: „Widzieliśmy skrzyżowanie przy Park Avenue i Osiemdziesiątej Pierwszej, gdzie kilka minut temu zdarzył się tragiczny wypadek. Czterdziestoletnia Carolyn Wells, najwyraźniej popchnięta przypadkowo przez tłum przechodniów, wpadła prosto pod koła nadjeżdżającej z dużą szybkością furgonetki. Ofiara została przewieziona do szpitala Lennox Hill z rozległymi obrażeniami wewnętrznymi i ranami czaszki. Nasz reporter rozmawiał z naocznymi świadkami wypadku”.

Pamela zerwała się na równe nogi i wsłuchiwała się w nieskładne informacje gapiów: „... biedna kobieta”; „To okropne, jak ci ludzie jeżdżą!”; „Powinni coś zrobić z tymi korkami”. Przez szmer oburzonych głosów przedarł się krzyk starszej kobiety: „Czyście oślepli? Przecież ona została popchnięta!”

Pamela z napięciem wbiła wzrok w reportera, który przedzierał się z mikrofonem w kierunku kobiety. „Czy może pani podać swoje nazwisko?” – zapytał.

„Hilda Johnson. Stałam tuż koło niej. Pod pachą trzymała kopertę. Jakiś facet wyrwał jej ją, a potem tę kobietę popchnął”.

„To bzdura; sama upadła” – wtrącił ktoś z tłumu.

Głos ponownie zabrał dziennikarz: „Usłyszeliście zeznanie naocznego świadka, pani Hildy Johnson, która twierdzi, że jakiś mężczyzna wepchnął

Carolyn Wells pod koła furgonetki, najpierw wyciągnąwszy jej spod pachy jakąś kopertę. Chociaż zeznanie pani Johnson różni się od tego, co widzieli inni, policja przyznała, że weźmie je pod uwagę. Jeśli jej opowieść potwierdzi się, będzie to oznaczało, że to, co na pierwszy rzut oka wyglądało na nieszczęśliwy wypadek, jest w rzeczywistości morderstwem”.

Pamela rzuciła się do drzwi, chwytając po drodze płaszcz. Kwadrans później siedziała przy Justinie Wellsie w poczekalni oddziału intensywnej terapii szpitala Lennox Hill.

– Jest na sali operacyjnej – poinformował ją Justin bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

Pamela wsunęła rękę w jego dłoń.

Trzy godziny później z sali wyszedł lekarz.

– Jeszcze za wcześnie, żeby oceniać, czy z tego wyjdzie. Kiedy przywieziono ją na izbę przyjęć, sprawiała wrażenie, jakby kogoś wołała. Mamrotała coś jakby „Win”. Czy coś wam to mówi?

Pamela poczuła, że Justin wbija w jej dłoń paznokcie, i usłyszała, jak udręczonym głosem mówi:

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

R15

Osiemdziesięcioletnia Hilda Johnson z lubością opowiadała wszystkim, że mieszka przy Wschodniej Osiemdziesiątej od urodzenia i nadal pamięta, jak z browaru Jacoba Rupperta na Siedemdziesiątej Dziewiątej unosił się charakterystyczny zapach drożdży i słodu.

– Wtedy ludzie myśleli, że przeprowadzając się z Manhattanu do południowego Bronksu, awansują społecznie – wspominała ze śmiechem.

– Cóż, wszystko się zmienia. Wtedy południowy Bronx był elegancką dzielnicą podmiejską, a tu stały tylko czynszówki. A teraz tutaj jest Francja-elegancja, Bronx natomiast to slumsy. Takie właśnie jest życie.

Tę opowieść jej znajomi i ludzie, których spotykała w parku, słyszeli wielokrotnie, ale to wcale nie zniechęcało Hildy. Niska, zasuszona staruszka o przeredzonych białych włosach i czujnie patrzących błękitnych oczach po prostu lubiła mówić.

W pogodne dni Hilda chętnie chodziła do Central Parku i siadywała na zalanej słońcem ławeczce. Urodzona obserwatorka, była niezwykle spostrzegawcza i nic nie mogło jej powstrzymać od czynienia głośnych uwag i komentowania rzeczy, które według niej wymagały naprawy.

Powszechnie znano jej zwyczaj sztorcowania opiekunek, które z zapalem oddawały się plotkowaniu, pozostawiając swych podopiecznych własnemu losowi. Regularnie pouczała dzieci, które beztrąsko rzucały na trawniki papierki po cukierkach. Często też zaczepiała policjantów, aby poinformować ich o podejrzanym, jej zdaniem, mężczyźnie, który wałęsają się bez celu alejkami, tudzież wystają koło placu zabaw.

Mundurowi niezmiennie wysłuchiwali jej z uprzejmą rezygnacją, uważnie zapisując informacje i ostrzeżenia Hildy i obiecując zainteresować się podejrzanymi.

Niestrudzony zmysł obserwacji nie zawiódł jej i dzisiaj. Parę minut po czwartej wracała z parku do domu i stojąc w zbitej grupce przechodniów czekających na zmianę świateł, znalazła się tuż za elegancko ubraną kobietą, trzymającą pod pachą szarą kopertę. Uwagę Hildy zwrócił nagły ruch – jakiś mężczyzna sięgnął jedną ręką po kopertę, a drugą popchnął jej właścicielkę prosto pod furgonetkę. Hilda otworzyła usta do krzyku, ale

było już za późno. Zdążyła jednak przyjrzeć się uważnie twarzy mężczyzny, zanim ten zniknął w tłumie.

W szalonym zamieszaniu, jakie nastąpiło w chwilę potem, Hilda została odepchnięta do tyłu wraz z tłumem, który karnie odsunął się od krawężnika na polecenie policjanta w cywilu, wołającego: „Policja! Proszę się cofnąć!”

Widok bezwładnego, zakrwawionego ciała w eleganckim kostiumie, poznaczonym śladami opon, sprawił, że Hildzie zrobiło się słabo, ale zebrała się w sobie na tyle, że zdołała porozmawiać z reporterem. Potem się odwróciła i przepychając się przez tłum gapiów, ruszyła w kierunku domu. Po wejściu do mieszkania zrobiła sobie herbatę i nadal trzęsąc się z powodu szoku, zaczęła ją popijać małymi łykami.

– Biedna dziewczyna – mamrotała, wspominając ciągle od nowa szczegóły wypadku.

W końcu poczuła się na tyle silna, że postanowiła zadzwonić na posterunek policji. Odebrał oficer, z którym w przeszłości miała okazję wielokrotnie rozmawiać – zwykle donosiła mu o żebrakach zaczepiających przechodniów przy Trzeciej Alei. Wysłuchał uważnie jej opowieści. ‘

– Hildo, wiem, co sobie myślisz, ale mylisz się – zaczął łagodnym tonem. – Rozmawialiśmy już z wieloma innymi ludźmi, którzy byli tam, gdy zdarzył się wypadek. Nie zdarzyło się nic podejrzanego – po prostu kiedy światło zmieniło się na zielone, napór tłumu był tak silny, że pani Wells straciła równowagę, i tyle.

– To napór czyjejś dłoni na jej plecy sprawił, że upadła – warknęła Hilda. – Ukradł jej szarą kopertę. Jestem wykończona i zamierzam położyć się do łóżka, ale zostawię informację dla kapitana Shei. Będę na

niego czekała w komisariacie jutro z samego rana. Punkt ósma.

Z oburzeniem trzasnęła słuchawką. Była dopiero piąta po południu, ale uznała, że musi się położyć. W piersi czuła znajomy ucisk, który złagodzić mogła tylko tabletką nitrogliceryny pod językiem i odpoczynek w łóżku.

W kilka minut później leżała już w ciepłej nocnej koszuli i z głową wspartą wysoko na poduszkach, co ułatwiało oddychanie. Przenikliwy ból w skroniach, towarzyszący zawsze zażyciu tabletki, powoli mijał, a ucisk w piersi nie był już tak silny.

Hilda westchnęła z ulgą. Teraz porządnie się wyśpi, rano zaś pójdzie na komendę i opowie o wszystkim kapitanowi Shei, nie omieszkając złożyć skargi na tego idiotę, sierżanta. Potem przekona go, żeby przydzielono jej rysownika policyjnego, który naszkicuje wedle wskazówek portret pamięciowy tamtego mężczyzny. Co za łajdak, pomyślała, przypominając sobie jego twarz. I to z tych najgorszych – dobrze ubrany, elegancki, sprawiający wrażenie człowieka, któremu można zaufać. Ciekawe, co z tą biedną dziewczyną? – zastanawiała się. Może powiedzą coś w wiadomościach.

Sięgnęła po pilota i włączyła telewizor, akurat w chwili, gdy na ekranie pokazywano jej twarz i przytaczano wypowiedź, jakoby widziała mężczyznę, który wepchnął Carolyn Wells pod samochód.

Hildą szarpały mieszane uczucia. Z jednej strony czuła prawdziwy dreszczyk emocji – była Sławna. Ale komentarz lektora wydał jej się denerwujący; facet jasno dawał do zrozumienia, że starsza pani się myli. No, a potem ten dumny sierżant potraktował ją jak dziecko. Tuż przed zaśnięciem pomyślała, że jutro da im popalić. Już oni zobaczą. Sen przyszedł w momencie, gdy zaczęła odmawiać zdrowaśki za śmiertelnie

ranną Carolyn Wells.

Po wyjściu od Neddy Susan skierowała się do swojego mieszkania przy Downing Street. Zapadał zmrok; przenikliwy chłód poranka, złagodzony chwilowo ciepłym blaskiem popołudniowego słońca, teraz powrócił.

Susan wcisnęła dłonie do głębokich kieszeni luźnego zakietu i przyśpieszyła kroku. Pogoda taka jak dziś przy wodziła jej na myśl dawno zapomniane zdanie z „Małych kobietek”. Jedna z sióstr – nie była pewna, czy Beth, czy Amy – twierdziła, że listopad jest paskudnym miesiącem, a Jo przyznała jej rację, dodając, że właśnie dlatego urodziła się w listopadzie.

Tak jak ja, pomyślała Susan. Urodziłam się dwudziestego czwartego listopada. Nazywali mnie dziękczynnym dzieckiem. No jasne. A teraz jestem trzydziestojednoletnim dzieckiem. Święto Dziękczynienia i urodziny powinny być radosnymi dniami, pomyślała. Przynajmniej w tym roku nie będę musiała lawirować pomiędzy dwoma przyjęciami, niczym szpieg przekradający się z jednego obozu wroga do drugiego. Dzięki Bogu, w tym roku tata i Binky wyjeżdżają.

Rzecz jasna, moje problemy rodzinne to małe piwo w porównaniu z tym, co przeżywa Jane Clausen, pomyślała, dochodząc do rogu ulicy i skręcając na zachód. Chociaż w końcu stało się jasne, że Karen nie stawi się na spotkanie, pani Clausen nie kwapiła się do wyjścia z gabinetu.

Popijając herbatę, przekonywała Susan, że powinna zatrzymać ten turkusowy pierścionek. Powiedziała: „Jeśli coś mi się stanie, powinnaś go mieć. Może ta kobieta jeszcze raz skontaktuje się z4obą”.

Użyła wyrażenia „jeśli”, ale tak naprawdę miała na myśli „kiedy”, doszła do wniosku Susan. Właśnie dotarła do swojej kamienicy, trzypiętrowego budynku z piaskowca, i zaczęła wspinać się po schodach na ostatnie piętro. Mieszkanie, które zajmowała, było bardzo przestronne: był tu duży salon, ogromna kuchnia, obszerna sypialnia i mały gabinet. Na umeblowanie składały się sprzęty, które dostała od matki, kiedy przeprowadzała się z domu rodzinnego do luksusowego apartamentu. Susan lubiła swoje mieszkanie – było przyjazne i miłe, czuła się w nim niczym w objęciach bliskiej osoby.

Dziś było podobnie, a prawdę mówiąc, panowała tu nawet wyjątkowo kojąca atmosfera, stwierdziła, włączając gazowe ogrzewanie w kominku.

Wieczór w zaciszu domowym, zdecydowała, zdejmując kostium i przebierając się w starą aksamitną podomkę. Zabrała się do przyrządzania makaronu i sałatki, po czym nalała kieliszek chianti.

Kiedy płukała warzywa, zadzwonił telefon.

– Susan? Co tam słyszać u mojej dziewczynki? Dzwonił jej ojciec.

– W porządku, tato – odrzekła Susan i zaraz poprawiła się: – To znaczy, w porządku, Charles.

– Bardzo żałowaliśmy z Binky, że wczoraj opuściłaś nas tak wcześnie. Przyjęcie było bombowe, prawda?

Susan uniosła wysoko brwi.

– Prawdziwa bomba.

– Racja.

Och, tato, pomyślała Susan, gdybyś tylko wiedział, jak sztucznie się zachowujesz.

– Susan, na pewno zauważyłaś Aleksa Wrighta. Rozmawiał z nami o

tobie. Z tego, co wiem, wychwalał cię przed Dee pod niebiosa. Twierdził, że nie chciała mu dać twojego domowego numeru telefonu.

– Numer do gabinetu jest w książce telefonicznej. Jeśli chce, może zadzwonić. Wyglądał na miłego faceta.

– To więcej niż miły facet. Wrightowie są na samym czubku drabiny. To fascynujące, nieprawdaż?

Tata nadal pada na kolana przed ważniakami, stwierdziła Susan. Dobrze, że przynajmniej nie próbuje wmawiać sobie, że sam urodził się ze srebrną łyżeczką w zębach. Szkoda tylko, że musi udawać kogoś, kim nie jest.

– Oddaję słuchawkę Binky. Ma ci coś ważnego do powiedzenia. W uszach Susan zadźwięczało wibrujące „halo” macochy. Zanim zdołała odpowiedzieć, Binky zaczęła pisać z zachwytu na temat Alexandra Wrighta.

– Znam go od lat, kochanie – szczebiotała. – Kawaler. Właśnie z takim mężczyzną tata i ja chcielibyśmy widzieć ciebie lub Dee. Poznałaś go, więc wiesz, że jest atrakcyjny. To członek zarządu Fundacji Wrightów. Co roku wydają worki pieniędzy na cele charytatywne. Najbardziej hojny i szczodry facet, jakiego znam. Nie taki jak te samoluby, które myślą tylko o sobie.

I kto to mówi, pomyślała Susan.

– Kochanie, zrobiłam coś i mam nadzieję, że nie będziesz się gniewać. Alex dzwonił kilka minut temu i po prostu wydusił ze mnie twój numer domowy. Jestem pewna, że zadzwoni do ciebie jeszcze dzisiaj. Powiedział, że nie chce przeszkadzać ci w gabinecie. – Urwała, po czym dodała błagalnie: – Proszę, powiedz, że dobrze zrobiłam.

– Wolalabym, żebyś nie podawała wszystkim mojego prywatnego numeru, Binky – odparła szorstko Susan, po czym dodała łagodniejszym tonem: – Ale w tej sytuacji to już nie ma znaczenia. Proszę tylko, żebyś na przyszłość tego nie robiła.

Ucięła krótko paplaninę Binky i odłożyła słuchawkę z uczuciem, że wieczór stracił nagle urok.

Niecałe dziesięć minut później zadzwonił Alexander Wright.

– Wyciągnąłem od Binky twój numer. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Tak, wiem – odparła sucho Susan. – Charles i Binky właśnie dzwonili.

– Dlaczego w rozmowie ze mną mówisz o swoim ojcu „Charles”? Mnie nie razi słowo „tata”.

Susan zaśmiała się.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy. I masz rację.

– Udało mi się dzisiaj wysłuchać twojego programu i ogromnie mi się podobał.

Susan ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że jest zadowolona z tej opinii.

– Jakies sześć czy siedem lat temu podczas kolacji w Future Industries siedziałem przy jednym stoliku z Reginą Clausen. Wtedy wydała mi się urocą, bardzo inteligentną osobą. – Zawahał się, po czym dodał przeproszającym tonem: – Wiem, że jest już późno, ale właśnie skończyłem spotkanie z zarządem szpitala St. Clare i jestem piekielnie głodny. Jeśli nie jadłaś jeszcze kolacji i nie masz innych planów, może zjadłabyś ze mną? Wiem, że mieszkasz przy Downing Street. II Mulino

jest w pobliżu.

Susan spojrzała na leżące w zlewku warzywa. Z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że się zgadza i mówi, iż będzie gotowa za dwadzieścia minut.

Przebierając się w kaszmirowy sweter i luźne spodnie, przekonywała samą siebie, że idzie na tę naprędce zaaranżowaną randkę tylko dlatego, że ma nadzieję usłyszeć od Aleksa Wrighta coś interesującego na temat Reginy Clausen.

Po namyśle Douglas Layton doszedł do wniosku, że Jane Clausen nie potraktuje ze zrozumieniem jego ucieczki z gabinetu doktor Susan Chandler.

Będąc prawnikiem i doradcą inwestycyjnym, przez ostatnie cztery lata pracował w firmie, która prowadziła interesy rodziny Clausenów. Swoją karierę rozpoczął od stanowiska asystenta Huberta Marcha, starszego partnera, który znał Clausenów i przyjaźnił się z nimi od ponad półwiecza. March miał wkrótce przejść na emeryturę, Layton był niejako pod ręką, a Jane Clausen otwarcie popierała jego dążenia do zajęcia miejsca starego przyjaciela.

Objęcie stanowiska dyrektora funduszu powierniczego Clausenów po tak krótkim okresie pracy w firmie było z pewnością niebywałym sukcesem. Douglas Layton daleki był od niedoceniania tego zaszczytu, aczkolwiek wiązało się z nim wiele poważnych obowiązków.

Niestety, dzisiaj nie miał wyboru, tłumaczył sobie, wchodząc do windy budynku przy Park Avenue 10 i uśmiechając się uprzejmie do młodej pary, która właśnie kupiła apartament na dziewiątym piętrze.

On nadal wynajmował mieszkanie, chociaż przy swoich dochodach mógł bez problemów pozwolić sobie na jego kupno. Znajomym wyjaśniał: „Widzicie, mam trzydzieści sześć lat. Wierzcie lub nie, ale chcę kiedyś znaleźć odpowiednią dziewczynę i ustatkować się. I wtedy dopiero kupię własne mieszkanie. A na razie – tłumaczył – chociaż nie znam właściciela tego domu, podoba mi się jego gust. To prawda, że mógłbym kupić sobie

mieszkanie, ale z pewnością nie takie wygodne jak to”.

Znajomym trudno było nie zgodzić się z tą opinią. Nie mając uciążliwych obowiązków właściciela, Layton mieszkał w apartamencie z biblioteką wykładaną mahoniową boazerią, salonem z cudownym widokiem na Nowy Jork – z jednej strony Empire State Building, z drugiej East River, wypieszczoną kuchnią, olbrzymią sypialnią i dwiema doskonale wyposażonymi łazienkami. Także umeblowanie nie pozostawiało nic do życzenia: głębokie, miękkie sofy, wygodne krzesła, mnóstwo miejsca w szufladach i szafach, eleganckie reprodukcje na ścianach i dywany do złudzenia przypominające perskie kobierce.

Teraz, otwierając drzwi apartamentu, Douglas Layton zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie mógł cieszyć się tym luksusem.

Rzucił okiem na zegarek – było piętnaście po piątej. Podszedł do telefonu i wykręcił numer Jane Clausen. Nie podnosiła słuchawki, ale nie było w tym nic niezwykłego. Jeśli wieczorem jadła kolację poza domem, zwykle właśnie o tej porze uciniała sobie krótką drzemkę, a w takim wypadku telefon był wyłączony. Plotka rozpowszechniana w kancelarii głosiła, że zwykła stawiać telefon na poduszce, tuż koło siebie, na wypadek, gdyby w środku nocy zadzwoniła jej córka.

Spróbuje zadzwonić jeszcze raz za jakąś godzinę. A na razie jest jeszcze ktoś, z kim nie rozmawiał od dobrego tygodnia. Jego twarz nagle złagodniała; ponownie podniósł słuchawkę i zadzwonił.

Jego matka przeprowadziła się do Lancaster w Pensylwanii dziesięć lat temu. Od dawna samotna – ojciec porzucił ją wiele lat temu – lepiej czuła się w rodzinnych stronach, w otoczeniu rozlicznych krewnych.

Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

– Och, Doug, masz szczęście, że mnie złapałeś. Za chwilę wychodzę.

– Do szpitala? Schroniska dla bezdomnych? Telefonu zaufania? – spytał z przekąsem.

– Nic z tych rzeczy, mądralo. Idę do kina z Billem.

Bill był jej długoletnim przyjacielem, sympatycznym starym kawalerem, którego Doug bardzo lubił, ale uważał za śmiertelnie nudnego.

– Nie pozwól mu na zbyt wiele.

– Doug, wiesz dobrze, że on taki nie jest – powiedziała matka z wyrzutem.

– Masz rację, wiem. Stary, dobry, przyzwoity aż do bólu Bill. A więc, mamó, nie zatrzymuję cię. Chciałem tylko wiedzieć, co słyhać.

– Doug, czy wszystko w porządku? Chyba masz jakieś zmartwienie.

Zganił się w duchu. Nie powinien był dzwonić do matki w takim nastroju. Zawsze potrafiła go przejrzeć.

– Wszystko w porządku – powtórzył.

– Doug, martwię się o ciebie. Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem, mamó. Wszystko w porządku. Kocham cię.

Szybko zakończył rozmowę, po czym poszedł do barku w bibliotece i nalał sobie solidną porcję szkockiej. Pijąc ją, czuł, jak serce głośno wali mu w piersi. Nie czas teraz na atak paniki. Dlaczego właśnie jemu, zwykle tak odpowiedzialnemu za swoje czyny i panującemu nad emocjami, musiało przytrafiać się to tak często?

Dobrze wiedział dlaczego.

Nerwowym ruchem włączył telewizor i zaczął oglądać wieczorne wiadomości.

O siódmej jeszcze raz wykręcił numer Jane Clausen.

Tym razem zastał ją, ale z suchego tonu jej głosu jasno wynikało, że czekają go kłopoty.

O ósmej wyszedł z domu.

Alexander Wright zauważył swój samochód zaparkowany przy Pięćdziesiątej Drugiej Zachodniej przed szpitalem St. Clare i wskoczył na tylne siedzenie, zanim kierowca zdążył otworzyć przed nim drzwi limuzyny.

– Długie spotkanie, proszę pana – zagadnął Jim Curley, włączając silnik. – Dokąd teraz? – Zwracał się do Aleksa z poufałością typową dla wieloletniego pracownika – od trzydziestu lat pracował u Wrightów.

– Jim, z przyjemnością komunikuję ci, że pojedziemy na Downing Street po pewną bardzo atrakcyjną damę i zabierzemy ją na kolację do II Mulino – odparł Wright.

Downing, zastanowił się Curley. To jakaś nowa. Nigdy tam nie jeździliśmy. Curley czerpał niekłamaną przyjemność z faktu, że jego pracodawca, będąc przystojnym i bogatym kawalerem przed czterdziestką, jest jedną z najlepszych partii w mieście. Aczkolwiek Curley strzegł prywatności Alexandra Wrighta niczym mityczny Cerber, uwielbiał napomykać od niechcienia znajomym, że na przykład taka Sandra Cooper, gwiazda musicali, jest równie miła, jak piękna, lub że wspaniale rozmawiało mu się z Lily Lockin, znaną aktorką komediową.

Ale tymi dyskretnymi plotkami dzielił się dopiero wtedy, gdy w kolumnach towarzyskich gazet pojawiła się notatka, że ta czy inna kobieta jadła kolację lub wybrała się na przyjęcie z Alekssem Wrightem, sportowcem i filantropem.

Gdy samochód przebijał się wolno przez korki na Dziewiątej Alei,

Curley spojrział kilka razy w lusterko wsteczne i z niejaką konsternacją stwierdził, że jego szef ma zamknięte oczy, a głowa opadła mu do tyłu na skórzany zagłówek.

Ten, kto powiedział, że rozdawanie pieniędzy jest równie męczące, jak ich zarabianie, z pewnością miał rację, uznał Curley ze współczuciem. Wiedział doskonale, że będąc zarządcą Fundacji Alexandra i Virginii Wrightów, Alex Wright nieustannie spotyka się z setkami organizacji i prywatnych osób, proszących o wsparcie. A mimo to do każdego odnosi się z równą uprzejmością. I jest hojny, czasami aż za bardzo.

Zupełnie inny niż ojciec, zauważył Curley. Staruszek był paskudny. Matka Aleksa zresztą nie była lepsza. Czepiała się wszystkiego. A przede wszystkim małego Aleksa. Aż dziw, że wyrósł z niego taki dobry człowiek. Mam nadzieję, że ta dama z Downing Street jest interesująca, pomyślał Curley. Alex zasługuje na chwilę odprężenia. Stanowczo bierze na się zbyt dużo obowiązków.

Jak zwykle w II Mulino było bardzo tłoczno. Zapach dobrego jedzenia mieszał się z wesołymi rozmowami gości. Bar był obleżony przez oczekujących na stoliki. Wielki wiklinowy kosz, wypełniony po brzegi warzywami i stojący u wejścia do sali restauracyjnej, nadawał nutę swojskości prostemu wystrojowi restauracji.

Kierownik lokalu zaprowadził ich do stolika. Przechodząc przez salę, Alex Wright kilkakrotnie zatrzymywał się, aby powitać znajomych i przyjaciół.

Ignorując listę win, zamówił butelkę chianti i drugą – chardonnay. Widząc konsternację Susan, zaśmiał się.

– Nie musimy wypić wszystkiego, ale chcę, żebyś spróbowała obu. Będę z tobą szczery: nie jadłem dzisiaj lunchu i umieram z głodu. Czy możemy wobec tego od razu zajrzeć do menu?

Susan wybrała sałatkę i łososia. Alex zdecydował się na ostrygi, makaron i cielęcinę.

– Makaron jest a conto nie zjedzonego lunchu – wyjaśnił.

Gdy kelner nalewał wino, Susan pokręciła głową z niedowierzaniem i powiedziała:

– Nie mogę uwierzyć, że zaledwie godzinę temu siedziałam w domu w starej podomce i zamierzałam spędzić samotny wieczór.

– Nie musiałaś się przebierać – zauważył Alex.

– O, wtedy na pewno zrobiłabym na tobie duże wrażenie – odparła, prowokując go do śmiechu.

Przyjrzała mu się uważnie, gdy machał do kogoś siedzącego w drugim końcu sali. Miał na sobie tradycyjnie skrojony, ciemnoszary garnitur w wąskie, jaśniejsze prążki, śnieżnobiałą koszulę i szaro-czerwony krawat w paseczki. Był bardzo przystojny i naprawdę robił wrażenie.

W końcu zrozumiała, co ją w nim tak intryguje. Niezaprzeczalnie Alex Wright miał autorytet i pozycję przynależne klasie, z której się wywodził, ale było coś jeszcze. Chyba jest trochę nieśmiały, zauważyła. Tak, to właśnie to. I to też jej się podobało.

– Cieszę się, że wybrałem się wczoraj na to przyjęcie – powiedział cicho. – Chciałem zostać w domu i zająć się krzyżówką w „Timesie”, ale ponieważ przyjąłem zaproszenie, nie chciałem być niegrzeczny – dodał z uśmiechem. – Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo doceniam to, że zgodziłaś się zjeść ze mną kolację bez uprzedzenia.

– Powiedziałeś, że znasz Binky od dawna.

– Tak, ale tylko na tyle, na ile zna się ludzi, których widuje się na przyjęciach. Małych przyjęciach – nie znoszę tych ogromnych spędów. Chyba nie obrażę cię, jeśli powiem, że Binky jest głupiutką lalką.

– Bardzo przekonującą lalką – poprawiła Susan z goryczą. – A jak ci się podoba disneyowski zamek, który zbudował dla niej tata?

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Ta sytuacja nadal jest dla ciebie trudna i bolesna, prawda? – zapytał.

– Przepraszam, to ty jesteś psychologiem.

Jeśli nie chcesz odpowiedzieć, zadaj pytanie, przypomniała sobie Susan.

– Poznałeś mojego ojca i siostrę – zmieniła temat. – A ty? Masz jakieś rodzeństwo?

Odparł, że jest jedynakiem, owocem późnego małżeństwa.

– Mój ojciec był zbyt zajęty zbijaniem fortuny, żeby myśleć o małżeństwie przed czterdziestką – wyjaśnił. – A potem był zbyt zajęty pomnażaniem swojego bogactwa, żeby zajmować się mną czy moją matką. Ale musisz wiedzieć, że w porównaniu z niedolą ludzką, z którą stykam się każdego dnia w Fundacji, uważam się za bardzo szczęśliwego.

– W porównaniu z resztą świata pewnie jesteś – zgodziła się Susan. – Ja zresztą też.

Nazwisko Reginy Clausen pojawiło się dopiero przy kawie. Alex Wright nie potrafił powiedzieć na jej temat wiele więcej niż przez telefon. Na obiedzie w Future Industries siedział z nią przy jednym stoliku. Odniósł wrażenie, że Regina jest bardzo miłą i inteligentną kobietą. Trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak ona mógł po prostu

rozpłynąć się w powietrzu.

– Czy wiążesz jakieś nadzieje z tą rozmową? – zapytał. – Wiesz, z kobietą, która najwyraźniej była mocno zdenerwowana?

Już wcześniej zdecydowała, że nie powie nikomu o pierścionku Reginy Clausen, który otrzymała od jej matki. Ten pierścionek z napisem: „Jesteś tylko moja”, taki sam, jaki rzekomo miała Karen, był jedynym prawdopodobnym ogniwem łączącym zniknięcie Reginy i wakacyjny, przerwany flirt Karen. Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

– Nie wiem – odrzekła. – Jest jeszcze za wcześnie.

– A jak to się stało, że wzięłaś się do prowadzenia audycji radiowej? – spytał.

Opowiedziała mu o tym, jak Nedda przedstawiła ją poprzedniej autorce programu. Wspomniała również o pracy u Neddy w czasie studiów, o rzuceniu posady w biurze prokuratora okręgowego i powrocie na uczelnię.

Wreszcie przy brandy zakończyła:

– Zwykle to ja słucham innych. Dość już o mnie. Chyba i tak za dużo mówiłam.

Wright poprosił o rachunek.

– O wiele za mało – sprostował.

Koniec końców, wieczór był całkiem udany, stwierdziła Susan, wślizgując się do łóżka.

Była za dziesięć jedenasta, do domu wróciła dwadzieścia minut temu. Gdy próbowała pożegnać się przy drzwiach wejściowych do budynku, Alex powiedział:

– Mój ojciec zawsze uczył mnie, że należy dbać o bezpieczeństwo swojej towarzyszki. Odprowadzę cię do mieszkania, a potem sobie pójdę –

dodał, wchodząc z nią po schodach i czekając, aż otworzy drzwi apartamentu.

Zwykła staroświecka kurtuazja, uznała Susan, gasząc światło.

Była zmęczona, ale cały czas wracała myślą do wydarzeń minionego dnia, przeżywała od nowa to, co się wydarzyło, i to, czego nie udało się zrobić. Pomyślała o Donaldzie Richardsie, autorze „Znikających kobiet”. Był interesującym rozmówcą. Dał jasno do zrozumienia, że chętnie wzięłby udział w spotkaniu z Karen.

Z niejakim zawstydzeniem Susan przypomniała sobie szorstką odmowę, jakiej mu udzieliła, gdy zasugerował, że chciałby wiedzieć, co powie Karen, jeśli dojdzie do tego spotkania.

Czy Karen jeszcze się odezwie? – zastanawiała się. Czy rozsądne będzie wygłoszenie w jutrzejszym programie apelu, aby kobieta skontaktowała się z nią, choćby tylko telefonicznie?

Zapadając w sen, Susan czuła, że podświadomość wysyła jej ostrzegawczy sygnał. Leżała w ciemności z otwartymi oczami, próbując dojść, co takiego włączyło jej wewnętrzny alarm. To musiało być coś, co się zdarzyło dzisiaj, coś, co usłyszała, a na co nie zwróciła uwagi. Ale co to było?

Teraz czuła się zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać. Przewróciła się na drugi bok i ułożyła do snu. Pomyśli o tym jutro; ma przed sobą mnóstwo czasu.

Hilda Johnson obudziła się po pięciu godzinach snu o wpół do jedenastej, wypoczęta i głodna. Usiadła, włożyła szlafrok i stwierdziła, że ma ochotę na filiżankę herbaty i grzanek. Chciała też zobaczyć, czy nie pokażą jej raz jeszcze w wiadomościach o jedenastej.

Obejrzy dziennik, wróci do łóżka i odmówi koronkę w intencji Carolyn Wells, tej biednej kobiety, którą potrąciła furgonetka.

Wiedziała, że kapitan Tom Shea przyjdzie na posterunek punktualnie o ósmej rano. Ona już będzie tam na niego czekała. Zawijając pasek frotowego szlafroka, Hilda starała się utrwalić w pamięci wizerunek mężczyzny, który wepchnął panią Wells pod samochód. Teraz, kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku, pamiętała jego twarz znacznie lepiej, niż wydawało jej się w pierwszej chwili. Wiedziała, że jutro będzie musiała dokładnie opisać jego wygląd policyjnemu rysownikowi.

Siedemdziesiąt lat temu sama miała całkiem spore zdolności plastyczne. Nauczycielka w szkole podstawowej, panna Dunn, bardzo zachęcała Hildę do rozwijania tych umiejętności, twierdziła, że dziewczynka ma prawdziwy talent, zwłaszcza jeśli chodzi o rysowanie portretów. Potem jednak, mając zaledwie trzynaście lat, Hilda musiała iść do pracy i nie miała już czasu na takie rzeczy, co do tej pory wspominała z żalem.

Naturalnie nie zaniechała całkowicie rysowania. Przez te wszystkie lata często siadywała w parku z blokiem i piórem, a rysunki potem oprawiała i dawała w prezencie znajomym. Ostatnio zrezygnowała i z tego. Zostało jej

niewielu przyjaciół, palce zaś powykręcane reumatyzmem nie chciały utrzymać pióra.

Teraz jednak, dopóki dobrze pamięta twarz mężczyzny, może przenieść ją od razu na papier. Na pewno rysunek przyda się, gdy pójdzie rano na policję.

Hilda podeszła do sekretarzyka, który należał jeszcze do jej matki, a teraz stał na honorowym miejscu w malutkim saloniku. Otworzyła opuszczany blat, umieszczony pod mahoniową, przeszkloną szafką, i przysunęła doń krzesło. W szufladzie znalazła papeterię, którą dostała od jednej z przyjaciółek, Edny, na Boże Narodzenie. Arkusze papieru były duże, w kolorze słonecznej żółci, a na górze kartki wydrukowano napis: „Bon mot od Hildy Johnson”.

Edna wyjaśniła jej, że bon mot oznacza w tym wypadku dowcipny liścik, a papier w takim rozmiarze wybrała, wiedząc, że Hildzie będzie się podobał: „To nie to, co te małe karteluszeki, na których z ledwością zmieścisz dwa zdania”.

Kartki były również idealne do sporządzenia szybkiego szkicu, który wspomógłby pamięć Hildy – portretu drania, który ukradł tej biednej kobiecie kopertę, a potem popchnął ją samą. Sztywne, obolałe palce zaczęły powoli rysować, na kartce stopniowo pojawiał się zarys twarzy – nie z profilu, raczej tak, jakby mężczyzna był lekko zwrócony w stronę Hildy. Tak, włosy układały mu się w taki sposób, przypominała sobie. Narysowała ucho – przylegające do głowy, o idealnym kształcie. Miał szeroko rozstawione oczy, które zwężyły się nieprzyjemnie, gdy obserwował Carolyn Wells. Długie rzęsy, mocno zarysowana szczęka.

Kiedy Hilda w końcu odłożyła pióro, była z siebie zadowolona. Nieźle,

pomyślała, całkiem nieźle. Spojrzała na zegarek, do jedenastej brakowało dziesięciu minut. Włączyła telewizor, a potem poszła do kuchni nastawić wodę.

Zapalała właśnie palnik pod czajnikiem, gdy usłyszała dzwonek domofonu. Któż to, na Boga, przychodzi o tej godzinie? – zastanawiała się, idąc do małego przedpokoju i podnosząc słuchawkę.

– Kto tam? – spytała, nie kryjąc irytacji.

– Panno Johnson, przepraszam za najście. – Głos mężczyzny był niski i przyjemnie brzmiący. – Tu detektyw Anders. W areszcie mamy mężczyznę; być może to ten sam, którego widziała pani dzisiaj w chwili wypadku. Muszę pokazać pani jego zdjęcie. Jeśli go pani rozpozna, przymkniemy faceta. Inaczej będziemy musieli go wypuścić.

– Sądziłam, że nikt nie wierzy w moją wersję wydarzeń – odparła sucho Hilda.

– Skoro mamy już podejrzanego, nie chcielibyśmy wypuścić go z rąk. Mogę na chwilę wejść?

– Dobrze.

Hilda wcisnęła przycisk otwierający drzwi wejściowe do budynku, po czym z niekłamaną satysfakcją podeszła do biurka i spojrzała na swój rysunek. Niech no tylko zobaczy go detektyw Anders, pomyślała.

Usłyszała, jak stara winda z łoskotem zatrzymuje się na jej piętrze. Potem rozległ się słaby odgłos kroków.

Poczekwała, aż detektyw Anders zadzwoni, i dopiero wtedy otworzyła drzwi. Musi być bardzo zimno, pomyślała, widząc podniesiony kołnierz płaszcza, kapelusz z szerokim rondem wciśnięty głęboko na czoło i rękawiczki na rękach mężczyzny.

– To zajmie tylko chwilę, panno Johnson – oznajmił mężczyzna. – Nie chcę pani przeszkadzać.

Hilda powiedziała:

– Proszę wejść. Ja też muszę panu coś pokazać. – Ruszyła w kierunku biurka, nie słysząc cichego trzasku zamykanych na klucz drzwi. – Narysowałam portret tego mężczyzny – oznajmiła triumfalnie. – Może porównamy go z pańską fotografią.

– Naturalnie. – Ale zamiast zdjęcia mężczyzna położył na blacie prawo jazdy z fotografią.

Hilda głośno chwyciła oddech.

– Niech pan patrzy! Ta sama twarz! To on ukradł kopertę i popchnął tę kobietę.

Po raz pierwszy spojrzała prosto na detektywa Andersa, który tymczasem zdjął kapelusz i rozpiął płaszcz.

Jej oczy rozwarły się szeroko z przerażenia. Otworzyła usta, ale wydobył się z nich tylko słaby szept: „O nie!” Próbowała się cofnąć, lecz zawadziła o biurko. Jej twarz przybrała trupioblady kolor – Hilda zrozumiała, że jest w pułapce.

Błagalnym gestem uniosła w górę ręce. Bezskutecznie próbowała zasłonić się przed nożem, który mężczyzna wbił jej w pierś.

Odsunął się szybko, aby nie splamiła go tryskająca krew. Patrzył w milczeniu, jak ciało kobiety wiotczeje i pada bezwładnie na wytarty dywan. Oczy Hildy zaczynały już stygnąć w bezruchu, ale zdołała jeszcze wyszeptać: „Bóg... cię... pokarze...”

Gdy zbliżył się, aby zabrać prawo jazdy i rysunek, jej ciało zadrgało gwałtownie, a ręka opadła na jego but. Odsunął nogą dłoń kobiety, ruszył

cicho w kierunku drzwi, otworzył je i szybko podszedł do wyjścia przeciwpożarowego. W chwilę później znalazł się w holu, szybkim ruchem otworzył drzwi wejściowe, rozejrzał się i wyszedł na ulicę, po czym ruszył w stronę domu.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że niewiele brakowało, a wpadłby. Gdyby gliny uwierzyły tej starej gropie i porozmawiały z nią dzisiaj po południu, pewnie narysowałyby im jego portret. Jutro zamieściłyby go wszystkie gazety.

Idąc czuł, że prawa noga ciąży mu coraz bardziej. Zupełnie jakby na stopie nadal spoczywała pulchna dłoń Hildy Johnson. Czy umierając, rzuciła na mnie klątwę? – zastanawiał się. To przypomniało mu o błędzie, który dzisiaj popełnił – błędzie, który Susan Chandler dzięki swemu prokuratorskiemu zmysłowi mogłaby odkryć.

Wiedział, że nie może do tego dopuścić.

Susan spała niespokojnie, dręczona koszmarami. Po obudzeniu przypomniała sobie fragment snu, w którym występowali Jane Clausen, Dee i Jack. Pamiętała, że w pewnym momencie Jane Clausen błagała: „Oddaj mi Reginę”, a z drugiej strony Dee ciągnęła ją za rękę i krzyczała: „Oddaj mi Jacka!”

Cóż, już go miałaś, pomyślała Susan. Wstała z łóżka i przeciągnęła się z nadzieją, że zdoła złagodzić znajomy ucisk w sercu. Dręczyła ją świadomość, że po tylu latach jeden taki sen uwalniał całą lawinę wspomnień. Wspomnień o sobie, dwudziestotrzyletniej studentce prawa, pracującej u Neddy, i Jacku, dwudziestoosmioletnim fotografie, który zaczynał zdobywać sławę. O nich dwojgu, zakochanych w sobie.

Wtedy na scenie pojawiła się Dee. Starsza siostra. Ulubienica fotografów. Wyrafinowana, zabawna, czarująca. Trzech mężczyzn pragnęło ją poślubić, ale ona chciała tylko Jacka.

Susan poszła do łazienki i odkręciła tubkę z pastą do zębów. Mocno je szorowała, jakby chciała w ten sposób zmyć gorzki smak wspomnień i płaczliwych tłumaczeń Dee: „Susan, wybacz mi, lecz to, co zaszło między mną a Jackiem, jest nieodwracalne... tak musiało być”.

I krótkie, zdawkowe słowa Jacka: „Przepraszam, Susan”.

A najgorsze było to, stwierdziła Susan, że nie zrobili nic złego. Kochali się – może nawet za bardzo. Dee nie znosiła zimna. Gdyby nie była taka zakochana i nie lubiła tak bardzo sportu, być może przekonałaby Jacka, żeby nie wyciągał jej na te narciarskie eskapady. Gdyby zmusiła go do

zostania w domu, nie zostałby zmieciony przez zwały śniegu. Może żyłby dzisiaj.

Z drugiej strony, rozważała Susan, odkręcając kurek z gorącą wodą pod prysznicem, gdybym została z Jackiem, na pewno byłabym z nim na tym stoku i też bym zginęła.

Jej matka rozumiała. „Wiem, Susan, że gdyby było odwrotnie, gdybyś ty zainteresowała się kimś, na kim zależało Dee, ustąpiłabyś jej miejsca. Ale nawet jeśli jest to trudne do zaakceptowania, musisz uświadomić sobie, że Dee zawsze była o ciebie zazdrosna”.

Tak, ja usunęłabym się w cień, przyznała Susan, zrzucając szlafrok i wchodząc pod parujący strumień wody.

O wpół do ósmej była już ubrana i jadła śniadanie – jak zwykle składało się ono z soku, kawy i połówki angielskiej bułeczki. Włączyła poranny program „Dzień dobry, Nowy Jorku”, chcąc obejrzeć wiadomości. Ale zanim na ekranie pojawił się spiker, usłyszała dzwonek telefonu.

Dzwoniła matka.

– Chciałam złapać cię, zanim wyjdiesz do pracy.

Susan ściszyła pilotem głos, zadowolona, że matka jest w dobrym humorze.

– Cześć, mamó – powiedziała, dodając w myślach: dzięki ci Boże, że przynajmniej do niej mogę mówić „mamó”, a nie „Emily”.

– Twój wczorajszy program był fascynujący. Czy tamta kobieta pojawiła się w twoim gabinecie?

– Nie. Nie przyszła.

– Nic dziwnego. Wyglądało na to, że jest nieźle wystraszona. Ale, ale –

pomyślałam, że zainteresuje cię fakt, iż poznałam kiedyś Reginę Clausen. Byłam z twoim ojcem na spotkaniu akcjonariuszy; to było jeszcze w czasach P. B. , a więc jakieś cztery lata temu.

P. B. Przed Binky.

– Nie muszę chyba dodawać, że Charley Charles próbował wywrzeć wrażenie na Reginie Clausen, opowiadając o swoich fantastycznych inwestycjach. Oczywiście przypomniałam mu o tym przy podziale majątku, ale naturalnie wyparł się wszystkiego.

Susan zaśmiała się.

– Mamo, zlituj się!

– Przepraszam, Susan. Nie chciałam napomykać o rozwodzie – odrzekła jej matka.

– Jak to nie? Zawsze o tym mówisz.

– Masz rację – przytaknęła z pokorą matka. – Ale naprawdę zadzwoniłam po to, żeby powiedzieć ci o Reginie Clausen. Rozmawialiśmy z nią dosyć długo – wiesz, jakim nudziarzem potrafi być twój ojciec – i opowiedziała nam o planowanym urlopie; miała wybrać się na rejs wycieczkowy. Była tym naprawdę podekscytowana. Wyraziłam nadzieję, że współpasażerowie nie będą nagabywać ją o fachowe porady. Pamiętam, że roześmiała się i odparła, że ma nadzieję odpocząć i zabawić się, a to nie obejmuje rozmów na temat indeksu giełdowego. Mówiła także, że jej ojciec zmarł na zawał krótko po czterdziestce i przed śmiercią żałował, że nigdy nie miał czasu na prawdziwe wakacje.

– To, co mówisz, utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że na statku musiała wplątać się w jakiś romans – rzekła Susan. – Najwyraźniej miała nań nadzieję i w związku z tym była wyjątkowo podatna na męskie uroki.

– Pomyślała o pierścionku, który dała jej Jane Clausen. – Tak, jestem przekonana, że wdała się w cichy romans z jakimś współpasażerem.

– Cóż, to, co powiedziała, z pewnością zasiało paskudne ziarno w głowie twego ojca. Wkrótce potem rozstaliśmy się. Poddał się operacji plastycznej, ufarbował włosy i zaczął się uganiać za Binky. A propos – teraz namawia na rejs Dee. Mówiła ci o tym?

Susan spojrzała na zegarek. Nie chciała przerywać matce, ale powinna już wychodzić do pracy.

– Nie, nie wiedziałam, że Dee wybiera się na wycieczkę. Ale kiedy wczoraj dzwoniła, nie zastała mnie – powiedziała.

W głosie matki pojawiło się zaniepokojenie:

– Susan, martwię się o Dee. Jest załamana i samotna. Nie potrafi wziąć się w garść. Nie jest taka silna jak ty.

– Ty, mamó, też jesteś całkiem silna. Matka zaśmiała się.

– Nie zawsze, ale przynajmniej się staram. Susan, nie pracuj za dużo.

– Masz na myśli: znajdź sobie miłego, wolnego faceta i bądź szczęśliwa, tak?

– Mniej więcej. Czy pojawił się ktoś interesujący? Dee dzwoniła i mówiła, że na przyjęciu u Binky i Charleya spotkałaś kogoś, komu najwyraźniej wpadłaś w oko. Powiedziała, że to bardzo interesujący mężczyzna.

Susan przypomniała sobie Aleksa Wrighta.

– Jest niezły.

– Z tego, co mówiła Dee, „niezły” to mało powiedziane.

– Do widzenia, mamó – ucięła Susan.

Odłożyła słuchawkę, wstawiła filiżankę z kawą do mikrofalówki i z

powrotem włączyła głos w telewizorze. Właśnie jakiś dziennikarz mówił o starszej kobiecie, która została zadźgana nożem w swoim mieszkaniu w Upper East Side. Susan miała już wyłączyć telewizor, kiedy na ekranie odtworzono fragment wczorajszych wiadomości, w którym podano informację, jakoby Hilda Johnson, dzisiejsza ofiara nożownika, dzwoniła na policję, twierdząc, że kobieta, która wpadła wczoraj pod samochód na Park Avenue, została przez kogoś popchnięta.

Susan wpatrywała się w ekran, czując, że jej prokuratorski umysł nie wierzy, iż te dwa wypadki są następstwem zwykłego zbiegu okoliczności. Doświadczenie psychologa natomiast kazało jej zastanawiać się, jaka szalona istota mogłaby dokonać dwóch tak okrutnych morderstw.

Kapitan Tom Shea z dziewiętnastego posterunku naprawdę lubił Hildę Johnson, aczkolwiek przyznawał, że potrafi być bardzo irytująca. Jak często powtarzał swoim ludziom, sęk w tym, że skargi Hildy rzadko bywają bezpodstawne. Choćby taki bezdomny, któremu zarzucała, że wystaje przy placu zabaw w parku – okazało się, że w przeszłości był kilkakrotnie zatrzymywany za molestowanie dzieci. Albo dzieciak, który rozbijał się po okolicy na rowerze – wkrótce przyłapano go na popychaniu starszych przechodniów.

Stojąc teraz w mieszkanku Hildy Johnson i patrząc na bezbronne, kruche ciało staruszki, kapitan Shea czuł gniew i litość. Fotografowie policyjni zakończyli już pracę, podobnie jak koroner. Teraz kapitan mógł już dotknąć ciała.

Ukląkł koło Hildy. Oczy miała szeroko otwarte, a jej twarz zastygła w wyrazie panicznego strachu. Delikatnie ujął martwą rękę i odwrócił dłoń, aby spojrzeć na głębokie nacięcia, dokonane tym samym ostrzem, przed którym próbowała się zasłonić, a które ostatecznie utkwilo w jej sercu.

Zbliżył dłoń do oczu. Na palcach prawej ręki były jakieś ślady. Smugi atramentu.

Shea wstał i zainteresował się sekretarzykiem, notując w pamięci opuszczony blat. Jego babka miała podobny sekretarzyk i nigdy nie podnosiła blatu, tak aby widać było wszystkie przegródki, szufladki, a także bibularz i nigdy nie używany kałamarz z piórem.

Przypomniawszy sobie, że był tu w zeszłym roku z wizytą, gdy Hilda

skręciła kostkę na jakimś wyszczerbionym krawężniku. Wtedy blat był podniesiony. Jestem przekonany, że zawsze go zamykała, pomyślał.

Na blacie zobaczył pudełko z papeterią – najwyraźniej ktoś niedawno jej używał, w pobliżu leżała folia zdarta z opakowania. Uśmiechnął się lekko, czytając napis „Bon mot od Hildy Johnson”. Koło kałamarza leżało staroświeckie pióro, takie, jakiego zwykle używa się do szkicowania. Wziął je do ręki i przyjrzał się śladowi atramentu, który odcisnął się na jego palcu. Następnie policzył kartki w pudełku – jedenaście. Potem sprawdził koperty – było ich dwanaście.

Czy na krótko przed śmiercią Hilda Johnson rysowała coś lub pisała na brakującym arkuszu? – zastanawiał się. A jeśli tak, dlaczego to robiła? Tony Hubbard, który pełnił wczoraj dyżur w centrali i odebrał telefon od Hildy, twierdził, że staruszka powiedziała, że idzie spać, a z samego rana stawi się na komisariacie.

Tom poszedł do sypialni, mijając po drodze fotografów pakujących swój sprzęt i specjalistów od daktyloskopii, którzy zamieniali schludne mieszkanie Hildy w zasypany białym proszkiem chaos.

Hilda rzeczywiście położyła się – co do tego nie było żadnych wątpliwości. Na poduszce nadal widniał odcisk jej głowy. Teraz dochodziła ósma rano. Lekarz sądowy ustalił, że nie żyła od jakichś ośmiu, dziesięciu godzin. Tak więc między dziesiątą wieczór a północą Hilda musiała wstać, włożyć szlafrok, podejść do biurka i napisać coś lub narysować, a potem nastawić wodę w czajniku.

Kiedy rano Hilda, zwykle punktualna, nie pokazała się na posterunku, kapitan Shea próbował skontaktować się z nią telefonicznie. Ponieważ nikt nie podnosił słuchawki, zaniepokoił się i poprosił jednego z oficerów, żeby

zajrzał do staruszki. I dzięki Bogu, inaczej mogła tak leżeć przez wiele dni, zanim ktoś by ją znalazł. Nie było żadnych śladów włamania, co oznaczało, że najprawdopodobniej Hilda sama otworzyła drzwi swojemu zabójcy. Czy czekała na kogoś? Czy taka podejrzliwa i sprytna staruszka jak Hilda została przechytrzona i uwierzyła, że może zaufać swojemu gościowi?

Kapitan wrócił do salonu. Dlaczego w chwili morderstwa stała przy biurku? Czy gdyby podejrzewała, że grozi jej niebezpieczeństwo, nie próbowałaby uciekać?

Czy pokazywała coś swojemu zabójcy, zanim zginęła – coś, co on zabrał ze sobą po jej zamordowaniu?

Dwaj detektywi, którzy mu towarzyszyli, stanęli w służbistej pozie, gdy do nich podszedł.

– Chcę, żebyście przesłuchali wszystkich mieszkańców tego budynku – rzucił kapitan Shea. – Muszę wiedzieć, gdzie każdy z nich spędził dzisiejszą noc i o której wrócił do domu. Szczególnie interesują mnie osoby, które wchodziły lub wychodziły z budynku między dziesiątą wieczór a północą. Chcę się dowiedzieć, czy ktoś wie, że Hilda Johnson pisywała dużo listów. Wracam na komisariat.

Na posterunku pechowy sierżant Hubbard, niedawno jeszcze pokpiwający z telefonu Hildy Johnson, która zaklinała się, że widziała, jak ktoś popchnął Carolyn Wells i ukradł jej kopertę, musiał wysłuchać z pokorą najgorszej awantury, jaką kiedykolwiek mu urządzono.

– Zlekceważyłeś rozmowę, która mogła być niezwykle ważna. Gdybyś potraktował Hildę Johnson z należnym szacunkiem i wysłał kogoś, żeby z nią porozmawiał, pewnie dzisiaj żyłaby jeszcze, a my bylibyśmy

przynajmniej na tropie człowieka, który może okazać się mordercą. Dureń! – Pchnął wściekle palcem Hubbarda w pierś. – Chcę, żebyś przesłuchał wszystkich, którzy byli na miejscu wczorajszego wypadku, i dowiedział się, czy ktoś nie zauważył szarej koperty, którą Carolyn Wells trzymała pod pachą. Zrozumiano?

– Tak, panie kapitanie.

– Chyba nie muszę wyjaśniać, że nie wolno ci sugerować swoim rozmówcom, o co chodzi. Po prostu pytaj, czy Wells nie niosła niczego pod pachą, a jeśli tak – co to było. Zrozumiano?

Drzemał niespokojnie, budząc się kilkakrotnie. Za każdym razem włączał telewizor na lokalny kanał informacyjny i wciąż wysłuchiwał tej samej informacji: Carolyn Wells, kobieta, która wpadła pod furgonetkę na rogu Park Avenue i Osiemdziesiątej Pierwszej, znajduje się w śpiączce; jej stan jest krytyczny.

Wiedział, że jeśli jakimś cudem ona z tego wyjdzie, opowie wszystkim, że została popchnięta przez Owena Adamsa, mężczyznę, którego poznała podczas rejsu.

Nazwisko Owena Adamsa nie doprowadzi ich do niego, tego był pewien. Paszport brytyjski, podobnie jak wszystkie inne, którymi posługiwał się podczas swoich podróży, jest fałszywy. Nie, prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi fakt, że wczoraj Carolyn Wells rozpoznała go, mimo że był bez okularów, sztucznych wąsów i peruki. A to z kolei znaczy, że jeśli kobieta wyzdrowieje, być może pewnego dnia wpadnie na niego gdzieś w mieście. A wtedy z pewnością go rozpozna, tak jak wczoraj.

Nie wolno do tego dopuścić. Carolyn nie może wyzdrowieć.

W żadnym nocnym programie nie podano wiadomości o śmierci Hildy Johnson, co oznacza, że jeszcze jej nie znaleziono. W dzienniku o dziewiątej oznajmiono, że w mieszkaniu w Upper East Side znaleziono zwłoki starszej kobiety, zamordowanej nożem. Z uwagą słuchał dalszych słów spikera: „Jak informowaliśmy wczoraj, Hilda Johnson, ofiara nożownika, dzwoniła na policję, twierdząc, że kobieta, która wpadła pod

samochód przy Park Avenue, została przez kogoś popchnięta”.

Zdenerwowany chwycił pilota i wyłączył telewizor. Policja musiałaby być przeraźliwie głupia, żeby nie rozpatrywać możliwości, iż zabójstwo Hildy Johnson mogło nie być przypadkowe.

Jeżeli powiążą śmierć Hildy Johnson z wypadkiem Carolyn Wells, media rozpętają nagonkę. Być może odkryją nawet, że to Carolyn Wells dzwoniła do programu Susan Chandler i opowiadała o pierścionku z napisem: „Jesteś tylko moja”.

Ludzie będą o tym czytać, rozmawiać, myślał. Możliwe, że ta gnida, ten karzeł z nory z pamiątkami w Greenwich Village zapamiętał pewnego mężczyznę, który kilkakrotnie kupował tam pierścionki z turkusem.

W dzieciństwie słyszał opowieść o pewnej kobiecie, która skrzywdziła wielu ludzi swoimi pomówieniami. Kiedy wyszło to na jaw, postanowiono ją przykładowie ukarać – kazano jej w wietrzny dzień rozpruć poduszkę z pierza, po czym wybierać z ulicy wszystkie rozsypane piórka. Kiedy stwierdziła, że to niemożliwe, powiedziano jej, że równie trudne jest znalezienie wszystkich ludzi, którym naopowiadała kłamstw, i odkręcenie całego zła, które uczyniła.

W swoim czasie ta historia bardzo mu się podobała. Wyobrażał sobie, jak pewna kobieta, której nienawidzi, biega po ulicy, rozpaczliwie próbując pochwycić unoszone wiatrem piórka.

Ale teraz ta opowieść nabrała nowego znaczenia. Scenariusz, który tak starannie opracował, okazał się do niczego.

Carolyn Wells. Hilda Johnson. Susan Chandler. Karzełek ze sklepu.

Hilda Johnson już mu nie zagraża. Ale pozostali nadal są nieuchwytni niczym piórka na wietrze.

Wstawał jeden z tych złotych październikowych poranków, które czasami następują po wyjątkowo mroźnych dniach. Powietrze było rześkie, a ulice lśniły w blasku słońca. Donald Richards postanowił skorzystać z uroków dnia i przejść pieszo dystans dzielący Central Park West od studia radia WOR przy zbiegu Broadwayu i Czterdziestej Pierwszej.

Miał już dziś jednego pacjenta – piętnastoletniego Grega Crane'a, którego złapano na gorącym uczynku, gdy włamywał się do domu sąsiada. W trakcie przesłuchania chłopak przyznał się do obrabowania trzech innych domów w okolicy, w dzielnicy Scarsdale.

Ten dzieciak ma wszystko, myślał Richards, idąc szybkim krokiem ścieżką wzdłuż parku. Najwyraźniej kradnie i niszczy własność innych dla czyste! przyjemności i chęci przeżycia czegoś podniecającego. Wzdrygnął się na myśl, że Crane'a czeka typowy życiorys bezwzględnego przestępcy.

Najwyraźniej wina nie leży po stronie rodziców, dumiał, kiwając głową sąsiadowi, który minął go biegiem. Z tego, co wiedział, Crane'owie byli dobrymi i opiekuńczymi rodzicami.

Jeszcze raz wrócił myślą do porannej sesji. Oczywiście, niektóre dzieciaki, które zaczynają przejawiać zachowania aspołeczne, można zawrócić na właściwą drogę. Ale niektóre są odporne na wszelkie wpływy wychowawcze. Cóż, mam nadzieję, że nie zajęliśmy się tym chłopakiem za późno, podsumował swe rozważania.

Przeskoczył myślą do Susan Chandler. Była prokuratorem w sądzie dla

nioletnich; ciekawe byłoby usłyszeć jej opinię na temat Crane'a. W ogóle warto by poznać jej poglądy na wiele spraw, doszedł do wniosku Richards, okrążając skwer Kolumba.

Przybył do radia dwadzieścia minut przed rozpoczęciem audycji.

Recepcjonistka powiedziała mu, że doktor Chandler jeszcze nie przyszła i jeśli Richards chce, może zaczekać na nią w zielonym pokoju. Idąc korytarzem, natknął się na producenta, Jeda Geany'ego.

Geany skinął mu głową i chciał wyminąć, Richards jednak zagadnął go:

– Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale chciałbym mieć kasetę z nagraniem wczorajszej audycji. Rzecz jasna, zapłacę za nią. A przy okazji, czy mógłby pan nagrać też dla mnie dzisiejszy program?

– Pewnie, prawdę mówiąc, właśnie zabieram się do nagrania taśmy z wczorajszą audycją dla jednego faceta. Zadzwoił wczoraj i powiedział, że chciałby ją dla swojej matki. Proszę pójść ze mną, to dam panu to nagranie.

Richards wszedł za producentem do pokoju realizatora.

– Powiedziałbym, że ten facet czuł się jak idiota, prosząc o nagranie – ciągnął Geany. – Ale twierdził, że jego matka nie opuszcza żadnego programu Susan. – Wziął w rękę uprzednio zaadresowaną kopertę. – Skądś znam to nazwisko. Od wczoraj próbuję sobie przypomnieć, gdzie je słyszałem.

Donald Richards nie powiedział nic, starając się opanować zdumienie, jakie ogarnęło go na widok nazwiska na kopercie.

– Czy może pan jednocześnie przegrać obie kasety?

– Jasne.

Przyglądając się wirującym szpulom, Donald Richards wrócił pamięcią

do jedynej wizyty, jaką złożył mu Justin Wells. To była zwykła sesja psychoterapeutyczna, a Wells więcej nie pojawił się w jego gabinecie.

Richards przypominał sobie, że dzwonił do Wellsa i próbował nakłonić go do podjęcia leczenia – niekoniecznie u niego; tłumaczył, że potrzebuje on pomocy, i to długofalowej.

W końcu, podziękowawszy uprzejmie za przysługę, pośpiesznie wyszedł z pomieszczenia. Z bardzo osobistych przyczyn wolał uniknąć spotkania twarzą w twarz z Justinem Wellsem.

Susan wbiegła do studia za dziesięć dziesiąta i ujrzała wyraz dezaprobaty na twarzy producenta. – Wiem, Jed – rzuciła szybko. – Ale nastąpił pewien kryzys. Miałam telefon od osoby, która znalazła się w poważnych tarapatach. Nie mogłam jej splawić.

Nie dodała, że tym kimś była jej siostra, Dee, która wróciła już do Kalifornii, i wyglądało na to, że wpadła w poważną depresję: „Jestem tu taka samotna – narzekała. – Chcę w przyszłym tygodniu popłynąć w rejs statkiem wycieczkowym. Tata bardzo mnie do tego namawia. Nie sądzisz, że to dobry pomysł? Kto wie? Może nawet spotkam kogoś interesującego?”

A potem, jakby od niechcienia, Dee spytała: „A przy okazji, kontaktowałeś się z Alekssem Wrightem?”

Susan natychmiast uświadomiła sobie, że to jest prawdziwy powód zainteresowania siostry, i zakończyła rozmowę tak szybko, jak się dało.

– To ty będziesz miała kłopoty, Susan, jeśli się spóźnisz – zauważył Geany. – Nie patrz tak na mnie. Ja tu tylko pracuję.

Susan zauważyła współczujące spojrzenie, jakim obdarzył ją Don Richards.

– Mogłeś zacząć program z doktorem Richardsem – powiedziała. – Mówiłam mu wczoraj, że wypadł bardzo naturalnie.

Przez pierwszą część audycji rozmawiali o tym, w jaki sposób kobiety powinny bronić się przed zagrożeniami i unikać potencjalnie niebezpiecznych sytuacji.

– Widzisz – mówił Richards. – Większość kobiet zdaje sobie sprawę, że, na przykład, parkowanie samochodu w ciemnym zaułku w podejrzonej dzielnicy nie jest rozsądne. A jednocześnie te same kobiety zachowują się bardzo beztrosko we własnym domu. W dzisiejszych czasach, bez względu na to, w jak spokojnej dzielnicy mieszkasz, jeśli nie zamykasz drzwi wejściowych na klucz, narażasz się na włamanie, jeśli nie na coś gorszego.

– Czasy się zmieniły – ciągnął. – Pamiętam, że jeszcze moja babcia nigdy nie zamykała drzwi na klucz. A jeśli już tak się zdarzyło, zawsze zostawiała na widocznym miejscu kartkę z informacją: „Klucz na parapecie”. Niestety, tamte dni należą już do przeszłości.

On ma naprawdę świetne podejście do słuchaczy, stwierdziła Susan, wsłuchując się w przyjacielski ton jego głosu. Żadnego moralizowania czy prawienia kazań.

W czasie przerwy na reklamy powiedziała mu:

– Chyba powinnam się pilnować, bo stracę tę pracę. Nie żartuję, jesteś cholernie dobry.

– Cóż, zaczyna mi się to podobać – przyznał. – Widocznie mam zadatki na radiowca. Chociaż muszę przyznać, że kiedy skończę promocję książki, z przyjemnością wrócę do szarej rzeczywistości.

– Założę się, że nie jest wcale taka szara. Sporo podróżujesz, prawda?

– Owszem. Pełnię funkcję biegłego sądowego i często wyjeżdżam.

– Dziesięć sekund, Susan – zasygnalizował producent. Teraz przyszedł czas na rozmowy ze słuchaczami. Pierwszy telefon dotyczył wczorajszego programu:

– Doktor Susan, czy Karen przyszła wczoraj na spotkanie?

– Nie – odparła Susan. – Ale jeśli nas teraz słucha, proszę ją, żeby się ze mną skontaktowała, choćby tylko telefonicznie.

Kilka osób chciało rozmawiać z Donaldem Richardsem. Jeden ze słuchaczy miał okazję przysłuchiwać się jego zeznaniom w jakimś procesie i był pod dużym wrażeniem.

– Doktorze, widać było, że doskonale wie pan, o czym mówi. Richards puścił oko do Susan:

– To chyba dobrze, prawda?

Następne pytanie wprowadziło Susan w zdumienie.

– Doktorze Richards, czy napisał pan książkę o zaginionych kobietach z powodu tego, co przytrafiło się pańskiej żonie?

– Doktorze, jeśli nie chce pan odpowiadać... – Susan spojrzała na Richardsa, oczekując, że da jej znak, aby wyciszyła rozmowę.

Ale Richards pokręcił przecząco głową.

– Moja żona nie zniknęła, przynajmniej nie tak, jak kobiety, o których rozmawialiśmy. Zginęła w wypadku na oczach wielu świadków. Nigdy nie odnaleziono jej ciała, ale jej śmierć nie ma żadnego związku z moją książką.

Mówił opanowanym głosem, lecz Susan widziała, że na jego twarzy malują się silne emocje. Wyczuła, że Donald nie chce, aby w jakikolwiek sposób komentowała pytanie słuchacza i jego odpowiedź. Jednak od pierwszej chwili wiedziała, że chociaż Richard nie chce tego przyznać, istnieje jakiś związek pomiędzy śmiercią jego żony a tematem książki.

Spojrzała na monitor.

– Naszą następną rozmówczynią jest Tiffany z Yonkers. Tiffany, jesteś na antenie.

– Doktor Susan, uwielbiam pani program – zaczęła słuchaczka. Sądząc z głosu, była młoda i trochę afektowana.

– Dziękuję, Tiffany – odrzekła Susan. – O co chciałaś spytać?

– Słuchałam wczorajszego programu. Pamięta pani? Ta kobieta, Karen, mówiła o pierścionku z turkusem, który dostała od jakiegoś faceta. Mówiła, że na wewnętrznej stronie obrączki wygrawerowano: „Jesteś tylko moja”.

– Tak, pamiętam – wtrąciła szybko Susan. – Czy masz jakieś informacje na temat tego mężczyzny?

Tiffany zachichotała.

– Doktor Susan, jeśli ta Karen słucha mnie teraz, chcę jej tylko powiedzieć, że dobrze zrobiła, nie zadając się z tym facetem. To musiał być straszny sknerus. Mój chłopak kupił mi taki sam pierścionek w zeszłym roku, gdy byliśmy w Greenwich Village – tylko że to był żart! Pierścionek wygląda nieźle, ale kosztuje grosze – góra dziesięć dolarów!

– Gdzie dokładnie go kupiliście? – spytała Susan.

– Ojej, nie pamiętam. W jednym z tych zagraconych sklepików z pamiątkami. No, wie pani – taka dziura, w której można kupić plastikową Statuę Wolności czy mosiężną figurkę słonia.

– Tiffany, jeśli sobie przypomnisz, gdzie to dokładnie było, lub jeśli ktoś z naszych słuchaczy zna ten sklep, proszę, zadzwońcie do nas – zaapelowała Susan. – A może ktoś zna inne miejsca, w których można kupić takie pierścionki?

– Ten mały facet, który sprzedał nam pierścionek, mówił, że sam je robi – wtrąciła Tiffany. – Wie pani co? Zerwałam z tym chłopakiem i mogę dać pani pierścionek. Wyślę go pocztą.

– Reklamy. – W słuchawkach Susan odezwał się ponagląjący głos Jeda.

– Dzięki, Tiffany – zakończyła pośpiesznie Susan. – A teraz kilka słów od naszych sponsorów.

Natychmiast po zakończeniu programu Donald Richards wstał i zdjął słuchawki.

– Jeszcze raz dziękuję, Susan. Przepraszam, ale śpieszę się, czeka na mnie pacjent. – Zawahał się na chwilę. – Może wybralibyśmy się kiedyś na kolację? – spytał nieśmiało. – Nie musisz odpowiadać teraz. Zadzwonię do ciebie do gabinetu.

Wyszedł. Susan przysiadła na chwilę, zbierając notatki i rozmyślając o ostatnim telefonie. Czy to możliwe, że odpustowy pierścionek, który Jane Clausen znalazła w rzeczach Reginy, został kupiony w tym mieście? Jeśli tak, czy to znaczy, że mężczyzna odpowiedzialny za tajemnicze zniknięcia kobiet mieszka w Nowym Jorku?

Zatopiona w myślach wstała i przeszła do reżyserki. Geany siedział za stołem i wkładał do koperty kasetę.

– Richards wyszedł tak szybko – powiedział. – Chyba zapomniał, że prosił mnie o kasety z nagraniem twoich audycji. Wyślę mu je pocztą razem z tą. – Wskazał gestem kopertę zaadresowaną do Justina Wellsa. – Ten facet dzwonił wczoraj z prośbą o kopię audycji. Twierdził, że chce ją dla swojej matki.

– Podlizywał się – orzekła Susan. – Do jutra.

W taksówce, po drodze do gabinetu, zaczęła przeglądać gazetę. Na trzeciej stronie „The Post” zamieszczono zdjęcie Carolyn Wells, dekoratorki wnętrz, która została ranna we wczorajszym wypadku na Park Avenue. Susan przeczytała artykuł z zainteresowaniem. To ten wypadek

pokazywano w porannych wiadomościach – przypomniała sobie staruszkę, która twierdziła, że Carolyn Wells ktoś popchnął.

W dalszej części artykułu przeczytała: „Mąż, znany architekt, Justin Wells...”

Chwilę później dzwoniła do radia z telefonu komórkowego. Złapała Jeda Geany’ego w chwili, gdy wychodził na lunch.

Zanim taksówka dotarła na miejsce, Susan ustaliła z Jedem, że ten wyśle jej przez posłańca kopertę adresowaną do Justina Wellsa.

W myślach planowała dzisiejszy dzień. Całe popołudnie miała zapchane wizytami. Ale potem może zawieźć kopertę do szpitala Lennox Hill, gdzie, jak twierdziła wyjątkowo rozmowna recepcjonistka, Justin Wells pełnił wartę przy łóżku swojej żony.

Być może nie zechce ze mną rozmawiać, rozważała Susan, płacąc taksówkarzowi, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że kłamał, tłumacząc, dlaczego chce mieć nagranie wczorajszego programu.

Jane Clausen nie była pewna, czy uda jej się wziąć udział w spotkaniu zarządu funduszu powierniczego Clausenów. Miała bardzo ciężką, przepełnioną wspomnieniami noc i wolałaby spędzić dzisiejszy dzień w spokoju, nie wychodząc z domu.

Jednakże bolesna świadomość, że jej czas kończy się, zmusiła ją do opuszczenia łóżka – jak zwykle punkt siódma rano – wykąpania się i zjedzenia lekkiego śniadania, przygotowanego przez wieloletnią gospodynię, Verę.

Popijając kawę, sięgnęła po „New York Timesa” i zaczęła czytać jakiś artykuł, ale zaraz odłożyła gazetę. Najwyraźniej nie była w stanie skupić się na wydarzeniach, które przyciągały uwagę świata. Granice jej własnego świata zawęziły się do sprawy zniknięcia jedynej córki.

Wróciła myślą do wczorajszego popołudnia. Rozczarowanie, gdy okazało się, że Karen nie zamierza stawić się na spotkanie z doktor Chandler, nie zniknęło, wręcz przeciwnie, zdawało się narastać. Dopiero teraz Jane uświadomiła sobie, jak wiele pytań chciała zadać tej kobiecie: „Jak wyglądał mężczyzna, którego poznała pani na statku? Czy nie wydawało się pani, że jest niebezpieczny?”

Ta myśl oświeciła ją nagle w środku nocy – Regina miała niezwykłą intuicję. Najwyraźniej, jeśli tak mocno zaangażowała się w związek z dopiero co poznanym mężczyzną i gotowa była zmienić dla niego swoje plany, musiała uwierzyć w uczciwość tego człowieka.

„Uczciwość” – to słowo dręczyło ją także z innego powodu; kazało

zastanowić się nad Douglasem.

Douglas Layton – to nazwisko niosło ze sobą tradycję wielu pokoleń i znamionowało dobre pochodzenie. Douglas z entuzjazmem opowiadał o swoich kuzynach z Filadelfii, potomkach zmarłych już rówieśników Jane. Jane znała ich dość dobrze w młodości, ale potem te kontakty rozluźniły się. Mimo to nadal dobrze ich pamiętała, a kiedy ostatnio wspomniała o nich Dougowi, ten nawet nie pamiętał imion swoich krewnych. Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest z nimi tak blisko, jak opowiadał.

Doug miał znakomite wykształcenie. Bez wątplenia był bardzo inteligentny. Hubert March, który wychowywał Douga na swego następcę, sugerował, że młody prawnik powinien zostać członkiem zarządu fundacji.

W takim razie, czym się martwię? – zastanawiała się Jane, patrząc, jak Vera ponownie napełnia jej filiżankę kawą.

Doszła do wniosku, że chodzi o wczorajsze popołudnie. Douglas Layton dobitnie ją pouczył, że ma ważniejsze sprawy niż czekanie z nią w gabinecie doktor Chandler.

Kiedy zadzwonił wieczorem, dałam mu do zrozumienia, że czuję się urażona, pomyślała. Wiedziała, że na tym cała sprawa powinna się zakończyć, jednak tak się nie stało.

Próbowała domyślić się, o co naprawdę chodzi. Douglas Layton wiedział, że ma wiele do stracenia i że nie powinien jej opuszczać, podając pierwszą lepszą, wyssaną z palca wymówkę.

Bo to była wymówka. Wiedziała, że Doug kłamie, tłumacząc się jakimś pilnym spotkaniem. Tylko dlaczego?

Dzisiaj na spotkaniu zarządu miano omówić sprawę kilku znaczących darowizn. A trudno jest przychylić się do sugestii kogoś, kto zaczyna

tracić twoje zaufanie, rozumowała Jane. Gdyby była tu Regina, omówiłybyśmy tę sprawę wspólnie. „Co dwie głowy, to niejedna, mamo. Jesteśmy na to żywym dowodem, nieprawdaż? – tak zwykle mawiała jej córka. – Razem świetnie radzimy sobie ze wszystkimi problemami”.

Susan Chandler. Jane Clausen musiała przyznać, że wyjątkowo polubiła młodą panią psycholog. Jest mądra i miła, uznała Jane, przypominając sobie współczujące spojrzenie Susan. Wiedziała, jak bardzo rozczarowana byłam wczoraj, i widziała, że cierpię. Naprawdę przyjemnie było siedzieć z nią wczoraj przy herbacie. Nigdy nie widziałam większego sensu w gnaniu z każdym problemem do psychologa, ale z nią mogłabym się zaprzyjaźnić od pierwszego spotkania.

Wstała. Najwyższy czas ruszać na zebranie. Jane chciała zyskać trochę czasu na dokładne rozpatrzenie wszystkich próśb o wsparcie. Po południu zadzwonię do doktor Chandler i umówię się z nią na spotkanie, postanowiła. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc: wiem, że Regina przyznałaby mi rację.

Na morza ruszyć muszę znów... Słowa te dudniły mu w głowie niczym odgłos werbla. W wyobraźni widział już siebie w porcie – pokazuje bilet uprzejmemu członkowi załogi, a ten wita go słowami: „Witamy na pokładzie, sir!” Potem idzie po metalowym trapie, wchodzi na statek, steward pokazuje mu jego kabinę.

Zawsze dbał o wygodę i luksus – kabina w pierwszej klasie, z osobnym tarasem. Apartament w nadbudówce nie był odpowiedni – za bardzo rzucał się w oczy. Starał się roztaczać wokół siebie aurę dyskretnej zamożności, dobrego smaku i pewnej rezerwy, którą dać może jedynie odpowiednie pochodzenie.

Naturalnie nietrudno było sprawiać takie wrażenie. Po kilku delikatnych, lecz stanowczych odmowach nawiązania bliższych znajomości ze współpasażerami, ci zwykle respektowali jego decyzję i kierowali swoją ciekawość ku innym, bardziej obiecującym obiektom.

A kiedy już ustalił swą pozycję na statku, mógł zabrać się do łowów i wyszukiwania kolejnej ofiary.

Pierwszy rejs odbył cztery lata temu. Teraz jego podróż dobiegała kresu. Jeszcze tylko raz... Najwyższy czas rozpocząć poszukiwania. Sporo statków płynęło do miejsca, które miało zostać uświęcone śmiercią ostatniej samotnej damy. Wybrał już tożsamość, którą przybierze tym razem – inwestor wychowany w Belgii, syn Amerykanki i brytyjskiego dyplomaty. Kupił nową perukę – ciemne włosy przyprószone siwizną – dobraną tak doskonale, że nie tylko maskowała prawdziwy kolor włosów,

ale zdawała się zmieniać nawet kształt twarzy.

Nie mógł doczekać się wcielenia w nową rolę, chwili, gdy znajdzie tę, co podzieli los Reginy, której ciało obciążone kamieniami spoczywało teraz na dnie zatoki Kowloon. Niecierpliwie czekał na nią – kobietę, która zostanie ofiarowana na tym samym ołtarzu, co jej poprzedniczki: Veronica – jej kości rozpadły się na proch w Dolinie Królów, Constance – ta zajęła w Algierze miejsce Carolyn, i Monika – w Londynie. Nitki ich życia splótł wspólny los.

„Na morza ruszyć muszę znów”. Ale najpierw trzeba zająć się nie dokończonym wątkiem, który trzyma go na lądzie. Dziś rano, słuchając kolejnego programu doktor Susan, podjął decyzję – jedno z piórek na wietrze musi zostać niezwłocznie wyeliminowane.

Od dnia, w którym Abdul Parki, wówczas nieśmiały, szczupły szesnastolatek, przyłynął do Ameryki z New Delhi, minęło ponad pięćdziesiąt lat. Od razu po przyjeździe podjął pracę u swojego wuja: zamiatał podłogi i polerował miedziane bibeloty, którymi zapchany był mały sklepik z pamiątkami na MacDonald Street w Greenwich Village. Teraz właścicielem był Abdul, ale poza tym niewiele się zmieniło. Tutaj czas zdawał się stać w miejscu. Nawet szyld „Sklep branzowy Khylema” był dokładną kopią napisu, który umieścił nad sklepem wuj Abdula.

Abdul nadal był szczupły i chociaż życie zmusiło go do przewyciężenia własnej nieśmiałości, w jego charakterze leżała pewna rezerwa, która kazała mu odnosić się do klientów z dystansem.

Dawał się wciągać w rozmowę jedynie tym nielicznym, którzy doceniali jego kunszt i podziwiali wykonaną własnoręcznie kolekcję taniutkich pierścionków i bransoletek. A szczególnie, chociaż Abdul nigdy nie dociekał przyczyn takiego zachowania, zastanawiał go pewien mężczyzna, który odwiedził go już trzykrotnie, za każdym razem kupując pierścionki z turkusem, ozdobione inskrypcją: „Jesteś tylko moja”.

Abdul, który przez czterdzieści pięć lat był wierny jednej kobiecie, swej niedawno zmarłej żonie, dziwił się w skrytości ducha, że mężczyzna ten tak często zmienia obiekty swych uczuć. Przy ostatniej bytności klient upuścił portfel, z którego wypadła wizytówka. Abdul podniósł ją, rzucił na nią okiem, po czym, przepaszając za własną ciekawość, zwrócił właścicielowi. Widząc niezadowolenie na twarzy nieznanego, jeszcze

raz przeprosił, zwracając się do niego po nazwisku. Natychmiast zauważył, że znowu popełnił błąd.

On nie chce, żebym wiedział, kim jest, i teraz pewnie więcej tu nie przyjdzie, pomyślał wówczas z żalem. A biorąc pod uwagę, że od ostatniej wizyty tajemniczego klienta minął już ponad rok, Abdul utwierdzał się w przekonaniu, że jego przewidywania były słuszne.

Podobnie jak czynił to przez wiele lat jego wuj, Abdul także codziennie, punktualnie o pierwszej, zamykał sklep i wychodził na lunch. Tego wtorkowego popołudnia trzymał już w ręce wywieszkę z napisem „Przerwa do drugiej” i właśnie chciał zawiesić ją na drzwiach, gdy w progu stanął tajemniczy mężczyzna. Wszedł do środka i powitał sprzedawcę niezwykle serdecznie.

Abdul zdobył się na nieśmiały uśmiech.

– Dawno tu pana nie było, sir. Miło widzieć pana znowu.

– I wzajemnie, Abdul. Sądziłem, że już o mnie zapomniałeś.

– Ależ nie, sir. – Nie wymówił nazwiska mężczyzny, nie chcąc przypominać mu o swoim nagannym zachowaniu przy ostatniej wizycie.

– Założę się, że nie pamiętasz mojego nazwiska – zagadnął klient wesoło.

Czyżbym się mylił? – pomyślał Abdul. On wcale nie jest na mnie zły!

– Oczywiście, że pamiętam, sir – odparł. I z uśmiechem przypomniał nazwisko nieznajomego.

– No, no – rzekł mężczyzna przyjaznym tonem. – Wiesz co, Abdul? Znowu potrzebuję pierścionka. No wiesz, takiego samego, jaki kupowałem u ciebie kilka razy. Mam nadzieję, że masz je jeszcze.

– Zostały chyba trzy, proszę pana.

– Cóż, może wezmę wszystkie. Ale, ale – zatrzymuję cię, a pewnie chcesz wyjść na lunch. Może zawiesilibyśmy wywieszkę i zamknęli drzwi, zanim pojawią się następni klienci? Wiem, że lubisz trzymać się swoich przyzwyczajzeń.

Abdul ponownie się uśmiechnął, mile zaskoczony życzliwością swojego starego dobrego klienta. Z ufnością wręczył mu wywieszkę i patrzył, jak ten przekręca klucz w zamku. To wtedy zauważył ze zdziwieniem, że jego klient jest w rękawiczkach, chociaż dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny.

Wyroby rzemieślnicze znajdowały się w przeszklonej gablocie tuż koło kasy. Abdul podszedł do niej i wyjął małą tacę.

– Tutaj mam dwa, sir. Trzeci jest na zapleczu, zaraz go przyniosę. Szybkim krokiem wszedł na zaplecze, które oddzielała od sklepu gruba kotara. Część pomieszczenia Abdul zamienił w podręczny warsztat i małe biuro. Trzeci pierścionek z turkusem leżał w pudełku. Dopiero wczoraj Abdul go skończył.

Trzy dziewczyny naraz, pomyślał, śmiejąc się w duchu. Ten facet ma powodzenie.

Odwrócił się, trzymając w dłoni pierścionek, i zastygł w zdumieniu. Klient wszedł za nim na zaplecze.

– Znalazłeś pierścionek?

– Tak, proszę pana – odparł Abdul, wyciągając drżącą dłoń. Nie miał pojęcia, dlaczego mu się zdaje, że coś jest nie tak.

Zrozumiał, gdy zobaczył nagły błysk noża. Miałem rację, pomyślał, czując ostry ból i osuwając się w ciemność.

Jane Clausen zadzwoniła do Susan Chandler za dziesięć trzecia, tuż po

wyjściu kolejnego pacjenta. Lekarka od razu wyczuła nutę napięcia w łagodnym, uprzejmym głosie rozmówczynie. Pani Clausen chciała umówić się na spotkanie.

– Mam na myśli normalną wizytę – oznajmiła. – Muszę porozmawiać o swoich problemach, a czuję, że pani może mi pomóc. – Zanim Susan zdążyła się odezwać, Jane Clausen dodała: – Chciałabym spotkać się z panią jak najszybciej – nawet dzisiaj, jeśli to możliwe.

Susan nie musiała patrzeć w kalendarz, żeby przypomnieć sobie dzisiejszy rozkład zajęć. O trzeciej i czwartej miała umówione wizyty. Potem zamierzała pojechać do szpitala Lennox Hill, ale to będzie musiało poczekać.

– Jestem wolna o piątej, pani Clausen.

Zakończyła rozmowę i nie odkładając słuchawki, wykręciła numer szpitala. Kiedy uzyskała połączenie z centralą, wyjaśniła, że szuka męża kobiety, która leży na intensywnej terapii.

– Przełączę panią do poczekalni oddziału – powiedziała telefonistka. W poczekalni słuchawkę podniosła kobieta. Susan poprosiła do telefonu Justina Wellsa.

– A z kim mówię?

Susan wyczuła wahanie w głosie kobiety, ale doskonale ją rozumiała. Pewnie ciągle nachodzą go dziennikarze, pomyślała.

– Przy aparacie doktor Susan Chandler – odparła. – Pan Wells prosił o kopię taśmy z moim wczorajszym programem i chcę dostarczyć mu ją osobiście. Czy będzie jeszcze w szpitalu o wpół do siódmej?

Sądząc po odgłosach dobiegających ze słuchawki, domyśliła się, że kobieta zakryła mikrofon dłonią. Mimo to Susan usłyszała, jak jej

rozmówczyni pyta:

– Justin, czy zamawiałeś taśmę z wczorajszym programem doktor Chandler?

Odpowiedź słychać było wyraźnie:

– Chyba żartujesz, Pamelu. Ktoś zrobił mi głupi kawał.

– Doktor Chandler, obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka. Zanim jednak kobieta odłożyła słuchawkę, Susan wtrąciła szybko:

– Przepraszam. Mój producent przekazał mi tę wiadomość. Naprawdę przykro mi, że nagabuję pana Wellsa w takiej chwili. Czy może mi pani powiedzieć, jak czuje się pani Wells?

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili kobieta odrzekła:

– Proszę się za nią modlić, doktor Chandler.

Połączenie zostało przerwane, a po chwili w słuchawce odezwał się głos z taśmy: „Jeśli chcesz zadzwonić, odłóż słuchawkę i spróbuj jeszcze raz”.

Susan siedziała w milczeniu, wpatrując się w telefon. Czyżby prośba o kasetę była niesmacznym dowcipem? A jeśli tak, to co chciał osiągnąć żartownis? A może Justin Wells rzeczywiście dzwonił do radia, a w obecności kobiety, którą nazywał Pamelą, z jakichś powodów wyparł się tego? I znowu – jeżeli to przypuszczenie jest słuszne, dlaczego tak się zachował?

Susan uświadomiła sobie, że z odpowiedzią na te pytania trzeba będzie poczekać, albowiem Janet właśnie zaanonsowała następnego pacjenta.

Doug Layton stał przed małym gabinetem Jane Clausen, stanowiącym część biur funduszu powierniczego Clausenów, mieszczących się w budynku Chryslera. Drzwi do pokoju były uchylone, toteż nie musiał specjalnie nadstawiać uszu, żeby usłyszeć, że Jane rozmawia przez telefon z doktor Susan Chandler.

Podczas tej rozmowy poczuł, że zaczyna się pocić. Był prawie pewien, że to on stanowi problem, o którym jego pracodawczyni zamierza rozmawiać z Susan Chandler.

Wiedział, że pokpił sprawę na porannym spotkaniu. Pani Clausen przyjechała wcześniej, a on przyniósł jej kawę, mając nadzieję na ułagodzenie swej pracodawczyni. Do tej pory często spotykali się przy kawie przed zebraniem zarządu, omawiając zgłoszone prośby o wsparcie. Kiedy przyszedł dziś rano, siedziała za stołem, na którym spoczywał plan dzisiejszego zebrania. Spojrzała na niego chłodno i niechętnie.

– Nie chcę kawy – oznajmiła. – Idź sobie. Spotkamy się w sali konferencyjnej.

Nie usłyszał nawet zwykłego: „Dziękuję, Doug”.

Jedna teczka musiała szczególnie przykuć jej uwagę, ponieważ zabrała ją ze sobą na zebranie i zadawała mnóstwo trudnych pytań. Były to akta zawierające informacje na temat wydatków związanych ze schroniskiem dla sierot w Gwatemali.

Miałem wszystko pod kontrolą, myślał ze złością Doug, i musiał trafić się ten głupi błąd! W nadziei, że utnie przydługą dyskusję, wyrwał się jak

idiota, oznajmiając:

– Ten sierociniec był szczególnie bliski sercu Reginy, pani Clausen. Sama to powiedziała.

Doug wzdrygnął się przypominając sobie lodowate spojrzenie, jakim obdarzyła go wtedy Jane Clausen. Próbował ratować sytuację, poprawiając się szybko:

– To znaczy, pani powtórzyła mi jej słowa na jednym z pierwszych spotkań.

Przewodniczący zarządu, Hubert March, jak zwykle zapadł w drzemkę, ale Doug widział twarze innych udziałowców, którzy spoglądali na niego taksującym wzrokiem, gdy Jane Ciausen oznajmiła chłodnym tonem:

– Nie, nigdy nic takiego nie mówiłam.

A teraz umawiała się na spotkanie z doktor Chandler. Słyszając trzask odkładanej słuchawki, zapukał do drzwi i czekał na zaproszenie. Przez dłuższą chwilę Jane Ciausen nie odpowiadała. Już miał ponownie zapukać, gdy usłyszał cichy jęk i postanowił wejść do środka.

Jane Ciausen siedziała odchylona na krześle. Jej twarz była ściągnięta bólem. Spojrzała na niego, pokręciła głową i pokazała palcem wyjście. Wiedział, co miał znaczyć ten gest – wynoś się i zamknij za sobą drzwi.

Posłuchał jej bez sprzeciwu. Bez wątplenia stan pani Ciausen uległ pogorszeniu. Była umierająca.

Podszedł prosto do biurka recepcjonistki.

– Pani Ciausen ma migrenę – oświadczył jej. – Proszę nie łączyć do niej żadnych rozmów, musi trochę odpocząć.

Po powrocie do własnego gabinetu usiadł przy biurku. Zauważył, że dłonie ma mokre od potu, wyjął więc chusteczkę, wytarł je, a potem wstał

i poszedł do łazienki.

Spryskał twarz lodowatą wodą, doprowadził włosy do porządku, poprawił krawat i spojrzął w lustro. Niewątpliwie był zadowolony z własnego wyglądu – ciemnoblonde włosy, stalowe oczy i arystokratyczny nos – typowy produkt krwi Laytonów. Twarz jego matki nadal nosiła ślady dawnej urody, ale zawsze krzywił się na wspomnienie kluchowatych, bezkształtnych postaci jej rodziców.

Wiedział, że w garniturze od Paula Stuarta i bordowo-niebieskim krawacie wygląda dokładnie tak, jak powinien – jak zaufany doradca, który zajmie się sprawami świętej pamięci Jane Ciausen zgodnie z życzeniem zmarłej chlebodawczyni. Bez wątpienia po jej śmierci Hubert March powierzy zarządzanie funduszem właśnie jemu.

Aż do dzisiaj wszystko układało się doskonale. Nie można więc pozwolić, aby Jane Ciausen, znajdując się u progu śmierci, zniszczyła jego genialny plan.

W Yonkers dwudziestopięcioletnia Tiffany Smith ciągle nie mogła uwierzyć, że udało jej się porozmawiać z samą doktor Chandler, a na dodatek wszyscy słyszeli ją w radiu. Tiffany pracowała jako kelnerka na nocnej zmianie w pobliskiej restauracji włoskiej The Grotto. Była znana z tego, że nigdy nie zapominała twarzy swoich klientów ani dań, które zwykli zamawiać.

Nazwiska nie miały takiego znaczenia, toteż nigdy nie kłopotowała się zapamiętywaniem ich. Po prostu mówiła do każdego „kotku” czy „kochanie” – tak było łatwiej.

Od kiedy jej współlokatorka wyszła za mąż, Tiffany mieszkała sama w małym mieszkaniu na drugim piętrze bliźniaka. Każdy dzień rozpoczynała tak samo: budziła się zwykle około dziesiątej, a potem, leżąc w łóżku, piła pierwszą filiżankę kawy i słuchała programu doktor Susan.

Jak zwykła mawiać: „Po zerwaniu z chłopakiem miło jest usłyszeć, że inne kobiety też mają problemy ze swoimi facetami”. Tiffany była chuda jak szczapa, miała małe, bystre oczy i włosy w nienaturalnie żółtym kolorze. Jej jasno sprecyzowane poglądy na życie głośiły, że jednych ono rozpieszcza, a innym rzuca kłody pod nogi.

Wczoraj, słuchając wypowiedzi tej Karen, co to rozmawiała z doktor Susan o turkusowym pierścionku, który jakiś facet dał jej na statku, od razu pomyślała o Matcie Bauerze. Matt dał jej podobny pierścionek. Gdy zerwali ze sobą, Tiffany próbowała udawać sama przed sobą, że napis: „Jesteś tylko moja”, wygrawerowany na pierścionku, jest głupi i

sentymalny, ale w gruncie rzeczy sama w to nie wierzyła.

Dziś zadzwoniła do doktor Susan pod wpływem nagłego impulsu i prawie natychmiast zaczęła żałować, iż nazwała Matta skąpiradłem tylko dlatego, że pierścionek był taki tani. Prawdę mówiąc, wydawał jej się śliczny, a musiała przyznać, że powiedziała tak, bo Matt ją rzucił.

W ciągu dnia co chwila wracała pamięcią do tamtego zeszłorocznego popołudnia, które spędzili z Mattem w Greenwich Village. O czwartej, tapirując włosy i malując się przed wyjściem do pracy, doszła do wniosku, że nie przypomni sobie nazwy sklepu, w którym kupili ten pierścionek.

– Pomyślmy jeszcze raz – powiedziała na głos. – Najpierw poszliśmy na lunch do baru sushi, a potem do kina na ten durny film, który tak bardzo podobał się Mattowi. Udawałam, że też mi się podoba, ale był idiotyczny – mówiono niby to po angielsku, tyle że jakoś dziwnie! No a później włączyliśmy się po okolicy, przechodziliśmy koło tego sklepu i zaproponowałam, żebyśmy weszli. I wtedy Matt kupił mi pamiątkę.

Wtedy jeszcze zachowywał się, jakby naprawdę mnie lubił, uświadomiła sobie Tiffany. Nie mogliśmy zdecydować się, co wybrać – miedzianą małąkę czy miniaturę Tadź Mahal. Właściciel nie narzucał się i czekał cierpliwie, aż podejmiemy decyzję. Chyba stał koło szklanej gabloty przy kasie, gdy wszedł ten szykowny facet.

Od razu go zauważyła, właśnie się odwróciła, a Matt znalazł coś interesującego i próbował odcyfrować napis na etykietce. Wydawało się, że facet w ogóle nie zauważył, że w sklepie są inni klienci – Tiffany i Matt stali za parawanem malowanym w wielbłądy i piramidy. Nie słyszała, co powiedział mężczyzna, ale zobaczyła, że właściciel wyjmuje coś z gabloty.

To musiał być jakiś czaruś, stwierdziła teraz Tiffany, mając przed oczami tamten sklep i atrakcyjnego nieznanego. Jeden z tych, co to żyją za pan brat z ludźmi, których ona знаła tylko z gazet. Inny niż ci idioci, którzy puszą się w The Grotto, pomyślała. Przypomniała sobie wyraz zaskoczenia na jego twarzy, gdy obejrzał się za siebie i ją zobaczył. Po wyjściu mężczyzny sprzedawca powiedział: „Ten dżentelmen kupił kilka takich pierścionków dla swoich narzeczonych. Może chcecie je zobaczyć?”

Są śliczne, uznała Tiffany. Była pewna, że Matt zobaczy sumę wybitą na kasie i zorientuje się, że prezent nie jest drogi, toteż bez oporów wybrała właśnie taki pierścionek.

Właściciel pokazał nam wygrawerowany napis, wspominała, Matt zaczerwienił się i powiedział, że może być. A ja pomyślałam: niewykluczone, że w końcu spotkałam faceta, z którym będę na stałe.

Wprawnym ruchem pociągnęła brwi kredką i sięgnęła po tusz do rzęs. No, a potem zerwaliśmy ze sobą, przypomniała sobie z żalem.

Spojrzała tęsknym wzrokiem na pierścionek. Trzymała go w małym pudełeczku z kości słoniowej, które jej dziadek podarował swojej żonie w czasie podróży poślubnej nad wodospad Niagara. Wyjęła błyskotkę i trzymając w palcach, oglądała w zadumie. Nie wyślę pierścionka doktor Susan, zdecydowała. Kto wie? Może Matt zadzwoni do mnie któregoś dnia? Może nie ma żadnej nowej dziewczyny?

Ale przecież jej obiecałam, że go wyślę, przypomniała sobie. Co robić? Zaraz, zaraz! Tak naprawdę to doktor Susan mniej interesował pierścionek, a bardziej sklep, w którym go kupili. Może więc zamiast pierścionka spróbuję opisać jej miejsce, w którym znajduje się ten sklepik.

Pamiętam, że po drugiej stronie ulicy był sexshop, i jestem prawie pewna, że kilka przecznic dalej była stacja metra. Doktor Susan jest inteligentna. Na pewno odszuka sklep na podstawie tych wskazówek.

Odetchnąwszy z ulgą, Tiffany włożyła długie niebieskie kolczyki. Potem usiadła i napisała krótki liścik do doktor Susan z wyjaśnieniem, dlaczego nie może wysłać jej pierścionka, i opisując, najlepiej jak umiała, miejsce, w którym znajdował się sklep. List podpisała: „Pani oddana wielbicielka, Tiffany”.

Tymczasem czas leciał i jak zwykle spóźniona pobiegła do restauracji. Zapomniany list spoczywał w jej torebce.

Przypomniała sobie o nim później, gdy stojąc za ladą oblężoną przez naburmuszonych klientów, nakładała z rozmachem na talerze cztery porcje podgrzanej lasagni. Mam nadzieję, że poparzą sobie języki, stwierdziła w duchu. Używają ich tylko do tego, żeby narzekać.

To spostrzeżenie podsunęło jej nowy pomysł. Nie wyśle listu, tylko zadzwoni jutro w trakcie programu. Gdy wpuszczają na antenę, wyjaśni, że chciała przeprosić za wczorajsze słowa; powie, że nie miała nic złego na myśli, krytykując pierścionek. Pragnęła tylko odegrać się na Matcie, bo tak naprawdę bardzo za nim tęskni. To taki miły chłopiec, może doktor Susan mogłaby wymyślić coś, żeby znowu byli razem? Matt wprawdzie nie odpowiada na jej telefony, ale ona jest pewna, że nie ma nikogo innego.

Tiffany patrzyła z satysfakcją, jak jeden z klientów pakuje do ust duży kawał lasagni, po czym szybko sięga po szklankę z wodą. Może w ten sposób otrzymam darmową poradę, a przy okazji, kto wie? – pomyślała znów. Może akurat matka Matta czy ktoś z jego znajomych będą słuchać

programu, potem powiedzą mi o tym, zrobi mi się głupio i zadzwoni do mnie?

Nie mam nic do stracenia, uznała, podchodząc do nowo przybyłych gości. Nie wiedziała, jak się nazywają, ale pamiętała, że dają gówniane napiwki.

Alex Wright od dzieciństwa mieszkał w czteropiętrowym domu z piaskowca przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej. Umeblowanie budynku niewiele zmieniło się od śmierci jego matki. Na wszystkich piętrach królowały meble z epoki wiktoriańskiej: posępne i ciężkie stoły, barki i szafy; mocno wypchane sofy i krzesła obite brokatem, stare perskie dywany i pełne wdzięku bibeloty. Wszyscy odwiedzający Aleksa zachwycali się staroświecką urodą jego domu.

Nawet czwarte piętro, które w dzieciństwie było królestwem Aleksa, pozostało nie zmienione. Niektóre elementy architektoniczne, wykonane na specjalne zamówienie przez firmę F. A. O. Schwarz, były tak niezwykle, że prezentowano je w „Architectural Digest”.

Alex tłumaczył, że jest tylko jedna przyczyna, dla której nie zmienił wystroju domu: pewnego dnia ożeni się, a wtedy jego żona zajmie się wszystkim. Kiedyś jeden z jego przyjaciół zażartował:

– A jeśli ona będzie fanatyczną wielbicieleką nowoczesności, albo, nie daj Boże, wymyśli sobie styl retro czy psychodeliczny?

Na to Alex zaśmiał się i odrzekł:

– Niemożliwe. Nie byłaby wtedy moją żoną.

Prowadził dosyć proste życie – nigdy nie czuł się swobodnie w domu pełnym służby; być może dlatego, że mało kto chciał pracować u jego rodziców, którzy znani byli z trudnego usposobienia. Ciągła rotacja pracowników, a także kąśliwe uwagi na temat rodziców, które zdarzało mu się słyszeć w dzieciństwie, skutecznie zniechęciły go do zatrudniania

służby. Obecnie miał tylko dwóch pracowników: szofera Jima oraz Marguerite, piekielnie skuteczną i anielsko spokojną gospodynię. Każdego ranka przychodziła do domu przy Osiemdziesiątej Siódmej punktualnie o wpół do dziewiątej i przygotowywała Aleksowi śniadanie. Jeśli jadł kolację w domu, a nie zdarzało się to często, zostawała dłużej i przygotowywała popołudniowy posiłek.

Alex – wolny, przystojny mężczyzna, dodatkowo atrakcyjny ze względu na bogactwo Wrightów, zajmował czołowe miejsce na liście najbardziej pożądanых gości i uczestników przyjęć. A mimo to niechętnie wykorzystywał ten przywilej. O ile lubił kolacje w kameralnym gronie, o tyle nie znosił bycia osobą publiczną i z determinacją unikał bywania na wielkich imprezach, które wielu uważało za zabawne.

We wtorek większość dnia spędził za własnym biurkiem w Fundacji, a dopiero późnym popołudniem wybrał się do klubu na partyjkę squasha z przyjaciółmi. Nie miał jeszcze sprecyzowanych planów na wieczór, toteż na wszelki wypadek polecił Marguerite, żeby przygotowała „awaryjną kolację”.

Nic więc dziwnego, że kiedy o wpół do siódmej dotarł w końcu do domu, pierwsze kroki skierował do lodówki. Na półce znalazł gotową do podgrzania w mikrofalówce miseczkę z wyśmienitym rosołem Marguerite, a także sałatę i pokrajanego kurczaka.

Kiwając głową z zadowoleniem, Alex ruszył w kierunku biblioteki. Tam podszedł do barku, wybrał butelkę bordeaux i nalał sobie kieliszek. Właśnie zaczął sączyć wino, gdy zadzwonił telefon.

Ponieważ automatyczna sekretarka była nadal włączona, nie fatygował się, żeby podnieść słuchawkę. Uniósł brwi ze zdziwieniem, gdy usłyszał,

że dzwoni Dee Chandler Harriman. Mówiła z wyraźnym wahaniem miłym, niskim głosem:

„Alex, mam nadzieję, że nie będziesz zły, że dzwonię. Poprosiłam tatę o twój numer. Chciałam tylko podziękować ci, że byłeś dla mnie taki miły wtedy na przyjęciu u taty i Binky. Ostatnio przeżywałam ciężkie chwile, a ty, chociaż wcale nie wiedziałeś o moich problemach, bardzo mi pomogłeś – właśnie dlatego, że byłeś taki miły. Zamierzam zwalczyć chandrę i w związku z tym wybieram się w przyszłym tygodniu w rejs statkiem. W każdym razie – dziękuję. Po prostu chciałam, żebyś o tym wiedział. A przy okazji, gdybyś miał ochotę oddzwonić, podaję swój numer telefonu – 310-555-6347”.

Chyba nie wie, że byłem z jej siostrą na kolacji, pomyślał Alex. Dee to wspaniała kobieta, ale Susan jest znacznie bardziej interesująca. Pociągnął łyk z kieliszka i przymknął oczy.

Tak, Susan Chandler była interesująca. Prawdę mówiąc, myślał o niej przez cały dzień.

Tuż przed czwartą Jane Clausen ponownie zadzwoniła do Susan, żeby poinformować ją, że nie przyjdzie na wizytę. – Obawiam się, że muszę trochę odpocząć – wyjaśniła.

– Chyba nie czuje się pani dobrze, pani Clausen – zauważyła Susan. – Czy nie powinna pójść pani do lekarza?

– Nie. Wystarczy godzinna drzemka. Po prostu przykro mi, że nie mogę spotkać się z panią dzisiaj.

Susan powiedziała, że jeśli chce, może przyjść później.

– Będę u siebie w gabinecie. Mam sporo papierkowej roboty – dodała.

Dlatego kiedy Jane Clausen przyszła do gabinetu o szóstej, zastała tam jeszcze Susan. Poszarzała twarz pani Clausen utwierdziła Susan w przekonaniu, że starsza pani jest poważnie chora. Gdyby dowiedziała się prawdy o zniknięciu córki, z pewnością poczułaby się lepiej, uznała Susan.

– Doktor Chandler... – zaczęła z lekkim wahaniem w głosie pani Clausen.

– Proszę mówić do mnie Susan. „Doktor Chandler” brzmi tak oficjalnie – wtrąciła z uśmiechem Susan.

Jane Clausen skinęła głową.

– Ciężko jest przełamywać stare przyzwyczajenia. Moja matka przez całe życie nazywała swoją sąsiadkę, która była zarazem jej najbliższą przyjaciółką, panią Crabtree. Przypuszczam, że to po niej odziedziczyłam pewną powściągliwość w kontaktach z ludźmi. Regina chyba też. Do wszystkich odnosiła się z rezerwą. – Na moment spuściła wzrok, po czym

spojrzała Susan prosto w oczy. – Poznała pani wczoraj mojego prawnika, Douga Laytona. Co pani o nim sądzi?

To pytanie zaskoczyło Susan. Mam pełnić rolę adwokata diabła, stwierdziła z goryczą.

– Chyba jest trochę nerwowy – odparła. Uznała, że w tym wypadku najlepsza będzie szczerłość.

– I była pani zdziwiona, że nie został wczoraj ze mną?

– To prawda.

– A dlaczego?

Susan odparła bez wahania:

– Dlatego że miała spotkać się pani z kobietą, która być może pomogłaby nam rozwiązać tajemnicę zniknięcia pani córki, a nawet chyba opisać mężczyznę, który jest odpowiedzialny za to zniknięcie. To mógł być bardzo ważny moment w pani życiu. Uważałam, że powinien zostać i dodać pani otuchy.

Jane Clausen skinęła z aprobatą głową.

– Otóż to, Susan. Douglas Layton zawsze twierdził, jakoby nigdy nie poznał mojej córki. Ale dziś rano powiedział coś, co uświadomiło mi, że nie mówił prawdy.

– A dlaczego miałby kłamać na ten temat? – spytała Susan.

– Nie wiem. Przeprowadziłam w jego sprawie małe dochodzenie. Rzeczywiście Douglas jest dalekim kuzynem Laytonów z Filadelfii, ale oni twierdzą, że ledwie go pamiętają. On natomiast twierdzi, że utrzymuje z nimi bardzo bliskie kontakty. Wygląda na to, że jego ojciec, Ambrose Layton, był czarną owcą w rodzinie – w kilka lat przepuścił wszystkie pieniądze, po czym zniknął. – Jane Clausen starannie dobierała słowa.

Mówiła powoli, w skupieniu marszcząc czoło. – Niewątpliwie na korzyść Douglasa przemawia to, że uzyskał stypendium na Uniwersytecie Stanforda, a potem na wydziale prawa Columbi. Z pewnością jest bardzo inteligentny. W swojej pierwszej pracy, u Kane’a i Rossa, sporo podróżował i ma talent do języków obcych – między innymi właśnie dlatego tak szybko awansował u Huberta Marcha. Teraz jest członkiem zarządu naszej fundacji.

Próbuje być obiektywna, stwierdziła Susan. Ale to nie tylko zwykłe zaniepokojenie – ona czegoś się boi.

– Chodzi o to, Susan, że Douglas dawał mi jednoznacznie do zrozumienia, że pozostaje w bardzo bliskiej przyjaźni ze swymi kuzynami. Zastanawiając się nad tym teraz, uświadomiłam sobie, że poruszył ten temat dopiero wtedy, gdy powiedziałam mu, że od dawna nie utrzymuję z nimi kontaktów. Dzisiaj, gdy rozmawiałam z tobą przez telefon, zdałam sobie sprawę, że mnie podsłuchuje. Drzwi były uchylone i widziałam jego odbicie w szklanych drzwiczkach szafki. Byłam naprawdę zdumiona. Po co miałyby to robić? I dlaczego węszy wokół mnie?

– Spytała go pani o to?

– Nie. Kiepsko się czułam i nie miałam siły na taką konfrontację. Nie chcę, żeby się czegoś domyślił. Zależy mi na tym, żeby dokładnie skontrolowano jedną z organizacji, którą wspiera nasza fundacja. Chodzi o sierociniec w Gwatemali, na dzisiejszym spotkaniu rozmawialiśmy o nim. Doug ma tam jechać w przyszłym tygodniu i sporządzić raport dla udziałowców. Zakwestionowałam sumy, które wydajemy na ten cel, a wtedy Dougowi wymknęło się, że Regina mówiła mu, jakoby ten sierociniec był jej ulubioną instytucją, którą wspieramy. Powiedział to

takim tonem, jakby wielokrotnie rozmawiał z moją córką na ten temat.

– A mimo to wyparł się, że ją zna.

– Tak, Susan. Muszę o tym z tobą porozmawiać, ponieważ właśnie przyszło mi do głowy możliwe wytłumaczenie wczorajszego zachowania Douga.

Susan wiedziała, co powie jej Jane: że Douglas Layton bał się spotkania twarzą w twarz z Karen.

Jane Clausen wyszła kilka minut później.

– Sądzę, że lekarz każe mi zgłosić się jutro do szpitala – oświadczyła, wychodząc. – Dlatego przedtem chciałam z tobą porozmawiać. Wiem, że swego czasu pracowałeś w biurze prokuratora okręgowego. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy podzieliłam się z tobą moimi podejrzeniami, bo chciałam zasięgnąć opinii psychologa, czy też pragnęłam porady prawnika na temat podjęcia ewentualnego dochodzenia.

Doktor Donald Richards wyszedł ze studia tuż po zakończeniu programu i dopiero wtedy przypomniał sobie, że Rena czeka na niego z lunchem. Znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do domu.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że mam pewną sprawę do załatwienia – oświadczył gospodyni.

– Doktorze, dlaczego robi mi to pan zawsze, gdy przygotowuję coś na gorąco?

– To samo pytanie zadawała moja żona. Może mogłabyś wstawić lunch do piecyka? Będę za jakąś godzinę. – Uśmiechnął się do siebie. Ból oczu przypomniał mu, że wciąż ma na nosie okulary do czytania, więc zdjął je i schował do kieszeni.

Kiedy zjawił się w swoim gabinecie półtorej godziny później, Rena czekała już na niego z lunchem.

– Postawię panu tacę na biurku – oznajmiła.

O drugiej przyjął pierwszą pacjentkę – anorektyczną trzydziestoletnią bussineswoman. Była już u niego trzykrotnie, toteż słuchał jej w milczeniu, od czasu do czasu zapisując coś w notatniku.

Pacjentka w końcu otworzyła się i dzisiaj opowiadała o trudnym okresie dojrzewania, kiedy to bezskutecznie walczyła z nadwagą.

– Uwielbiałam jeść, ale potem stawałam przed lustrem i widziałam, że sama siebie krzywdzę. Wtedy zaczynałam nienawidzić własnego ciała, a także jedzenia – za to, że uczyniło mnie brzydką.

– Czy nadal nienawidzi pani jedzenia?

– Z całego serca, ale czasami myślę, jak by to było wspaniale rozkoszować się dobrą kolacją. Teraz spotykam się z kimś, na kim bardzo mi zależy. Wiem jednak, że stracę go, jeśli się nie zmienię. Powiedział, że nie może już patrzeć, jak grzebię widelcem w talerzu, zamiast jeść jak człowiek.

Motywacja, pomyślał Don. Dobry powód jest zawsze pierwszym i najważniejszym krokiem na drodze do jakichkolwiek zmian. Przed oczami stanęła mu na moment Susan Chandler.

Pacjentka wyszła z gabinetu za dziesięć trzecia i wtedy postanowił zadzwonić do Susan. Zakładał, że planuje spotkania z pacjentami w ten sam sposób, co on – pięćdziesięciominutowa sesja i dziesięć minut przerwy na złapanie oddechu przed następnym pacjentem.

Jej sekretarka powiedziała mu, że Susan właśnie rozmawia z kimś przez telefon.

– Poczekam – powiedział.

– Obawiam się, że ktoś już czeka na drugiej linii.

– Zaryzykuję – odparł.

W sześć minut później chciał już zrezygnować. W poczekalni siedział następny pacjent. Lecz właśnie wtedy usłyszał w słuchawce lekko zdyszany głos Susan.

– Doktor Richards? – spytała.

– To, że jesteś w gabinecie, nie oznacza, że musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie.

Susan roześmiała się.

– Przepraszam. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Tutaj panuje lekkie

zamieszanie, ale chciałam podziękować ci za udział w programie.

– A ja pragnę ci podziękować za darmową promocję. Mój wydawca był naprawdę zachwycony, że mogłem opowiedzieć o swojej książce w radiu.

– Rzucił okiem na zegarek. – Muszę przyjąć następnego pacjenta, ty pewnie też. Czy zjesz ze mną dzisiaj kolację?

– Dzisiaj nie. Będę pracować do późna.

– Jutro?

– Tak. Doskonale.

– Powiedzmy, koło siódmej. Zadzwoń jutro, gdy wybiorę odpowiednie miejsce.

Prawdziwa, zaplanowana randka, pomyślał. Tyle że za późno.

– Będę w gabinecie przez całe popołudnie – rzuciła Susan. Richards zanotował godzinę – koło siódmej – pożegnał się szybko i odłożył słuchawkę. Wiedział, że powinien już przyjąć pacjenta, pozwolił sobie jednak jeszcze na chwilę zadumy. Myślał o jutrzejszym spotkaniu i zastanawiał się, na ile może sobie pozwolić z Susan Chandler.

Dee Chandler Harriman z rozmysłem zaplanowała termin rozmowy z Alekssem Wrightem. Miała nadzieję zastać go w domu, toteż zadzwoniła z agencji modelek w Beverly Hills za kwadrans czwarta. W Nowym Jorku dochodziła siódma, więc Alex powinien być już w domu. Ponieważ jednak nikt nie podnosił słuchawki, pomyślała, że pewnie je kolację na mieście i oddzwoni do niej wieczorem.

Dlatego też z pracy pojechała prosto do domu w Palos Verdes. Dochodziła siódma, więc zabrała się, bez większego entuzjazmu, do przygotowania kolacji, złożonej jak zwykle z jajecznicy, grzanki i kawy. Przez ostatnie dwa lata rzadko bywałam wieczorami w domu, pomyślała. Ale bez Jacka to nie to samo. Muszę wyjść do ludzi. Dzisiaj jednak nie chodzi o samotność, po prostu jestem znudzona i niespokojna. Mam dosyć pracy, przyznała w duchu. Jestem gotowa się przeprowadzić do Nowego Jorku, ale nie mam ochoty szukać nowego zatrudnienia. Nie umiem usmażyć nawet zwykłej jajecznicy. Zbyt wysoki płomień pod patelnią przypalił jajka. Pamiętała, jak Jack uwielbiał kręcić się po kuchni. W tym Susan też jest lepsza ode mnie, przyznała. Świetnie gotuje. Z drugiej strony, na co komu taki talent? Kobieta, która poślubi Aleksa Wrighta, nie będzie musiała martwić się o zakupy czy gotowanie, tłumaczyła sobie Dee.

Zdecydowała, że zje w salonie, i właśnie ustawiała wszystko na tacy, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił Alex Wright.

Dziesięć minut później, gdy Dee odkładała słuchawkę na widełki, na jej

twarzy gościł szeroki uśmiech. Zadzwoił, ponieważ mu zależało. Powiedział, że jej głos brzmiał tak smutno, iż pomyślał, że pewnie chce pogadać. Dodał także, że był z Susan na kolacji i zamierza zaprosić ją ponownie w sobotę na uroczysty bankiet z okazji przyznania Bibliotece Miasta Nowy Jork hojnej dotacji z Fundacji Wrightów.

Dee pogratulowała sobie w duchu szybkiej reakcji. Powiedziała, że jadąc do Kostaryki, gdzie zaczyna się rejs, zatrzyma się w Nowym Jorku i spędzi tam cały weekend. Alex złapał przynętę i bez wahania zaprosił ją, aby poszła wraz z nimi.

W końcu, pomyślała Dee, spoglądając na tacę z wystygłą kolacją, Susan jeszcze nie spotyka się z nim na serio.

Po wyjściu Jane Clausen Susan wróciła do papierów. Przed siódmą zadzwoniła do Jeda Geany'ego do domu. – Mamy problem – rzuciła bez zbędnych wstępów. – Zadzwoniłam do Justina Wellsa z pytaniem, czy mogę osobiście przynieść mu kasetę, a on wyparł się wszystkiego. Twierdzi, że wcale o nią nie prosił.

– To dlaczego naciskał, żeby na kopercie umieścić dopisek: „Do rąk własnych”? – spytał rzeczowo Geany. – Susan, mówię ci, ten, kto dzwonił do mnie, robił wrażenie mocno nerwowego faceta. Może Wells nie chce, żeby ktokolwiek dowiedział się, że zależy mu na tym nagraniu. A może już go nie potrzebuje. Pewnie boi się, że każemy mu zapłacić za kasetę. A w ogóle z początku prosił o przegranie jedynie rozmów ze słuchaczami. Sądzę, że tak naprawdę chodziło mu tylko o nie.

– Kobieta, która wczoraj wpadła pod samochód na Park Avenue, jest jego żoną – oznajmiła Susan.

– Widzisz, wszystko się zgadza! Ten biedny facet ma teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Pewnie to racja. Do jutra.

Odłożyła słuchawkę i usiadła, żeby spokojnie wszystko przemyśleć. Tak czy inaczej, spotkam się z Justinem Wellsem, zdecydowała. A na razie przesłucham jeszcze raz nagranie wczorajszych rozmów ze słuchaczami.

Wyjęła kasetę z torebki, włożyła ją do magnetofonu i wcisnęła klawisz przewijania. Pod koniec taśmy zatrzymała ją i włączyła odtwarzanie,

wsluchując się uważnie w każde słowo.

Jak zwykle, słuchacze dzwonili z setką nieistotnych spraw i na tym tle wyróżniała się tylko jedna wypowiedź – rozmowa z kobietą, która przedstawiła się jedynie imieniem – Karen – i która, wyraźnie zdenerwowana, opowiedziała o pierścionku z turkusem.

To o tę rozmowę chodziło Justinowi Wellsowi czy też osobie, która się za niego podawała, pomyślała Susan. Teraz nie będę zastanawiać się dlaczego – to był długi dzień. Włożyła płaszcz, zgasiła światła, zamknęła na klucz drzwi gabinetu i ruszyła korytarzem w kierunku windy.

Powinni zainstalować tu lepsze oświetlenie, pomyślała. W biurach Neddy było zupełnie ciemno, a w długim holu panował nieprzyjemny półmrok. Bezwiednie przyśpieszyła kroku.

Była naprawdę zmęczona i przez chwilę zmagala się z pokusą złapania taksówki. Zwalczyła jednak to pragnienie i, nieco podniesiona na duchu, ruszyła do domu pieszo. Po drodze jeszcze raz przeżywała w myślach wizytę Jane Clausen, zastanawiając się nad podejrzeniami, jakie starsza pani żywiła względem Douglasa Laytona. Niewątpliwie pani Clausen jest bardzo chora. Czy to mogło wpłynąć na jej ocenę Laytona? – zastanawiała się Susan.

Możliwe, że Layton rzeczywiście musiał stawić się na jakimś spotkaniu, rozumowała. Może dzisiejszego poranka po prostu czekał pod drzwiami gabinetu, aż pani Clausen skończy rozmawiać przez telefon.

Ale w takim razie dlaczego kłamał, że nie znał Reginy Clausen? W tej chwili przyszedł jej na myśl Chris Ryan, emerytowany agent FBI, z którym pracowała w prokuraturze hrabstwa Westchester. Obecnie Chris prowadził własną firmę detektywistyczną. Mógłby w dyskretny sposób

zebrać informacje na temat Laytona. Zdecydowała, że zadzwoni rano do pani Clausen i powie jej o tym.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na okolicę, przez którą szła. Wąskie uliczki Greenwich Village zawsze ją fascynowały. Uwielbiała tę niezwykłą mieszankę, jaką stanowiły ciche ulice, zabudowane kamienicami z przełomu wieku, i zatłoczone arterie miejskie, które skręcały w nieoczekiwanych kierunkach i wiły się przez miasto niczym górskie strumienie.

Złapała się na tym, że idąc, podświadomie szuka wzrokiem sklepiku z pamiątkami – takiego jak ten, o którym wspomniała wczoraj Tiffany. Prawdę mówiąc, nie zastanawiała się wiele nad tą rozmową. Tiffany twierdziła, że ma taki sam turkusowy pierścionek jak Karen i że jej chłopak kupił go w Greenwich Village. Żeby go tylko wysłała, modliła się w duchu Susan. Chciałabym porównać go z pierścieniem, który dała mi pani Clausen. A jeśli okaże się, że są identyczne i na dodatek sprzedają je gdzieś tu w pobliżu, być może będzie to pierwszy krok do rozwiązania tajemnicy zniknięcia Reginy.

To zadziwiające, jak chłodne powietrze oczyszcza umysł, stwierdziła Susan, otwierając drzwi mieszkania. Weszła do środka i powtórzyła codzienny rytuał, zakłócony wczoraj niespodziewaną kolacją na mieście. Była ósma wieczorem. Przebrała się w podomkę, poszła do kuchni i wyjęła z lodówki składniki sałatki, którą zaczęła przygotowywać wczoraj, przed niespodziewanym telefonem od Aleksa Wrighta.

Dzisiaj na pewno zostanę w domu, zdecydowała, sięgając do szafki po paczkę makaronu. Czekając, aż zawrze woda na makaron, a sos pomidorowo-bazyliowy podgrzeje się w mikrofalówce, włączyła komputer

i sprawdziła, czy są jakieś wiadomości w poczcie elektronicznej. Jak zwykle było ich sporo, a także znalazło się parę listów chwalących występ doktora Richardsa. Kilka osób sugerowało, żeby Susan ponownie zaprosiła go do programu. Pod wpływem impulsu sprawdziła, czy Richards nie ma czasem swojej strony w Internecie.

Miał. Susan czytała jego życiorys z rosnącym zainteresowaniem: „Dr Donald J. Richards, urodzony w Darien (Connecticut), wychowywał się na Manhattanie. Wykształcenie: college, magisterium w Yale, doktorat z medycyny i psychologii klinicznej na Harvardzie; magisterium z kryminologii na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork. Ojciec, dr Donald R. Richards, zmarł. Matka, Elizabeth Wallace Richards, zamieszkała w Tuxedo Park, w stanie Nowy Jork. Jedynek. Żonaty z Kathryn Carver (zmarła)”.

Po tym następował długi wykaz opublikowanych artykułów i recenzje książki „Znikające kobiety”. Wtem Susan trafiła na informację, która ją zaniepokoiła. Otóż doktor Richards przerwał na rok naukę w college’u i w tym czasie pracował jako asystent kierownika rejsu na statku odbywającym wycieczki dookoła świata. A pod nagłówkiem „Spędzanie wolnego czasu” wspomniano, że często sam bierze udział w krótkich rejsach. Pytany o ulubiony statek, wymienił „Gabrielle”, dodając, że na nim poznał swoją żonę.

Susan wpatrywała się w ekran.

– Przecież właśnie na tym statku Regina Clausen odbyła swą ostatnią podróż – powiedziała na głos.

Pamela została z Justinem Wellsem w poczekalni oddziału intensywnej terapii szpitala Lennox Hill aż do północy. Dopiero wtedy przyszedł lekarz i zmusił ich do pójścia do domu.

– Stan pańskiej żony ustabilizował się – oświadczył Justinowi. – Ale poprawa może nastąpić dopiero za kilka tygodni. Nie pomoże jej pan, jeśli sam się rozchoruje.

– Czy próbowała coś powiedzieć? – zapytał Justin.

– Nie. I nieprędko spróbuje. Na razie jest w głębokiej śpiączce.

Justin sprawiał wrażenie, jakby bał się, że Carolyn coś powie. Ciekawe, dlaczego? – zastanawiała się Pamela. Natychmiast jednak zreflektowała się, że to tylko zmęczenie podsuwa jej tak nedorzeczne przypuszczenia. Wzięła Justina za rękę.

– Idziemy – oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Złapiemy taksówkę i podrzucę cię do domu.

Skinął apatycznie głową i, niczym posłuszne dziecko, pozwolił się wyprowadzić ze szpitala. W taksówce nie odezwał się ani słowem – siedział zgarbiony, ze splecionymi dłońmi, wyglądał jakby z jego ciała odpłynęła cała siła i życie.

– Przyjechaliśmy, Justin – powiedziała Pamela, gdy taksówka zaparkowała przy krawężniku i podszedł do niej portier, aby otworzyć im drzwi.

Odwrócił się i spojrzał na nią tępym wzrokiem.

– To wszystko moja wina – powiedział. – Zadzwoń do Carolyn na

krótko przed wypadkiem. Wiem, że ją zdenerwowałem. Pewnie myślała o tej rozmowie i nie zwracała uwagi na samochody. Jeśli umrze, to tak jakbym ja ją zabił.

Pamela nie zdążyła się odezwać, bo wysiadł już z taksówki. Ale co miałabym mu powiedzieć? – pomyślała. Jeśli Justin zadzwonił do Carolyn w jednym ze swoich napadów zazdrości czy podejrzliwości, to rzeczywiście jego żona mogła być roztrzęsiona i zdenerwowana.

Lecz przecież nie byłaby tak naiwna, żeby pokazywać mu ten pierścionek z turkusem i opowiedzieć o mężczyźnie, od którego go dostała. I dlaczego, na Boga, chciał zdobyć kasetę z nagraniem programu „Spytaj doktor Susan”? To nie ma żadnego sensu.

Gdy taksówka zatrzymała się, aby przepuścić parkujący samochód, przyszedł jej do głowy kolejny scenariusz. Czyżby staruszka z telewizji miała rację i ktoś celowo popchnął Carolyn? A jeśli tak, czy Justin, z sobie tylko znanych powodów, chce, żeby wszyscy uwierzyli, iż Carolyn była roztrzęsiona i bezwiednie weszła prosto pod koła furgonetki?

Wtem Pamela przypomniała sobie coś – kilka słów, które dawno wypadły jej z pamięci. Dwa lata temu, przed wyjazdem na wycieczkę statkiem, Carolyn powiedziała: „Poczucie zagrożenia, jeśli chodzi o trwałość naszego związku, jest u Justina tak silne, że czasami naprawdę się go boję”.

Czasami wychodził w nocy na długi spacer. Zwykle czynił tak, gdy dochodził do punktu, kiedy musiał rozładować nagromadzone napięcie.

Dzisiejszego popołudnia wszystko poszło gładko. Staruszek ze sklepu z pamiątkami zginął bez słowa. W wieczornych wiadomościach nie pojawiła się żadna informacja o jego śmierci, więc były szanse, że nikt nie zwróci większej Uwagi na fakt, że jutro sklep będzie zamknięty.

Dziś wieczorem chciał po prostu przespacerować się, powłóczyć bez celu, dlatego był naprawdę zdziwiony, gdy zorientował się, że zaszedł na Downing Street. To tu mieszka Susan Chandler. Ciekawe, czy jest teraz w domu? – zastanawiał się. Uświadomił sobie, że jego obecność na tej ulicy, zwłaszcza że wcale nie zamierzał tu przychodzić, musi być jakimś znakiem – wskazówką, że powinien powstrzymać Chandler, zanim narobi mu kłopotów. Od wczorajszego poranka musiał wyeliminować już dwie osoby – Hildę Johnson i Abdula, a przecież nigdy nie myślał, że będzie musiał to zrobić. Trzecia, Carolyn Wells, albo umrze sama, albo, jeśli się ocknie, będzie musiała zginąć. Mimo że nie zna jego prawdziwego nazwiska, jeśli zacznie mówić, bez wątpienia powie policji i lekarzom, iż pod samochód wepchnął ją Owen Adams, mężczyzna, którego poznała podczas rejsu.

Chociaż nie było wielkiego zagrożenia, bo żadne informacje na temat Owena Adamsa absolutnie nie wiązały się z nim, nie mógł dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwiło w tym, że Carolyn go rozpoznała, i doskonale potrafił sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli kobieta wróci do zdrowia. Na pewno spotkają się na jakimś przyjęciu czy w restauracji. Nowy Jork jest wielki, ale jak w każdym mieście, ścieżki jego mieszkańców co chwila się przecinają, a kręgi znajomych zazębiają. Wszystko się może zdarzyć.

Rzecz jasna, dopóki jest nieprzytomna, nie stanowi żadnego

zagrożenia. Teraz najbardziej niebezpieczna jest Tiffany, dziewczyna, która dzwoniła wczoraj do doktor Susan Chandler. Idąc Downing Street, złorzeczył w duchu. Pamiętał swoją wizytę w sklepie Parkiego zeszłego roku – myślał, że nie ma tam innych klientów. Z zewnątrz nie było widać, że za parawanem stoi para młodych ludzi.

W chwili, gdy ich spostrzegł, wiedział już, że popełnił błąd. Dziewczyna, jedna z tych młodych, wyzywających kobiet, obserwowała go, dając wyraźnie do zrozumienia, że wpadł jej w oko. To bez znaczenia, gorzej, że dziewczyna z pewnością dobrze go sobie zapamiętała. Jeśli to Tiffany dzwoniła dzisiaj do radia, żeby powiedzieć o pierścionku, i jeśli to ona jest kobietą ze sklepu, należy zamknąć jej usta na zawsze. Jutro zastanowi się, w jaki sposób wydobyć z doktor Chandler informację, czy Tiffany wysłała pierścionek lub napisała jakiś list.

Kolejne piórko na wietrze, pomyślał. Kiedy to się skończy? Trzeba powstrzymać Susan Chandler, i należy zrobić to szybko.

W środę rano Oliver Baker siedział w komisariacie – był zdenerwowany, ale i podekscytowany rolą świadka. W poniedziałek przez cały wieczór opowiadał żonie i nastoletnim córkom, jak to niewiele brakowało, żeby ta furgonetka potrafiła właśnie jego. Gdyby stał trochę bliżej krawężnika w pierwszym rzędzie przechodniów... Tego dnia wspólnie zasiedli przed telewizorem, aby obejrzeć wiadomości o piątej, szóstej i jedenastej i wystąpienie Olivera, którego dopadł jeden z przybyłych na miejsce wypadku reporterów. „O mały włos, a to byłbym ja – tak właśnie sobie pomyślałem, gdy zobaczyłem, jak furgonetka uderza w nią – opowiadał z przejęciem dziennikarzowi. – Znaczący się, widziałem wyraz jej twarzy. Leżała na plecach i widać było, że wie, że zaraz przejedzie ją ten samochód”.

Oliver był pogodnym, życzliwym mężczyzną po pięćdziesiątce. Pracował jako kierownik sprzedaży w supermarkecie D’Agostino i uwielbiał swoją pracę. Szczycił się tym, że najznakomitsi klienci sklepu zwracają się do niego po imieniu, a on może pozwolić sobie na zadawanie im osobistych pytań w rodzaju: „Jak Gordonowi podoba się w nowej szkole, pani Lawrence?”

Swój występ w telewizji uznał za najbardziej podniecające wydarzenie swego życia, a jeszcze większej dramaturgii dodawał fakt, że Olivera poproszono, aby stawił się na posterunku policji w celu szczegółowego zrelacjonowania wypadku.

Teraz siedział na ławce dziewiętnastego posterunku, ściskając w rękach

miękki tweedowy kapelusz, który brat przywiózł mu z Irlandii. Dyskretnie rozglądając się po pomieszczeniu, doszedł do wniosku, że ktoś mógłby sobie pomyśleć, iż to on sam ma kłopoty albo odwiedza kogoś w areszcie. Zacisnął nerwowo usta i zanotował sobie w myśli, aby powiedzieć o tym Betty i dzieciom.

– Kapitan Shea przyjmie pana teraz – oznajmił oficer dyżurny i wskazał palcem za siebie, na otwarte drzwi.

Oliver zerwał się z miejsca, poprawił kołnierzyk koszuli i ruszył szybkim, choć niepewnym krokiem do biura kapitana.

Zapukał, usłyszał ostre: „Wejść”, nacisnął klamkę i ostrożnie otworzył drzwi, jakby bał się, że zniecka ktoś zza nich wyskoczy. Jednak już w chwilę później siedział przy biurku naprzeciw kapitana i pozbywszy się wszelkiej nieśmiałości, z zapalem opowiadał swoją wielokrotnie powtarzaną historię.

– Pan nie stał bezpośrednio za panią Wells, prawda? – wtrącił kapitan.

– Nie, proszę pana. Stałem trochę z boku, po lewej stronie.

– Czy zwrócił pan na nią uwagę przed wypadkiem?

– Chyba nie. Tam było sporo ludzi. Doszedłem do krawężnika w momencie, gdy światło zmieniło się na czerwone, więc zanim z powrotem pojawiło się zielone, na rogu zebrał się całkiem niezły tłum.

To do niczego nie prowadzi, pomyślał Tom Shea. Oliver Baker jest dziesiątym świadkiem, którego przesłuchuję, i jak to zwykle bywa, każdy ma własną wersję wydarzeń. Tylko Hilda Johnson zdecydowanie twierdziła, że Carolyn Wells ktoś popchnął – ale Hilda nie żyje. Każdy ze świadków, pytany, czy pani Wells niosła coś w ręce, miał na ten temat inne zdanie. Dwoje było przekonanych, że miała pod pachą szarą kopertę,

trójka nie była pewna, a pozostali upierali się, że nie niosła niczego. I znowu tylko Hilda stanowczo twierdziła, że ktoś wyrwał pani Wells kopertę, zanim ją popchnął.

Oliver chciał koniecznie opowiadać dalej.

– A musi pan wiedzieć, kapitanie, że zeszłej nocy śniły mi się koszmary; nie mogę zapomnieć o tej biednej kobiecie leżącej bezwładnie na jezdni.

Kapitan Shea obdarzył Olivera współczującym uśmiechem, zachęcając mężczyznę do mówienia.

– To znaczy – ciągnął Oliver – tak jak mówiłem Betty... – Urwał. – Betty to moja żona. No więc mówiłem jej, że pewnie ta biedna kobieta wyszła z domu tylko na chwilę, pobiegła na pocztę i nie przypuszczała, że przytrafi jej się coś takiego.

– Dlaczego myśli pan, że szła na pocztę? – zainteresował się Shea.

– Bo trzymała pod pachą szarą kopertę z naklejonym znaczkiem.

– Jest pan tego pewien?

– Tak, jestem pewien. Myślałem, że wysunęła jej się spod ręki, bo gdy światło zmieniło się na zielone, ona próbowała się odwrócić i straciła równowagę. Ten człowiek za nią chyba chciał ją podtrzymać i pewnie dlatego koperta znalazła się w jego rękach. Ta staruszka wszystko pokręciła. Ciekawe, czy ten człowiek wysłał jej list? Ja bym tak zrobił.

– Czy przyjrzał się pan temu mężczyźnie, który zabrał kopertę? – spytał Shea.

– Nie. Cały czas patrzyłem na panią Wells.

– A ten człowiek – czy próbował jej pomóc?

– Nie, nie sędzę. Mnóstwo ludzi się odwróciło – jedna kobieta niemal

zemdlała. Kilku mężczyzn rzuciło się na pomoc i chyba wiedzieli, co robią, bo głośno krzyčili, żeby się cofnąć.

– I nie ma pan pojęcia, jak wyglądał człowiek, który zabrał kopertę, próbując podtrzymać panią Wells?

– No cóż... Miał na sobie burberry – oznajmił Oliver. Był z siebie dumny, że powiedział „burberry”, a nie po prostu „płaszcz nieprzemakalny”.

Po wyjściu Olivera Bakera kapitan Shea odchylił się na oparcie krzesła i założył ręce na piersi. Intuicja podpowiadała mu, że istnieje jakiś związek pomiędzy twierdzeniem Hildy Johnson, jakoby ktoś popchnął Carolyn Wells, a śmiercią staruszki w kilka godzin później. Tyle że nikt z obecnych na miejscu wypadku nie potwierdził wersji Hildy. Zawsze też istniała możliwość, że jakiś świr zobaczył Hildę w telewizji i bez żadnej przyczyny postanowił ją zabić.

Jeśli właśnie tak było, musiał przyznać kapitan, to znaczy, że jak wiele ofiar nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, Hilda Johnson i Carolyn Wells po prostu znalazły się o niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

W środę rano Douglas Layton miał gotową całą strategię. Wiedział, że ma jeszcze sporo do zrobienia, jeśli chce ułagodzić Jane Clausen przed swoim wyjazdem, ale przez kilka bezsennych godzin o świcie ułożył sobie w głowie dokładny plan.

Jakże często matka powtarzała mu zaniepokojona, przerażona i zapłakana, żeby nie szukał sobie kłopotów.

– Przypomnij sobie, jak twój ojciec przegrał swoje życie. Doug, nie bądź taki jak on – prosiła. – Bądź jak twoi kuzyni.

Pewnie, pomyślał z roztargnieniem Doug, wstając z łóżka. Łatwo powiedzieć: „Bądź taki jak twoi kuzyni”. Za nimi stała wielopokoleniowa fortuna, oni nie musieli martwić się o stypendia, nazwisko automatycznie otwierało przed nimi podwoje najlepszych szkół.

Przypomniawszy sobie, jak jeszcze w szkole średniej nauczycielka matematyki przyłapała go w swoim gabinecie. Wtedy udało mu się wykręcić kota ogonem i wybrnąć z całej sytuacji, pytając, jak gdyby nigdy nic, czy coś się stało. Powiedział jej, że otrzymał wiadomość, z której wynikało, że nauczycielka chce się z nim zobaczyć w jakiejś pilnej sprawie. Skończyło się na tym, że przeprosiła go, mówiąc, iż można by pomyśleć, że uczniowie mają coś ciekawszego do roboty, niż zabawianie się wysyłaniem głupich liścików.

Do tej pory zawsze udawało mu się wykręcić z kłopotów. Teraz jednak chodziło o coś więcej niż stopień ze sprawdzianu – tym razem stawka była o wiele wyższa.

Wiedział, że pani Clausen zwykle je śniadanie wcześniej i jeśli nie idzie na jakieś zebranie lub do lekarza, z całą pewnością siedzi jeszcze w salonie przy małym stoliku pod oknem, popijając drugą filiżankę kawy. Powiedziała mu kiedyś, że patrzenie na wzburzone wody East River uspokajają. „Całe nasze życie jest niczym nurt rzeki, Douglasie – powiedziała wtedy. – Kiedy robi mi się smutno, widok rzeki przypomina mi, że nie da się sprawować całkowitej kontroli nad własnym życiem”.

Zawsze z przyjemnością zgadzała się, żeby wpadł na kawę i pomógł jej zastanowić się nad tą czy inną darowizną, którą mieli omawiać na następnym zebraniu zarządu. Jego rady zawsze, z wyjątkiem jednej sprawy, były rozsądne i pani Clausen nauczyła się ufać mu i polegać na jego wiedzy. Tylko w tym konkretnym wypadku wprowadził ją w błąd, ale był bardzo ostrożny, więc nie powinna niczego podejrzewać.

Jane Clausen nie ma nikogo bliskiego, rozważał, biorąc prysznic i wkładając starannie wybrany, klasyczny granatowy garnitur. A, było jeszcze coś – na wczorajsze spotkanie przyszedł w marynarce i jaśniejszych spodniach. To był błąd, pani Clausen nie pochwaliała niedbałego ubioru, jak zwykła go nazywać, na zebraniach zarządu.

Mam za dużo na głowie, denerwował się Doug. Ale Jane Clausen jest samotna i chora – nietrudno ją będzie ułagodzić.

Jadąc taksówką na Beekman Place, powtarzał w myślach historię, którą ją uraczy.

Mimo że tłumaczył portierce, iż był umówiony i nie chce niepokoić pani Clausen, ta uparła się, że go zaanonsuje. Kiedy wyszedł z windy, w lekko uchylonych drzwiach mieszkania czekała już na niego gospodyni. Zaniepokojona oznajmiła mu, że pani Clausen nie czuje się najlepiej, i

zasugerowała, żeby zostawił wiadomość.

– Vero, muszę zobaczyć się z panią Clausen. Zajmę jej tylko chwilę – powiedział stanowczo Doug, zniżając głos. – Wiem, że je śniadanie. Wczoraj w biurze źle się poczuła, a kiedy zaproponowałem, że wezwę lekarza, zdenerwowała się. Wiesz, jaka jest, gdy jej coś dolega. – Widząc niepewne spojrzenie Vero, dodał szeptem: – Oboje ją kochamy, a ja chcę jej pomóc. – Ujął ją za łokieć i delikatnie odsunął. Nie czekając na reakcję, szybkim krokiem przeszedł przez foyer i mijając rozsuwane drzwi, wszedł do jadalni.

Jane Clausen czytała „Timesa”. Słyszając kroki, podniosła głowę nad gazety. Przez chwilę w jej oczach malowało się zdumienie, ale Doug dojrzał w nich jeszcze coś – czyżby strach? Jest gorzej, niż podejrzewałem, pomyślał. Uświadomił sobie, że najdalej za kilka godzin Jane Clausen znowu wyląduje w szpitalu. Jej skóra przybrała nieprzyjemnie szary odcień.

Nie czekając, aż się odezwie, powiedział:

– Pani Clausen, strasznie się martwiłem, że źle pani zinterpretowała moje wczorajsze słowa. Myliłem się, twierdząc, jakoby Regina mówiła, że sierociniec w Gwatemali jest jej ulubioną instytucją i, naturalnie, wyraziłem się nieprecyzyjnie, co sugerowało, że ona sama mi o tym powiedziała. Tak naprawdę to dowiedziałem się o tym od pana Marcha, kiedy zostałem wybrany na członka zarządu. Opowiadał wiele o tym sierocińcu, mówił, że Regina pojechała tam z wizytą i bardzo przejęła się dolą jego mieszkańców.

Ta historyjka trzymała się kupy. Rzecz jasna, March nie będzie pamiętał, że mówił coś takiego, ale ponieważ panicznie boi się sklerozy,

za nic w świecie nie przyzna się do tego.

– Hubert wspomniał ci o tym? – spytała spokojnie Jane. – Był dla Reginy jak wuj. Z pewnością opowiedziała mu o swoich wrażeniach z wizyty w sierocińcu.

Doug natychmiast zorientował się, że wybrał dobrą strategię.

– Jak pani doskonale wie, wybieram się do Gwatemali w przyszłym tygodniu, więc zarząd otrzyma relację z pierwszej ręki na temat postępu prac w sierocińcu. Wiem, że ostatnio narzeka pani trochę na zdrowie, ale może wybrałaby się pani ze mną? Zobaczyłaby pani na własne oczy, jak wspaniale zajmują się tam biednymi sierotkami. Jestem przekonany, że wtedy pozbędzie się pani wszystkich wątpliwości i zrozumie, jak wielkie znaczenie ma dla nich nasze wsparcie. A ja obiecuję, że nie opuszczę pani ani na chwilę.

Rzecz jasna, Layton wiedział, że Jane Clausen nie zdecyduje się na taką wyprawę, ale z uwagą czekał na jej odpowiedź. Pokręciła głową przecząco.

– Bardzo bym chciała, ale to niemożliwe.

Oczyma wyobraźni widział topiący się lód. Uwierzyła, pomyślał, gratulując sobie w duchu. Teraz zostało już tylko jedno.

– Muszę przeprosić panią za to, że zostawiłem ją bez opieki u doktor Chandler – zaczął. – Miałem umówione spotkanie, ale powinienem był je przełożyć. Problem w tym, że nie mogłem skontaktować się z klientką, a ona miała przyjechać aż z Connecticut.

– Zaskoczyłam cię – przyznała Jane Clausen. – Niestety, wchodzi mi to chyba w nawyk. Wczoraj zrobiłam to samo. Zmusiłam pewną osobę, żeby spotkała się ze mną bez uprzedzenia.

Wiedział, że ma na myśli Susan Chandler. Ile powiedziała tej kobiecie?
– zastanawiał się. Czy mówiła o nim? Tak, z pewnością.

Kiedy kilka minut później zbierał się do wyjścia, postanowiła, że odprowadzi go do drzwi. Gdy przekraczał próg, spytała zniemacka:

– Czy często widzisz się z kuzynami z Filadelfii? Sprawdza mnie, pomyślał Doug.

– Ostatnio nie – odparł szybko. – Jako dziecko często ich widywałem. Gregg i Corey byli moimi idolami. Ale kiedy moi rodzice się rozstali, straciliśmy kontakt. Nadal myślę o nich jak o starszych braciach, chociaż nasze matki chyba się nie cierpią. Przypuszczam, że kuzynka Elizabeth uważa moją matkę za kogoś gorszego od siebie.

– Robert Layton był cudownym człowiekiem, ale Elizabeth zawsze zachowywała się trochę nieprzyjemnie.

Jadąc windą, Doug uśmiechał się szeroko. Wizyta zakończyła się pełnym sukcesem. Wrócił do łask Jane Clausen i z powrotem znajduje się na dobrej drodze do fotela prezesa fundacji. Jedno jest pewne: od dziś aż do końca dni pani Clausen on nie popełni żadnych więcej błędów.

Wychodząc z budynku, nie omieszkał zamienić kilku słów z portierką i wręczyć napiwku odźwiernemu, który przywołał mu taksówkę. Takie drobne uprzejmości opłacają się. Niewykluczone, że któreś z nich napomknie w razie potrzeby, jaki to pan Layton jest miły.

Zaledwie taksówka ruszyła, z twarzy Douga Laytona zniknął wyraz zadowolenia. O czym pani Clausen rozmawiała z doktor Chandler? – zastanawiał się. Chandler była psychologiem, ale miała też niezły umysł prawniczy. Cóż, trudno, on jednak powinien się pilnować, bo Susan Chandler będzie pierwszą, która odkryje fałszywy ton.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Przed dziewiątą będzie w biurze. Ma więc jeszcze dobrą godzinę na nadgonienie papierkowej roboty, zanim rozpocznie się program „Spytaj doktor Susan”.

W środę Susan obudziła się o szóstej. Wstała z łóżka, poszła pod prysznic, umyła włosy i z nabytą przez lata wczesnego wstawania rutyną wysuszyła je szybko. Mysi blond, pomyślała, z niesmakiem spoglądając w lustro i poprawiając kilka niesfornych kosmyków. Cóż, przynajmniej naturalnie układają się w fale i nie ma z nimi dużo roboty.

Przez chwilę przyglądała się taksująco swemu odbiciu w lustrze. Brwi – za grube. I co z tego? Nic na to nie poradzi, a nie zamierza ich skubać. Cera w porządku. Przynajmniej z tego może być zadowolona. Nawet jaśniejsza blizna na czole – efekt bliskiego spotkania z ostrzem łyżwy Dee wiele lat temu – jest prawie niewidoczna. Usta, podobnie jak brwi, są zdecydowanie za szerokie; nos – prosty – może być. Brązowe oczy, takie same jak u mamy, i broda, mocno zarysowana, znamionująca upór.

Przypomniała sobie, jak jeszcze w szkole Najświętszego Serca Jezusowego, do której uczęszczała, siostra Beatnce powiedziała kiedyś jej matce: „Susan ma w sobie pewną zaciętość, ale w jej wypadku to zaleta. Kiedy w ten szczególny sposób wysuwa brodę, wiem, że dzieje się coś, co jej się nie podoba”.

Teraz istnieje też sporo rzeczy, które chciałabym zmienić, pomyślała Susan, a przynajmniej zbadać – mam już gotową całą listę.

Poszła do kuchni, żeby wycisnąć sok z grejpfruta i zrobić kawę. Zabrała oba napoje do sypialni i zaczęła się ubierać. Zdecydowała, że włoży dzisiaj spodnie i żakiet z wielbłądziej wełny oraz brązowy kaszmirowy golf, wszystko kupione na wyprzedaży. We wczorajszej

prognozie pogody zapowiadano, że szykuje się kolejny „przejściowy” dzień – jeden z tych, gdy w płaszczu jest za gorąco, a w samej marynarce za chłodno. Ten zestaw będzie w sam raz, uznała Susan. A jeśli nie zdąży wrócić po pracy do domu, mogę iść tak ubrana na kolację z doktorem Richardsem. Tym samym, którego ulubionym liniowcem jest „Gabrielle”.

Tym razem, by zaoszczędzić na czasie, zrezygnowała ze spaceru i pojechała do pracy taksówką, więc była na miejscu już piętnaście po siódmej. Wchodząc do budynku, spostrzegła ze zdziwieniem, że chociaż drzwi prowadzące do holu są otwarte, przy biurku strażnika nie ma nikogo. Bezpieczeństwo tego budynku to po prostu fikcja, stwierdziła ponuro, wchodząc do windy. Ostatnio dom zmienił właściciela i Susan zaczęła dochodzić do wniosku, że brak ochrony może stanowić element dyskretnej kampanii, mającej na celu pozbycie się starych najemców i podniesienie czynszu. Czas przeczytać to, co w umowie najmu napisano drobnym drukiem, uznała, wychodząc z windy. Natychmiast zauważyła, że całe piętro spowijają egipskie ciemności. To idiotyczne, wymruczała, szukając po omacku kontaktu.

Zapalenie światła niewiele pomogło. I nic dziwnego, pomyślała Susan, widząc, że w lampach na korytarzu brakuje kilku żarówek. Ciekawe, kto teraz zarządza budynkiem? – zastanawiała się. Czyżby Moe, Larry i Curly? Zanotowała sobie w pamięci, żeby porozmawiać z zarządcą kamienicy, ale gdy tylko stanęła w progu swego biura, cała jej złość zniknęła bez śladu. Natychmiast zabrała się do pracy. W ciągu godziny zdołała załatwić zaległą korespondencję, a potem zaczęła wcielać w życie plan obmyślony zeszłego wieczoru.

Postanowiła, że odwiedzi Justina Wellsa w jego biurze, dowie się, o co chodziło z tą kasetą, i powie mu, że jej zdaniem, tajemniczą rozmówczynią była właśnie jego żona. Jeśli nie zastanie go w pracy, odtworzy ten fragment poniedziałkowego programu jego sekretarce lub recepcjonistce. Zdecydowanie najciekawszą częścią programu była rozmowa z ową Karen, która opowiedziała o tym, że na statku wycieczkowym poznała mężczyznę i dostała od niego pierścionek, najwyraźniej taki sam, jak znaleziony w rzeczach Reginy Clausen. Jeśli, jak podejrzewała Susan, Wells rzeczywiście prosił o nagranie audycji, to być może kobieta ukrywająca się pod imieniem Karen zostanie rozpoznana przez kogoś z jego współpracowników. A poza tym czy to, że żona Wellsa miała wypadek w kilka godzin po tej rozmowie, było naprawdę tylko niezwykłym zbiegiem okoliczności?

Susan przejrzała uważnie resztę notatek, zwracając uwagę na punkty, które nadal nie dawały jej spokoju. „Staruszka – świadek wypadku”. Czy Hilda Johnson miała rację, twierdząc, że Carolyn ktoś popchnął? I druga wątpliwość: czy zamordowanie pani Johnson w kilka godzin później było kolejnym dziełem przypadku? Tiffany. Zadzwoiła, żeby powiedzieć, że ma taki sam turkusowy pierścionek z wygrawerowanym napisem, jak Regina i Karen. Czy go wysłała?

Będę musiała wspomnieć o niej w dzisiejszym programie, pomyślała Susan. Możę przynajmniej zadzwoni, chociaż prawdę mówiąc, powinnam spotkać się z nią osobiście. Jeśli pierścionek jest rzeczywiście identyczny, muszę przekonać ją, żeby do mnie przyszła. Nie może nie pamiętać, gdzie został kupiony. A nawet jeśli nie pamięta, może jej chłopak sobie przypomni?

Następne miejsce na jej liście zajmował Douglas Layton. Gdy Jane Clausen była wczoraj w jej gabinecie i opowiadała o nim, widać było, że naprawdę się boi. A Layton bez wątpienia zachowuje się podejrzanie, uznała Susan. Weźmy choćby sposób, w jaki wymigał się od ewentualnego spotkania z Susan w poniedziałek. Wygląda na to, że boi się tej Karen. Ale dlaczego?

Ostatni punkt dotyczył Donalda Richardsa. Tu też było kilka niewytłumaczalnych zbiegów okoliczności: dlaczego jego ulubionym statkiem jest właśnie „Gabrielle”, a tematem swojej debiutanckiej książki uczynił kobiety, które zniknęły bez śladu? Czy pod powierzchownością czarującego mężczyzny kryje się coś więcej? – zastanawiała się Susan.

Odsunęła krzesło od biurka i wstała. Nedda z pewnością jest już u siebie i pewnie właśnie parzy kawę. Susan zamknęła zewnętrzne drzwi i wsuwając klucz do kieszeni, ruszyła korytarzem do biura przyjaciółki.

Tak jak wczoraj, drzwi od kancelarii Neddy nie były zamknięte na klucz. Susan minęła recepcję i wiedziona nęcącym aromatem parzonej kawy, weszła do kuchni. Znalazła tam Neddę. Jej przyjaciółka jak zwykle przyniosła coś słodkiego – tym razem było to ciasto migdałowe, które podgrzała w piekarniku, a teraz kroїła na kawałki.

Odwróciła się, słysząc kroki Susan, i uśmiechnęła szeroko.

– Widziałam światło w twoim gabinecie i byłam pewna, że zaraz się tu zjawisz. Twój siódmy zmysł nigdy cię nie zawodzi – zawsze wyczujesz, że byłam w cukierni.

Susan wyjęła z szafki drugą filiżankę i podeszła do dzbanka z kawą.

– Dlaczego nie zamykasz się od środka, kiedy siedzisz tu sama? spytała.

– Nie mam czego się bać – wiedziałam, że jesteś u siebie. Co słyhać na froncie rodzinnym?

– Na razie, dzięki Bogu, spokój. Wygląda na to, że mama doszła do siebie po rocznicowej chandrze, a Charles zadzwonił do mnie, żeby spytać, czy też uważam, że jego przyjęcie było bombowe. Prawdę mówiąc, trudno mi się z nim nie zgodzić, zważywszy, że poznałam u niego pewnego interesującego mężczyznę. To znajomy Binky – Alex Wright. Światowy, atrakcyjny – prowadzi rodzinną firmę. Całkiem miły facet.

Nedda uniosła brwi. – Matko Przenajświętsza, jak mawiała moja mama – jestem pod wrażeniem! Fundacja Wrightów każdego roku wydaje majątek na darowizny. Spotkałam Aleksa kilka razy. Chyba jest trochę małomówny i najwyraźniej źle czuje się w świetle reflektorów, ale z tego, co słyszałam, to bardzo porządny facet – niejeden z tych, co to myślą, że będąc w zarządzie, nie muszą już nic robić. Jego dziadek zbił majątek, a ojciec go pomnożył. Jak twierdzą niektórzy, w chwili śmierci obaj mieli jeszcze pieniądze, które dostali z okazji pierwszej komunii! Słyszałam, że Alex to pragmatyk, ale chyba nie jest taki sam jak oni. Czy jest sympatyczny?

– Jest miły, bardzo miły – powiedziała Susan, nieco zaskoczona ciepłym tonem własnego głosu. Rzuciła okiem na zegarek. – Dobra, już mnie tu nie ma. Muszę zadzwonić w kilka miejsc. – Wzięła wielki kawał ciasta zawinięty w papierową serwetkę i filiżankę z kawą. – Dzięki za zestaw pierwszej pomocy.

– Do usług. Wpadnij wieczorem na lampkę wina.

– Dziękuję, ale dzisiaj nie mogę. Umówiłam się na kolację. Opowiem ci o nim jutro.

Kiedy Susan weszła do swojego biura, zobaczyła, że Janet już jest i właśnie rozmawia przez telefon.

– Proszę chwilę poczekać, właśnie weszła – powiedziała Janet do słuchawki. Zakryła mikrofon dłonią i oznajmiła: – Alex Wright. Mówi, że to sprawa osobista. Był bardzo rozczarowany, gdy powiedziałam mu, że pani wyszła. Założę się, że jest uroczy.

Susan zignorowała ostatnią uwagę i odparła:

– Powiedz mu, że już odbieram. – Weszła do gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi, położyła ciasto na biurku i podniosła słuchawkę. – Cześć, Alex.

W jego głosie słychać było rozbawienie.

– Twoja sekretarka ma rację. Rzeczywiście byłem rozczarowany, aczkolwiek muszę przyznać, że nikt jeszcze nie określił mnie słowem „uroczy”. Uważam to za komplement.

– Janet ma okropnie denerwujący zwyczaj zasłaniania słuchawki ręką, po to tylko, żeby wygłosić gromkim głosem opinię na temat rozmówcy.

– Mimo to polechtała moją próżność. – Po czym dodał poważniejszym tonem: – Pół godziny temu dzwoniłem do ciebie do domu. Sądziłem, że wypada zadzwonić o tej godzinie, skoro o dziewiątej jesteś już w pracy.

– Dziś przyszedłem o pół do ósmej. Lubię wcześniej zaczynać dzień. Kto rano wstaje... i tak dalej.

– To tak jak ja – też jestem rannym ptaszkiem. Stara szkoła mojego ojca. On uważał, że każdy, kto wstaje później niż o szóstej rano, traci najlepsze okazje zarobienia pieniędzy.

Susan przypomniała sobie, co na temat ojca Aleksa powiedziała jej Nedda.

– A ty dzielasz jego zdanie?

– Broń Boże! Wręcz przeciwnie, w dni, kiedy nie mam zebrań, zdarza mi się leżeć brzuchem do góry czy też pracować w łóżku. Robię tak właśnie dlatego, że wiem, jakby go to irytowało.

Susan roześmiała się głośno.

– Uważaj, co mówisz. Rozmawiasz z psychologiem.

– O Boże, zapomniałem. Ale naprawdę to żal mi mojego ojca. Takie mnóstwo rzeczy go ominęło. Nie sądzę, żeby wiedział, jak cudownie mogą pachnieć kwiaty. Pod wieloma względami był wspaniałym człowiekiem, ale... Nieważne. Nie zadzwoniłem po to, żeby dyskutować o nim ani o moich domowych zwyczajach. Chciałem tylko powiedzieć, że w poniedziałek świetnie się bawiłem i mam nadzieję, że nie zaplanowałaś nic na sobotni wieczór. Fundacja przekazała pokaźną sumę pieniędzy na rzecz Biblioteki Miasta Nowy Jork, a konkretnie dla działu „białych kruków”, i w związku z tym zostaliśmy zaproszeni na uroczystą kolację, która odbędzie się w Rotundzie McGrawa, głównym budynku biblioteki przy Piątej Alei. To nic wielkiego – będzie jakieś czterdzieści osób. Z początku chciałem się wykręcić, ale chyba jednak muszę tam iść, a jeśli ty pójdziesz ze mną, ten wieczór może okazać się całkiem przyjemny.

Susan słuchała w milczeniu. Nie mogła udawać, że nie jest zadowolona

– Alex wyraźnie starał się jej przypocholebić.

– To bardzo miło z twojej strony. Tak, nie mam żadnych planów i z przyjemnością z tobą pójde – powiedziała serdecznym tonem.

– To cudownie. Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej, jeśli ci to odpowiada.

– W porządku. – Nagle zawahał się i dodał niepewnie: – A przy okazji,

Susan, rozmawiałem z twoją siostrą.

– Z Dee! – Susan nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Tak. Poznałem ją na przyjęciu u Binky, już po twoim wyjściu. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie i zostawiła wiadomość, więc oddzwoniłem. Przyjeżdża na weekend do Nowego Jorku. Mówiłem jej, że zapraszam cię na kolację, i zaproponowałem, żeby wybrała się z nami. Robiła wrażenie dosyć przygnębionej.

– To miło z twojej strony – odparła.

Susan chwilę później odłożyła słuchawkę i zaczęła popijać zimną kawę. Nagle przeszła jej ochota na ciasto. Dobrze pamiętała, jak siedem lat temu Dee zadzwoniła do Jacka, opowiadając mu, że jest bardzo niezadowolona ze swoich ostatnich zdjęć. Zaproponowała mu wtedy, żeby obejrzał je i doradził jej coś w tej kwestii.

I to był początek końca mojego związku z Jackiem, stwierdziła Susan z goryczą. Czyżby historia miała się powtórzyć?

Tiffany nie spała zbyt dobrze. Była zbyt podniecona perspektywą przesłania wiadomości byłemu chłopakowi za pośrednictwem programu „Spytaj doktor Susan”. W końcu o ósmej rano usiadła na łóżku, opierając się o poduszki.

– Doktor Susan – powtarzała na głos przygotowany wcześniej tekst. – Bardzo tęsknię za moim chłopakiem, Mattem. To dlatego, mówiąc pani wczoraj o pierścionku, byłam taka złośliwa. Sporo później myślałam o tej rozmowie i przykro mi, ale doszłam do wniosku, że nie mogę wysłać pani tego pierścionka. Tak naprawdę to bardzo go lubię, ponieważ przypomina mi Matta.

Miała nadzieję, że doktor Susan nie będzie na nią zła.

Tiffany podniosła lewą dłoń i popatrzyła uważnie na turkusowy pierścionek, który znów nosiła na palcu. Westchnęła głośno. Jak się nad tym dobrze zastanowić, stwierdziła, to pierścionek wcale nie przyniósł jej szczęścia. Matt od początku bał się, że Tiffany będzie robić sobie zbyt wielkie nadzieje ze względu na napis: „Jesteś tylko moja”. W końcu, zaledwie kilka dni później, doszło do potężnej kłótni, po której się rozstali.

To prawda, że drażniłam się z nim trochę na ten temat, przyznała Tiffany, z rzadkim u siebie poczuciem realizmu, ale bądź co bądź, nieźle się bawiliśmy we dwoje. Może gdy Matt usłyszy, że mówię o nim w radiu, przypomni sobie wszystkie szczęśliwe chwile i zechce do mnie wrócić.

Jeszcze raz układała sobie w głowie to, co powie doktor Susan, i doszła do wniosku, że powinna położyć większy nacisk na Matta. „Doktor Susan,

chcę przeprosić za to, co wczoraj powiedziałam, i wyjaśnić, dlaczego nie mogę wysłać pani tego pierścionka, tak jak obiecałam. Mój były chłopak, Matt, kupił mi go na pamiątkę pewnego miłego dnia, kiedy wybraliśmy się na Manhattan. Właśnie wyszliśmy z baru sushi, gdzie zjedliśmy fantastyczny lunch”.

Tiffany wzdrygnęła się na wspomnienie oślizgłej ryby, którą zamówił Matt. Ona uparła się, że nie tknie surowego mięsa.

„A potem poszliśmy do kina na świetny film... „

Nudny jak flaki z olejem, pomyślała. Dobrze pamiętała, jak kręcąc się na twardym fotelu, próbowała przetrzymać jakoś przydługie sceny, w których nikt nie odzywał się ani słowem. A kiedy w końcu nastąpiły jakieś dialogi, całą uwagę musiała skupić na tych durnych napisach w dole ekranu. Idiotyczny film!

Ale to właśnie w kinie Matt wziął ją za rękę, nachylił się do niej i szepnął: „Prawda, że jest cudownie?”

„W każdym razie, doktor Susan, chociaż może to tylko niezbyt wartościowa pamiątka, dla mnie jest ważna – przypomina mi o szczęśliwych dniach z Mattem. Nie tylko o tym jednym, ale o wielu innych”.

Tiffany wstała z łóżka i ociągając się, wykonała kilka przysiadów. Z tym też musi coś zrobić. Chociaż wciąż jest bardzo szczupła, w ostatnim roku przytyła parę funtów i teraz należałoby się ich pozbyć. Tak na wszelki wypadek, gdyby Matt zadzwonił i się z nią umówił.

W końcu, po zrobieniu, jak się jej wydawało, stu przysiadów, dopracowała swoje wystąpienie w radiu i była z niego bardzo zadowolona. Postanowiła, że musi dodać jeszcze jedno – powie, że jest kelnerką w

barze The Grotto w Yonkers. Jej szef, Tony Sepeddi, będzie zachwycony.

A gdy Matt dowie się, że zatrzymałam ten pierścionek na pamiątkę naszej znajomości, i przypomni sobie, jak nam było ze sobą dobrze, nie będzie miał wyjścia – musi do mnie wrócić, pomyślała z rozmarzeniem Tiffany. Chociaż matka powtarzała jej zawsze: „Pokazuj, że ci zależy, a ucieknie, uciekaj, a będzie mu na tobie zależeć”.

Tutaj wszyscy są napięci jak struny, pomyślała Susan, stojąc w wyłożonym drewnem holu firmy architektonicznej Benner, Pierce i Wells przy Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej. Czekala, aż młoda, nerwowa recepcjonistka, Barbara Gingras, jak głosił identyfikator, poinformuje Justina Wellsa o jej przybyciu. Nie była zdziwiona, gdy kobieta oznajmiła:

– Doktor Susan, to znaczy doktor Chandler, nie była pani umówiona, a pan Wells nie może, niestety, przyjąć pani teraz.

Susan spostrzegła, że dziewczyna zna jej nazwisko z radia, i postanowiła zaryzykować.

– Pan Wells dzwonił do mojego producenta i prosił o kopię poniedziałkowego programu „Spytaj doktor Susan”. Barbaro, naprawdę bardzo mi zależy, żeby wręczyć mu ją osobiście.

– A więc uwierzył mi? – spytała Barbara z wyraźnym ożywieniem. – Mówiłam mu, że w poniedziałek puścili w radiu telefon od Carolyn, to znaczy jego żony. Zawsze staram się słuchać pani programu i wtedy też miałam włączone radio. Przecież znam jej głos! A wyglądało na to, że pan Wells zdenerwował się, gdy mu o tym powiedziałam. Dlatego nie wracałam już więcej do tego tematu. No, a potem jego żona uległa temu strasznemu wypadkowi i biedak nie miał głowy do innych spraw.

– Rozumiem – wtrąciła Susan. Tymczasem przygotowała kasetę z telefonem od Karen. Teraz wyjęła magnetofon, postawiła go na biurku i włączyła odtwarzanie. – Barbaro, możesz przez chwilę posłuchać?

Ściszyła magnetofon i wraz z recepcjonistką wysłuchała raz jeszcze

zwierzeń kobiety, która przedstawiła się jako Karen. Barbara kiwała potakująco głową.

– Tak, jestem pewna. To Carolyn Wells – odezwała się. – I to co mówi, też się zgadza. Zaczęłam tu pracować mniej więcej w tym samym czasie, gdy ona odeszła od pana Wellsa. Trzeba było widzieć, jak się cieszył, gdy w końcu się pogodzili. Najwyraźniej świata za nią nie widzi. A teraz, od czasu tego wypadku, znowu jest nie do życia. Słyszałam, jak powiedział któremuś ze współpracowników, że lekarz twierdzi, że stan pani Wells nie ulegnie zmianie przez wiele dni i dlatego on musi się trzymać – jeszcze tego brakowało, żeby sam też się rozchorował.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn. Przechodząc przez recepcję, zerkali ciekawie na Susan. Barbara Gingras nagle zrobiła się niespokojna.

– Doktor Susan, nie powinnam z panią rozmawiać. To byli moi szefowie i nie chcę mieć nieprzyjemności. A jeśli pan Wells wyjdzie ze swojego gabinetu i zobaczy, że z panią gawędzę, wścieknie się.

– Rozumiem – odrzekła Susan, chowając magnetofon do torebki. Jej podejrzenia sprawdziły się; teraz musiała zastanowić się nad następnymi krokami. – Jeszcze jedno, Barbaro. Wellswowie mają znajomą imieniem Pamela, prawda? Czy widziałaś ją kiedyś?

Barbara ściągnęła brwi w skupionym namyśle, a po chwili jej twarz się rozjaśniła.

– Ach, mówi pani o doktor Pamelii Hastings. Wykłada na Columbii. Jest starą przyjaciółką pani Wells. Wiem, że przez większość czasu siedziała w szpitalu razem z panem Wellsem.

Teraz Susan wiedziała już wszystko.

– Dziękuję, Barbaro.

– Bardzo lubię pani program, doktor Susan. Susan uśmiechnęła się.

– Dziękuję. – Pomachała na pożegnanie ręką i otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. Ledwo opuściła biuro, natychmiast wyjęła z torebki telefon komórkowy i zadzwoniła do informacji. – Proszę podać mi numer centrali uniwersytetu Columbia – powiedziała.

Doktor Donald Richards pojawił się w recepcji na piętnastym piętrze budynku przy Broadwayu 1440 w środę rano, punktualnie o dziewiątej.

– Byłem gościem programu „Spytaj doktor Susan” wczoraj i w poniedziałek – oznajmił zaspanej kobiecie za biurkiem. – Poprosiłem o kasety z nagraniem tych audycji, ale potem śpieszyłem się i zapomniałem ich zabrać. Czy pan Geany jest u siebie?

– Chyba go widziałam – odparła recepcjonistka. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. – Jed, przyszedł wczorajszy gość Susan. – Spojrzała na Richardsa. – Jak pan się przedstawił?

Wcale się nie przedstawiłem, pomyślał Don.

– Donald Richards.

Recepcjonistka wymamrotała jego nazwisko do słuchawki i dodała, że przyszedł po nagrania, o które prosił wczoraj. Słuchała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

– Zaraz przyjdzie. Proszę usiąść.

Ciekawe, jaką szkołę wdzięku kończyła, pomyślał przelotnie Richards, siadając na krześle koło niskiego stolika, zasłanego egzemplarzami porannych gazet.

Jed pojawił się chwilę później, niosąc w rękach jakąś paczkę.

– Wczoraj zapomniałem przypomnieć panu o tych nagraniach, doktorze. Właśnie miałem je zanieść gońcowi. Dobrze, że nadal chce pan je mieć i nie zmienił pan zdania, tak jak ten, jak mu tam...

– Justin Wells? – podpowiedział Richards.

– Właśnie. Ale czeka go niespodzianka – czy chce, czy nie, i tak dostanie to, co zamawiał. Susan miała dziś rano podrzucić mu kasetę do biura.

Interesujące, pomyślał Richards, bardzo interesujące. Nieczęsto autorka programu radiowego bawi się w gońca. Podziękował Jedowi Geany’emu, schował kasety do teczki, a piętnaście minut później wysiadał z taksówki koło wynajętego garażu, o przecznicę od domu.

Donald Richards jechał Palisades Parkway na północ, w kierunku Bear Mountain. Włączył radio i poszukał na skali radiostacji, w której pracowała Susan. Jej programu nie mógł opuścić.

Kiedy dojechał na miejsce, nie wysiadł od razu z samochodu, ale doczekał końca audycji. Po zakończeniu programu siedział jeszcze chwilę w bezruchu. W końcu wyszedł na zewnątrz i otworzył bagażnik. Wyjął z niego wąskie pudełko i ruszył w kierunku jeziora.

Górskie powietrze było chłodne i rześkie. Woda połyskiwała w jesiennym słońcu, ale w głębinach panowała nieprzenikniona ciemność. Drzewa wokół jeziora przybrały już jesienną szatę i mieniły się wszystkimi odcieniami żółci, czerwieni i brązu – tu barwy te były znacznie żywsze niż w mieście.

Przez długi czas siedział nad jeziorem, objawszy rękoma kolana. W kącikach oczu zbierały mu się łzy, ale nie zwracał na nie uwagi. W końcu otworzył pudełko i wyjął z niego długie róże o płatkach błyszczących od kropel rosy. Kolejno wrzucał je do jeziora, aż wszystkie dwadzieścia cztery spoczęły na falach, popychane lekką bryzą.

– Zegnaj, Kathryn – powiedział ze smutkiem. A potem odwrócił się i

poszedł do samochodu.

W godzinę później wjeżdżał do Tuxedo Park – luksusowego kurortu górskiego, który niegdyś był ulubionym wakacyjnym miejscem odpoczynku bogatych i sławnych nowojorczyków. Teraz wielu z nich, między innymi jego matka, Elizabeth Richards, mieszkało tu na stałe. Strażnik na rogatkach pomachał do niego wesoło.

– Miło pana widzieć, doktorze Richards! – krzyknął.

Matka jak zwykle była w pracowni. W wieku sześćdziesięciu lat zajęła się malarstwem i przez dwanaście lat jej wrodzone zdolności plastyczne przekształciły się w prawdziwy talent. Siedziała przy sztalugach, bez reszty pochłonięta pracą. Koło płótna wisiała błyszcząca suknia wieczorowa.

– Mamo.

Zanim jeszcze odwróciła się do niego, wiedział, że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Donald! Zaczynałam już tracić nadzieję.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie żartu, którym cieszyli się codziennie, gdy był dzieckiem. Kiedy wracał ze szkoły do apartamentu na ostatnim piętrze kamienicy przy Piątej Alei, zawsze pierwsze kroki kierował do pracowni w północnowschodniej części mieszkania, gdzie zwykle przesiadywała matka. Biegł ku niej co sił w nogach, stukając głośno butami po drewnianych podłogach i wołając: „Mamo, mamo!” Już jako dziecko uwielbiał brzmienie tego słowa i czekał, aż matka się odezwie, wypowiadając stałą formułkę: „Czy to Donald Wallace Richards, najmilszy chłopczyk na Manhattanie?”

Dziś też wstała i ruszyła ku niemu z wyciągniętymi ramionami, ale

zamiast objąć go, musnęła ramię syna koniuszkami palców i pocałowała go w policzek.

– Nie chcę pobrudzić cię farbą – wyjaśniła i odsunęła się trochę, by uważnym spojrzeniem objąć twarz syna. – Zaczęłam się już martwić, że nie zdołasz się wyrwać z miasta.

– Wiesz, że wtedy bym zadzwonił. – Zreflektował się, że może te słowa zabrzmiały trochę oschle, ale matka najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi. Nie chciał jej mówić, gdzie spędził ostatnie kilka godzin.

– I jak ci się podoba moje najnowsze dzieło? – Wzięła go pod rękę i podprowadziła do rozpiętego na sztalugach płótna. – Może być?

Od razu rozpoznał sportretowaną postać – żonę obecnego gubernatora.

– Pierwsza dama Nowego Jorku! Jestem pod wrażeniem. A nazwisko Elizabeth Wallace Richards dodaje jeszcze portretowi splendoru.

Jego matka musnęła dłonią rękaw sukni wiszącej z boku sztalug.

– To suknia, którą miała na sobie podczas balu inauguracyjnego. Jest śliczna, ale prawie ośleplam, malując te wszystkie perełki.

Ramię w ramię ruszyli w dół szerokimi schodami i minawszy hol, weszli do jadalni z oknami wychodzącymi na patio i ogród.

– Uważam, że nasi przodkowie wiedzieli, co robią, wyjeżdżając stąd przed Świętem Pracy* [W USA Święto Pracy obchodzi się w pierwszy poniedziałek września.] – zauważyła Elizabeth Richards. – Wyobraź sobie, że zeszłej nocy szalała tu śnieżycą. A przecież mamy dopiero październik!

– Wiesz, że nie musi tak być – zauważył sucho Don, przynosząc jej krzesło.

– Nie baw się w psychiatrę – oburzyła się. – Pewnie, że czasem brakuje mi mojego mieszkania i życia w wielkim mieście, ale właśnie dlatego, że

mieszkam tutaj, mogę malować. Pewnie jesteś głodny?

– Nie bardzo – odparł z pewnym wahaniem.

– To lepiej nabierz apetytu. Carmen zaszalała, jak zwykle.

Za każdym razem, gdy odwiedzał Tuxedo Park, gospodyni jego matki wychodziła z siebie, żeby przygotować jego ulubione dania. Dzisiaj było to chili według jej specjalnego przepisu – ostre, pikantne. Donald zabrał się do jedzenia z apetytem, nie zwracając uwagi na matkę, która jadła dietetyczną sałatkę z kurczaka. Zauważył, że Carmen, dolewając mu wody do szklanki, obserwuje go ukradkiem; najwyraźniej oczekiwała jakiejś reakcji.

– Pycha – powiedział. – Rena to wspaniała kucharka, ale twoje chili jest wyjątkowe.

Carmen, chudsza wersja jego gospodyni, rozpromieniła się.

– Doktorze, wiem, że moja siostra dba o pana tam, w mieście, ale to ja uczyłam ją gotować, i jeszcze daleko jej do mnie, – Powiedziałbym raczej, że zbliża się wielkimi krokami – zauważył Donald, wiedząc, że Carmen i Rena często się ze sobą kontaktują. Jeszcze tylko tego mu brakowało, żeby Rena obraziła się, słysząc, że komplementował jej siostrę. Uznał, że należy jak najszybciej porzucić ten śliski temat. – Dobrze, Carmen, a teraz powiedz mi, co Rena mówi o mnie.

– Ja ci mogę powiedzieć – wtrąciła matka. – Twierdzi, że za dużo pracujesz, czyli nic nowego. I że w zeszłym tygodniu wracałeś do domu śmiertelnie zmęczony po promocji swojej książki oraz wyglądałeś tak, jakby cię coś gnębiło.

Ostatnie zdanie wyraźnie zaskoczyło Dona.

– Gnębiło? Skądże. Oczywiście mam trochę kłopotów i martwię się

niektórymi pacjentami. Ale nie znam nikogo, kto nie miałby żadnych zmartwień.

Elizabeth obruszyła się.

– Nie zawracaj głowy i nie łap mnie za słówka. Gdzie byłeś dziś rano?

– Musiałem coś załatwić w radiu – wyjaśnił Don.

– Zmieniłeś plan dzisiejszych spotkań i pierwszą wizytę masz dopiero o czwartej po południu, prawda?

Don uświadomił sobie, że siatka informatorów matki powiększyła się o jego sekretarkę.

– Znowu pojechałeś nad jezioro, tak? – spytała. – Tak.

Jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz. Wyciągnęła rękę i nakryła dłoń syna swoją.

– Don, nie zapomniałam, że dzisiaj jest rocznica śmierci Kathy, ale to już cztery lata. W przyszłym miesiącu kończysz czterdziestkę. Musisz iść do przodu, żyć jak inni. Chciałabym, żebyś poznał kobietę, kogoś, kto będzie cię witał w domu po całym dniu pracy.

– A jeśli też będzie pracować? – spytał Don. – Teraz rzadko którą kobietę satysfakcjonują obowiązki pani domu.

– Och, przestań. Wiesz, o co mi chodzi. Chcę, żebyś znów był szczęśliwy. Kieruję się także własnymi, egoistycznymi pobudkami: chcę mieć wnuki. Zazdroszczę moim znajomym, którzy z dumą pokazują zdjęcia swoich wnucząt. Zawsze wtedy proszę Boga, żeby i mnie było to dane. Don, przecież nawet psychiatrą może potrzebować profesjonalnego wsparcia, kogoś, kto pomoże mu się otrząsnąć po tragedii. Nie myślałeś o tym?

Nie odpowiedział; siedział w milczeniu ze spuszczoną głową. Jego

matka westchnęła głośno i zakończyła:

– Dobrze, wystarczy. Nie będę cię przyciskać do muru. Tak, wiem, nie powinnam się wtrącać, ale naprawdę martwię się o ciebie. Kiedy ostatnio miałeś jakieś wakacje?

– Bingo! – rzucił nagle Don z rozjaśnioną twarzą. – Właśnie podsunęłaś mi świetny pomysł. W przyszłym tygodniu podpisuję swoją książkę w Miami i przy okazji mogę zrobić sobie tydzień urlopu.

– Don, kiedyś uwielbiałeś rejsy statkiem – zaczęła niepewnie matka. – Pamiętasz, nazywaliście siebie z Kathy wilkami morskimi. Zawsze działaliście pod wpływem impulsu – dzwoniliście do biura podróży i rezerwowaliście miejsca na jakimkolwiek statku płynącym w długi rejs. Chciałabym, żebyś robił tak teraz. Wtedy ci się to podobało i może polubisz te wycieczki znowu. Nie postawiłeś nogi na pokładzie od śmierci Kathy.

Doktor Richards spojrział ponad stołem w szaroniebieskie oczy, przepełnione miłością i ufnością. Postawiłem, mam, pomyślał. Żebyś tylko wiedziała...

Złapanie Pameli Hastings zabrało Susan sporo czasu. Najpierw zadzwoniła do jej gabinetu na uniwersytecie, ale poinformowano ją, że doktor Hastings pojawi się dopiero koło jedenastej. Pierwszy wykład miała kwadrans po jedenastej.

Być może Wstąpiła do Lennox Hill, pomyślała Susan. Jest już po dziewiątej, więc nie zdąży złapać Pameli w szpitalu. W związku z tym zostawiła wiadomość na uniwersytecie, prosząc, żeby doktor Hastings skontaktowała się z nią po drugiej, podkreślając, że ma do niej pewną poufną, nie cierpiącą zwłoki sprawę.

I znowu, wchodząc do studia zaledwie dziesięć minut przed programem, ujrzała na twarzy Jeda Geany'ego wyraz dezaprobaty.

– Wiesz, Susan, któregoś dnia... – zaczął.

– Wiem. Któregoś dnia zaczniesz beze mnie, co nie wyjdzie nikomu na dobre. To mój charakter, Jed. Chcę załatwić wszystko naraz i nie zdążam. Wiele razy powtarzałam sobie, że muszę to zmienić.

Uśmiechnął się do niej lekko.

– Twój wczorajszy gość, doktor Richards, wpadł tu na chwilę. Chciał odebrać kasety z nagraniem programów, w których występował. Założę się, że nie może się doczekać, aby ich wysłuchać i pozachwycać się własną elokwencją.

Mam się z nim spotkać wieczorem, pomyślała Susan.. Mogłam mu je przynieść. Po co ten pośpiech? – zastanawiała się. Ale natychmiast uświadomiła sobie, że teraz nie ma czasu na roztrząsanie takich

wątpliwości, i szybkim krokiem weszła do studia. Nałożyła słuchawki i zebrała notatki do dzisiejszego programu.

Gdy realizator ogłosił, że zostało trzydzieści sekund do wejścia na antenę, rzuciła szybko:

– Jed, pamiętasz wczorajszy telefon od Tiffany? Nie sądzę, żeby zadzwoniła ponownie, ale jeśli się odezwie, koniecznie zapisz jej numer telefonu.

– W porządku.

– Dziesięć sekund – powiedział realizator.

Susan usłyszała w słuchawkach: „A teraz czas na »Spytaj doktor Susan« i krótką wstawkę muzyczną”. Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

– Witam na antenie. Mówi doktor Susan Chandler. Dzisiejszy program jest w całości poświęcony telefonom od słuchaczy, więc dzwońcie. Może uda nam się rozwiązać niektóre z dręczących was problemów?

Jak zawsze, audycja nabrała tempa. Sporo telefonów dotyczyło codziennych, często prozaicznych, spraw:

– Doktor Susan, w moim biurze jest pewna kobieta, która strasznie mnie denerwuje. Gdy włożę coś nowego, zawsze pyta, gdzie to kupiłam, i kilka dni później przychodzi do pracy w identycznym ubraniu. Tak było już kilka razy.

– Najwyraźniej ta kobieta ma problemy z własnym wizerunkiem, ale to jej sprawa. Istnieje proste i skuteczne rozwiązanie tej sytuacji – wyjaśniła Susan. – Nie mów jej, gdzie kupujesz ubrania.

Inne problemy były bardziej skomplikowane.

– Musiałam umieścić swoją dziewięćdziesięcioletnią matkę w domu starców – mówiła zmęczonym głosem jakaś kobieta. – To było okropne,

ale nie dawałam już sobie rady. A teraz ona nie chce ze mną rozmawiać. Czuję się okropnie winna.

– Daj jej trochę czasu – doradziła Susan. – Odwiedzaj ją regularnie. Pamiętaj, że nawet jeśli cię ignoruje, to na pewno cieszy się z twoich wizyt. Powtarzaj jej, jak bardzo ją kochasz. Każdy z nas potrzebuje akceptacji i miłości, zwłaszcza gdy jesteśmy przerażeni, tak jak ona teraz. A przede wszystkim przestań się obwiniać.

Problem w tym, że niektórzy żyją stanowczo zbyt długo, pomyślała smutno Susan, podczas gdy inni, jak Regina Clausen czy, nie daj Boże, Carolyn Wells, odchodzą za wcześnie.

Program dobiegał końca, gdy w słuchawkach zabrzmiał głos Jeda Geany'ego: „Doktor Susan, mamy na linii Tiffany z Yonkers”.

Susan spojrzała na producenta siedzącego za szybą – kiwał potakująco głową. Spisze numer telefonu Tiffany z identyfikatora połączeń.

– Tiffany, cieszę się, że zadzwoniłaś... – zaczęła Susan, ale nie dokończyła zdania.

– Doktor Susan – rzuciła szybko Tiffany. – Ledwo zdobyłam się na odwagę, żeby zadzwonić, bo wiem, że to, co powiem, może panią rozczarować. Widzi pani...

Susan słuchała skonsternowana najwyraźniej wyuczonej na pamięć przemowy, która miała wyjaśnić, dlaczego Tiffany nie może rozstać się z pierścieniem z turkusem. Chwilami odnosiła wrażenie, że dziewczyna czyta z kartki napisany wcześniej tekst.

– Więc, jak mówiłam, doktor Susan, mam nadzieję, że pani się nie gniewa, ale to taki miły prezent i dostałam go od mojego byłego chłopaka, Matta. Przypomina mi o wszystkich przyjemnych chwilach, jakie

przeżyliśmy razem.

– Tiffany, chciałabym spotkać się z tobą w moim gabinecie – wtrąciła pośpiesznie Susan. Wrażenie *deja vu* ogarniało ją coraz mocniej. Czyż dokładnie tego samego nie mówiła Carolyn Wells zaledwie czterdzieści osiem godzin temu?

– Doktor Susan, nie zmienię zdania w kwestii tego pierścionka – odparła Tiffany. – A jeśli można, chciałabym powiedzieć, że pracuję w...

– Proszę, nie podawaj nazwy firmy – rzekła ostro Susan.

– Pracuję w The Grotto, najlepszej włoskiej restauracji w Yonkers – dokończyła Tiffany wyzywającym tonem.

– Reklamy! – wysyczał do mikrofonu Jed.

Przynajmniej wiem, gdzie jej szukać, pomyślała z przekąsem Susan, i automatycznie wypowiedziała tradycyjną formułkę:

– A teraz słowo od naszych sponsorów.

Po zakończeniu audycji poszła do reżyserki. Jed zapisał numer telefonu Tiffany na odwrocie koperty.

– Nie robiła wrażenia specjalnie bystrej, a jednak była na tyle sprytna, żeby przemycić darmową reklamę swego pracodawcy – zauważył kwaśno. Autoreklama w programie była surowo zabroniona.

Susan złożyła kopertę na pół i schowała do kieszeni żakietu.

– Najbardziej martwi mnie to, że ta Tiffany stara się za wszelką cenę pogodzić z byłym chłopakiem, a więc najwyraźniej jest bardzo samotna i, co gorsza, widać to jak na dłoni. A jeśli programu słuchał jakiś świr, zapamiętał jej wypowiedź i teraz roi sobie Bóg wie co na jej temat?

– Czy chcesz zadzwonić do niej w sprawie pierścionka? , – Tak. Chyba powinnam. Muszę porównać go z pierścionkiem Reginy Clausen. Wiem,

że jest małe prawdopodobieństwo, żeby oba zostały kupione w tym samym miejscu, ale nie będę wiedzieć, dopóki nie sprawdzę.

– Susan, jest mnóstwo takich odpustowych pierścionków, a jeszcze więcej sklepów, które nimi handlują. I wszyscy sprzedawcy twierdzą, że to rękodzieło i tylko oni wyrabiają takie pierścionki, ale wszyscy wiedzą, że to nieprawda! Za dziesięć dolarów? Nie ma mowy. Chyba w to nie wierzysz?

– Pewnie masz rację – zgodziła się Susan. – Poza tym... – Ugryzła się w język. Już miała podzielić się z Jedem swoim podejrzeniem, że tajemniczą Karen jest żona Justina Wellsa. Nie, postanowiła, najpierw muszę sprawdzić do końca tę informację.

Kiedy w środowe południe Nat Smali zauważył, że sklep z pamiątkami Abdula Parkiego jest nadal zamknięty, zaczął się niepokoić. Sklep Smalla – imperium pornografii, kryjące się za intrygującą nazwą „Mroczne rozkosze” – mieścił się dokładnie naprzeciwko „Sklepu branżowego Khylema”, a obaj mężczyźni przyjaźnili się od wielu lat.

Nat, żylasty pięćdziesięciolatek o wąskiej twarzy, zapadniętych oczach i nieciekawej przeszłości, wyczuwał kłopoty z równą łatwością, jak inni wyczuwali alkoholowo-cygarowy smog, który wiecznie spowijał jego osobę.

Wszyscy na MacDougal Street wiedzieli, że szyld w witrynie sklepu Nata informujący, że nieletnich się nie obsługuje, ma się nijak do stanu faktycznego. To, że nigdy nie złapano Smalla na gorącym uczynku, zawdzięczał nieomylnemu instynktowi, który ze stuprocentową celnością informował go, że do wyjątkowo obficie zaopatrzonego sklepu wchodzi tajniak. Jeżeli znajdował się tam akurat młodociany klient, Nat gromkim głosem prosił go o okazanie prawa jazdy.

Życiem Nata kierowało niezmiennie credo, które jak dotychczas sprawdzało się zawsze: trzymaj się z dala od glin. Dlatego właśnie wnikliwie sprawdził wszystkie możliwe przyczyny nieobecności przyjaciela. Najpierw spróbował zajrzeć do środka sklepu Abdula przez drzwi. Ponieważ nie zauważył nic niepokojącego, zadzwonił do Parkiego do domu. Gdy tam też go nie zastał, zadzwonił do właściciela kamienicy. Naturalnie jak zwykle mógł porozmawiać jedynie z automatyczną

sekretarką, która uparcie powtarzała: „Zostaw wiadomość. Skontaktujemy się z tobą”. Taa, pewnie, pomyślał Nat. Wszyscy wiedzieli, że najemca ma gdzieś swoich lokatorów i uchwyci się każdej okazji, żeby pozbyć się Abdula, który na jego nieszczęście skorzystał niegdyś z długoterminowej oferty najmu, jakie od czasu do czasu oferowały władze miejskie.

I wreszcie Nat zrobił coś, co było z jego strony prawdziwym dowodem przyjaźni: zadzwonił na komisariat i podzielił się swoimi obawami, że Abdulowi mogło przytrafić się coś złego.

– Znaczy się, ten facet był punktualny jak zegarek – wyjaśniał. – Może źle się poczuł, bo nie wrócił po lunchu. Pewnie poszedł do domu i dostał ataku serca czy co?

Policja przeszukała małe, schludne mieszkanko Abdula przy Jane Street. Jediną oznaką ludzkiej obecności był na wpół zwiędły bukiet kwiatów pod zdjęciem zmarłej żony Hindusa, ale poza tym nie było żadnych śladów, które wskazywałyby, że ktoś był tu w ostatnich dniach. Wówczas zdecydowano się sprawdzić sklep.

I tam właśnie policjanci znaleźli zalane krwią ciało Abdula Parkiego.

Nat nie był podejrzany. Policja dobrze go znała i wiedziała, że jest za sprytny, aby pakować się w morderstwo. Poza tym nie miał motywu. A właśnie brak motywu był najbardziej niepokojący w tej sprawie. W kasie leżało nietknięte prawie sto dolarów i wyglądało na to, że zabójca nawet nie próbował tam zajrzeć.

Mimo to policja stwierdziła, że przyczyną morderstwa musiało być włamanie. Zabójca, pewnie jakiś ćpun, po prostu przestraszył się czegoś – najpewniej klienta, który w tym momencie wszedł do sklepu, i zwiął, zapominając o łupie. Zgodnie z tym scenariuszem włamywacz ukrył się na

zapleczu, poczekał, aż intruz wyjdzie, i wtedy uciekł. Miał jeszcze na tyle rozumu, żeby umieścić na drzwiach wywieszkę „Zamknięte” i zatrzaskać zamek – w ten sposób zyskał sporo czasu na ucieczkę.

Policja była zdania, że Nat i inni właściciele pobliskich sklepów mogą sporo wiedzieć. Z informacji sąsiadów wynikało, że we wtorek Abdul otworzył sklep o dziewiątej rano, a potem widziano, jak koło jedenastej zmiatał z chodnika przed sklepem popcorn, który rozsypał jakiś dzieciak.

– Nat – powiedział detektyw. – Pomyśl przez chwilę o czym innym niż świństwa. Twój sklep znajduje się dokładnie naprzeciw Parkiego. Zawsze wystawiasz w witrynie swój najnowszy nabytek. Może zauważyłeś kogoś wchodzącego lub wychodzącego ze sklepu Abdula po jedenastej rano?

Nat został przesłuchany dopiero o trzeciej, więc miał sporo czasu, żeby pomyśleć i przypomnieć sobie co trzeba. Wczoraj nie działo się nic specjalnego, jak to zwykle we wtorki. Koło pierwszej ustawiał w witrynie reklamy najnowszych filmów dla dorosłych. Ledwie rzucił okiem na ulicę, ale zauważył, że na chodniku przed jego sklepem przystanął jakiś dobrze ubrany facet. Wyglądało na to, że po prostu ogląda towary prezentowane w oknie wystawowym. Potem jednak, zamiast wejść do środka, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł prosto do Abdula.

Nat całkiem nieźle zapamiętał mężczyznę, chociaż widział go tylko z profilu, a facet nosił okulary przeciwsłoneczne. Ale co z tego – nawet jeśli ten facet był u Aba koło pierwszej, to na pewno nie on go zabił, rozumował Nat. Nie, nie ma potrzeby mówić o nim glinom, bo zaraz wezwą rysownika, a on straci całe popołudnie na posterunku, opisując tego faceta. Co to, to nie.

Poza tym ten gość, myślał dalej Nat, niczym nie różnił się od

wszystkich moich klientów. Ci doktorowie, prawnicy i szuchy z Wall Street wściekną się, gdy opowiem glinom, że kupują u mnie.

– Nie widziałem nikogo – powiedział glinom. – Ale muszę wam coś powiedzieć – dodał z emfazą. – Zróbcie coś z tymi ćpunami, co się tutaj kręcą! Tacy jak oni zabiliby własną babcię za działkę. Możecie powiedzieć burmistrzowi, że ja tak powiedziałem!

Pamela Hastings obawiała się, że słuchacze jej kursu literatury porównawczej niewiele wyniosą z dzisiejszego wykładu. Dwie bezsenne noce i ciągły, dojmujący strach o przyjaciółkę, Carolyn Wells, zupełnie ją wyczerpały – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. A teraz jeszcze te podejrzenia, że wypadek Carolyn nie był przypadkowy i może to Justin w porywie gniewu czy zazdrości próbował uśmiercić własną żonę – wszystko to razem sprawiało, że nie potrafiła skupić się na pracy. Miała bolesną świadomość, że dzisiejszy wykład na temat „Boskiej komedii” był całkowicie niespójny i chaotyczny, toteż odetchnęła z ulgą, gdy wykład dobiegł . końca.

A jeszcze ta wiadomość od doktor Susan Chandler. Co powinna jej powiedzieć? Z pewnością nie ma prawa dzielić się swoimi podejrzeniami na temat Justina z zupełnie obcą osobą. Wiedziała jednak, że musi przynajmniej oddzwonić.

Kampus uniwersytetu Columbia był skąpany w blasku słońca, a urody dodawały mu drzewa mieniące się wszystkimi barwami jesieni. Dzisiaj warto żyć, pomyślała z ironią Pamela, idąc środkiem dziedzińca. Przywołała taksówkę i wypowiedziała powtarzaną od paru dni formułkę: „Do szpitala Lennox Hill”.

Minęły zaledwie dwa dni od wypadku, a pielęgniarki z dyżurki intensywnej terapii już traktowały ją jak starą znajomą. Jedna z nich, widząc Pamelę, odparła na nie wypowiedziane pytanie:

– Trzyma się, ale stan jest nadal krytyczny. Są pewne szanse, że

wyjdzie ze śpiączki. Dziś rano zdawało nam się, że chce coś powiedzieć. Nie dała rady, ale to mimo wszystko dobry znak.

– Czy Justin jest u niej?

– Nie, dopiero jedzie do szpitala.

– Mogę ją zobaczyć?

– Tak, ale proszę nie siedzieć długo. I proszę do niej mówić. Niech lekarze sobie gadają, co chcą, ja wiem swoje – wielu pacjentów w śpiączce doskonale wie, co się wokół nich dzieje. Tyle że nie potrafią nam tego przekazać.

Pam ruszyła na palcach w głąb korytarza i mijając kolejne sale, dotarła w końcu do pokoju Carolyn. Na widok przyjaciółki w oczach stanęły jej łzy. Na wszelki wypadek Carolyn poddano zabiegowi mającemu na celu ograniczenie obrzęku mózgu i teraz jej głowę spowijały bandaż. Ciało kobiety było naszpikowane przeróżnymi rurkami i drenami. Na twarzy miała maskę tlenową, a ramiona i szyję – pokryte fioletowymi siniakami – śladami bliskiego spotkania z furgonetką.

Pamela nadal nie mogła uwierzyć, że coś tak strasznego wydarzyło się zaledwie w trzy dni po jakże szczęśliwym wieczorze, który spędziły z Carolyn.

Szczęśliwym, dopóki nie zaczęłam bawić się w przewidywanie przyszłości, pomyślała, a Carolyn nie wyjęła tego swojego pierścionka...

Ostrożnie przykryła ręką dłoń przyjaciółki.

– Cześć, kochanie – szepnęła.

Czyżby wyczuła lekki ruch, a może to tylko jej własne pobożne życzenie?...

– Carolyn, świetnie sobie radzisz. Mówili mi, że jesteś na najlepszej

drodze do obudzenia się. To cudownie. – Urwała. Chciała dodać, że Justin szaleje z niepokoju, ale uświadomiła sobie, że lepiej nie wymawiać głośno jego imienia. A jeśli to on popchnął Carolyn? I jeśli ona zdążyła go zobaczyć przed upadkiem?

– Win. – Carolyn nieznacznie poruszyła ustami, a to, co się z nich wydobyło, było bardziej westchnieniem niż słowem. A mimo to Pamela była przekonana, że się nie przesłyszała.

Nachyliła się i przysunęła usta do ucha Carolyn.

– Kochanie, posłuchaj mnie. Wydaje mi się, że powiedziałaś „Win”. Czy to czyjeś imię? Jeśli tak, ściśnij moją dłoń.

Była pewna, że czuje lekki uścisk.

– Pam, czy ona się budzi?

Justin stał w drzwiach pokoju. Miał zmierzwione włosy i zarumienioną twarz, jakby biegł. Pamela nie zamierzała wyjawiać mu tego, co, jak się jej zdawało, powiedziała Carolyn.

– Zawołaj pielęgniarkę – rzuciła. – Ona chyba chce coś powiedzieć. – Win!

Tym razem nie było wątpliwości. Carolyn wzywała kogoś błagalnym tonem.

Justin Wells nachylił się nad łóżkiem.

– Carolyn. Nie oddam cię nikomu. Wszystko ci wynagrodzę. Proszę, będę się leczyć. Ostatnim razem też tak mówiłem i nie dotrzymałem obietnicy, ale teraz na pewno dotrzymam. Przyrzekam, przyrzekam. Tylko proszę, wróć do mnie.

Emily Chandler zachowała po rozwodzie członkostwo Klubu Hrabstwa Westchester, ale nie bywała tam zbyt często w obawie przed spotkaniem swojej następczyni, Binky. Z drugiej strony, Emily uwielbiała grę w golfa, a Binky była w tej dziedzinie kompletną ignorantką, toteż jedyne niebezpieczeństwo mogło stanowić przypadkowe spotkanie w budynku klubu. A poza tym Emily lubiła zapraszać swoich znajomych do klubu na lunch, w związku z czym opracowała strategię, która pozwalała jej unikać nieprzyjemnych spotkań.

Zadzwoń do kierownika i spyta, czy oczekują dzisiaj Żony Mistrza, a jeśli ten odpowie, że nie, to ona zarezerwuje stół.

Ta metoda sprawdziła się również w środę i Emily zjadła lunch w klubie ze swoją długoletnią przyjaciółką Nan Lakę, której mąż, Dan, regularnie grywał w golfa z Charlesem.

Emily starannie wybrała strój na to spotkanie. Zawsze idąc do klubu, miała na uwadze ewentualne spotkanie z Charleyem. Dzisiaj zdecydowała się na spodnium w biało-niebieski rzucik od Ferauda; ten komplet doskonale pasował do jej popielato-blond włosów. Sprawdzając w lustrze swój wygląd, przypomniała sobie, że wielu ludzi było naprawdę zdumionych, dowiadując się, że jest matką Dee.

„Wyglądacie jak siostry” – mówili z podziwem. Emily pochlebiały takie wyrazy uznania, mimo że wiedziała, iż jej rozmówcy przesadzają.

Wiedziała także, że nadszedł czas, aby zapomnieć o rozwodzie i zacząć żyć pełnią życia. W dużym stopniu już jej się udało stłumić gniew i

rozczarowanie po zdradzie Charleya. Ale nadal, mimo że minęły cztery lata, budziła się czasem w nocy i leżąc w ciemnościach, czuła straszliwy smutek, który ogarniał ją na wspomnienie wielu szczęśliwych lat z Charleyem, tak, naprawdę szczęśliwych.

Było nam ze sobą dobrze, pomyślała, przygotowując się do wyjścia. Włączyła alarm, który zamontowała w mieszkaniu już po rozstaniu z mężem. Było nam dobrze. Pod każdym względem. Kochaliśmy się. Łączyły nas wspólne zainteresowania. I nie chodziło o to, że się zaniedbałam – nadal świetnie się trzymam. Emily wsiadła do samochodu. Na miłość boską, dlaczego Charles tak nagle się zmienił? – zadawała sobie w duchu pytanie. Dlaczego jednym ruchem przekreślił nasze małżeństwo?

Ból porzucenia odczuwała tak silnie, że chociaż nawet przed samą sobą nie chciała się do tego przyznać, byłoby jej znacznie łatwiej, gdyby Charley-Charles po prostu umarł, a nie odszedł do innej. Nieważne, czy się do tego przyznaję, czy nie, skonstatowała Emily, Susan i tak domyśla się, co czuję, a może nawet mnie rozumie.

Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby nie Susan. Córka była z nią od samego początku, nawet wtedy, gdy Emily była pewna, że nie zniesie takiego bólu. Trwało to długo, ale teraz poczuła w końcu, że wychodzi na prostą.

Zgodnie z sugestią Susan, sporządziła listę rzeczy, które zawsze chciała robić, po czym zabrała się do ich realizacji. Podjęła działalność charytatywną na rzecz szpitali, a w tym roku organizowała wielką kwestę. W zeszłym – aktywnie uczestniczyła w kampanii wyborczej obecnego gubernatora.

Zajęła się jeszcze czymś – pracą, o której nie wspomniała nawet Susan,

a która była dla niej najważniejsza. Została wolontariuszką w szpitalu dla przewlekle chorych dzieci.

Zajęcie to dawało jej mnóstwo satysfakcji, a przy tym pozwalało spojrzeć na różne sprawy z właściwej perspektywy. Teraz rozumiała głęboki sens starego powiedzenia: „Litujemy się nad człowiekiem, który nie ma butów, dopóki nie spotkamy takiego, który nie ma nóg”. Po pracowitych porankach w szpitalu zawsze wracała do domu z postanowieniem, że od dzisiaj będzie cieszyć się każdym okruczem szczęścia, jaki ześle jej życie.

Kiedy weszła do klubu, Nan jeszcze nie było, więc poszła prosto do zarezerwowanego stolika. Od niedzieli, kiedy to wypadła czterdziesta rocznica jej ślubu z Charleyem, nie opuszczało jej poczucie winy. Pozwoliła sobie na chandrę i depresję, a co gorsza, zaczęła się nad sobą litować. Wiedziała, że jej sobotni atak płaczu zdenerwował Susan, a Dee jeszcze pogorszyła sprawę, napadając na siostrę i wytykając jej, że nie rozumie, jak można się czuć, kiedy straci się najbliższą osobę.

A Susan rozumie więcej, niż Dee może sobie wyobrazić, pomyślała Emily. Gdy rozstaliśmy się z Charleyem, Dee siedziała cała szczęśliwa w Kalifornii, z Jackiem u boku. Susan najpierw musiała pogodzić się ze zdradą Jacka, a potem była przy mnie. Na dodatek, od kiedy na horyzoncie pojawiła się Binky, Charley nie miał czasu dla Susan, a to na pewno musiało ją zboleć. Do tej pory była córeczką tatusia.

– Wracaj na ziemię! – usłyszała Emily żartobliwy okrzyk.

– Nan! – Zerwała się z miejsca i uścisnęła przyjaciółkę, markując cmoknięciami pocałunki w policzek. – Już wracam – dodała, przyglądając się przyjaciółce z zachwytem. – Wyglądasz wspaniale.

I wcale nie kłamała. Nan, szczupła brunetka o delikatnej twarzy i ciele, mimo sześćdziesiątki na karku, wyglądała olśniewająco.

– Ty też – odparła entuzjastycznie Nan. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Em. Ciągłe utrzymujemy się na powierzchni.

– Nie tracimy ducha – zgodziła się Emily. – Raz jest lepiej, raz gorzej, ale starzejemy się z godnością i nie za szybko.

– A więc tęskniłaś za mną? – spytała Nan. Ponad miesiąc spędziła ze swoją schorowaną matką na Florydzie i wróciła zaledwie tydzień temu.

– Wiesz, że tak. Miałam kilka ciężkich dni – przyznała Emily. Postanowiły, że dzisiaj darują sobie odchudzanie. Obie zamówiły po kieliszku chardonnay i kanapki firmowe.

Kiedy kelner przyniósł wino, przyszedł czas na plotki. Emily opowiedziała przyjaciółce o fatalnym nastroju, który ogarnął ją w niedzielę.

– Najbardziej dotknęło mnie to, że ta kobieta urządziła przyjęcie w dniu naszej rocznicy ślubu, a Charley pozwolił jej na to.

– Wiesz, że zrobiła to celowo – rzekła Nan. – To typowe dla Binky. Muszę ci się przyznać, że też wpadłam na chwilę na to przyjęcie. Ale nie widziałam nigdzie Susan. Najwyraźniej już jej nie było. Przypuszczam, że pojawiła się na chwilę i szybko wyszła. – W głosie Nan słychać było niepokój. Emily od razu zorientowała się, o co chodzi. – Em, pewnie to nie ma wielkiego znaczenia, ale Binky nie znosi Susan. Wie, że to właśnie ona przekonała Charlesa po waszym rozstaniu, aby wyjechał na kilka dni i przemyślał sobie wszystko. To, że w końcu i tak wybrał ją, nie jest dla Binky wystarczającą satysfakcją. Ona nigdy tego Susan nie wybaczy.

Emily skinęła głową – Wydaje mi się natomiast, że polubiła Dee.

Zaprosiła Aleksa Wrighta na przyjęcie właśnie po to, żeby tych dwoje mogło się spotkać. Tyle że gdy przyszedł, Dee jeszcze nie było i w rezultacie wdał się w długą pogawędkę z Susan. I z tego, co wiem, zrobiła na nim duże wrażenie. To z pewnością nie leżało w diabelskim planie Binky.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że jeśli Alex zadzwonił potem do Susan i zaczęli się spotykać, ktoś powinien ją ostrzec, że Binky zrobi wszystko, aby zniszczyć ten związek. Ona uwielbia skłócać ze sobą ludzi i jest naprawdę utalentowaną manipulatką.

– Chodzi ci o to, że będzie chciała skłócić ze sobą Susan i Dee?

– Właśnie. Skoro więc Binky jest aż tak wściekła, to znaczy, że Alex wypowiadał się o Susan w samych superlatywach. A wierz mi, że Binky jest naprawdę wściekła. Naturalnie nie znam Aleksa zbyt dobrze. Z tego, co słyszałam, nie jest podrywaczem. Fundacja Wrightów, której przewodniczy, robi wiele dobrego, a w przeciwieństwie do różnych facetów, co to garściami wydają rodzinną fortunę na przyjemności, Alex wygląda na rozsądnego człowieka. Prawdę mówiąc, właśnie takiego mężczyznę chciałabym ujrzeć u boku Susan – skoro nie udało mi się skojarzyć jej z Bobbym.

Bobby był, najstarszym synem Nan. Od dzieciństwa pozostawał z Susan w bliskiej przyjaźni, nigdy jednak nie połączyło ich nic więcej. Teraz Bobby był już żonaty, ale Nan nadal powtarzała w żartach, jak to żałuje, że nie mają z Em wspólnych wnuków.

– Chciałabym, żeby obie, Susan i Dee, spotkały mężczyzn, z którymi będą szczęśliwe – powiedziała Emily. Zaczynało dręczyć ją przekonanie,

że jeśli Dee zainteresuje się Alekssem, nawet bez interwencji Binky zrobi wszystko, by go zdobyć.

Wiedziała również, że to właśnie Nan usiłuje jej powiedzieć. Między wierszami ostrzegała ją nie tylko przed knowaniami Binky, ale dawała też do zrozumienia, że Emily powinna powiedzieć Dee, żeby zostawiła Aleksa w spokoju.

– A teraz coś, co na pewno cię zainteresuje – oznajmiła Nan, przysuwając się bliżej do przyjaciółki i rozglądając uważnie, czy nikt ich nie słyszy. – Wczoraj Charley i Dan grali razem w golfa. Charley myśli o przejściu na emeryturę! Najwyraźniej zarząd Bannister Foods chce mieć kogoś młodszego na stanowisku prezesa i robi podchody, żeby pozbyć się Charleya. Rzecz jasna, nie za darmo – proponują mu królewską odprawę. Charley powiedział Danowi, że woli odejść z honorem, niż zostać zwolniony. Ale jest jeden problem: kiedy napomknął o tym Binky, dostała szału. Uznała, że mąż na emeryturze, to tak jak fortepian w kuchni. Przez co rozumiem: „bezużyteczny, najwyżej do wymiany”. – Nan przerwała i odchyliła się na krześle. A potem, dla wzmocnienia efektu, uniosła wysoko brwi i dodała: – Czyżby w raju zaczęły się kłopoty?

Przed wyjściem ze studia Susan zadzwoniła do swego gabinetu. Była przekonana, że pacjentka umówiona na pierwszą odwoła spotkanie. Czterdziestoletnia Linda, pracująca w reklamie, niedawno musiała pożegnać ukochanego psa i teraz szukała pomocy u specjalisty, który pomógłby jej pogodzić się z tą bolesną stratą. Do tej pory odbyły zaledwie dwie sesje, ale Susan wiedziała już, że prawdziwą przyczyną załamania Lindy nie jest szczery żal po śmierci ulubionego zwierzaka, ale niedawny nagły zgon przybranej matki, z którą kobieta była skłócona.

Przypuszczenia okazały się słuszne.

– Pacjentka bardzo przeprasza, ale wyskoczyło jej niespodziewanie jakieś ważne zebranie – zawiadomiła Susan Janet.

Może tak, może nie, pomyślała Susan, notując w pamięci, aby zadzwonić do Lindy później.

– Czy są jakieś inne wiadomości? – spytała.

– Tylko jedna. Pani Clausen prosi, żeby zadzwoniła pani do niej po trzeciej. A, na biurku stoi imponujący bukiet kwiatów.

– Kwiaty? Od kogo?

– Bilecik dołączony do bukietu jest w zaklejonej kopercie, więc naturalnie nie otwierałam jej – odparła Janet tonem urażonej godności.

– To na pewno sprawa osobista.

– To otwórz teraz i przeczytaj mi – odparła Susan, unosząc brwi ze zdziwieniem. Janet była wspaniałą sekretarką, ale jej chęć moralizowania niezmiennie wyprowadzała ją z równowagi.

Chwilę później Janet powiedziała do słuchawki:

– Wiedziałam, że to coś osobistego, pani doktor. – Zaczęła czytać:

– „Dziękuję za wspaniały wieczór. Nie mogę doczekać się soboty. Alex”.

Susan od razu poprawił się humor.

– To miło z jego strony – rzuciła, starając się, aby zabrzmiało to obojętnie. – Janet, ponieważ aż do drugiej nie mam nic do roboty, myślę, że załatwię kilka spraw na mieście.

Chwilę później Susan wyszła z budynku, zamierzając złapać taksówkę. Uznała, że kolejnym krokiem, który wykona, będzie rozmowa z policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie wypadku Carolyn Wells. Teraz, kiedy była pewna, że kobietą, która dzwoniła w poniedziałek i przedstawiła się jako Karen, była Carolyn, musiała się dowiedzieć, czy policja bierze pod uwagę wersję wypadku, jaką przedstawiła tamta starsza pani – to znaczy, że Carolyn Wells została wepchnięta pod samochód.

Z artykułu w „Timesie”, który przeczytała dziś rano, dowiedziała się, że oba śledztwa – w sprawie wypadku Carolyn i zabójstwa Hildy Johnson – prowadzą policjanci z dziewiętnastego posterunku.

Najwyraźniej tam należało rozpocząć poszukiwanie prawdy.

Mimo iż świadek Oliver Baker stanowczo twierdził, że Carolyn Wells straciła równowagę i upadła, kapitan Tom Shea nadal nie był o tym przekonany. Biorąc pod uwagę, że oświadczenie Hildy Johnson, jakoby widziała, jak ktoś popchnął Carolyn Wells, obejrzało setki ludzi w całym stanie, trudno było uwierzyć, iż śmierć staruszki była jedynie zbiegiem okoliczności, że Hilda padła ofiarą przypadkowego mordercy. A to prowadziło z powrotem do podstawowych pytań: przede wszystkim, w

jaki sposób sprawca dostał się do budynku? Jak wszedł do mieszkania Hildy? I wreszcie, dlaczego właśnie tam, dlaczego tylko tam?

Zespół detektywów zdążył przesłuchać już wszystkich mieszkańców budynku. A nie było ich aż tak dużo, zważywszy, że kamienica miała zaledwie dwanaście pięter, po cztery mieszkania na każdym.

Większość lokatorów, podobnie jak Hilda, była ludźmi w starszym wieku, mieszkającymi tu od dawna. Wszyscy zgodnie twierdzili, że w poniedziałkowy wieczór nie otwierali drzwi do budynku nikomu – żadnemu listonoszowi czy gońcowi. Ci, którzy w tym czasie wchodzili lub wychodzili z domu, przysięgali, że nie zauważyli żadnego nieznajomego, który kręciłby się w pobliżu kamienicy, a tym bardziej nie wpuszczali nikogo do budynku, wychodząc zeń.

Shea doszedł do wniosku, że wobec tego Hilda Johnson musiała sama wpuścić swojego zabójcę – najpierw do domu, a potem do mieszkania. Zapewne więc był to ktoś, komu ufała. Przez długie lata pracy na dziesiętnastym posterunku kapitan poznał Hildę całkiem nieźle, ale nie bardzo wiedział, kto mógłby być tym człowiekiem. Dlaczego akurat wtedy nie było mnie w pracy? – to dręczące pytanie co chwila powracało. W poniedziałek miał wolne i wraz z żoną, Joan, pojechali do Fairfield College w Connecticut odwiedzić córkę. O wypadku dowiedział się dopiero z wiadomości o jedenastej wieczorem i wtedy też zobaczył wywiad z Hildą.

Gdybym wtedy do niej zadzwonił! Ta myśl nie dawała mu spokoju. Jeśliby nie podniosła słuchawki, wiedziałbym od razu, że coś jest nie w porządku. A jeśliby podniosła, mogłaby mi od razu opisać osobę, którą podejrzewała o spowodowanie wypadku.

Była dopiero za kwadrans pierwsza, ale Tom czuł się już śmiertelnie wyczerpany. Ogarnęło go przemożne zmęczenie, nie fizyczne, lecz powodowane gniewem na samego siebie. Był przekonany, że Hilda nie musiała zginąć, a teraz z powrotem znalazł się w punkcie wyjścia. Musiał wyjaśnić to morderstwo. Był policjantem od dwudziestu siedmiu lat, a mimo to nic do tej pory nie wstrząsnęło nim tak bardzo jak ta sprawa.

Z matni samooskarżeń wyrwał go dzwonek telefonu. Dzwonił oficer dyżurny z informacją, że niejaka doktor Susan Chandler chce z nim porozmawiać na temat wypadku przy Park Avenue.

Shea żywił cichą nadzieję, że może to następny naoczny świadek wypadku, więc rzucił szybko do słuchawki:

– Niech wejdzie.

Kilka minut później siedzieli oboje w jego gabinecie, uważnie przyglądając się sobie nawzajem.

Susan od razu polubiła mężczyznę za biurkiem – jego szczupłą, gładko ogoloną twarz, inteligentne spojrzenie ciemnobrązowych oczu i smukłe palce, cicho bębniące po blacie biurka.

Czując, że kapitan nie lubi tracić czasu na zbędne ozdobniki, przeszła od razu do rzeczy:

– Kapitanie, muszę wrócić do gabinetu na drugą. Wie pan, jakie korki są w mieście, z Broadwayu jechałam tu ponad czterdzieści minut. Dlatego będę się streszczać.

W kilku słowach opowiedziała mu o sobie, zauważając z niejakim zdumieniem, że o ile na twarzy kapitana odmalowała się wyraźna dezaprobatą, gdy usłyszał, że jest psychologiem, o tyle, kiedy powiedziała o pracy w biurze prokuratora okręgowego, Shea wyraźnie zmienił swój

stosunek do niej i zaczął traktować ją z szacunkiem.

– Interesuję się Carolyn Wells, ponieważ jestem przekonana, że to ona dzwoniła w trakcie mojej poniedziałkowej audycji i przekazała nam bardzo ważne informacje, które mogą dotyczyć Reginy Clausen. Kobieta ta zaginęła kilka lat temu. Umówiliśmy się wówczas, że pani Wells przyjdzie do mojego gabinetu. Nie stawiała się jednak na spotkanie, a kilka godzin później została, jak twierdziła pewna starsza pani, wepchnięta pod samochód na Park Avenue. Muszę dowiedzieć się, czyjej... nazwijmy to, wypadek miał coś wspólnego z telefonem do radia.

Shea pochylił się do przodu, wyraźnie zainteresowany opowieścią kobiety. Oliver Baker zeznał, że koperta, którą niosła Carolyn Wells, była zaadresowana dużymi, drukowanymi literami i był prawie pewien, że widniało na niej słowo „Dr”. Czyżby rewelacje, których dostarczyła mu doktor Susan Chandler, miały doprowadzić do przełomu w śledztwie, a może nawet do odkrycia związku pomiędzy zeznaniami Hildy Johnson a jej śmiercią?

– Czy otrzymała pani jakiś list, który mógłby pochodzić od pani Wells?

– zapytał Shea.

– Nie – przynajmniej do wczoraj. Kiedy wychodziłam z gabinetu dziś rano, jeszcze nie przyniesiono poczty. Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ zarówno Hilda Johnson, jak i inny świadek wypadku zeznali, że Carolyn Wells miała przy sobie szarą kopertę, a ponadto ten drugi świadek twierdzi, że przesyłka była adresowana do jakiegoś lekarza. Czy Wells miała pani coś przesłać?

– Nie, ale miała dać mi zdjęcie i pierścionek, więc być może zdecydowała, że wyśle je pocztą. Pozwoli pan, że odtworzę nagranie jej

telefonu.

Po przesłuchaniu kasety Susan spojrzała na kapitana Sheę i zobaczyła, że jest mocno poruszony.

– Jest pani pewna, że ta kobieta to Carolyn Wells? – dopytywał się.

– Absolutnie tak – odrzekła.

– Jest pani psychologiem, doktor Chandler. Czy zgodzi się pani ze mną, że ta kobieta boi się własnego męża?

– Powiedziałabym raczej, że obawia się jego reakcji na to, co mi powiedziała.

Kapitan Shea podniósł słuchawkę telefonu i ostrym tonem rzucił polecenie:

– Sprawdźcie, czy w naszych archiwach nie ma żadnych skarg na Justina Wellsa. Najprawdopodobniej jakieś sprzeczki rodzinne. Ze dwa lata temu.

– Doktor Chandler – zwrócił się do Susan – jestem naprawdę wdzięczny, że zgłosiła się pani do mnie. Gdy otrzymam raport...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu, kiwając potakująco głową. Zakończył rozmowę i spojrzał na Susan.

– Tak jak myślałem. Byłem pewien, że pani informacje pchną sprawę do przodu. Przed dwoma laty Carolyn Wells złożyła skargę na swojego męża, chociaż potem ją wycofała. Twierdziła, że w napadzie zazdrości mąż groził, że ją zabije. Nie wie pani czasem, czy Justin Wells słyszał jej wypowiedź w radiu?

Susan nie miała wyboru, musiała powiedzieć mu całą prawdę:

– Nie tylko wiedział o tym telefonie, ale w poniedziałek po południu

zadzwoił do radia z prośbą o kopię nagrania porannego programu. Kiedy zadzwoniłam do niego wczoraj wieczorem, wyparł się wszystkiego. Dziś rano zaniiosłam mu tę kasetę do pracy, ale nie chciał się ze mną spotkać.

– Doktor Chandler, nawet nie wie pani, jak bardzo pomogła mi ta informacja. Niestety, muszę zatrzymać tę taśmę.

Susan wstała.

– Ależ oczywiście. W radiu mam inną kopię tego nagrania. Ale zanim wyjdę, kapitanie Shea, chciałabym prosić, aby wziął pan pod uwagę możliwość, że istnieje jakiś związek pomiędzy mężczyzną, którego Carolyn Wells poznała na statku, a zniknięciem Reginy Clausen. W rzeczach Reginy znaleziono turkusowy pierścionek z inskrypcją: „Jesteś tylko moja”. – Chciała jeszcze opowiedzieć mu o telefonach od Tiffany i o tym, że te pierścionki są sprzedawane, a może i wyrabiane gdzieś w Greenwich Village, Shea jednak przerwał jej:

– Doktor Chandler, mamy dowody na to, że Justin Wells był – i prawdopodobnie nadal jest – chorobliwie zazdrosny o własną żonę. Z nagrania wynika, że pani Wells bała się go. Przypuszczam, że nie powiedziała nic mężowi o flircie, w który wdała się podczas rejsu. Dlatego prawdopodobnie, gdy Wells usłyszał jej opowieść w radiu, wpadł w szal. Muszę z nim porozmawiać. Chcę, żeby powiedział, gdzie był między czwartą a wpół do piątej w poniedziałek po południu. I chcę się dowiedzieć, kto go powiadomił o telefonie żony w czasie pani programu, a także jak wiele powiedziała mu ta osoba. , Susan wiedziała, że to, co mówi kapitan Shea, ma sens. Rzuciła okiem na zegarek – musiała już wracać do gabinetu. Tyle że nadal coś tu nie grało. Przeczucie podpowiadało jej, że nawet jeśli to Justin Wells w napadzie zazdrości wepchnął żonę pod

samochód, musi istnieć jakiś związek między mężczyzną ze statku, którym płynęła Carolyn, a zaginięciem Reginy Clausen.

Wychodząc z komisariatu, doszła do wniosku, że jest jeszcze jeden trop, którym powinna pójść: musi się skontaktować z Tiffany, a zna przecież jej numer telefonu i wie, że dziewczyna pracuje w The Grotto, „najlepszej włoskiej restauracji w Yonkers”.

Jim Curley poznał, że coś się święci, gdy w południe wiozł swego szefa do siedziby Fundacji Wrightów, a ten polecił mu zatrzymać się przy Irene Hayes Wadley & Smithe – wytwornej kwiaciarni w Centrum Rockefellera. Zamiast, jak zwykle, wysłać Jima, Wright kazał mu zaczekać w samochodzie, a sam ruszył do sklepu, trzymając pod pachą kartonowe pudełko. W kwadrans później wyszedł w towarzystwie sprzedawczynie, która niosła wielki wazon pełen kwiatów.

Wazon umieszczono dla większej stabilności w pudełku, kwiaciarka zaś, zgodnie z instrukcją Wrighta, ustawiła ostrożnie całą konstrukcję na podłodze, z tyłu samochodu.

Z uśmiechem podziękowała Wrightowi i zatrzasnęła drzwiczki auta. Wtedy Wright rzucił radosnym tonem:

– Następny przystanek – SoHo – po czym podał Jimowi jakiś adres, którego ten nie znał. Widząc konsternację na twarzy kierowcy, dodał: – Żeby zaspokoić twoją ciekawość: jedziemy do biura doktor Susan Chandler. A raczej ty jedziesz, żeby dostarczyć jej te kwiaty. Ja poczekam w samochodzie.

Przez wiele lat pracy Jim wielokrotnie dostarczał pięknym kobietom kwiaty od szefa, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby Alex Wright osobiście je wybierał.

Będąc wieloletnim pracownikiem rodziny, Jim pozwolił sobie na poufałość:

– Panie Wright, polubiłem doktor Chandler. To miła kobieta i bardzo

atrakcyjna. Jest taka ciepła i naturalna, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Wiem, Jim – odparł Alex. – I w pełni się z tobą zgadzam.

Jim zaparkował samochód na nie strzeżonym parkingu w pobliżu Houston Street. Ruszył biegiem do budynku, wcisnął się do windy przez szparę w zamykających się drzwiach i dojechawszy na ostatnie piętro, ruszył szybkim krokiem w kierunku biura, opatrzonego dyskretną tabliczką z napisem: „Dr Susan Chandler”. Tam zostawił kwiaty w recepcji i odmówiwszy przyjęcia napiwku, skierował się z powrotem do samochodu.

Tam ponownie pozwolił sobie na poufały ton, pytając:

– Panie Wright, czy to czasem nie ten sam wazon, który stał na stoliku w holu, a pańska matka przywiozła go z Irlandii?

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, Jim. Wczoraj, gdy odprowadzałem doktor Chandler po kolacji, zauważyłem, że ma bardzo podobny wazon, tyle że mniejszy. Pomyślałem, że chciałaby mieć drugi do kompletu. A teraz dodaj gazu. Powinienem już być na lunchu w hotelu Plaża.

O wpół do trzeciej Alex wrócił do swojego biura w Fundacji Wrightów. Kwadrans później sekretarka poinformowała go, że dzwoni Dee Chandler Harriman.

– Przełącz ją do mnie, Alice – rzucił lekko zdziwiony. Dee odezwała się ciepłym, jakby przepraszającym tonem:

– Alex, pewnie jesteś zajęty rozdawaniem swoich milionów, więc zajmę ci tylko chwilkę.

– Wczoraj wydałem jakieś pięć czy sześć, więc dziś zrobiłem sobie przerwę – rzucił. – O co chodzi?

– O nic kłopotliwego, mam nadzieję. Dzisiaj nad ranem podjęłam

pewną decyzję. Chcę wrócić do Nowego Jorku. Moi partnerzy w tutejszej agencji chętnie odkupią ode mnie udziały. A mój sąsiad od dawna miał chętkę na moje mieszkanie, więc z tym też nie będzie problemu. Właśnie dlatego dzwonię: czy możesz polecić mi jakąś dobrą agencję nieruchomości? Szukam cztero, pięciopokojowego apartamentu w East Side, najlepiej gdzieś między Piątą Aleją a Park Avenue, i koniecznie na Siedemdziesiątej którejś.

– Nie potrafię ci w tej chwili pomóc, Dee. Od urodzenia mieszkam w tym samym domu – tłumaczył Alex. – Mogę się jednak rozejrzeć za odpowiednią agencją.

– Och, dziękuję. Byłoby świetnie. Nie chcę zawracać ci głowy, ale czuję, że mi pomożesz. Przylatuję jutro po południu, więc mogłabym zacząć poszukiwania już w piątek.

– Myślę, że do tego czasu zdobędę dla ciebie potrzebne informacje.

– W takim razie przekażesz mi je jutro, gdy pójdziemy na drinka. Ja stawiam.

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Alex odchylił się na oparcie krzesła. Niespodziewanie pojawiły się komplikacje. Wyraźnie dosłyszał zmianę w głosie Susan, gdy powiedział, że jej siostra dołączy do nich na kolacji w bibliotece. Właśnie dlatego wysłał dzisiaj Susan kwiaty i osobiście dopilnował, aby bukiet był wyjątkowo piękny.

– I na co mi to? – mruknął na głos. Wtedy przypomniał sobie, że ojciec zwykł mu powtarzać, iż każdą, nawet najgorszą sytuację można obrócić na swą korzyść. Tylko jak to zrobić w tym wypadku? – pomyślał Alex ponuro.

Jane Clausen weszła na salę szpitalną ze spokojną rezygnacją. Tak jak przewidywała, lekarz nalegał, żeby została w szpitalu. Rak, który bez wątpienia wygrywał walkę z jej ciałem, najwyraźniej nie zamierzał zostawić jej ani trochę sił i czasu na pozałatwianie wszystkich niezbędnych spraw. Jane żałowała, że nie może powiedzieć: „Koniec z leczeniem”, ale nie była jeszcze gotowa na śmierć – jeszcze nie. Teraz, gdy pojawiła się iskierka nadziei na poznanie prawdy o zniknięciu Reginy, czuła, że jeśli będzie miała trochę czasu, zakończy wszystko, co nie dokończone. Kiedy kobieta, która dzwoniła do programu doktor Chandler, pojawi się i przyniesie zdjęcie mężczyzny, ofiarodawcy turkusowego pierścionka, będą miały przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

Rozebrała się, schowała ubranie do małej szafy i włożyła nocną koszulę i szlafrok, które spakowała jej Vera. Kolejny etap chemioterapii zacznie się rano.

Nie chciała jeść obiadu, zgodziła się jedynie na filiżankę herbaty i grzankę. Po posiłku zażyła środek przeciwbólowy przyniesiony przez pielęgniarkę i zaczęła powoli zapadać w sen.

– Pani Clausen?

Otworzyła oczy i zobaczyła nachyloną nad sobą zatroskaną twarz Douglasa Laytona.

– Douglas. – Nie była pewna, czy jest zadowolona z tej wizyty, ale jego zaniepokojenie cieszyło ją w pewien sposób.

– Dzwoniłem do pani do domu, ponieważ potrzebujemy pani podpisu

na zeznaniu podatkowym. Vera powiedziała mi, że jest pani tutaj, i od razu przyjechałem.

– Wydawało mi się, że podpisałam wszystko, co trzeba, na zebraniu – wymamrotała.

– Niestety, zapomnieliśmy o jednej stronie. Ale to może poczekać. Nie chcę teraz zawracać tym pani głowy.

– To nonsens. Podaj mi ten formularz. – Na zebraniu nie byłam w najlepszej formie, pomyślała. Dobrze, że zapomniałam tylko o tym. Sięgnęła po okulary i spojrzała na dokument podsunęty przez Douglasa. – Ach, to ten. – Wzięła z jego ręki długopis i ostrożnie złożyła podpis.

Teraz, leżąc w półmroku, Jane Clausen rozmyślała nad tym, jak bardzo podobny do Laytonów z Filadelfii jest Douglas. Świetna rodzina. A jednak wczoraj była o krok od tego, by stracić do niego zaufanie. I w tym cały kłopot, pomyślała. Choroba i lekarstwa wyraźnie pozbawiły ją trzeźwego spojrzenia na różne sprawy. Jutro zadzwoni do doktor Chandler i powie jej, że jest pewna, iż podejrzenia, jakie żywiła co do Douglasa, były całkowicie mylne, bezpodstawne i krzywdzące.

– Pani Clausen, czy mógłbym coś dla pani zrobić?

– Nie, nie możesz w niczym pomóc, ale dziękuję ci, Douglas.

– Czy wolno mi wpaść do pani jutro?

– Najpierw zadzwoń. Nie wiem, czy będę w stanie przyjmować jakichkolwiek gości.

– Rozumiem.

Jane poczuła, że mężczyzna unosi jej dłoń i składa na niej delikatny pocałunek.

Gdy na palcach wychodził z pokoju, spała już, ale nawet gdyby miała

otwarte oczy, mało prawdopodobne, żeby dojrzała w półmroku pełen satysfakcji uśmiech, który pojawił się na twarzy Douglasa.

Po drugim telefonie do „Spytaj doktor Susan” Tiffany była z siebie bardzo zadowolona. Zdołała powiedzieć wszystko, co sobie zaplanowała, i teraz musiała jedynie poczekać, aż ktoś doniesie Mattowi o tej rozmowie. A jej szef, Tony Seppendi, będzie po prostu zachwycony, gdy się dowie, że zareklamowała The Grotto w radiu.

Dopiero później ogarnął ją niepokój. A jeśli Matt pojawi się dziś w The Grotto? – myślała, studiując z uwagą swoje odbicie w lustrze. Najwyższy czas na farbowanie, stwierdziła, spostrzegłszy ciemne odrosty we włosach wzdłuż przedziałka. Wyglądają jak tory kolejowe, pomyślała z niesmakiem. A jeszcze ta przydługa grzywka. Wyglądam prawie jak pies pasterski, pomyślała z rozbawieniem, wykręcając numer zakładu fryzjerskiego.

– Tiffany! Ojej, właśnie mówiłyśmy o tobie. Jedna z klientek powiedziała nam, że byłaś wczoraj w „Spytaj doktor Susan”, więc dzisiaj wszystkie słuchałyśmy programu. Gdy usłyszałam twój głos, wrzasnęłam, żeby wszyscy się zamknęli. Wyłączyłyśmy nawet suszarki. Byłaś świetna. Mówiłaś tak słodko i naturalnie. Słuchaj, powinnaś powiedzieć swojemu szefowi, żeby ci dał podwyżkę.

Tiffany spytała, czy może przyjść jeszcze dziś, i usłyszała pełne entuzjazmu słowa:

– Przychodź od razu. Teraz jesteś sławna i już my dopilnujemy, żebyś odpowiednio wyglądała.

Trzy kwadransy później Tiffany siedziała na fotelu ze świeżo umyтыми

włosami. Kiedy wróciła do domu dwadzieścia po czwartej, jej głowę zdobiła nowa fryzura: lśniące włosy opadały z naturalnym wdziękiem na ramiona. Za namową Jill zdecydowała się również na manikiur i teraz jej paznokcie pokrywał ciemnoniebieski lakier.

Pośpiesz się, dziewczyno, przygadywała sobie w duchu. Reklama nie reklama, Tony się wścieknie, jeśli się spóźnię.

Jednak znalazła jeszcze chwilę, żeby wyprasować spódnicę i bluzkę, w której było jej wyjątkowo do twarzy. Jeśli Matt się pokaże, może pojedą po pracy w jakieś miłe miejsce na drinka.

Wahała się, czy włożyć pierścionek z turkusem, który przysporzył jej niespodziewanej sławy, ale w końcu zdecydowała, że tak. Naturalnie jeśli spotka Matta i ten powie coś o pierścionku, będzie udawała, że to nic wielkiego. Wystarczy, żeby przypadkowo zobaczył go na jej palcu...

Właśnie otwierała drzwi wyjściowe, gdy zadzwonił telefon. Niech sobie dzwoni, pomyślała. Nie mam czasu na rozmowę.

Z drugiej strony, zreflektowała się natychmiast, może to Matt. Przebiegła przez maleńki salon, wpadła do jeszcze mniejszej sypialni i podniosła słuchawkę, zanim przebrzmiał trzeci sygnał.

Dzwoniła matka Matta. Nie bawiąc się w zbędne subtelności, od razu przeszła do rzeczy:

– Tiffany, muszę nalegać, żebyś przestała opowiadać o moim synu w radiu. Matthew spotkał się z tobą tylko kilka razy. Mówił mi, że nie macie ze sobą nic wspólnego. W przyszłym miesiącu przeprowadza się na Long Island. Właśnie zaręczył się z bardzo atrakcyjną młodą kobietą, z którą spotyka się od jakiegoś czasu. Dlatego proszę, daruj sobie opowiadanie o waszej znajomości, zwłaszcza w radiu, gdzie mogą usłyszeć cię jego

znajomi czy narzeczona.

Tiffany usłyszała trzaśnięcie odkładanej słuchawki.

Wstrząśnięta, przez dobrą minutę stała bez ruchu ze słuchawką w ręce. Zaręczony? Nie wiedziałam nawet, że z kimś się spotyka, pomyślała, czując, jak ogarniają rozpacz.

– Jeśli chcesz zadzwonić...

Głos telefonistki dobiegał do niej niczym z innej planety. Tiffany rzuciła słuchawkę na widełki. Musi iść do pracy – wiedziała, że jeśli nie chce się spóźnić, powinna się pośpieszyć. Z twarzą zalaną łzami zbiegła po schodach, ignorując uprzejme „dzień dobry” sześciolatniego syna właściciela domu, który bawił się na werandzie.

W samochodzie ból i rozczarowanie zaatakowały ją z całą siłą. Wstrząsana łkaniem, nie mogła złapać oddechu. Najchętniej rzuciłaby się teraz w czyjeś ramiona i wypłakała cały żal, ale wiedziała, że nie ma na to czasu.

Gdy zajechała przed The Grotto, zaparkowała w najodleglejszym końcu parkingu i przez dłuższą chwilę nie wysiadała z auta. Potem wyjęła puderniczkę i zaczęła doprowadzać do porządku twarz. Nie może pokazać się ludziom w takim stanie; nie będą patrzeć, jak wypłakuje sobie oczy za jakimś idiotą, który jadł surową rybę i ciągał ją na durne filmy.

– Po co mi taki facet? – rzuciła na głos.

Świeży makijaż zrobił swoje, chociaż wargi nadal trzęsły jej się z wściekłości. Cóż, jeśli mnie nie chcesz, ja też nie chcę ciebie! – pomyślała ze złością. Nienawidzę cię, Matt, ty palancie!

Do piątej brakowało minuty. Mimo wszystko zdąży, jeśli się pośpieszy. Tylko tego jeszcze jej brakuje, żeby Tony zaczął się na nią wydzierać.

Zmierzając ku drzwiom od zaplecza, Tiffany zatrzymała się koło dużego zsypu na śmieci. Popatrzyła nań, po czym zdecydowanym ruchem ściągnęła pierścionek z palca i wrzuciła go do pojemnika, gdzie spoczął wśród resztek jedzenia.

– Wszawy pierścionek przyniósł mi wszawe szczęście – mruknęła i pobiegła w kierunku restauracji. Mocno pchnęła drzwi do kuchni i wpadła do środka, krzycząc od progu: – Cześć, czy Tony słyszał, że dziś rano reklamowałam tę jego norę w radiu?

Pacjent umówiony na drugą zjawił się w gabinecie tuż po Susan. Jadąc taksówką, zdołała oczyścić umysł ze wszystkiego, co nie wiązało się z historią choroby mężczyzny. Meyer Winter miał sześćdziesiąt pięć lat i był emerytowanym urzędnikiem, który dochodził do siebie po wylewie. Obecnie oprócz nieco sztywnego chodu i lekkiego utykania nic nie wskazywało na to, jak długo i poważnie był chory.

Nic z wyjątkiem głębokiej depresji, spowodowanej strachem, że choroba wróci, pomyślała Susan.

Dzisiaj pan Winter zjawił się u niej już dziesiąty raz i po jego wyjściu Susan z satysfakcją stwierdziła u niego widoczną poprawę, a przede wszystkim zmianę nastawienia. Zawsze bardzo cieszyła się z każdego takiego sukcesu, ponieważ utwierdzały ją one w przekonaniu, że słusznie postąpiła, porzucając sześć lat temu prawo na rzecz psychologii.

Natychmiast po wyjściu pana Wintera w jej gabinecie pojawiła się Janet.

– Dzwoniła doktor Pamela Hastings. Jest u siebie w domu i bardzo chce się z panią skontaktować.

– Zaraz do niej zadzwonię.

– Czyż te kwiaty nie są wspaniałe? – rzuciła Janet.

Susan dopiero teraz zwróciła uwagę na wazon wypełniony kwiatami, stojący na komodzie w kącie gabinetu. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– To na pewno pomyłka – powiedziała. – Przecież takie szkło kosztuje

fortunę.

– Żadna pomyłka – zapewniła ją Janet. – Chciałam dać napiwek człowiekowi, który przyniósł te kwiaty, ale odmówił przyjęcia. Powiedział, że to prezent od jego szefa. Myślę, że to był szofer czy ktoś taki.

Naturalnie. Alex musiał zauważyć, że nie jestem zachwycona perspektywą kolacji z Dee, pomyślała Susan. To wyjaśnia, dlaczego tak zaszalał. Jest bardzo spostrzegawczy. A ja głupia – nie powinnam dać mu odczuć, że jestem niezadowolona.

Prezent był cudowny, ale przyjemność psuł Susan powód, dla którego go ofiarowano. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Aleksa od razu i nie powiedzieć mu, że nie może zatrzymać wazonu. Nie, zdecydowała, zajmę się tym później. Teraz mam ważniejsze sprawy do załatwienia, pomyślała, sięgając po telefon.

Rozmowa nie trwała długo – Pamela Hastings obiecała, że przyjdzie do gabinetu jutro o dziewiątej rano.

Susan rzuciła okiem na zegarek – za chwilę zjawi się kolejny pacjent. Zdecydowanie nie miała teraz czasu, aby zastanawiać się nad faktem, że Pamela Hastings była wyraźnie zmartwiona, i to nie tylko poważnym stanem przyjaciółki. Powiedziała: „Doktor Chandler. Muszę podjąć trudną decyzję. To coś, co ma związek z wypadkiem Carolyn Wells. Może pani będzie mogła mi pomóc”.

Susan chciała wydobyć z niej więcej, ale zdawała sobie sprawę, że rozmowa może się przeciągnąć, wobec tego postanowiła, że wróci do tego tematu podczas jutrzejszego spotkania.

– Przyszła pani Mentis – oznajmiła Janet, wsuwając głowę do gabinetu.

Za dziesięć czwarta zadzwonił Donald Richards.

– Dzwonię, żeby potwierdzić dzisiejszą kolację. O siódmej w Palio, przy Zachodniej Pięćdziesiątej Pierwszej, dobrze?

Po chwili Susan odłożyła słuchawkę. Miała jeszcze parę minut. Wyszukała w kalendarzyku numer Jane Clausen i zadzwoniła. Nikt nie podnosił słuchawki, więc nagrała się na automatycznej sekretarce.

Ostatni pacjent opuścił jej gabinet pięć po szóstej. Susan najchętniej wpadłaby na chwilę do domu, ale wiedziała, że jest już późno i zdąży jedynie odświeżyć się trochę w gabinecie.

W ciągu dnia nie zdążyła się skontaktować z Tiffany – chciała przekonać dziewczynę, żeby się z nią spotkała i przyniosła pierścionek, by można go było porównać z tym, który Jane Clausen znalazła w rzeczach córki. Teraz Tiffany jest już zapewne w restauracji, a o tej porze ma na pewno mnóstwo pracy. Zadzwonię do niej po powrocie do domu, obiecała sobie Susan. Powiedziała, że pracuje na wieczornej zmianie, więc pewnie kończy bardzo późno. Jeśli nie złapię jej wieczorem, zadzwonię jutro rano.

Susan wzdrygnęła się. Dlaczego czuję się niespokojna, myśląc o Tiffany? – dziwiła się. To uczucie dziwnie łączyło się z tym, co jej babka nazywała siódmym zmysłem.

Nie znał nazwiska Tiffany, lecz to nie miało znaczenia. Nawet gdyby wiedział, jak dziewczyna się nazywa, i znalazł adres w książce telefonicznej, wizyta w jej domu nie byłaby rozsądna, a przy tym zupełnie niepotrzebna. Przecież już mu powiedziała, gdzie można ją znaleźć.

Po południu zadzwonił do The Grotto i poprosił ją do telefonu. Tak jak przewidywał, jeszcze nie przyszła – powiedziano mu, że zjawi się o piątej.

Dawno temu nauczył się, że najłatwiej uzyskać potrzebne informacje, prowokując rozmówcę do korygowania błędnych stwierdzeń.

– Pracuje do jedenastej, prawda? – zagadnął.

– Do północy. Wtedy kończy pracę kuchnia. Chce pan zostawić dla niej wiadomość?

– Nie, dziękuję. Spróbuję złapać ją w domu.

Nawet jeśli osoba, z którą właśnie rozmawiał, zapamięta tę rozmowę, z pewnością uzna, że dzwonił ktoś ze znajomych Tiffany. Przecież wyraźnie dał do zrozumienia, że zna jej numer domowy.

Miał nadzieję, że czas oczekiwania na wyjazd do Yonkers upłynie mu szybko i przyjemnie. Jednak nie mógł się już doczekać chwili, gdy spotka Tiffany. Na tę randkę czekał niecierpliwie. Wtedy w sklepie Tiffany dokładnie go sobie obejrzała, a jako kelnerka zapewne ma dobrą pamięć do twarzy. Można mówić o nadzwyczajnym szczęściu, że nie wypaplała Susan Chandler, iż będąc w sklepie, widziała kogoś, kto kupował jeden z tych turkusowych pierścionków.

Wiedział, co powiedziałyby wtedy Chandler: „Tiffany, to, co mi

powiedziałaś, ma wielkie znaczenie. Muszę się z tobą spotkać... „

Za późno, Susan, pomyślał. Masz pecha.

A co z chłopakiem Tiffany, Mattem?

Odtworzył w myślach scenę ze sklepu Parkiego. Wcześniej zadzwonił, żeby upewnić się, czy Parki ma zapas pierścionków. Wchodząc do sklepu, miał przygotowaną dokładnie odliczoną sumę, a Parki, zgodnie z jego poleceniem, wcześniej zapakował pierścionek i trzymał go przy kasie. Dopiero gdy on odwrócił się, żeby wyjść, zobaczył parę młodych ludzi. Pamiętał dokładnie tę chwilę. Dziewczyna widziała go jak na dłoni. Facet, z którym przyszła, oglądał towar na półkach i był odwrócony tyłem. Dzięki Bogu, nie stanowił żadnego zagrożenia.

Parki został już wyeliminowany. A jutro on będzie miał z głowy także Tiffany.

Przez myśl przemknął mu fragment wiersza zatytułowanego „Zbójca”, którego nauczył się w dzieciństwie: „Przyjdę do ciebie w blasku księżyca, choćbym miał piekło po drodze”.

Na to wspomnienie uśmiechnął się złośliwie.

Kiedy Justin Wells wrócił wieczorem do biura, czekała na niego mocno niepokojąca wiadomość. Kapitan Shea z dziewiętnastego posterunku prosił o telefon – chciał porozmawiać z Justinem na temat wypadku jego żony. Wiadomość kończyła się suchym stwierdzeniem: „Wie pan, gdzie mieści się nasz posterunek”.

Do tej chwili Justin nigdy nie wracał pamięcią do owego straszego wieczoru, kiedy Carolyn złożyła na niego doniesienie na policji.

Nie powinienem był grozić, że ją zabiję, przypomniał sobie, gniotąc kartkę z wiadomością w dłoni. Nie mógłbym jej skrzywdzić; po prostu chwyciłem ją za rękę, gdy chciała wyjść z mieszkania – nie miałem zamiaru jej zranić. Zwichnęła rękę, bo próbowała się wyrwać.

A potem poszła do sypialni, zamknęła drzwi na klucz i zadzwoniła na policję. To, co nastąpiło później, wspominał jak najgorszy koszmar. Nazajutrz znalazł kartkę z informacją, że wycofała skargę, ale wnosi o rozwód. A potem zniknęła.

Błagał Pamelę Hastings, żeby powiedziała mu, gdzie jest Carolyn, ta jednak milczała jak grób. Dopiero gdy zadzwonił do biura podróży i skłamał, że zapodział gdzieś numer telefonu, pod którym będzie mógł kontaktować się z żoną, dowiedział się, że Carolyn jest na statku, i wtedy zadzwonił do niej. Było to dokładnie dwa lata temu.

Wśród wielu obietnic, które złożył po jej powrocie, znalazła się i ta, że zacznie się leczyć. I zaczął – ale prawie natychmiast pojął, że nie potrafi odsłonić się przed nikim, nawet jeśli byłby to ktoś tak wyrozumiały, jak

doktor Donald Richards, i po jednej wizycie zrezygnował z terapii.

Naturalnie Carolyn o niczym nie wiedziała. Myślała, że on nadal chodzi do Richardsa.

Wychodząc z biura, Justin przypominał sobie, że podczas weekendu Carolyn była jakaś dziwna – spokojniejsza, mniej nerwowa. Zaczął nawet coś podejrzewać. A w zeszłym tygodniu wróciła raz później z pracy, twierdząc, że zasiedziała się z klientem, którego dom w East Hampton urzęduje jej firma.

Potem zaś, w poniedziałek, recepcjonistka oznajmiła mu, i to przy jego partnerach, że słyszała, jak Carolyn opowiada w programie „Spytaj doktor Susan” o mężczyźnie, którego poznała na statku.

Zadzwoił do Carolyn i spytał ją o to. Wiedział, że się zdenerwowała. Wkrótce potem wyszedł z biura. Dalszy ciąg tamtego dnia był zbyt przerażający, by o niej myśleć.

Teraz Carolyn leżała nieprzytomna w szpitalu, a jedynym słowem, jakie zdołała wymówić, było czyjeś imię – coś jakby „Win”. Czy tak nazywał się człowiek, którego poznała na statku? – zastanawiał się Justin.

To podejrzenie rozpało jego zazdrość do żywego; czuł, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Krew pulsowała w głowie.

Wyglądził zmiętą kartkę i raz jeszcze przeczytał uważnie zapisaną wiadomość. Musi zadzwonić do kapitana Shei, nie może dopuścić, by ten jeszcze raz zatelefonował do biura. Już teraz Barbara spojrzała na niego dziwnie, przekazując mu informację.

Myśl o okropnej nocy sprzed dwóch lat przyprawiała go o mdłości – gliny wpadły do mieszkania, aresztowały go i zawlokły w kajdankach na komisariat, niczym zwykłego złodzieja.

Justin powoli podniósł słuchawkę i przez chwilę trzymał ją przy uchu. W końcu wyciągnął dłoń i zmusił się do wykręcenia numeru.

W godzinę później stał przy biurku oficera dyżurnego i podawał mu swoje nazwisko, niemal pewny, że lada chwila któryś z policjantów go rozpozna. Gliny były w tym dobre.

Kazano mu pójść do biura kapitana Shei i zaczęło się przesłuchanie.

– Panie Wells, czy od tamtego czasu miał pan jakieś problemy z żoną?

– Absolutnie nie.

– Gdzie pan był w poniedziałek po południu między czwartą a wpół do piątej?

– Poszedłem na spacer.

– Czy wstąpił pan do domu?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Czy spotkał się pan z żoną?

– Nie, nie było jej w domu.

– A co pan zrobił potem?

– Wróciłem do biura.

– Czy przypadkiem nie był pan na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Park Avenue jakiś kwadrans po czwartej?

– Nie. Spacerowałem Piątą Aleją.

– Czy znał pan Hildę Johnson?

– A kto to jest? – spytał Justin. – A, już wiem. To ta kobieta, która twierdziła, że Carolyn nie upadła sama, tylko ktoś ją popchnął. Widziałem ją w telewizji. Wydawało mi się, że nikt nie wierzy w jej rewelacje.

– Tak – odparł spokojnie Shea. – To ona upierała się, że pańska żona

została wepchnięta pod samochód. Hilda była bardzo ostrożną kobietą, panie Wells. Na pewno nie wpuściłaby nikogo ani do swojej kamienicy, ani tym bardziej do mieszkania, gdyby nie była pewna, że może ufać tej osobie. – Tom Shea pochylił się nad biurkiem i ciągnął konfidencyjnym tonem: – Panie Wells, dobrze znałem Hildę. Była porządną osobą. Jestem przekonany, że wpuściłaby męża kobiety, która omal nie zginęła na jej oczach. Z pewnością chciałaby opowiedzieć mu osobiście o wszystkim, co widziała. Panie Wells, czy jest pan pewien, że w poniedziałkowy wieczór nie złożył pan wizyty Hildzie Johnson?

Susan dotarła do Palio dziesięć po siódmej i spostrzegła, że Donald Richards czeka już na nią przy barze. Próbowwała wytłumaczyć swoje spóźnienie, ale przerwał jej w pół słowa.

– Są okropne korki, a poza tym sam przyszedłem dopiero przed chwilą.
– Aha, pewnie cię to zainteresuje – spotkałem się dzisiaj na lunchu z moją matką. Słuchała twojego programu, tego, w którym brałem udział, i bardzo przypadłaś jej do gustu. Nie omieszkała też powiedzieć mi kilku słów na temat tego, że umówiłem się z tobą w restauracji. Najwyraźniej w jej czasach dżentelmen zobowiązany był przyjechać po zaproszoną damę do domu i wraz z nią udać się na miejsce spotkania.

Susan roześmiała się:

– Zważywszy na korki na Manhattanie, zanim przyjechałbyś po mnie do Village i wrócił do centrum, wszystkie restauracje byłyby już zamknięte.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Przy barze o kształcie podkowy było bardzo tłoczno, a i wszystkie miejsca przy stolikach były zajęte. Wokół, na wszystkich czterech ścianach dwupoziomowej sali, rozpościerało się ogromne malowidło, przedstawiające słynny wyścig Palio, utrzymane w odcieniach czerwieni. Przyćmione światło nadawało pomieszczeniu ciepły, przytulny charakter.

– Nigdy tu nie byłam, ale bardzo mi się podoba – powiedziała.

– Ja też nie, ale gorąco polecano mi ten lokal. Sala restauracyjna znajduje się na pierwszym piętrze.

Richards podał swoje nazwisko kobiecie stojącej przy kontuarze.

– Potwierdziłem rezerwację. Możemy pojechać windą – zwrócił się do Susan.

Susan dyskretnie przyglądała się Donaldowi. Miał brązowe włosy z lekko rudym odcieniem – babcia Susie określiłaby ten odcień jako „barwę zeschniętych liści”, pomyślała. Nosił duże okulary w stalowoszarej oprawce. Soczewki sprawiały, że szaroniebieskie – a może niebieskie – tęczówki jego oczu wydawały się większe.

Była przekonana, że przebrał się po pracy. Wczoraj i w poniedziałek przyszedł do studia w rozpinanym swetrze i codziennych spodniach. Odniosła wówczas wrażenie, że Donald jest typem nieco roztrzepanego naukowca. Ale dziś wieczorem prezentował się zupełnie inaczej w ciemnoniebieskim garniturze od dobrego krawca i srebrno-niebieskim krawacie.

Winda zatrzymała się przed nimi z hukiem. Wsiedli do środka, a gdy ruszyła, Richards powiedział:

– Czy mogę zauważyć, że wyglądasz niezwykle pociągająco? Ten komplet jest bardzo ładny.

– Nie wiem, czy ubrałam się wystarczająco elegancko – odparła szczerze Susan. – Ale, jak powiedziała by moja babcia, „tyś się dopiero odstawił”.

– Zapewniam cię, że wyglądasz doskonale.

Już drugi raz w ciągu zaledwie pięciu minut przyszła mi na myśl babcia, pomyślała Susan. Ciekawe dlaczego?

Wysiedli na pierwszym piętrze. Przy windzie czekał kierownik sali, który zaprowadził ich do stolika. Poprosili o kartę alkoholi – Susan

zamówiła chardonnay, a Donald martini.

– Zwykle nie zamawiam mocnych alkoholi – wyjaśnił. – Ale dziś miałem wyjątkowo ciężki dzień.

Czyżby ze względu na lunch z matką? – zastanawiała się Susan. Postanowiła, że nie będzie wypytywać go o prywatne sprawy. Nie może zapomnieć, że Richards jest psychiatrą i od razu zorientuje się, że ona próbuje pociągnąć go za język.

Mimo to miała do niego wiele pytań i zastanawiała się, czy będzie potrafiła zadać je tak, aby nie wzbudzić jego podejrzeń. Na przykład, dlaczego poczuł się nagle mocno niepewnie, gdy jeden ze słuchaczy zapytał o jego żonę? Czy rozmowa o rejsach wycieczkowych, które najwyraźniej były jego pasją, zabrzmiała nienaturalnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że podczas wspólnej audycji Susan opowiedziała, iż zniknięcie Reginy Clausen nastąpiło właśnie podczas jednego z takich rejsów? Nie mówiąc już o tym, że statek, którym płynęła Regina – „Gabrielle”

– był zarazem ulubionym statkiem Richardsa. Musiała koniecznie z nim o tym porozmawiać.

Najlepszą metodą skierowania konwersacji na temat, który cię interesuje, przypomniała sobie Susan, jest osłabienie czujności rozmówcy, spowodowanie, żeby poczuł się swobodnie i przestał się kontrolować. Uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Dziś dzwoniła słuchaczka, która oświadczyła, że po wysłuchaniu audycji z twoim udziałem pobiegła do sklepu kupić twoją książkę i bardzo jej się ona podoba.

Richards również się uśmiechnął.

– Słyszałem. I przyznaję, że zgadzam się z jej opinią. Słyszałeś? –

zdziwiła się w duchu Susan. Od kiedy to zajęci psychiatrzy mają czas na słuchanie dwugodzinnych audycji radiowych?

Kelner przyniósł ich drinki. Richards podniósł kieliszek i powiedział:

– Dziękuję za cudowne towarzystwo.

Susan wiedziała, że zwykle tak się mówi, ale czuła, że za standardowym komplementem kryje się coś więcej – szczególny sposób, w jaki Donald wypowiedział te słowa, nagle zmrużenie oczu, jakby obserwował ją pod mikroskopem.

– Doktor Susan – powiedział. – Muszę się do czegoś przyznać. Szukałem informacji na twój temat w Internecie.

A ja na twój, pomyślała Susan. Wet za wet – to chyba sprawiedliwe, stwierdziła.

– Wychowałaś się w Westchester, prawda? ~ spytał.

– Tak, najpierw w Larchmont, a potem w Rye. Ale moja babka mieszkała od zawsze w Greenwich Village i kiedy byłam dzieckiem, spędzałam u niej większość weekendów. Uwielbiałam te wizyty. Z nas dwóch to moja siostra zawsze bardziej pasowała do sielskiego obrazu życia wyższych sfer na wsi.

– A rodzice?

– Rozwiedli się trzy lata temu. Niestety, nie odbyło się to w sposób pokojowy. Mój ojciec poznał pewną kobietę i stracił dla niej głowę. Mama była zdruzgotana i zaliczyła wszystkie możliwe etapy: złamane serce, złość, żal i zaprzeczanie oczywistości.

– A ty jak to przyjąłeś?

– Było mi smutno. Stanowiliśmy szczęśliwą, kochającą się rodzinę, przynajmniej tak mi się wydawało, i lubiliśmy się nawzajem. Ale po

rozwodzie rodziców wszystko się zmieniło. Czasami porównuję naszą sytuację do statku, który wpadł na rafę i zaczyna tonąć, a każdy z pasażerów ratuje się na własną rękę, nie oglądając się na innych.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że powiedziała więcej, niżby chciała, lecz Richards nie drażył tego tematu, za co była mu wdzięczna.

Zapytał natomiast:

– Ciekawi mnie jedna rzecz: dlaczego porzuciłaś pracę w prokuraturze i wróciłaś na studia, by doktoryzować się z psychologii klinicznej?

Susan doskonale знаła odpowiedź na to pytanie.

– Myślę, że przyczyną była bezsilność. Miałam do czynienia z zatwardziałymi kryminalistami i naprawdę cieszyło mnie, gdy udało się ich wsadzić do więzienia. Ale któregoś dnia byłam oskarżycielem w sprawie kobiety, która zabiła swego męża, ponieważ groził, że ją zostawi. Dostała piętnaście lat. Nigdy nie zapomnę oszołomienia i niedowierzania na jej twarzy, gdy odczytano wyrok. Czułam, że gdyby w porę się nią zainteresowano, gdyby ktoś pomógł jej opanować nienawiść, która ją zniszczyła...

– Wielki żal może wyzwolić wielką nienawiść – wtrącił cicho Richards.

– Zapewne gdy potem twoja matka była w podobnej sytuacji, pomyślałaś, że równie dobrze ona mogła zasiadać na ławie oskarżonych.

Susan skinęła głową.

– Po separacji mamę ogarnęły myśli samobójcze, ale i potworny gniew, zwrócony przeciwko ojcu. Robiłam wszystko, żeby jej pomóc. Czasami tęsknię za pracą w prokuraturze, ale wiem, że mój wybór był słuszny. A ty? Dlaczego zająłeś się psychiatrią?

– Zawsze chciałem być lekarzem. Studiując medycynę, uświadomiłem

sobie, jak wielki wpływ na zdrowie fizyczne ma umysł. I postanowiłem podążać tą drogą.

Kierownik sali przyniósł menu i po kilku minutach rozważania walorów oferowanych dań zamówili posiłek.

Susan miała nadzieję, że ta przerwa w rozmowie pozwoli jej skierować konwersację na jego temat, ale Richards natychmiast wrócił do tematu audycji.

– Podczas lunchu moja matka przypomniała mi o pewnej sprawie – zaczął lekkim tonem. – Czy Karen, ta, która dzwoniła w poniedziałek, odezwała się do ciebie?

– Nie – odparła krótko Susan.

Donald oderwał kawałek bułki i spytał zniechęcony:

– Czy twój producent wysłał Justinowi Wellsowi kasetę z nagraniem programu?

Nie takiego pytania spodziewała się Susan.

– Znasz Justina Wellsa? – odrzekła pytaniem, nie kryjąc zdziwienia.

– Poznałem go/

– Prywatnie czy jako pacjenta?

– Jako pacjenta.

– Czy próbowałeś mu pomóc w opanowaniu chorobliwej zazdrości o żonę?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo jeśli tak, sądzę, że powinieneś pójść na policję i opowiedzieć im wszystko, co wiesz na jego temat. Nie chciałam cię okłamać, gdy pytałeś o Karen, ale musisz wiedzieć, że chociaż rzeczywiście się z nią nie spotkałam, to zdobyłam nowe informacje na jej temat. Wszystko wskazuje

na to, że Karen jest żoną Justina Wellsa, naprawdę nazywa się Carolyn i w kilka godzin po rozmowie na antenie wpadła czy też została wepchnięta pod samochód.

Na twarzy Donalda Richardsa nie widać było zaskoczenia, raczej powagę i zadumę.

– Niestety, chyba masz rację, powinienem porozmawiać z policją – oznajmił ponuro.

– Śledztwo prowadzi kapitan Shea z dziewiętnastego posterunku – poinformowała go Susan.

Miałam rację, dodała w duchu. Tym, co łączy wypadek Carolyn Wells i jej telefon do radia, jest zazdrość męża.

Pomyślała o pierścionku z turkusem i wygrawerowanym napisem. Fakt, że jeden z nich chłopak Tiffany kupił w Greenwich Village, prawdopodobnie nie miał żadnego znaczenia. Tak jak plastikowe Statuy Wolności, kopie Tadź Mahal z kości słoniowej czy wisiorki z serduszkami, można go pewnie kupić w każdym sklepie z pamiątkami w kraju.

– Jak twoja sałatka? – zagadnął Richards.

Najwyraźniej chciał zmienić temat rozmowy. I słusznie, przyznała w duchu Susan. Obowiązuje go tajemnica lekarska.

– Pyszna – odparła. – Ale, ale – opowiedziałam ci o sobie, więc teraz czas na ciebie. Masz rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynakiem. Dorastałem na Manhattanie. Mój ojciec zmarł ponad dziesięć lat temu, a po jego śmierci mama przeprowadziła się na stałe do Tuxedo Park. Jest malarką, całkiem niezłą. Ojciec był urodzonym żeglarzem i często razem wypływaliśmy w rejsy.

Susan zacisnęła w myśli kciuki.

– Zainteresowało mnie, że na rok przerwałeś naukę w college’u, żeby popracować jako asystent kierownika rejsu. To pewnie wpływ twego ojca?

Wyglądał na rozbawionego.

– Widzę, że oboje szukamy potrzebnych informacji w Internecie. Tak, to był świetny rok. Najpierw zaokrętowałem się na statku odbywającym rejs dookoła świata i zwiedziłem większość ważnych portów, a potem pływałem na krótszych, mniej popularnych trasach. Zwiedziłem niezły kawałek świata.

– A co należy do obowiązków asystenta kierownika rejsu?

– Pomoc w organizacji i koordynacji wszystkiego, co wiąże się z rejsem. Poczynając od planowania występów rozrywkowych i zatrudnienia artystów, przez prowadzenie gry w bingo, a na organizacji balów kostiumowych kończąc. Krótko mówiąc, moja praca polegała na dopilnowaniu, żeby wszystko grało. Do moich obowiązków należało także zabawianie pasażerów i dbanie o to, by wszyscy byli zadowoleni.

– Jak piszą w twojej biografii, poznałeś swoją żonę na „Gabrielle”, która jest jednocześnie twoim ulubionym statkiem. Regina Clausen też odbywała rejs tym statkiem, zanim zniknęła.

– Tak. Rzecz jasna, nigdy jej nie spotkałem, ale potrafię zrozumieć, dlaczego polecono jej właśnie „Gabrielle”. To wspaniały statek.

– A gdybyś znał sprawę Reginy Clausen, czy chciałbyś napisać o niej w swojej książce? – Miała nadzieję, że to pytanie zabrzmiało naturalnie.

– Nie. Nie sądzę.

W końcu powie mi, żebym przestała go wypytywać, pomyślała. Ale dopóki mi na to pozwala, muszę wyciągnąć z niego jak najwięcej.

– Ciekawi mnie – rzuciła – dlaczego postanowiłeś napisać „Znikające kobiety”.

– Zainteresowałem się tym tematem, ponieważ sześć lat temu leczyłem pacjenta, który stracił w ten sposób żonę. Pewnego dnia po prostu nie wróciła do domu. Wyobrażnia podsuwała mu setki możliwych wytłumaczeń jej zniknięcia – aresztowanie, amnezja, zabójstwo, co tylko chcesz.

– Czy kiedykolwiek poznał prawdę?

– Tak, dwa lata temu. Przy zakręcie drogi w pobliżu ich domu jest jezioro. Jakiś przypadkowy nurek zobaczył na jego dnie zatopiony samochód – jak się później okazało, był to wóz żony mego pacjenta. W środku znajdowały się jej szczątki. Najwyraźniej tym razem za późno zauważyła zakręt.

– A jak potoczyło się jego życie?

– Od kiedy poznał prawdę, wszystko się zmieniło. Następnego roku ożenił się ponownie. Dzisiaj jest zupełnie innym człowiekiem; nigdy nie powiedziałabyś, że to ten sam mężczyzna, który przed laty przyszedł do mnie po pomoc. Najbardziej w tej sprawie uderzył mnie fakt, że największy ból po zniknięciu ukochanej osoby nie wynika z samej straty, ale z tego, że nie wiesz, co ją spotkało... I to naprowadziło mnie na pomysł prześledzenia przypadków innych kobiet, które zaginęły bez śladu.

– Jakie kryterium zastosowałeś, wybierając te a nie inne sprawy?

– Szybko zdałem sobie sprawę, że większość z nich ma podłoże kryminalne. Na tej podstawie zanalizowałem różne niebezpieczne sytuacje, w których mogą znaleźć się kobiety, i przedstawiłem sposoby pozwalające uniknąć takich okoliczności.

W trakcie tej rozmowy kelner uprzątnął talerze po sałatkach i przyniósł zamówione dania. Cały czas rozmawiali, przeplatając luźne uwagi na temat jedzenia (wyśmienite) i ulubionych restauracji (Nowy Jork to raj dla smakoszy) z bardziej osobistą rozmową, z której Susan próbowała dowiedzieć się jak najwięcej na temat Richardsa.

Don Richards przełknął pierwszy kęs gotowanej ryby i odchylił się na krześle.

– Mam wrażenie, jakbym brał udział w programie „Sto pytań do...” i to niejako pytający. Wiesz o mnie już chyba wszystko. Teraz kolej na ciebie, Susan. Powiedziałem ci, że uwielbiam wodę, a ty jak spędzasz wolny czas?

– Dużo jeżdżę na nartach – odparła Susan. – Mój tata jest świetnym narciarzem i to on nauczył mnie wszystkiego. Twój ojciec zabierał cię na żagle, mój jeździł ze mną w góry. Moja matka i siostra nienawidzą zimna, więc na nartach miałam ojca tylko dla siebie.

– Czy nadal jeździecie razem w góry?

– Nie. Tata, niestety, porzucił narty.

– Odkąd ponownie się ożenił?

– Mniej więcej.

W tym momencie do stolika podszedł kelner, wręczając im menu deserów, za co Susan dziękowała w duchu losowi. Chciała dowiedzieć się jeszcze paru rzeczy od Donalda, a tymczasem sama mówiła mu więcej, niż powinna.

Zgodnie podziękowali za deser i zamówili tylko kawę. Po odejściu kelnera Richards nawiązał do Tiffany:

– Głupio się czułem, słuchając jej dzisiaj. W głosie dziewczyny słyszeć

było jakiś żalony, błagalny ton, prawda?

– Sądzę, że ona rozpaczliwie pragnie się zakochać i być kochaną – oświadczyła Susan. – Wygląda na to, że ten Matt był pierwszym chłopakiem na serio, jakiego miała. Po prostu przypisała im wszystkie cechy księcia z bajki, nie zastanawiając się, jaki jest naprawdę.

Richards skinął głową.

– A założę się, że jeśli nawet Matt zadzwoni do niej, to nie dlatego, że jest zadowolony z faktu, iż Tiffany przywiązuje tak wielką wagę do pierścionka, który kupił jej w przyływie dobrego humoru. Wręcz przeciwnie, taka afektacja odstraszyłaby większość mężczyzn.

Czyżby próbował zbagatelizować znaczenie pierścionka? – zastanawiała się Susan. Przez głowę przemknęły jej słowa starej piosenki „Jesteś tylko moja”: „Zwiedź piramidy nad Nilem, na dzikiej wyspie zatrzymaj się chwilę...”

Wyszli z restauracji i Richards złapał taksówkę, a gdy wsiedli do samochodu, podał kierowcy jej adres, po czym spojrzał na nią z zakłopotaniem i powiedział:

– Nie jestem jasnowidzem. Znalazłem twój adres w książce telefonicznej... pod nazwiskiem S. C. Chandler. Co oznacza to „C”?

– Connelley. To nazwisko panięskie mojej mamy.

Kiedy przyjechali na miejsce, Donald kazał taksówkarzowi poczekać i wszedł z nią po schodach kamienicy.

– Twoja matka byłaby zachwycona – oświadczyła Susan. – Jesteś prawdziwym dżentelmenem. – Przypomniała sobie Aleksa Wrighta, który zrobił to samo dwa dni temu. Dwóch dżentelmenów w ciągu trzech dni, zauważyła w duchu. Całkiem nieźle.

Richards ujął ją za rękę.

– Dziękowałem ci za miłe towarzystwo na początku tego wieczoru. Teraz pragnę uczynić to jeszcze raz. – Spojrzał na nią uważnie i dodał: – Nie bój się komplementów, Susan. Dobranoc.

I poszedł. Susan weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i oparta się o nie plecami, próbując zebrać myśli. W końcu podeszła do telefonu. Automatyczna sekretarka sygnalizowała, że nagrano dwie wiadomości. Pierwszą zostawiła matka: „Zadzwoń do mnie, jeśli wrócisz przed północą”.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Nie odsłuchiwała drugiej wiadomości, tylko modląc się w duchu, żeby nie działo się nic złego, wykręciła numer telefonu.

W głosie matki słyhać było nie ukrywane zdenerwowanie. Bez żadnych wstępów wyrzuciła z siebie potok słów:

– Susan, to szaleństwo. Czuję się okropnie, mam wrażenie, że zostałam zmuszona do wybrania którejś z córek, ale...

Susan słuchała w milczeniu nieskładnych wyjaśnień matki, z których wynikało, że Alex Wright był bardzo zadowolony ze spotkania Susan na niedzielnym przyjęciu, ale Binky uparła się, że skojarzy go z Dee.

– Obie wiemy, że Dee czuje się samotna i opuszczona, ale w żadnym wypadku nie chciałabym, żeby zniszczyła znajomość, która może przynieść ci dużo radości – rzekła matka drżącym głosem. Najwyraźniej ta rozmowa wiele ją kosztowała.

– Nie chcesz być świadkiem, jak Dee znowu odbija mi kogoś, kto się mną zainteresował, prawda, mamó? No więc posłuchaj, poszłam z Alekssem Wrightem na kolację i świetnie się bawiłam, ale nic więcej.

Wiem, że Dee do niego dzwoniła, a on zaprosił ją, żeby wybrała się z nami na kolację w sobotę. Nie rywalizuję z własną siostrą. Kiedy poznam tego jedyne, oboje będziemy wiedzieli, że to właśnie to, i na pewno nie będę miała powodów do obaw, że odejdzie, gdy moja siostra zagnie na niego parol. Bądź spokojna, nie zainteresowałabym się mężczyzną, który porzuciłby mnie z byle powodu.

– Sugerujesz, że nie warto było walczyć o twojego ojca? – obruszyła się jej matka.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy? – zaprotestowała Susan. – Doskonale rozumiem, że gdy zawiodłaś się na tacie, czułaś się okropnie. Ja też czułam się okropnie. Ale w większości wypadków sama utrata zaufania do partnera jest i tak śmiertelnym ciosem dla związku. Dlatego nie martw się na zapas, zobaczymy, co z tego wyniknie. Jak dotąd, spotkałam się z Alekssem tylko raz. Niewykluczone, że już na drugiej randce zanudzimy się na śmierć.

– Zrozum tylko, że Dee jest bardzo nieszczęśliwa – powiedziała matka błagalnym tonem. – Dziś po południu dzwoniła do mnie, żeby powiedzieć, że przeprowadza się do Nowego Jorku. Tęskni za nami i ma dość pracy w agencji. Twój ojciec przekonał ją, żeby wybrała się na krótki rejs statkiem. Mam nadzieję, że to podniesie ją na duchu.

– Ja też. Dobrze, mam, muszę kończyć. Odezwę się wkrótce. Dopiero teraz sprawdziła drugą wiadomość – jak się okazało, od Aleksa Wrighta: „Obiad w bibliotece został odwołany i pomyślałem, że może uda mi się znowu zaprosić cię gdzieś bez uprzedzenia. Wiem, że nie świadczy to najlepiej o moich manierach, ale muszę się z tobą zobaczyć. Zadzwoń jutro”.

Na twarzy Susan pojawił się uśmiech. Wcale nie czuję się zmieszana, słysząc komplementy na swój temat, doktorze Richards, pomyślała, przynajmniej w tym wypadku. I cieszy mnie, że Dee wypływa na rejs już w przyszłym tygodniu.

Dopiero znacznie później, leżąc w łóżku i niemal zasypiając, Susan przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Tiffany. Musi przekonać ją przynajmniej do tego, aby dziewczyna pokazała jej pierścionek. Zapaliła lampkę nocną i spojrzała na zegarek – do północy brakowało piętnastu minut.

Jeszcze ją złapię, pomyślała. Może jeśli powiem jej, żeby przyszła jutro do studia i że zapraszam ją na lunch, zgodzi się.

Zadzwoniła do informacji, gdzie podano jej numer The Grotto, a potem do restauracji. Czekwała dłuższą chwilę, zanim ktoś odebrał telefon i warknął do słuchawki:

– Grotto!

Susan poprosiła do telefonu Tiffany i znowu musiała chwilę poczekać, zanim dziewczyna podniosła słuchawkę. Gdy Tiffany usłyszała, kto dzwoni, wpadła w szal.

– Doktor Susan, mam dosyć gadania o tym pierścionku. Dzwoniła do mnie matka Matta i kazała mi przestać mówić o nim; powiedziała, że Matt się żeni. Wyrzuciłam ten durny pierścionek! Bez urazy, ale zaczynam żałować, że słuchałam pani programu tamtego dnia. I żałuję też, że w ogóle poszliśmy z Mattem do tego głupiego sklepu. A najbardziej mnie wścieka, że właściciel tej paskudnej nory powiedział nam, że facet, który akurat wyszedł ze sklepu, kupił kilka takich pierścionków dla swoich dziewczyn.

Susan usiadła na łóżku.

– Tiffany, to bardzo ważne. Czy widziałaś tego mężczyznę?

– Pewnie że tak. To jakiś elegancik. Facet z klasą – nie taki jak Matt.

– Tiffany, muszę z tobą porozmawiać. Przyjedź jutro do centrum.

Pójdziemy razem na lunch. Ale powiedz mi jeszcze jedno – czy możesz jakoś odzyskać ten pierścionek?

– Doktor Susan, do tej pory jest już pewnie przysypany tonami resztek pizzy i pieczonych kurczaków, no i dobrze! Nie chcę o tym rozmawiać. Czuję się jak idiotka, zwłaszcza że cały świat słyszał, jak wychwalałam Matta. Dureń! No, muszę kończyć. Szef zabija mnie wzrokiem.

– Tiffany, czy pamiętasz, gdzie kupiliście ten pierścionek?

– Mówiłam pani, w Village. W zachodnim Village. Wiem, że to było niedaleko od stacji metra. Na pewno po drugiej stronie ulicy był sexshop. Muszę kończyć. Do widzenia, doktor Susan.

Susan powoli odłożyła słuchawkę; zupełnie odechciało jej się spać. Fatalnie, że Tiffany wyrzuciła swój pierścionek, ale wygląda na to, że widziała mężczyznę, który kupił ich co najmniej kilka. Miałam zadzwonić do Chrisa Ryana, żeby sprawdził Douglasa Laytona, przypomniała sobie. Mogę mu też dać numer domowy Tiffany, to zdobędzie dla mnie jej adres. A nawet jeśli nie, to i tak jutro wieczorem będę siedzieć w The Grotto nad talerzem pełnym najlepszego włoskiego jedzenia w Yonkers.

Tiffany zdołała jakoś przetrwać wieczór i przez większość czasu zachowywała się jak zwykle, dowcipkując i złośliwie komentując polecenia szefa. Na pewno pomógł jej w tym fakt, że przez całą zmianę restauracja The Grotto była wypełniona po brzegi, a ona nie miała czasu na myślenie. Zaledwie kilka razy, gdy poszła do łazienki i zobaczyła swoje odbicie w lustrze, znów poczuła falę złości i bólu.

Koło jedenastej do restauracji wszedł jakiś mężczyzna i usiadł przy barze. Za każdym razem, gdy Tiffany mijala go, podchodząc do stolików, czuła, że facet pożera ją wzrokiem. Idiota, pomyślała.

Za dwadzieścia dwunasta facet chwycił ją nagle za rękę, prosząc, żeby po pracy poszła z nim na drinka.

– Spadaj, zboczeńcu! – ucięła jego propozycję.

A wtedy ścisnął jej dłoń tak mocno, że zawyła cicho z bólu.

– Nie musisz być niegrzeczna – rzucił półgłosem.

– Puść ją! – Z zaplecza w mgnieniu oka wyszedł barman Joey. – Może już dosyć tego picia? Zapłać i wynocha!

Nieznajomy wstał. Był wysoki, ale Joey przewyższał go wzrostem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym facet rzucił na bar kilka banknotów i wyszedł.

Zaraz potem zadzwoniła doktor Susan i Tiffany znowu przypomniała sobie o swoim nieszczęściu. Chcę tylko wrócić do domu i skulić się pod kocem, pomyślała.

Za pięć dwunasta Joey skinął na Tiffany i gdy podeszła, odezwał się

cicho:

– Słuchaj, dziecino, jak będziesz chciała wyjść, pójdę z tobą i odprowadzę cię do samochodu. Ten facet może nadal kręcić się w pobliżu.

Lecz właśnie gdy Tiffany wkładała płaszcz, do lokalu weszła drużyna kręglarzy i zajęła wszystkie miejsca przy barze. Dziewczyna wiedziała, że zanim Joey wszystkich ich obsłuży, upłynie sporo czasu.

– Nic mi nie będzie, Joey. Do jutra! – krzyknęła do niego i wybiegła na dwór.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zostawiła samochód w najdalszej części parkingu. Cholera, pomyślała. Jeśli ten facet czeka na mnie, będą problemy. Uważnie zlustrowała wzrokiem parking. Na placu znajdował się tylko jakiś mężczyzna, który najwyraźniej wysiadł właśnie z samochodu i zmierzał do restauracji. Nawet w przyćmionym świetle latarni widać było, że nie jest to facet, który zaczepiał ją w barze. Ten był wyższy i szczuplejszy.

Mimo wszystko jednak Tiffany czuła się mocno niepewnie i pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu. Idąc szybkim krokiem w kierunku samochodu, grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków. W końcu namacała je palcami; była już prawie przy aucie.

Wtem zobaczyła przed sobą mężczyznę, którego widziała wcześniej na parkingu. W ręce trzymał jakiś lśniący przedmiot.

Nóż! – pomyślała, zamierając ze strachu.

Nie! – przemknęło jej przez myśl, gdy zobaczyła, że facet podchodzi do niej.

Dlaczego? Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Proszę – zaczęła błagalnie. – Proszę!

Żyła jeszcze wystarczająco długo, żeby zobaczyć twarz napastnika i przypomnieć sobie, skąd go zna – to był ten elegancki mężczyzna, którego widziała w sklepie z pamiątkami; ten, który kupował pierścionki z napisem: „Jesteś tylko moja”.

Wracając do miasta samochodem, jechał wzdłuż Cross Bronx Expressway i czuł, jak powietrze ucieka mu z płuc. Niewiele brakowało. Ledwo zdążył przeskoczyć niski murek, dzielący parking The Grotto od nieczynnej stacji benzynowej, gdzie zaparkował samochód, gdy usłyszał, jak jakiś facet wychyla się z restauracji krzycząc: „Tiffany!”

Zostawił wóz na niewielkim wzniesieniu i, na szczęście, mógł zjechać, nie zapalając silnika, aż do głównej ulicy. Tam skręcił w prawo i dołączył do sznura jadących samochodów, więc istniały spore szanse, że nikt go nie zauważył.

W przyszłym tygodniu będzie po wszystkim, przypomniał sobie. Wybierze jakąś kobietę, by „zobaczyła, co to dżungla zaklęta”, i jego misja dobiegnie końca.

Veronica, taka łatwowierna, była pierwsza. Teraz spoczywała wśród egipskich piasków. „Zwiedz piramidy nad Nilem”.

Regina. Zdobył jej zaufanie na Bali: „Na dzikiej wyspie zatrzymaj się chwilę”.

Constance, która zastąpiła Carolyn w Algierze: „Ujrzyj cuda algierskich bazarów”.

„Uleć ptakiem srebrnym w kraj czarów”. Pomyślał o Monice, nieśmiałej milionerce, którą poznał podczas lotu do Londynu. Pamiętał, jak opowiadał jej o słońcu odbijającym się w skrzydle samolotu.

Naturalnie z pierścionkami popełnił błąd. Teraz to wiedział. Miały być jego prywatnym żartem, ogniwem łączącym imiona, którymi posługiwał

się podczas swoich podróży. Powinien był jednak powstrzymać się od niewczesnych żartów.

Ale Parki, który wyrabiał te pierścionki, został usunięty. A teraz Tiffany, która widziała go, gdy je kupował u Parkiego, też odeszła.

Był pewien, że tak jak Carolyn, poznała jego twarz w ostatnim przeblysku świadomości.

Cóż, to wszystko piórka na wietrze; nie mógł zapobiec ich rozsypaniu, lecz niestety, niektóre z nich uleciały w siną dal, nie wiadomo gdzie. Jakkolwiek starał się unikać aparatów fotograficznych, bez wątpienia musiał zostać uwieczniony na zdjęciach uczestników rejsu. Zdjęciach, które teraz wisiały oprawione w ramki w domach na całym świecie, przypominając ich właścicielom o wspaniałych wakacjach... Fotografie, o których istnieniu nawet nie wiedział, a które stały teraz na setkach toaletek czy biurka. Ta myśl w równym stopniu rozbawiła go, co zaniepokoiła.

Przecież Carolyn Wells omal nie wysłała Susan Chandler zdjęcia, na którym on był w tle. Myśl o tym, jak niewiele do tego brakowało, nadal nie dawała mu spokoju. Mógł sobie łatwo wyobrazić chwilę, kiedy Susan rozpakowuje paczkę i otwiera oczy szeroko ze zdumienia i przerażenia, rozpoznając go na zdjęciu.

Przyjechał do garażu. Zjechał rampą w dół, zatrzymał się, wysiadł i skinął głową parkingowemu, który powitał go z entuzjazmem zarezerwowanym dla starych klientów. Dobiegała pierwsza w nocy, a on zmierzał w kierunku domu, rozkoszując się rześkim powiewem chłodnego wiatru.

Za tydzień będzie po wszystkim, powtarzał sobie. Do tego czasu Susan Chandler zostanie wyeliminowana, a ja rozpocznę ostatni etap swojej

podróży.

Wiedział, że po jej zakończeniu zgaśnie płomień, który trawi jego wnętrze, i w końcu będzie wolny – będzie wolny, by stać się tym, za kogo zawsze uważała go jego matka.

W czwartek rano Pamela Hastings wpadła na chwilę do szpitala odwiedzić Carolyn Wells, z nadzieją, że jej stan uległ w końcu poprawie. Niestety, na miejscu okazało się, że nie ma żadnych zmian.

– Znowu wzywała tego Wina – poinformowała ją Gladys, oddziałowa porannej zmiany. – Tym razem to brzmiało bardziej jak: „O, Win”, tak jakby chciała mu coś powiedzieć.

– Gladys, czy jej mąż był przy tym?

– Nie. Nie było go od wczorajszego popołudnia.

– Naprawdę? – Pamela była wstrząśnięta. – I nie dzwonił? Może jest chory?

– Nie kontaktował się z nami.

– To nie ma sensu – rzuciła Pamela, bardziej do siebie niż do pielęgniarki. – Zadzwońię do niego. Mogę zajrzeć do Carolyn?

– Oczywiście.

Od wypadku minęło niewiele ponad dwa dni, lecz Pamela czuła się tak, jakby przychodziła tu od dawna, i znała doskonale cały personel oddziału. Wczoraj w sali, w której leżał mężczyzna po masywnym wylewie, wszystkie zasłony były zaciągnięte. Dziś pokój stał otworem, a łóżko świeżo zasłano. Pamela uznała, że nie będzie o nic pytać: była pewna, że mężczyzna zmarł.

Ta część twarzy Carolyn, która nie była spowita w bandażu, wydawała się dziś jeszcze bardziej posiniaczona i spuchnięta. Do Pameli nadal nie docierało w pełni, że ta pokryta opatrunkami, podłączona do mnóstwa

rurek i kroplówek kobieta, to jej śliczna, pełna życia przyjaciółka.

Dłonie pacjentki leżały na kołdrze. Pam wzięła Carolyn za rękę, zauważając, że na serdecznym palcu przyjaciółki nie ma złotej obrączki ślubnej. To przypomniało jej o awersji, jaką Carolyn miała do biżuterii. Nawet na wyjątkowe okazje wkładała tylko dyskretne kolczyki, czasem ozdobną broszkę, a niekiedy pojedynczy sznur pereł, który odziedziczyła po babce.

– Carolyn – zaczęła cicho Pamela. – To ja, Pam. Wpadłam na chwilę zobaczyć, jak się czujesz. Wszyscy o ciebie pytają. Kiedy tylko poczujesz się lepiej, nie opędzisz się od gości. Już planujemy z Vicky i Lynn przyjęcie powitalne, które urządzimy, gdy wyjdiesz ze szpitala. Szampan, kawior, wędzony łosoś – co tylko chcesz. „Banda czterech” wie, co to dobra zabawa, no nie?

Pam wiedziała, że plecie, co jej ślina na język przyniesie, ale przecież mówiono jej, że Carolyn być może ją usłyszy. Nie chciała mówić o Justinie. Doszła do wniosku, że jeśli to on wepchnął żonę pod samochód, a ona o tym wie, jeśli rzeczywiście słyszała, co się przy niej mówiło, może przerazić się na dźwięk jego imienia.

Ale co mam właściwie począć? – zastanawiała się Pam. Gdyby chociaż na minutę odzyskała przytomność...

– Muszę iść, Car – powiedziała. – Ale przyjdę jeszcze dzisiaj. Trzymaj się. – Musnęła ustami policzek Carolyn, kobieta jednak nie zareagowała w żaden sposób.

Wyszła z oddziału, ocierając z twarzy łzy wierzchem dłoni. Przechodząc przez poczekalnię, zatrzymała się gwałtownie na widok Justina, który siedział bezwładnie na krześle. Był nie ogolony i

najwyraźniej od wczoraj nie zmieniał ubrania. Zauważył ją i wyszedł na korytarz.

– Czy Carolyn odezwała się do ciebie? – spytał z napięciem w głosie.

– Nie. Justin, co tu się, u diabła, dzieje? Dlaczego nie wróciłeś wczoraj do szpitala?

Chwilę wahał się, po czym odparł:

– Dlatego że chociaż nie zostałem jeszcze oficjalnie oskarżony, policja jest najwyraźniej przekonana, że to ja wepchnąłem Carolyn pod furgonetkę.

Bez mrugnięcia powieką wytrzymał zdumione spojrzenie Pameli:

– Jesteś zaszokowana, prawda? Zaszokowana, ale nie zdziwiona. Ta możliwość zaświtała ci w głowie, czyż nie? – Jego twarz wykrzywiła się i rozplakał się. – Czy nikt nie rozumie, co ja czuję? – Szybko się opanował i wskazał głową na drzwi oddziału intensywnej terapii. – Więcej tam nie pójdę. Jeśli rzeczywiście ktoś ją popchnął, ale nie zdążyła zobaczyć jego twarzy, ona też będzie myślała, że to byłem ja. A ja chciałbym spytać was wszystkich tylko o jedno: skoro Carolyn ma kogoś, tego Wina, którego wciąż wzywa, to dlaczego, do cholery, nie ma go tutaj, przy niej?

Zanim Chris Ryan przeszedł na emeryturę i otworzył własną firmę detektywistyczną przy Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej, przez trzydzieści lat był agentem FBI. Teraz, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat, jego głowę pokrywała stalowoszara czupryna, a lekka nadwaga, jowialny sposób bycia i wesołe niebieskie oczy nadawały mu wygląd Świętego Mikołaja.

Uprzejmość i ironiczne poczucie humoru zjednywały Chrisowi wielu przyjaciół, ale ci, z którymi spotykał się w pracy, wiedzieli, że za ujmującą aparycją kryje się utalentowany detektyw.

Susan poznała Chrisa, gdy rodzina jednej z ofiar wynajęła go, by niezależnie od policji rozpoczął poszukiwania mordercy. Będąc asystentką prokuratora, Susan była bezpośrednio zaangażowana w tę sprawę, a informacje, które zdobył wtedy Chris, w dużym stopniu przyczyniły się do udowodnienia winy zabójcy.

Ryan był bardzo zaskoczony, gdy poinformowała go, że rzuca pracę w prokuraturze i wraca na uczelnię. „Jesteś świetna – tłumaczył jej. – Jesteś wspaniałym oskarżycielem. Dlaczego, na Boga, chcesz marnować czas, wysłuchując zwierzeń jakiś litujących się nad sobą mięczaków?” „Wierz mi, Chris. To polega nie tylko na tym” – odpowiedziała mu wtedy ze śmiechem.

Nadal widywali się co jakiś czas na kolacji w mieście, więc gdy Susan zadzwoniła do niego w czwartek rano, Chris bardzo się ucieszył.

– Masz ochotę na darmową kolację? – spytał ją wesoło. – Tu w pobliżu

otwarto nową restaurację z grillem. Na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Trzeciej. Mają wyborną wołowinę. Nie znam nic lepszego na podwyższenie cholesterolu. Kiedy masz czas?

– Nowa knajpa na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Trzeciej? Czyżby Smith & Wollensky? – zapytała Susan. – Przypadkiem wiem, że stoi tam od siedemdziesięciu lat, a niektórzy twierdzą, że ty jesteś jej właścicielem. – Roześmiała się. – Pewnie, że pójde, ale najpierw zrób coś dla mnie, Chris. Muszę szybko kogoś sprawdzić.

– Kogo?

– Prawnika Douglasa Laytona. Pracuje u Huberta Marcha. To taka firma prawnicza, zajmująca się doradztwem finansowym. Layton kieruje również funduszem powierniczym rodziny Clausenów.

– Prawdziwy człowiek sukcesu. Czyżbyś chciała się za niego wydać?

– O nie.

Ryan rozsiadł się wygodnie na obrotowym krześle, słuchając Susan, która nakreśliła mu pokrótce tło sprawy i wyjaśniła, że Jane Clausen żywi pewne wątpliwości co do Laytona. Potem opowiedziała mu o wydarzeniach ostatnich dni, poczynając od poniedziałkowej audycji, kiedy to po raz pierwszy poruszyła sprawę Reginy Clausen.

– I twierdzisz, że ten facet uciekł, w chwili gdy miał stanąć twarzą w twarz z Karen?

– Tak. A we wtorek Layton powiedział Jane Clausen coś, co sugerowało, że znał osobiście jej córkę, czemu do tej pory zawsze zaprzeczał.

– Zajmę się tym – obiecał Ryan. – Ostatnio nie działało się nic interesującego. Same standardowe zlecenia – nerwowe narzeczony, na

gwałt sprawdzające swoich przyszłych mężów. W dzisiejszych czasach ludzie sobie wzajemnie nie ufają. – Sięgnął po notes i ołówek. – Czas to pieniądz. Na jaki adres mam wystawić rachunek dla pani Clausen?

Wyczuł wahanie w głosie Susan.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Dziś rano pani Clausen nagrała wiadomość na mojej sekretarce. Powiedziała, że idzie do szpitala na kolejną chemioterapię, i dodała, że zachowała się nieładnie, opowiadając mi o swoich podejrzeniach względem Laytona. Jasno dała mi do zrozumienia, że powinnam zapomnieć o całej sprawie, ale ja nie zamierzam tego zrobić. Nie zgadzam się z nią, a co więcej, jej słowa zaniepokoiły mnie. Dlatego wystaw rachunek na mnie – zakończyła.

Chris Ryan jęknął.

– Dzięki ci, Boże, za moją emeryturę. Każdego pierwszego całuję z wdzięczności zdjęcie J. Edgara Hoovera. W porządku. Masz to załatwione. Odezwe się do ciebie, Susan.

Leah, sekretarka Douga Laytona, bystra kobieta po pięćdziesiątce, obserwowała swego szefa z wyrazem dezaprobaty na twarzy. Wygląda, jakby spędził noc poza domem, pomyślała, gdy Layton przeszedł koło niej, mruknąwszy coś niewyraźnie na powitanie.

Bez pytania podeszła do stolika, na którym stał ekspres do kawy, nalała filiżankę i podeszła do drzwi gabinetu szefa. Zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

– Nie zamierzam cię rozpieszczać, Doug – oznajmiła. – Ale myślę, że to ci się przyda – dodała, wskazując na filiżankę.

Doug dzisiejszego poranka nie był najwyraźniej w nastroju do żartów. W jego głosie słychać było nie ukrywaną irytację:

– Wiem, Leah. Jesteś jedyną asystentką na świecie, która robi kawę swojemu szefowi.

Otworzyła usta, żeby skomentować jego mizerny wygląd, ale natychmiast uznała, iż lepiej pominąć sprawę milczeniem – powiedziała już dość. Chyba wczoraj przeholował z alkoholem, pomyślała. Powinien się pilnować – tutaj nie będą tego tolerować.

– Zawołaj, gdy będziesz chciał następną – oznajmiła sztywno, stawiając przed nim filiżankę z kawą.

– Leah, pani Clausen wróciła do szpitala – odezwał się nagle Doug. – Byłem u niej wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że zostało jej niewiele czasu.

– Och, tak mi przykro. – Leah poczuła, że robi jej się głupio. Wiedziała,

że Jane Clausen nie jest dla Douga tylko kolejną klientką. – Czy mimo to pojedziesz do Gwatemali w przyszłym tygodniu?

– Naturalnie. Nie będę jednak czekał z niespodzianką, którą zamierzałem zrobić jej dopiero po powrocie.

– Chodzi o sierociniec?

– Tak, Pani Clausen nie ma pojęcia, że prace zostały wykonane tak szybko. Wyremontowano już stary budynek i dobudowano nowe skrzydło. Obaj z panem Marchem uznaliśmy, że bardzo ją to ucieszy. Ale nadal nie wie, że personel sierocińca prosił nas, by nadać mu imię Reginy.

– Założę się, że to był twój pomysł, Doug. Uśmiechnął się pod nosem.

– Może. Rzeczywiście zaproponowałem, żeby zmienić nazwę sierocińca i zasugerowałem, że warto by zrobić niespodziankę pani Clausen. I chociaż oficjalna uroczystość odbędzie się dopiero w przyszłym tygodniu, uważam, że nie powinniśmy zwlekać, lecz pokazać jej zdjęcia już teraz. Czy możesz podać mi teczkę?

Wspólnie przejrzeni fotografie dokumentujące postęp prac budowlanych przy nowym skrzydle. Na ostatnim zdjęciu widać było wykończony, elegancki budynek w kształcie litery L, otynkowany na biało, z dachem z zielonych dachówek.

– Zyskaliśmy miejsce dla jeszcze dwustu dzieci – powiedział Doug. – I dodatkowo kompletnie wyposażony szpital. Nie masz pojęcia, jak wiele z tych sierot przychodzi tam w stanie kompletnego wyczerpania. Zaproponowałem, żeby kolejnym krokiem było wzniesienie na terenie należącym do sierocińca osobnego budynku, w którym ludzie pragnący adoptować dzieci mogliby mieszkać i przygotowywać się do adopcji. – Otworzył szufladę biurka. – Oto tablica, którą odsłonimy podczas

uroczystości nadania nowego imienia. Postawimy ją tutaj – powiedział, pukając palcem w zdjęcie w miejscu, gdzie znajdował się trawnik przed głównym budynkiem. – Będzie dobrze widoczna z szosy i podjazdu. – Po czym ściszył głos i dodał: – Pierwotnie chciałem, żeby napis wykonał jakiś miejscowy artysta, już po odsłonięciu tablicy, ale potem doszedłem do wniosku, że lepiej będzie zrobić to tutaj. Zajął się tym Peter Crown z agencji.

Leah spojrzała na tablicę w kształcie kołyski. Na środku wygrawerowano połączony napis: DOM IMIENIA REGINY CLAUSEN.

– Och, Doug, pani Clausen będzie taka szczęśliwa – powiedziała ze łzami w oczach. – To tak jakby z tej tragedii mimo wszystko powstało coś dobrego.

– To prawda – przytaknął gorąco Layton.

Dziesięć po dziewiątej na biurku Susan odezwał się brzęczyk interkomu. – Doktor Susan, przyszła doktor Pamela Hastings. Susan zaczęła się już martwić, że pani Hastings nie przyjdzie, więc z wyraźną ulgą w głosie poprosiła Janet, by ją wpuściła.

Po twarzy kobiety widać było wyraźnie, że jest zdenerwowana – na czole rysowały się pionowe zmarszczki, usta miała mocno zaciśnięte. Lecz gdy przemówiła, Susan od razu wiedziała, że ją polubi, czując, że podobnie jak ona sama, kobieta ma w sobie wiele ciepła i jest bezsprzecznie inteligentna.

– Doktor Chandler, wiem, że kiedy zadzwoniła pani do szpitala, musiałam wydać się pani bardzo nieuprzejma. Ale to dlatego, że byłam ogromnie zaskoczona, słysząc pani nazwisko.

– A pewnie jeszcze bardziej, gdy powiedziałam pani, dlaczego dzwonię, doktor Hastings. – Susan wyciągnęła rękę i dodała: – Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

– Naturalnie. – Pamela odwzajemniła uścisk dłoni Susan i usiadła. Odruchowo przysunęła krzesło bliżej biurka, jakby bała się, że ktoś może podsłuchać ich rozmowę. – Przepraszam za spóźnienie i obawiam się, że nie mam wiele czasu. Przez ostatnie dwa dni prawie nie wychodziłam ze szpitala, a muszę przygotować się do wykładu o jedenastej piętnaście.

– A ja za niecałą godzinę zaczynam audycję – odparła Susan. – Dlatego lepiej przejdźmy do razu do sedna. Czy słyszałaś nagranie mojej rozmowy z Carolyn Wells, gdy zadzwoniła w trakcie programu?

– To, które Justin ponoć zamawiał, a później się tego wyparł? Nie.

– Wczoraj zostawiłam swoją kopię na policji – powiedziała Susan. – Ale nagram dla ciebie następną; chociaż jestem przekonana, że to Carolyn Wells dzwoniła do radia, chcę, żebyś to potwierdziła. A na razie streszczę ci tę rozmowę.

W miarę jak Susan opowiadała o poniedziałkowej audycji, zniknięciu Reginy Clausen i rozmowie z tajemniczą Karen, widziała, jak twarz Pameli Hastings przybiera coraz bardziej zaniepokojony wyraz.

Kiedy skończyła, Pamela powiedziała:

– Nie muszę słuchać tego nagrania. Widziałam turkusowy pierścionek z takim napisem na własne oczy. Carolyn pokazała mi go w piątek.

Susan otworzyła szufladę biurka i wyjęła małą torebkę.

– Matka Reginy Clausen słuchała tego programu i słyszała wypowiedź Carolyn – oznajmiła. – Potem zadzwoniła do mnie i przyniosła mi pierścionek, który, jak twierdziła, znaleziono w rzeczach jej córki pozostawionych na statku. Możesz na niego rzucić okiem?

Otworzyła torebkę, sięgnęła po portmonetkę i wyjęła z niej pierścionek z turkusem, podając go kobiecie.

Pamela Hastings zbladła jak ściana. Nie uczyniła żadnego ruchu, by wziąć pierścionek do ręki, jedynie wpatrywała się weń w milczeniu. W końcu odezwała się:

– Jest identyczny z tym, który pokazywała mi Carolyn. Czy wewnątrz obrączki znajduje się wygrawerowany napis: „Jesteś tylko moja”?

– Tak. Tutaj. Przyjrzyj mu się z bliska. Pamela pokręciła gwałtownie głową.

– Nie, nie chcę go nawet dotykać. Jesteś psychologiem, więc pewnie

pomyślisz, że zwariowałam, ale mam pewien dar, a może, jak coraz częściej mi się wydaje, jest to przekleństwo. To jakaś szczególna intuicja, trzecie oko, czy jak to chcesz nazwać. Gdy tamtego wieczoru wzięłam do ręki pierścionek Carolyn, ostrzegłam ją, że ten przedmiot może stać się przyczyną jej śmierci.

Susan uśmiechnęła się zachęcająco.

– Wcale nie uważam cię za wariatkę. Szanuję ludzi, którzy obdarzeni są zdolnościami, o jakich mówisz. Nie rozumiem takich zjawisk, ale jestem przekonana, że naprawdę istnieją. Proszę, weź pierścionek i spróbuj powiedzieć mi, co czujesz. – Ponownie podsunęła jej pierścionek.

Pamela Hastings odsunęła się i odwróciła głowę.

– Przepraszam, ale nie mogę go dotknąć.

To tłumaczyło wszystko. Susan wiedziała już, że pierścionek jest zwiastunem śmierci.

W pokoju zapadła przytłaczająca cisza. Po chwili Susan odezwała się:

– Gdy Carolyn Wells zadzwoniła w trakcie mojego programu, w jej głosie słyhać było niekłamane przerażenie. Nie będę owijać w bawełnę – wyglądało na to, że boi się swojego męża. To samo po przesłuchaniu nagrania stwierdził kapitan policji.

Pamela nie odpowiedziała od razu.

– Justin jest bardzo zaborczy – rzekła w końcu cichym głosem. Susan widziała, że Pamela Hastings pilnuje się, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Zaborczy, a może na tyle zazdrosny, że mógłby zrobić jej krzywdę? – zasugerowała.

– Nie wiem. – Widać było, że ta rozmowa sprawia Pameli ból, jakby ktoś siłą wydzierał z niej słowa. Podniosła ręce w błagalnym geście. –

Carolyn jest nieprzytomna. Gdy... jeśli się obudzi, być może okaże się, że wszystko odbyło się zupełnie inaczej, niż przypuszczamy. Ale uważam, że powinnaś wiedzieć, że Carolyn próbowała coś mówić. Jakby wołała kogoś, wzywała.

– Ale nie wiesz, o kogo mogłoby chodzić?

– Kilkakrotnie całkiem wyraźnie powiedziała „Win”. A dziś rano, zgodnie z tym, co twierdzi pielęgniarka, powiedziała „O, Win”.

– Czy jesteś pewna, że to imię?

– Spytałam ją o to wczoraj. Siedziałam przy niej, trzymając ją za rękę, i wtedy ścisnęła moją dłoń. Przez chwilę myślałam nawet, że się obudzi.

– Pamela, wiem, że nie mamy czasu, ale muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie – powiedziała Susan. – Czy uważasz, że Justin Wells byłby zdolny zaatakować swoją żonę w ataku zazdrości?

Pamela pomyślała chwilę i odparła:

– Kiedyś byłby do tego zdolny. Może nadał jest, nie wiem. Od chwili wypadku wydaje się całkowicie zdruzgotany, a teraz jeszcze zainteresowała się nim policja.

Susan pomyślała o Hildzie Johnson, staruszce, która tuż po zdarzeniu twierdziła, że ktoś sprowokował wypadek Carolyn, a którą w kilka godzin później zamordowano.

– Czy w poniedziałek wieczorem byłaś w szpitalu razem z Justinem Wellsem?

Pamela Hastings skinęła głową.

– Od wpół do szóstej wieczorem do szóstej rano następnego dnia.

– Czy on był tam przez cały czas?

– Oczywiście – odparła, po czym zawahała się i dodała: – Nie, prawdę

mówiąc, niezupełnie. Pamiętam, że kiedy Carolyn przywieziono z sali operacyjnej, mniej więcej o wpół do jedenastej, Justin wyszedł się przejść. Powiedział, że zaczyna go boleć głowa i musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale nie było go niecałą godzinę.

Hilda Johnson mieszkała zaledwie kilka przecznic od szpitala Lennox Hill, pomyślała Susan.

– Jak Justin się czuł po powrocie? – spytała.

– Był znacznie spokojniejszy – odparła Pamela, po czym zamilkła. – Powiedziałabym, że zbyt spokojny – wiesz, o co mi chodzi. Jakby doznał szoku.

O wpół do dziesiątej rano w czwartek kapitan Tom Shea siedział w swoim biurze na dziewiętnastym posterunku i ponownie przesłuchiwał Olivera Bakera. Tym razem Baker był wyraźnie zdenerwowany. Od progu oznajmił:

– Kapitanie, Betty, znaczy się moja żona, strasznie się denerwuje, od kiedy zadzwonił pan do nas. Zaczyna myśleć, że pan podejrzewa, że to ja popchnąłem tę biedną kobietę, i przesłuchuje mnie pan po to, żebym się sam wkopał.

Shea spojrział na Bakera i zauważył, że ten podświadomie skurczył się w sobie, jakby oczekiwał, że zaraz padnie ostateczny cios.

– Panie Baker – odezwał się znużonym głosem. – Wezwaliśmy pana tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie zdoła pan sobie przypomnieć jeszcze jakichś, choćby najdrobniejszych, szczegółów wypadku.

– Nie jestem podejrzany?

– Absolutnie nie.

Baker wydał z siebie ostentacyjne westchnienie ulgi.

– Mogę zadzwonić do Betty? Od kiedy wyszedłem, umiera ze strachu.

Shea podniósł słuchawkę.

– Proszę podać mi numer pańskiego telefonu. – Wykręcił numer i po chwili rzucił do słuchawki:

– Pani Baker? Cieszę się, że panią zastałem. Mówi kapitan Shea z dziewiętnastego posterunku. Chcę osobiście panią zapewnić, że wezwaliśmy pani męża tylko dlatego, że jest bardzo cennym świadkiem i

wiele nam pomógł. Zdarza się, że ludzie przypominają sobie różne szczegóły zajścia dopiero kilka dni później i mamy nadzieję, że tak stanie się też w tym wypadku. Dobrze, dam pani teraz na chwilę męża. Do widzenia.

Rozpromieniony Oliver Baker chwycił słuchawkę.

– Kochanie, słyszałaś? Jestem cennym świadkiem. Super! Gdyby dzwoniły dziewczynki, to powiedz im, że tata jednak nie skończy w kozie. Cha, cha, cha. Prosto z pracy wracam do domu. Na razie.

Trzeba było pozwolić, żeby się martwił, pomyślał Shea, odkładając słuchawkę.

– Dobrze, panie Baker, przypomnijmy sobie kilka faktów. Powiedział pan, że widział, jak ktoś zabrał pani Wells szarą kopertę?

Baker pokręcił głową.

– Nie zabrał. Mówiłem panu, że to wyglądało tak, jakby ten mężczyzna próbował jej pomóc i złapał kopertę, która wypadła jej spod pachy.

– Ale nie pamięta pan, jak wyglądał ten człowiek? Nie widział pan jego twarzy?

– Nie. Ta kobieta, pani Wells, odwróciła się lekko w stronę chodnika. Patrzyłem na nią, bo zauważyłem, że się zachwiała, i czułem, że stanie się coś złego. A potem zobaczyłem, że koperta znalazła się w rękach tego mężczyzny.

– Jest pan pewien, że to był mężczyzna? – spytał szybko Shea. – Dlaczego?

– Widziałem jego rękę – no, wie pan, rękaw płaszcza, dłoń. W końcu do czegoś doszliśmy, pomyślał z nadzieją Shea.

– Jaki to był płaszcz?

– Taki, który można nosić przez cały rok. Ale był w dobrym gatunku, tego jestem pewien. Przyzwoite ubrania można od razu poznać, no nie? Nie dam głowy, ale wydaje mi się, że to burberry.

– Burberry?

– Tak jest.

– Mam to zapisane w swoich notatkach, już pan to mówił. A nie zauważył pan czasem, czy nosił obrączkę albo sygnet?

Baker pokręcił głową.

– Na pewno nie. Musi pan zrozumieć, kapitanie, to wszystko działo się w ułamku sekundy, a potem patrzyłem już tylko na tę biedną kobietę. Wiedziałem, że furgonetka nie zdoła jej wyminąć.

Płaszcz burberry, powtórzył w myśli Shea. Sprawdzimy, co miał na sobie tamtego dnia Wells. Podniósł się z krzesła i powiedział:

– Przepraszam za kłopoty, panie Baker, i dziękuję, że zechciał pan przyjść do mnie dzisiaj.

Teraz, gdy Baker zyskał pewność, że nic mu nie grozi, wcale nie śpieszył się do wyjścia.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, kapitanie, ale... – Zawahał się.

– Wszystko może mieć znaczenie – rzekł pośpiesznie Shea. – O co chodzi?

– No cóż, być może się mylę, ale wydaje mi się, że mężczyzna, który zabrał kopertę, miał na ręce zegarek z ciemnym skórzanym paskiem.

W godzinę później w biurze Justina Wellsa pojawił się przysłany przez kapitana Sheę detektyw Marty Power. Nie zastał Wellsa, ale wdał się w pogawędkę z przyjaźnie nastawioną recepcjonistką, Barbarą Gingras. Nie

minęło kilka minut, a Power wiedział już, że Barbara słyszała Carolyn Wells w poniedziałkowym programie „Spytaj doktor Susan” i że natychmiast poinformowała o tym pana Wellsa.

– Wydaje mi się, że to go zdenerwowało – wyznała – bo niedługo potem wyszedł, nie mówiąc, kiedy wróci.

– Nie pamięta pani, czy wychodząc, miał na sobie płaszcz? Barbara przygryzła w skupieniu wargę i zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Niech pomyślę. Rano przyszedł w grubym tweedowym płaszczu. On bardzo dba o swój wygląd i zawsze zwracam uwagę na jego strój. Widzi pan, mój chłopak, Jake, jest mniej więcej wzrostu pana Wellsa i też ma ciemne włosy. Gdy chcę kupić mu coś z ubrania, zawsze wybieram rzeczy podobne do tych, które nosi pan Wells. – Barbara uśmiechnęła się do policjanta. – Właśnie w zeszłym tygodniu były urodziny Jake’a i kupiłam mu koszulę, taką samą, jaką ma pan Wells, w biało-niebieskie paski z białymi mankietami i kołnierzykiem. Kosztowała fortunę, ale warto było. A krawat...

Marty Power nie miał ochoty wysłuchiwać opowieści o urodzinowym krawacie Jake’a, więc przerwał Barbarze w pół zdania:

– Jest pani pewna, że w poniedziałek Justin Wells był ubrany w tweedowy płaszcz?

– Absolutnie. Ale chwila. Wie pan co? Gdy po południu wychodził, miał na sobie płaszcz z tweedu, a wrócił w płaszczu nieprzemakalnym. Burberry. Wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, ale wygląda na to, że musiał być w domu.

Z potoku słów detektyw wyłapał jeszcze jedną ważną informację – pan

Wells nosił zegarek na pasku z ciemnej skóry.

W czwartek większą część dnia Alex Wright miał wypełnioną spotkaniami, więc poprosił swego szofera, Jima Curleya, żeby przyjechał po niego już przed dziewiątą. Jim zawsze entuzjastycznie witał szefa, ale potem nie odzywał się, chyba że czuł, iż szef ma ochotę na rozmowę.

Czasami tak było i wtedy godzinami rozprawiali na wszystkie możliwe tematy, począwszy od pogody czy polityki, a na spotkaniach Aleksa czy wnukach Jima kończąc. Innym razem pan Alex tylko witał się z Jimem, po czym otwierał swoją teczkę lub też wyjmował „New York Timesa” i pogrążał się w lekturze.

Tak czy inaczej, Jim nie narzekał. Był szczerze oddany Aleksowi od dnia, kiedy dwa lata temu Wright uruchomił swoje znajomości, aby pomóc jego wnuczce dostać się do Princeton. Dziewczyna świetnie poradziła sobie z egzaminami, lecz mimo stypendium i pomocy finansowej ze strony uczelni rodzina nie byłaby w stanie łożyć na jej studia.

Pan Alex, który sam niegdyś ukończył Princeton, twardo upierał się, by wnuczka Jima startowała na tę uczelnię.

– Żartujesz, Jim? – spytał wtedy z niedowierzaniem. – Sheila nie może zrezygnować z Princeton. Biorę na siebie wszystkie koszty, których nie pokryje stypendium. Powiedz jej, żeby pomachała do mnie, jak będzie kibicować na meczach futbolowych.

Zupełnie inaczej niż wówczas, kiedy ćwierć wieku temu Jim junior szedł do college’u, przypomniawszy sobie Curleya. Poprosiłem ojca pana Aleksa o podwyżkę, a ten powiedział, że powinienem się cieszyć, że w

ogóle mam pracę.

Dziś Jim mógł od razu stwierdzić, że szykuje się jeden z cichych poranków. Alex Wright powiedział: „Dzień dobry, Jim” , a następnie otworzył teczkę i wyjął z niej jakieś dokumenty. Studiował je w milczeniu, podczas gdy samochód przedzierał się przez poranne korki na East Side Drive, kierując się ku Wall Street. Dopiero gdy mijali Manhattan Bridge, Alex schował papiery i odezwał się:

– Naprawdę, wolałbym nie wyjeżdżać w przyszłym tygodniu, Jim.

– A do którego miasta w Rosji pan jedzie?

– Do Sankt Petersburga. Piękne miasto, a Ermitaż jest wprost zachwycający. Problem w tym, że nie będę miał czasu na zwiedzanie. Mam nadzieję, że uda mi się chociaż sfinalizować plany budowy szpitala. Niepokoi mnie trochę miejsce, które wybraliśmy.

Zbliżali się do mostu i Jim musiał skoncentrować się na prowadzeniu, toteż dopiero gdy zmienił pas, spytał:

– A nie może pan zostać kilka dni dłużej? – Spoglądając w lusterko wsteczne, zauważył ze zdumieniem, że na twarzy Aleksa pojawia się ciepły uśmiech, nadając mu niemal chłopięcy wygląd.

– Mogę, ale prawdę mówiąc, nie chcę.

Chodzi o Susan Chandler, domyślił się Jim. Na Boga, ona chyba naprawdę wpadła mu w oko. Nie mógł wybrać lepiej, pomyślał z rozrzewnieniem, a przecież widziałem ją zaledwie raz.

Jim całym sercem wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Sam doświadczył tego czterdzieści lat temu, gdy na randce w ciemno spotkał Moirę. W chwili, gdy zobaczył jej twarz i niebieskie oczy, wiedział, że odtąd jego serce należy do tej kobiety.

W samochodzie zadzwonił telefon. Jadąc z szefem, Jim nigdy nie podnosił słuchawki, chyba że Alex prosił go o to. Większość rozmów dotyczyła spraw prywatnych. Usłyszał, jak po ciepłym powitaniu Alex przybiera bardziej oficjalny ton:

– Ach, to ty, Dee? Co słyhać? Jestem w samochodzie. Gdy nie ma mnie w domu, wszystkie rozmowy są przełączane tutaj... Piłaś w samolocie tę okropną whisky? Musisz być szalona... Tak, ale na pewno dasz radę?... W porządku, jeśli chcesz. Spotkajmy się w St. Regis o piątej. Mam nadzieję, że agent nieruchomości, z którym rozmawiałem, skontaktował się z tobą... Dobrze. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę, po czym podniósł ją znowu i wystukał jakiś numer.

Jim słyszał, jak prosi do telefonu Susan Chandler, a po chwili mówi mniej uprzejmym tonem:

– Miałem nadzieję złapać ją, zanim wyjdzie do radia. Proszę dopilnować, żeby jej przekazano, że dzwoniłem, jak tylko wróci.

Jim spojrział w lusterko i zobaczył, że Alex odkłada słuchawkę, a na jego twarzy maluje się niezadowolenie. Kim, u diaska, jest Dee? – zastanawiał się. I co tak zmartwiło szefa?

Gdyby Jim mógł czytać w myślach Aleksa Wrighta, wiedziałby, że jego szef zdenerwował się, ponieważ sekretarka Susan nie przekazała jej, że dzwonił, zanim doktor Chandler wyszła do radia. W równym stopniu wściekał się o to, że programując domowy aparat telefoniczny na funkcję przenoszenia rozmów, nie pomyślał, iż skorzysta na tym osoba, której unikał jak ognia.

Susan wpadła do studia zaledwie dziesięć minut przed rozpoczęciem programu. Jak zwykle, pierwsze kroki skierowała do biura Jeda Geany'ego, przygotowana na codzienną serię narzekań: prorokowanie, że któregoś dnia program rozpocznie się bez niej, zwieńczone sakramentalnym: „Nie mów, że cię nie ostrzegałem”.

Jednak dzisiaj, gdy weszła do biura, producent obdarzył ją tylko ponurym spojrzeniem.

– Susan, zaczynam sądzić, że sprowadzamy nieszczęście na naszych słuchaczy.

– Jakim cudem? – spytała.

– Nie słyszałaś? Tiffany, ta kelnerka z Yonkers, została zasztyletowana zeszłej nocy, gdy wracała po pracy do domu.

– Co!?! – Susan, poczuła jakby ktoś walnął ją obuchem w głowę. Mocno chwyciła się brzegu biurka Jeda, aby nie stracić równowagi.

– Spokojnie. Tylko spokój może nas uratować – przekonywał Jed, wstając z krzesła. – Za kilka minut musisz poprowadzić audycję. Musisz się także przygotować na to, że sporo słuchaczy będzie dzwonić w związku z jej śmiercią.

Tiffany, pomyślała Susan, wspominając wczorajszą wieczorną rozmowę. Taka zdeterminowana, by pogodzić się z chłopakiem, i tak przybita, gdy jego matka zadzwoniła do niej z pretensjami. Rozmawialiśmy z Donem Richardsem o tyra, jak bardzo samotna musi być Tiffany. O Boże! – pomyślała. Biedna dziewczyna.

– Pamiętasz, jak nie chciałaś dopuścić, żeby powiedziała, gdzie pracuje? – przypomniał jej Jed. – Najwyraźniej pewien facet zadał sobie trud odszukania jej. Próbował ją poderwać, a kiedy go spławiła, wściekł się. Jest znany jak zły szeląg – ma grubą kartotekę w policji.

– Czy to na pewno ten człowiek? – spytała odruchowo Susan.

– Z tego, co słyszałem, gliny przycisnęły go do muru – odparł Jed. – Chociaż na razie jeszcze się nie przyznał. Chodź, musimy iść do studia. Przyniosę ci kawę.

Susan zdołała jakoś przetrwać audycję. Tak jak przewidywał Jed, telefony urywały się przez cały program ~ wszyscy mówili o Tiffany. Na prośbę Susan Jed zadzwonił w trakcie przerwy na reklamy do The Grotto. Susan rozmawiała z właścicielem, Tonym Sepeddim.

– Joey, nasz barman, powiedział Tiffany, żeby zaczekała, że odprowadzi ją do samochodu – wyjaśniał Sepeddi, krztusząc się z emocji. – Ale zajął się klientami, a ona tymczasem wyszła. Gdy zobaczył, że nie ma jej w barze, wybiegł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wtedy właśnie zobaczył jakiegoś faceta, który biegł w kierunku stacji benzynowej. Zanim znaleźli ciało Tiffany, faceta już nie było, lecz Joey jest prawie pewny, że to ten sam, który zaczepiał ją wcześniej w restauracji.

Czy na pewno złapali właściwego człowieka? Trudno uwierzyć, by było to kolejne przypadkowe morderstwo, rozumowała Susan. Carolyn Wells dzwoniła do mnie i w kilka godzin później wpadła pod samochód – nie zginęła, ale jej stan jest fatalny. Hilda Johnson oznajmiła całemu światu, że widziała, jak ktoś popchnął Carolyn, i wkrótce potem została zamordowana. Tiffany widziała mężczyznę, który kupował pierścionek

„Jesteś tylko moja” i zadzwoniła, żeby o tym opowiedzieć. A teraz ktoś ją zasztyletował. Zbieg okoliczności? Nie sądzę. Tylko czy Tiffany zabił mężczyzna przetrzymywany teraz w areszcie? A Hildę Johnson? I czy to on popchnął Carolyn Wells?

Pod koniec programu Susan zwróciła się do słuchaczy:

– Dziękuję za wszystkie telefony. Myślę, że chociaż Tiffany dzwoniła do mnie zaledwie kilka razy, wszystkim nam się zdaje, że dobrześmy ją znali. Wiem, że teraz, tak jak ja, czujecie wielki żal z powodu jej śmierci. Gdyby tylko zaczekała kilka chwil, aż barman odprowadzi ją do samochodu! W życiu każdego z nas jest wiele takich „gdyby... „, ale z tej tragedii możemy nauczyć się jednego. Nie wiemy, czy zabójca Tiffany przyszedł do baru dlatego, że podała adres restauracji na antenie, lecz jeśli tak, to jej śmierć powinna być dla nas przestrogą, że nie powinniśmy beztróska informować wszystkich, gdzie mieszkamy lub pracujemy. – Łamiącym się głosem wypowiedziała ostatnie zdanie: – Proszę, wspomnijcie w modlitwach Tiffany i jej rodzinę. To wszystko na dzisiaj. Do usłyszenia jutro.

Ledwo przebrzmiał końcowy sygnał audycji, Susan wyszła z radia i poszła prosto do swego gabinetu. Musiała przejrzeć kartotekę pacjenta, który był umówiony na pierwszą, a poza tym chciała zadzwonić w kilka miejsc.

Janet, wyraźnie pełna skruchy, powiedziała jej o dwóch telefonach od Aleksa Wrighta.

– Prosiła pani, żebym w trakcie wizyty doktor Hastings odbierała wszystkie telefony, ale potem wyszła pani tak szybko, że nie zdążyłam powiedzieć, żeby pani do niego oddzwoniła. Później telefonował jeszcze

raz i znów zostawił wiadomość.

– Rozumiem.

Pierwsza karteczka lakonicznie informowała, żeby zadzwoniła do Aleksa przed programem. Drugą Susan przeczytała kilkakrotnie. Starsza siostra, pomyślała. Kocham cię, ale są pewne granice. Nie tylko wprosiłaś się na sobotnią kolację, ale w dodatku wymusiłaś na nim spotkanie już dziś.

Na oczach Janet Susan podarła obie kartki i wrzuciła do kosza na śmieci.

– Doktor Chandler, gdy będzie pani rozmawiać z panem Wrightem, proszę przeprosić go w moim imieniu. Wygląda na to, że jest na mnie bardzo zły.

Susan stwierdziła, że czuje się lepiej, wiedząc, że Alex zdenerwował się, nie mogąc jej złapać. Z drugiej strony, była najzupełniej pewna, że nie ma ochoty na żadnego drinka czy cokolwiek innego w towarzystwie Dee.

– Jeśli zadzwoni, powiem mu – odparła tonem pozbawionym jakiegokolwiek intonacji.

Spojrzała na zegarek; było wpół do pierwszej. Miała pół godziny do pierwszej wizyty. Wobec tego mogę przeznaczyć dziesięć minut na telefony, skonstatowała.

Najpierw zadzwoniła na komisariat policji w Yonkers. Znała tam kilku detektywów jeszcze z czasów, gdy pracowała w prokuraturze hrabstwa Westchester. Złapała jednego z nich, Pete'a Sancheza, i wyjaśniła mu, dlaczego interesuje się zabójstwem Tiffany Smith.

– Pete, myśl, że została zamordowana, ponieważ rozmawiała ze mną na antenie, nie daje mi spokoju.

Od Sancheza dowiedziała się, że tutejsi gliniarze są przekonani, iż złapali zabójcę, i uważają, że lada chwila podejrzany, Sharkey Dion, przyzna się do winy.

– Rzecz jasna, wypiera się wszystkiego – oznajmił Pete. – Wiesz, że wszyscy przestępcy tak robią. Posłuchaj, facet, który wszedł do The Grotto w chwili, gdy wyrzucano tego obwiesia, słyszał, jak ten wymamrotał, że jeszcze tu wróci i zajmie się nią.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że ją zabił – zaprotestowała Susan. – Znaleźliście narzędzie zbrodni?

Pete Sanchez odparł z westchnieniem:

– Jeszcze nie.

Susan opowiedziała mu o turkusowych pierścionkach, ale nie okazał wielkiego zainteresowania.

– Aha, podaj mi swój numer, zadzwonię do ciebie, gdy wyciśniemy zeznania z Diona. Nie zamartwiaj się tą sprawą. Prawdziwą winę za tę tragedię ponosi ten, kto wymyślił zwolnienia warunkowe – to przez niego facet z kartoteką grubszą niż moje ramię cieszy się wolnością, zamiast gnić w pudle. Został skazany na dwadzieścia pięć lat, a odsiedział zaledwie osiem. Zgadnij, za co siedział? Za zabójstwo!

Susan odłożyła słuchawkę i nadal nie przekonana pograżyła się z rozmyślaniami. Elementem, który łączy wszystko, co się ostatnio wydarzyło, jest pierścionek z turkusem, podsumowała. Miała go Regina Clausen i teraz nie żyje. Miała go Carolyn Wells i nadal jest bliska śmierci. Miała go Tiffany – też nie żyje. A Pamela Hastings, inteligentna kobieta o zdolnościach jasnowidza, nawet nie chciała go dotknąć i zaledwie kilka dni temu ostrzegła Carolyn Wells, że pierścionek może

spowodować jej śmierć.

Tiffany oznajmiła mi wczoraj, że pierścionek jest przysypany tonami resztek pizzy i pieczonych kurczaków, przypomniała sobie Susan. Kubel na śmieci? Ale skąd „tony”? Czy miała na myśli zsyp? – rozważała. A jeśli tak, to najprawdopodobniej ten, który ustawiono na tyłach The Grotto. Susan gorączkowo układała w głowie fakty. Jak często opróżniany jest zsyp przy restauracji? Czy policja w poszukiwaniu noża sprawdziła również śmietnik?

Poszukała numeru restauracji i w chwilę później rozmawiała z Tonym Sepeddim.

– Widzi pani, doktor Chandler, od północy odpowiadam na setki pytań – powiedział. – Zsyp znajduje się na parkingu i jest opróżniany codziennie rano. Dziś jednak policja go zabrała. Chyba szukają broni. Ma pani jeszcze jakieś pytania? Sam już prawie umieram z przemęczenia.

Susan zdecydowała, że zanim zabierze się do akt pacjenta, zdaży wykonać jeszcze jeden telefon. Ponownie zadzwoniła do Pete’a Sancheza i poprosiła go, by policja, przeszukując śmietnik, zwróciła uwagę nie tylko na nóż, ale również na pierścionek z turkusem, na którego obrączce widnieje inskrypcja: „Jesteś tylko moja”.

W czwartki doktor Donald Richards miał zawsze sporo roboty i dziś również wcześniej zabrał się do pracy. Pierwszym pacjentem tego dnia był właściciel międzynarodowej firmy. Przychodził regularnie w każdy czwartek o dziewiątej rano; kolejni stali pacjenci również mieli swoje godziny. Wielu z nich wyrażało niezadowolenie z faktu, że w przyszły czwartek wizyty zostały odwołane ze względu na to, iż doktor Richards wyjeżdża w związku z promocją swojej książki.

Kiedy Donald Richards zrobił sobie krótką przerwę koło południa, by zjeść szybki lunch, był już solidnie zmęczony, a jak zwykle czekało go jeszcze pracowite popołudnie. Na pierwszą miał umówione spotkanie z kapitanem Sheą z dziewiętnastego posterunku w sprawie Justina Wellsa.

Gdy na stole pojawiła się miseczka z gorącą zupą, przyniesiony przez Renę, Donald włączył telewizor, zamierzając obejrzeć południowe wiadomości. Tematem dnia było dziś zabójstwo młodej kelnerki z Yonkers i na ekranie przewijały się zdjęcia z miejsca zbrodni.

– Znajdujemy się na parkingu restauracji The Grotto w Yonkers, gdzie krótko po północy zasztyletowano dwudziestopięcioletnią Tiffany Smith – oznajmił reporter. – Sharkey Dion, morderca przebywający na zwolnieniu warunkowym, który wczoraj wieczorem napastował pannę Smith w barze, został osadzony w areszcie i prawdopodobnie zostanie oskarżony o morderstwo.

– Doktorze, czy to nie ta sama kobieta, która dzwoniła do radia wtedy, gdy brał pan udział w programie „Spytaj doktor Susan”? – spytała

wyraźnie poruszona Rena.

– Tak, to ona – przyznał cicho Richards. Rzucił okiem na zegarek. Susan jest teraz pewnie w drodze do gabinetu. Z pewnością słyszała już o Tiffany i bez wątpienia czeka na jego telefon.

Zadzwonię do niej po powrocie z komisariatu, zdecydował, energicznym ruchem odsuwając krzesło.

– Reno, zupa wygląda bardzo apetycznie, ale nie jestem głodny – oznajmił z wzrokiem utkwionym w ekran telewizora. Operator skierował właśnie kamerę na jaskrawoczerwony pantofel na wysokim obcasie, porzucony niedaleko płachty, którą przykryto doczesne szczątki Tiffany Smith.

Nieszczęsna dziewczyna, pomyślał wyłączając odbiornik. Wiem, że Susan będzie załamana. Najpierw Carolyn Wells, a teraz Tiffany. Dam głowę, że obwinia się za to, co przydarzyło się tym kobietom.

Dopiero tuż przed czwartą po południu zdołał skontaktować się z Susan.

– Tak mi przykro – powiedział.

– Czuję się podle – odparła Susan. – Modlę się, żeby – jeśli to rzeczywiście Sharkey Dion jest mordercą – nie okazało się, że szukał Tiffany dlatego, że rozmawiała ze mną na antenie.

– Z tego co słyszałem w telewizji, policja jest prawie pewna, że złapała właściwego człowieka – oznajmił Richards. – Susan, bardzo wątpię, by człowiek pokroju Sharkeya Diona słuchał programów takich jak twój. Sądzę, że z dużym prawdopodobieństwem można założyć, iż znalazł się w barze przypadkowo.

– Miejmy nadzieję – powtórzyła Susan głuchym tonem. – Don, musisz odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Czy wierzysz, że Justin Wells wepchnął swoją żonę pod samochód?

– Nie, nie wierzę – odparł Richards. – Najprawdopodobniej to po prostu wypadek. Byłem dziś u kapitana Shei i powiedziałem to samo. Więcej, uświadomiłem mu, że każdy psychiatra, który zbada Wellsa, dojdzie do takiego samego wniosku. Wierz mi, on ma obsesję na punkcie własnej żony, lecz częścią tej obsesji jest paniczny strach przed jej utratą. Uważam, że nie mógłby zrobić jej poważnej krzywdy.

– W takim razie Hilda Johnson, kobieta, która twierdziła, że widziała, jak ktoś popycha Carolyn Wells, była w błędzie? – spytała Susan.

– Nie, niekoniecznie. Nie można wykluczyć możliwości, że Justin Wells rzeczywiście śledził Carolyn, chcąc dowiedzieć się, co niesie w tej kopercie, i przypadkowo popchnął ją tak, że straciła równowagę. Z pewnością był bardzo zdenerwowany, gdy recepcjonistka powiedziała mu, co jego żona mówiła w radiu. Pamiętaj, że Karen, czyli Carolyn, obiecała, że wyśle ci zdjęcie mężczyzny, którego poznała na statku. Nietrudno było się domyślić, co może zawierać szara koperta, prawda?

– Czy kapitan Shea zgadza się z twoją teorią?

– Trudno powiedzieć. Ostrzegłem go, że jeśli ktoś trzeci popchnął Carolyn Wells – czy to przypadkowo, czy rozmyślnie – to jeśli Justin Wells dowie się, kto to był, cały swój gniew skieruje na tę osobę i wtedy może okazać się zdolny do wszystkiego, nie wyłączając morderstwa.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę i Richards szybko zauważył, że chociaż Susan sprawia wrażenie chłodnej i zrównoważonej, jest głęboko poruszona ostatnimi wydarzeniami.

– Słuchaj – powiedział, kończąc rozmowę. – Wiem, że jesteś wstrząśnięta. Wierz mi, rozumiem, jak musisz się czuć. Wczoraj świetnie się bawiłem. Dziś miałem zadzwonić właśnie po to, żeby ci to powiedzieć. Może wybierzemy się gdzieś wieczorem? Znajdziemy jakąś restaurację w pobliżu twojego mieszkania. Tym razem mogę nawet przyjechać po ciebie.

– Niestety, nie mogę – powiedziała Susan. – Mam sporo roboty i nie wiem, kiedy skończę.

Minęła czwarta. Richards miał świadomość, że w poczekalni siedzi już kolejny pacjent.

– Może mógłbym w czymś pomóc? – rzucił pośpiesznie. – Daj mi znać.

Odłożył słuchawkę z wyraźnym niezadowoleniem. Susan uprzejmie, ale zdecydowanie dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego towarzystwa. Co ją trapi? – zastanawiał się.

Na to pytanie musiał znaleźć odpowiedź.

Jane Clausen, wyraźnie wyczerpana chemioterapią, zdobyła się na słaby uśmiech. – Jestem trochę zmęczona, Vera – powiedziała. Widziała, że jej wieloletnia gospodyni waha się, czy wyjść, czy zostać. – Nie martw się. Nic mi nie będzie. Muszę tylko odpocząć – uspokoiła ją.

– O mało nie zapomniałam, pani Clausen – rzuciła niespokojnie Vera. – Doktor Chandler zamierza chyba zadzwonić do pani. Telefonowała tuż przed moim wyjściem i powiedziałam jej, że jest pani w szpitalu. Robi wrażenie miłej osoby.

– Jest bardzo miła.

– Nie chcę zostawiać pani samej – westchnęła Vera. – Wolałabym zostać tu i dotrzymać pani towarzystwa.

Ja już mam towarzystwo, pomyślała Jane Clausen, spoglądając na stolik nocny, gdzie stało przyniesione przez Verę zdjęcie Reginy oprawione w ramkę. Na fotografii była Regina i kapitan „Gabrielle”.

– Zaraz zasnę, Vera. Idź już.

– W takim razie dobranoc, pani Clausen – powiedziała Vera, po czym dodała pośpiesznie: – I proszę zadzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała. Po wyjściu gospodyni Jane Clausen sięgnęła ręką po fotografię. „To nie był udany dzień, Regino – mówiła w myślach. – Odchodzę i dobrze o tym wiem. A jednak czuję, jakby coś trzymało mnie przy życiu. Nie rozumiem tego, ale zobaczymy, co się wydarzy”.

Zadzwonił telefon. Jane Clausen odstawiła zdjęcie i podniosła słuchawkę, mając nadzieję, że dzwoni Doug Layton.

To była Susan Chandler – ciepły ton jej głosu ponownie skierował myśli Jane ku Reginie. Zgodziła się z Susan, że dzień nie należał do najlepszych.

– Ale jutro powinno być dużo lepiej – dodała. – A Doug Layton wspominał coś o jakiejś niespodziance. Czekam na nią z niecierpliwością.

Susan usłyszała subtelną zmianę tonu w głosie pani Clausen i zrozumiała, że nie znajdzie sposobu, by poinformować starszą panią, że bez jej wiedzy zleciła sprawdzenie Laytona.

Wobec tego powiedziała:

– Bardzo chciałabym odwiedzić panią w najbliższych dniach. Naturalnie, jeśli czuje się pani na siłach, żeby przyjmować gości.

– Porozmawiamy o tym jutro – obiecała pani Clausen. – Zobaczymy, jak będę się czuła. Na razie żyję z dnia na dzień i nie myślę o przyszłości.

– Po czym, niespodziewanie dla siebie samej, dodała: – Moja gospodyni przyniosła mi właśnie fotografię Reginy. Czasami, patrząc na jej zdjęcia, czuję się bardzo smutna. Ale dziś jej podobizna uspokaja mnie. Czy to nie dziwne? – Urwała, a za chwilę rzuciła przeproszającym tonem: – Doktor Chandler, uważam, że jest pani świetnym psychologiem. Nie mam zwyczaju rozprawiać o swoich uczuciach, ale stwierdzam, że przy pani przychodzi mi to z niezwykłą łatwością.

– Fotografia bliskiej osoby może bardzo pomóc – odparła Susan. – Czy na tym zdjęciu jesteście obie?

– Nie. To jedno z tych zdjęć, które zawsze robi się podczas rejsów wycieczkowych. Potem są wystawiane w gablocie i można je kupować. Z daty wypisanej na odwrocie wiem, że ta fotografia została zrobiona na „Gabrielle” dwa dni przed zniknięciem Reginy.

Susan zakończyła rozmowę, obiecując, że zadzwoni jutro. Pożegnały się, ale zanim jeszcze słuchawka spoczęła na widełkach, Susan dosłyszała ciche słowa Jane Clausen:

– Doug, jak miło, że przyszedłeś.

Susan odłożyła słuchawkę, głośno wzdychając, po czym pochyliła się lekko i rozmasowała skronie koniuszkami palców. Była już szósta, a ona nadal tkwiła za biurkiem. Zamknięty wciąż pojemniczek z zupą dobitnie przypominał, że czas lunchu minął wiele godzin temu, i wyjaśniał, dlaczego czuła początki migreny.

W biurze panowała cisza. Janet dawno wyszła. Susan zdawało się czasami, że w głowie jej sekretarki punktualnie o piątej włącza się alarm, który nakazuje jej natychmiastowe opuszczenie miejsca pracy.

„Dosyć ma dzień swego utrapienia”, pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego akurat teraz przyszedł jej na myśl cytat z Biblii. No, jasne, uświadomiła sobie po chwili. Dzisiejszy dzień zaczął się poważnym utrapieniem – śmiercią Tiffany.

Założę się o wszystko, że gdyby Tiffany nie zadzwoniła do mnie w sprawie tego pierścionka, nadal by żyła, pomyślała Susan. Wstała niechętnie i przeciągnęła się. Jestem głodna. Może powinnam spotkać się z Alekssem i Dee, pomyślała z przekąsem. To pewne, że Dee nie pozwoli mu się wykpić jednym drinkiem.

Alex zadzwonił jeszcze raz.

– Przekazano ci, że telefonowałem prawda? – spytał. – Wiem, że twoja sekretarka zapomniała ci powiedzieć, że dzwoniłem dziś rano.

Poczuła lekką skruchę – rzeczywiście powinna była oddzwonić.

– Alex, przepraszam. To jeden z tych dni – powiedziała, po czym

wykręciła się od spotkania. – Dziś nie będzie ze mnie żadnego pożytku – wyjaśniła, zadowolona, że przynajmniej mówi prawdę.

Wychodząc z biura, zauważyła, że w kancelarii Neddy nadal pali się światło. Nie planowała wstępowania do przyjaciółki, ale nagle zatrzymała się i chwyciła za klamkę. Z wyraźnym zadowoleniem stwierdziła, że przynajmniej dziś oszklone drzwi są zamknięte na klucz.

Może jednak wpadnę na chwilę? – pomyślała i zastukała w szybę. Kilka minut później raczyła się serem i krakersami i piła chardonnay z Neddą.

Wyrzuciła z siebie wszystkie zdarzenia dzisiejszego dnia, po czym dodała:

– Właśnie uświadomiłam sobie coś dziwnego. To niesamowite, ale zarówno pani Clausen, jak i doktor Richards właśnie dzisiaj wspomnieli o zdjęciach robionych na „Gabrielle”, a Don w dodatku przypomniał mi, że kiedy Carolyn Wells dzwoniła w poniedziałek, obiecała, że da mi zdjęcie mężczyzny, którego poznała na statku – tego, który chciał, żeby wysiadła z nim w Algierze.

– Do czego zmierzasz? – wtrąciła Nedda.

– Już ci mówię. Zastanawiam się, czy fotografowie okrętowi przechowują negatywy takich zdjęć. Don Richards pływał kiedyś sporo na takich statkach. Może jego zapytam?

Pamela Hastings spędziła większość dnia w swoim biurze na uniwersytecie, nadganiając pracę, którą ostatnio poważnie zaniedbała. W tym czasie dwukrotnie dzwoniła do szpitala i rozmawiała z pielęgniarką, z którą zdążyła się już zaprzyjaźnić. To ona poinformowała doktor Hastings, że znów zaczęło się wydawać, iż Carolyn Wells jest bliska obudzenia się ze śpiączki.

– Przynajmniej dowiemy się w końcu, co naprawdę się wydarzyło w poniedziałek – rzekła Pamela.

– Niekoniecznie – zauważyła pielęgniarka. – Wielu ludzi, którzy odnieśli tego rodzaju obrażenia czaszki, nie pamięta samego wypadku, nawet jeśli poza tym nie ma żadnych oznak amnezji.

Po południu pielęgniarka doniosła, że Carolyn ponownie usiłowała coś powiedzieć.

– Tylko jedno słowo: „Win” albo „O, Win” – powiedziała siostra. – Ale proszę pamiętać, że umysł ludzki potrafi wyczyniać dziwne rzeczy. Mogła na przykład zwracać się do kogoś, kogo znała w dzieciństwie.

Po tej drugiej rozmowie Pamela poczuła się niespokojna, a nawet trochę winna. Justin jest przekonany, że Carolyn wzywa osobę, która dużo dla niej znaczy, a ja jestem skłonna przyznać mu rację, pomyślała. Ale w rozmowie z doktor Chandler dałam do zrozumienia, że uważam, iż Justin byłby zdolny zrobić coś takiego. Więc czego właściwie powinnam się trzymać? – zapytała sama siebie z niesmakiem.

Dopiero gdy zbierała się do wyjścia, zamierzając po drodze wstąpić do

szpitala, zrozumiała, dlaczego z taką niechęcią myśli o tej wizycie – wstydzi się spojrzeć w twarz Justinowi.

Siedział w najdalszym końcu poczekalni oddziału intensywnej terapii, zwrócony do niej plecami. Dziś nie był jedynym odwiedzającym, w pomieszczeniu czekali także rodzice chłopca, który został przywieziony wczoraj z poważnymi urazami, jakich nabawił się podczas treningu futbolowego. Gdy Pamela zatrzymała się, aby zapytać o jego zdrowie, matka chłopca oznajmiła z radością, że niebezpieczeństwo minęło.

Niebezpieczeństwo minęło, powtórzyła w myślach Pamela. Te słowa wywołały dziwny dreszcz. Czy dotyczą także Carolyn? – zastanawiała się. Jeśli obudzi się ze śpiączki i zostanie przeniesiona na zwykły oddział, opieka stanie się mniej intensywna. Justin będzie miał do żony praktycznie nieograniczony dostęp. Co się stanie, jeśli Carolyn nie pamięta wypadku, a to właśnie Justin próbował ją zabić?

Idąc w stronę Justina, czuła, jak kotłują się w niej przeróżne emocje. Współczuła mężczyźnie, który tak bardzo kocha Carolyn; może za bardzo. Czuła się winna, że podejrzewa go o próbę zabójstwa, lecz nad wszystkim dominował przejmujący strach, że Justin będzie nadal próbował skrzywdzić Carolyn.

Kiedy lekko poklepała go po ramieniu, odwrócił się.

– Aaa, najlepsza przyjaciółka – powiedział. – Czy policja już do ciebie dotarła?

Pamela ciężko usiadła na krześle.

– Nie wiem, o czym mówisz. Dlaczego policja miałaby ze mną rozmawiać?

– Pomyślałem, że mogłabyś dorzucić to i owo do dowodów, które

tamci przeciwko mnie gromadzą. Dziś po południu znowu wezwali mnie na komisariat. Chcieli, żebym wyjaśnił, dlaczego w poniedziałek po południu przebrałem się z tweedowego płaszcza w burberry. Myślałem, że chciałem zabić Carolyn. Czy nie masz ochoty uczestniczyć w zaciskaniu pętli, stara przyjaciółko?

Uznała, że nie zareaguje na tę zaczepkę.

– Justin, to nie zaprowadzi nas do niczego. Jak czuje się dziś Carolyn?

– Wszedłem do niej na chwilę – nie sam, z pielęgniarką. Wiesz, że z przyjemnością oskarżą mnie o odłączenie aparatury. – Ukrył twarz w dłoniach i potrząsnął głową. – O Boże, nie mogę w to wszystko uwierzyć!

W drzwiach poczekalni pojawiła się pielęgniarka.

– Dzwoni doktor Susan Chandler – powiedziała. – Chce mówić z panem, panie Wells. Może pan odebrać tutaj – dodała, wskazując mu aparat zainstalowany w pomieszczeniu.

– Nie chcę z nią rozmawiać – warknął. – Wszystko zaczęło się od jej rozmowy z Carolyn.

– Justin, proszę – powiedziała Pamela, podchodząc do telefonu. – Ona tylko próbuje pomóc. – Podniosła słuchawkę i podała mu ją.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym wziął ją do ręki.

– Doktor Chandler – zaczął – dlaczego mnie pani prześladowuje? Jak rozumiem, moja żona nie leżałaby teraz w szpitalu, gdyby nie poszła na pocztę, żeby coś pani wysłać. Czy nie narobiła już pani dość złego? Proszę zostawić nas w spokoju.

Zamierzał odłożyć słuchawkę, ale jego dłoń zawisła w powietrzu.

– Ani przez chwilę nie wierzyłam, że to pan wepchnął żonę pod samochód! – Głos Susan zabrzmiał tak donośnie, że nawet Pamela

usłyszała te słowa.

Justin Wells ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

– Po co pani to mówi? – spytał.

– Bo uważam, że ktoś inny spowodował wypadek pańskiej żony i że ten sam człowiek zabił Hildę Johnson, która widziała, jak do niego doszło, oraz Tiffany Smith, kolejną kobietę, która dzwoniła w trakcie mojego programu – wyjaśniła Susan. – Muszę się z panem spotkać. Proszę. Być może ma pan coś, na czym mi bardzo zależy.

Po chwili Justin Wells odłożył słuchawkę i spojrzał na Pamelę. Teraz na jego twarzy malowało się jedynie skrajne wyczerpanie.

– Być może to tylko pretekst do nielegalnego przeszukania mojego mieszkania, jednak mimo to zamierzam” spotkać się z nią tutaj o ósmej. Pam, ona twierdzi, że Carolyn nadal grozi niebezpieczeństwo – nie z mojej strony, lecz ze strony mężczyzny, którego spotkała w czasie rejsu.

Kiedy Alex i Dee weszli do sali barowej hotelu St. Regis, natychmiast przykuli uwagę wszystkich siedzących przy stolikach, choć i bez tych pełnych podziwu spojrzeń Alex był świadom, że Dee Chandler Harriman jest bardzo piękną kobietą. Miała na sobie czarny aksamitny żakiet i jedwabne spodnie; jedyną biżuterię stanowił pojedynczy sznur pereł i kolczyki z diamentami i perłami. Włosy ułożyła w luźny kok, z którego wysuwały się z pozorną niedbałością kędziory i loki, okalając jej twarz o porcelanowej cerze. Umiejętnie nałożony tusz i cienie podkreślały wyrazisty błękit oczu.

Gdy usiedli, Alex w końcu się odprężył. Kiedy zadzwonił późnym popołudniem do Susan, ta poinformowała go, że jest okropnie zmęczona, a ma jeszcze sporo pracy, więc nie będzie mogła im towarzyszyć.

Próbował przekonać ją, by zmieniła zdanie, ale usłyszał: „Alex, oprócz audycji, którą prowadzę codziennie od poniedziałku do piątku, mam jeszcze prywatną praktykę, i ona wypełnia mi całe popołudnia. Radio to dla mnie przede wszystkim dobra zabawa, ale tak naprawdę najważniejsi są moi pacjenci, a wszystko razem wzięte sprawia, że nie mogę narzekać na nadmiar wolnego czasu”. Potem dodała jednak, że nie zamierza wymigać się od sobotniego spotkania, co więcej, czeka na nie z niecierpliwością.

Dobrze chociaż, że nie jest zła, iż spotykam się z Dee, pomyślał Alex, obrzucając uważnym spojrzeniem salę barową. Jestem pewien, że Susan wie, kto był inspiratorem dzisiejszego spotkania. Stwierdził ze

zdumieniem, że to jest dla niego najważniejsze, i zmusił się do skupienia uwagi na Dee.

Dee opowiadała o Kalifornii.

– Naprawdę, bardzo mi się tam podobało – oznajmiła ciepłym, gardłowym głosem, nadając mu lekko uwodzicielskie brzmienie. – Ale co Nowy Jork, to Nowy Jork. Uważam, że prędzej czy później każdy nowojorczyk zapragnie wrócić do domu. A propos, agent, którego mi poleciłeś, jest świetny.

– Czy spodobało ci się jakieś mieszkanie? – zapytał Alex.

– Na razie jedno. Jest o tyle interesujące, że właściciele chcą wynająć je na cały rok, ale dopuszczają też możliwość sprzedaży. Przeprowadzają się do Londynu, choć jeszcze nie są zdecydowani, czy na stałe.

– Gdzie to jest?

– Na Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej, tuż koło Piątej Alei. Alex uniósł ze zdziwieniem brew.

– Będziesz mogła pożyczyć ode mnie zapalki. Ja mieszkam na Siedemdziesiątej Ósmej, między Madison a Park. – Uśmiechnął się. – Czyżbyś wiedziała o tym wcześniej?

Dee zaśmiała się, pokazując idealnie białe zęby.

– Nie pochlebiaj sobie – rzuciła. – Spytaj agenta, a dowiesz się, ile mieszkań dziś oglądaliśmy. Ale... Chciałam prosić cię o przysługę i, bądź tak dobry, nie odmawiaj. Czy poszedłbyś ze mną obejrzeć to mieszkanie? Bardzo mi zależy na twojej opinii. – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiem, czy jest wiele warta – rzekł Alex. – Ale jeśli chcesz, zgoda.

Bardzo przekonująca dama, skonstatował w godzinę później, gdy po stosownej pochwale zaprezentowanego mieszkania stwierdził z niejakim zaskoczeniem, że znaleźli się w jego własnym domu, a on oprowadza po nim Dee.

W salonie jej uwagę zwróciły portrety rodziców Aleksa.

– Hm, chyba nieczęsto się uśmiechali, prawda? – zauważyła. Alex zamyślił się ostentacyjnie.

– Niech no się zastanowię.. , chyba pamiętam ślad uśmiechu na twarzy ojca, gdy miałem jakieś dziesięć lat. Mama nie była tak wesoła.

– Z tego, co słyszałam, oboje mieli szeroki gest dla potrzebujących – rzuciła Dee. – A patrząc na ich portrety, wiem już, po kim jesteś taki przystojny.

– Każdy komplement cieszy. Robi się późno. Czy masz jakieś plany na wieczór?

– A ty?

– Nie mam. Szkoda, że Susan nie mogła przyjść. – Po namyśle dodał: – Ale spotykam się z nią w sobotę wieczorem i mam nadzieję, że to nie będzie nasze ostatnie spotkanie. A teraz pozwól, że zarezerwuję dla nas stół. Zaraz wracam.

Dee wyjęła puderniczkę i poprawiając usta, uśmiechnęła się do swojego odbicia w lusterku. Nie uszło jej uwagi ukradkowe spojrzenie, jakim obrzucił ją Alex, wychodząc z pokoju.

Zaczyna się mną interesować, pomyślała. Rozejrzała się po salonie. Trochę bez wyrazu, ale mogłabym zrobić z niego prawdziwe чудо, orzekła.

Pete Sanchez, policjant z Yonkers, zaczął się martwić, że przypisanie zabójstwa na Tiffany Smith Sharkeyowi Dionowi nie będzie takie łatwe. Wydawało się, że sprawa jest prosta jak drut, lecz teraz okazało się, że jeśli nie znajdą noża, którym zamordowano Tiffany, i nie udowodnią, iż należał do Diona, lub jeśli podejrzany sam się nie przyzna, to nie mają właściwie żadnych dowodów jego winy.

Poważny problem stanowiło to, że barman Joey z The Grotto nie był stuprocentowo pewny, czy mężczyzna, który uciekł w kierunku stacji benzynowej, to właśnie Sharkey. Wobec tego, gdyby doszło do procesu, jego zeznania zostaną z łatwością obalone przez obronę. Pete już widział oczyma wyobraźni, jak adwokat zadaje ostateczny cios:

„Czy nieprawdą jest, że pan Dion chciał tylko umówić się z panną Smith? Czy to przestępstwo?”

Joey opowiedział, jak Dion przystawiał się do Tiffany, a potem chwycił ją za rękę i mocno ścisnął, gdy usiłowała się wyrwać.

– Krzyknęła z bólu i próbowała uciec, ale trzymał ją mocno – zeznał.

Sanchez pokiwał głową. To z pewnością da się podciągnąć pod napastowanie, ale nie morderstwo, stwierdził w duchu. Akurat teraz grupa policjantów przekopywała się przez zwały śmieci w zsypie przywleczonym z parkingu koło The Grotto. Modlił się w duchu, żeby znaleźli tam narzędzie zbrodni.

Miał także skrytą nadzieję, że ktoś zadzwoni na infolinię policyjną i przedstawi jakieś konkretne fakty w tej sprawie. Właściciel The Grotto

wyznaczył dziesięć tysięcy dolarów nagrody dla osoby, która poda informacje mogące się przyczynić do schwytania mordercy Tiffany.

Wiedział, że dla mętów, z którymi przestawał Sharkey, dziesięć tysięcy zielonych to kupa pieniędzy. Połowa z nich to ćpuny i sprzedaliby własne matki, żeby zarobić na działkę, podsumował Sanchez. A ile towaru można by kupić za taki szmal!

O szóstej trzydziści odebrał jeden po drugim dwa telefony. Najpierw zadzwonił informator Billy. Scenicznym szeptem poinformował Pete'a, że po wyrzuceniu z The Grotto Sharkey poszedł do lokalu zwanego The Lamps. Tam widziano, jak wlał w siebie kilka głębszych, po czym oświadczył barmanowi i siedzącym przy barze, że idzie zrobić porządek zjedną laską, która mu podpadła.

The Lamps, zamyślił się Pete. Obskurna speluna. Za ledwie pięć minut drogi od The Grotto.

– O której stamtąd wyszedł? – spytał informatora.

– Za pięć dwunasta. Powiedział, że laska kończy robotę o północy.

– Pięknie, Billy! – rzucił uszczęśliwiony Pete.

W chwilę później zadzwonił szef ekipy przydzielonej do przeszukiwania śmietnika.

– Pete, pamiętasz, jak kazałeś nam szukać pierścionka z turkusem? Mamy go. Leżał na wielkiej kupie lasagni.

1 co z tego? – pomyślał Pete. Wiadomo, że Tiffany nie dostała go od Sharkeya. Ale przynajmniej Susan się ucieszy.

Susan udało się w końcu skontaktować z Justinem Wellsem i umówić z nim na spotkanie, więc w drodze do jego mieszkania wstąpiła do małego baru na hamburgera, frytki i kawę. Nienawidzę takiego jedzenia, pomyślała, wspominając z żalem niedawne kolacje z Alekssem Wrightem i Donem Richardsem. Stawiam dziesiątaka, że Dee udało się przekonać Alexa, by zaprosił ją na kolację dziś wieczorem.

Wzięła frytkę z tacki, zamoczyła ją w keczupie i powoli włożyła do ust. Może być, zdecydowała. Lepszy rydz niż nic, a przynajmniej nie muszę myśleć o tym, że moja ukochana siostrzyczka znowu zabrała się do faceta, który zainteresował się mną.

Nie chodzi o to, że zależy mi na Aleksie, przekonywała samą siebie, odgryzając potężny kęs hamburgera. Na to jest jeszcze za wcześnie. Nie, tu chodzi o uczciwość i lojalność – te stare dobre cnoty, które najwyraźniej w naszej rodzinie wyszły z mody, rozważała, próbując wytłumaczyć sobie jakoś ból, który sprawiło jej zachowanie Dee.

Czując znajomy ucisk w gardle i wiedząc, że lada moment wybuchnie płaczem, mocno potrząsnęła głową i zbeształa się w duchu: dobra, bekso, dosyć!

Wypiła potężny łyk kawy i natychmiast chwyciła szklanekę z wodą. Na uzalanie się nad sobą nie ma nic lepszego od podłej kawy, stwierdziła.

Prawdę mówiąc, to nie Dee martwi mnie teraz najbardziej, doszła do wniosku. Chodzi o Tiffany – biedne, smutne dziecko. Dziewczyna tak bardzo pragnęła być kochana, a ktoś odebrał jej wszystkie nadzieje. I

dopóki Pete Sanchez nie pokaże mi podpisanego przyznania się do winy, nie uwierzę, że zabił ją jakiś facet wyrzucony z baru za niewłaściwe zachowanie. Mogłabym przysiąc, że jej śmierć ma związek z tym pierścieniem.

„Jesteś tylko moja”. Tiffany powiedziała, że taki napis był wygrawerowany na jej pierścionku. Tak samo jak na pierścionku znalezionym przez Jane Clausen oraz na tym, który miała mi dać Carolyn Wells, pomyślała Susan. Kapitan Shea i Pete Sanchez nie okazali wielkiego zainteresowania tą sprawą, a jednak ostatnie morderstwa, usiłowanie zabójstwa i te zbrodnie, o których jeszcze nie wiemy, są w jakiś sposób związane z owymi pierścionkami i rejsami wycieczkowymi. Tego Susan była pewna.

Spojrzała na zegarek, po czym mimo wszystko poprosiła o dolewkę kawy i rachunek. Justin Wells zgodził się, żeby spotkanie odbyło się o ósmej w jego mieszkaniu przy Piątej Alei. Najwyższy czas zbierać się do wyjścia.

Susan nie zastanawiała się nad wyglądem Wellsa. Wszyscy – Pamela Hastings, kapitan Shea i Don Richards – twierdzili zgodnie, że Justin jest chorobliwie zazdrosny. Chyba spodziewałam się kogoś o ponurym wyglądzie, doszła do wniosku, gdy drzwi do mieszkania otworzyły się, a ona z niejakim zdziwieniem ujrzała w nich atrakcyjnego mężczyznę po czterdziestce. Ciemne włosy, szerokie ramiona, atletyczna sylwetka – bez wątplenia jest przystojny, stwierdziła, przyjrząwszy mu się uważnie. Jeśli wygląd może stanowić jakieś kryterium, to Justin Wells był ostatnią osobą, którą można by posądzić o ataki wścieklej zazdrości.

Ale z drugiej strony, powinnam pamiętać, że wygląd zewnętrzny może być ogromnie mylący, odnotowała w myślach Susan, wyciągając rękę na powitanie.

– Proszę wejść, doktor Chandler. Jest ze mną Pam. Ale za nim przejdziemy do konkretów, chciałbym przeprosić panią za to, jak panią potraktowałem.

– Proszę mówić mi po imieniu – odparła. – I nie ma powodu mnie przepraszać. Tak jak powiedziałam, uważam, że ma pan absolutną rację, uważając, że pańska żona leży teraz w szpitalu z powodu rozmowy, którą odbyłyśmy na antenie.

Salon wyraźnie świadczył o tym, że mieszkają tu architekt i dekoratorka wnętrz. Pomieszczenie odgradzały od przedpokoju smukłe, żłobkowane kolumny, a sam pokój zdobiły bogato rzeźbione gzymsy. Był tutaj też wspaniały marmurowy kominek; drewnianą posadzkę okrywał perski dywan, na którym rozstawiono miękko wyściełane krzesła i sofy oraz antyczne stoliki i lampy.

Pamela Hastings powitała Susan bardzo ciepło:

– Ogromnie się cieszę, Susan – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak wiele znaczy dla mnie to, że tu przyszłaś.

Ona czuje się tak, jakby zdradziła Justina Wellsa, pomyślała Susan, słysząc te słowa. Obdarzyła Pamelę zachęcającym uśmiechem i oświadczyła:

– Wiem, że oboje musicie być wykończeni, więc od razu przejdę do rzeczy. Gdy Carolyn zadzwoniła do mnie w poniedziałek, powiedziała, że przyjdzie do mojego gabinetu i przyniesie turkusowy pierścionek oraz zdjęcie mężczyzny, od którego go otrzymała. Teraz wiemy, że

prawdopodobnie rozmyśliła się i postanowiła, że wyśle mi te rzeczy pocztą. Przyszłam tu z nadzieją, że być może Carolyn zachowała inne przedmioty, jakieś pamiątki z tego rejsu, i one pomogą nam trafić na trop tajemniczego mężczyzny, który usiłował namówić ją do zejścia ze statku w Algierze. Pamiętacie, powiedziała, że gdy próbowała zadzwonić do hotelu, w którym miał się zatrzymać ten facet, poinformowano ją, że w ogóle się tam nie pojawił.

– Na pewno rozumiesz, że nie rozmawialiśmy z Carolyn o tej podróży – wtrącił Justin spokojnym głosem. – To nie były miłe wspomnienia i chcieliśmy jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

– I o to właśnie chodzi, Justin – powiedziała Pamela. – Carolyn nie pokazała ci pierścionka z turkusem i założę się, że nie widziałeś fotografii tego mężczyzny. Doktor Chandler sądzi, że twoja żona mogła zachować jeszcze inne pamiątki, których także ci nie pokazała.

Wells oblał się rumieńcem.

– Pani doktor – oświadczył – tak jak powiedziałem przez telefon, może pani przeszukać całe mieszkanie, jeśli to pomoże znaleźć człowieka, który skrzywdził Carolyn.

Susan zauważyła, że przy ostatnich słowach jego głos przybrał złowieszczy ton. Don Richards nie mylił się, odnotowała w myśli, Justin Wells byłby zdolny do zamordowania osoby, która skrzywdziła jego żonę.

– W takim razie bierzmy się do roboty – zarządziła.

Carolyn Wells pracowała w domu. W jednym z pokoiów ustawiła olbrzymie biurko, sofę, deskę kreślarską oraz szafkę na dokumenty.

– Ma swój gabinet w pracy – wyjaśnił Wells – ale tak naprawdę większość jej projektów powstaje tutaj i tu trzyma całą prywatną

korespondencję.

Susan wyczuła napięcie w jego głosie.

– Czy biurko jest zamknięte na klucz? – spytała.

– Nie wiem. Nigdy tego nie sprawdzałem. – Justin Wells odwrócił wzrok, jakby nie mógł znieść widoku biurka, przy którym często siadywała jego żona.

Pamela Hastings położyła mu rękę na ramieniu.

– Justin, może zaczekasz na nas w salonie? Nie musisz być przy tym obecny.

– Racja, nie muszę. – Ruszył w kierunku drzwi, ale w progu przystanął i odwrócił się. – Ale obiecajcie mi jedno: chcę zobaczyć wszystko, co znajdziecie. Wszystko, co może pomóc, bez względu na to, co to będzie – powiedział niemal z wyrzutem. – Czy możecie mi to przyrzec?

Obie kobiety skinęły głową. Gdy wyszedł z pokoju, Susan zwróciła się do Pameli Hastings:

– Zaczynajmy.

Susan zabrała się do biurka, a Pamela zaczęła przeszukiwać szuflady kartoteki. Czy chciałabym, żeby ktoś przeszukiwał w ten sposób moje rzeczy? – zastanawiała się Susan. Nie akta pacjentów, które są tajne, ale moje prywatne papiery – czy jest coś takiego, czego nie chciałabym pokazywać światu?

Od razu przyszła jej do głowy pewna rzecz: list, w którym Jack poinformował ją, że zakochał się w Dee. Nadal pamiętała jedno zdanie: „Najbardziej martwi mnie to, że Cię zraniłem, nigdy nie zrobiłbym tego celowo”.

Najwyższy czas spalić ten list, doszła do wniosku.

Stwierdziła, że grzebiąc w prywatnych papierach kobiety, której nawet nie zna, czuje się niczym podglądacz. Carolyn Wells musi być trochę sentymentalna, uznała. W najniższej szufladzie biurka znalazła teczki opatrzone tytułami: „Mama”, „Justin”, „Pam”.

Susan przejrzała je pobieżnie, na tyle jednak dokładnie, by stwierdzić, że zawierają zwykłe pamiątki rodzinne: kartki urodzinowe, listy, zdjęcia. W teczce podpisanej „Mama” znalazła nekrolog sprzed trzech lat. Z jego treści wynikało, że Carolyn jest jedynaczką, a jej ojciec zmarł dziesięć lat przed matką.

Kiedy rozstała się z mężem i wyjechała na wycieczkę statkiem, jej matka nie żyła zaledwie od roku, pomyślała Susan. Nic dziwnego, że Carolyn mogła być rozchwiana emocjonalnie i podatna na wpływy nie zawsze przychylnie nastawionych osób.

Susan próbowała sobie przypomnieć to, co jej własna matka mówiła na temat Reginy Clausen, którą spotkała na zebraniu akcjonariuszy. Pamiętała, że mama wspomniała, jakoby Regina była bardzo podniecona perspektywą rejsu i że jej ojciec zmarł młodo, żałując, iż nigdy nie pozwolił sobie na prawdziwe wakacje.

Dwie wrażliwe kobiety, podsumowała Susan, zamykając ostatnią teczkę. To nie ulegało wątpliwości, tyle że nic więcej nie wynikało z tego, co tu znalazła. Podniosła głowę i ujrzała, że Pamela Hastings kończy przeglądać zawartość ostatniej szuflady.

– I jak ci idzie? – zagadnęła ją. Pamela wzruszyła ramionami.

– Wcale nie idzie. Z tego, co widzę, Carolyn przechowywała dokumentację wszystkich projektów, którymi się ostatnio zajmowała: liściki od klientów, zdjęcia wykończonych pomieszczeń i tym podobne

rzeczy. – Nagle urwała. – Zaczekaj – rzuciła. – To może być to. – Wskazała na teczkę opatrzoną napisem „Seagodiva”. – To tym statkiem płynęła Carolyn.

Położyła teczkę na biurku i przysunęła krzesło.

– Miejmy nadzieję – wymruczała Susan, gdy zabrały się do przeglądania papierów.

Niestety, wyglądało na to, że nie ma tam nic interesującego. W teście znajdowały się wszelkiego rodzaju druki, które zwykle przechowuje się na pamiątkę podróży: plan podróży, harmonogramy dnia i informacje na temat portów, do których zawija statek.

– Bombaj – oznajmiła Pamela. – Tam Carolyn zaczęła podróż. Oman, Hajfa, Aleksandria, Ateny, Tanger, Lizbona – te porty miała odwiedzić.

– A w Algierze nieomal zdecydowała się na wycieczkę z tajemniczym nieznajomym – dodała Susan. – Spójrz na datę. Statek miał przyplłynąć do Algieru piętnastego października. W przyszłym tygodniu miną dokładnie dwa lata od tego dnia.

– Wróciła do domu dwudziestego – zauważyła Pamela Hastings. – Pamiętam dokładnie, bo tego dnia wypadają urodziny mojego męża.

Susan przerzuciła foldery. W ostatnim opisano dodatkowe wycieczki, organizowane w ramach rejsu. Nagłówek głosił: „Ujrzyj cuda algierskich bazarów”.

To cytat z piosenki „Jesteś tylko moja”, pomyślała. Wtem zauważyła, że na ostatniej stronie ulotki zapisano coś niewyraźnie ołówkiem.

Nachyliła się, próbując odcyfrować notatkę. Po chwili odczytała: „Win, hotel Pałace, 555-0634”. Pokazała zapisek Pameli.

– Myślę, że możemy założyć, iż Win to imię mężczyzny, którego

poznała na statku – powiedziała cicho.

– O Boże, czyżby więc w szpitalu wzywała właśnie jego? – spytała Pamela.

– Nie wiem. Szkoda, że nie ma tu zdjęcia, które miała mi pokazać – rzekła Susan. – Założę się, że trzymała je w tej teczce. – Bezmyślnym spojrzeniem obrzuciła blat biurka, jakby spodziewała się, że pojawi się na nim zaginiona fotografia. Wtedy zauważyła parę małych nożyczek i leżący koło nich wąski pasek jaskrawoniebieskiego papieru.

– Czy Carolyn ma sprzątaczkę? – spytała.

– Tak, sprzątaczką przychodzi na kilka godzin w poniedziałek i piątek rano. Pracuje od ósmej do jedenastej. A dlaczego pytasz?

– Carolyn zadzwoniła do mnie tuż przed dwunastą. Módl się, żeby... – nie kończąc zdania, zajrzała pod biurko i wyciągnęła stamtąd kosz na śmieci. Szybkim ruchem wyrzuciła jego zawartość na dywan. Z pojemnika wypadły skrawki niebieskiego papieru i nierówno przycięte zdjęcie.

Susan podniosła je i obejrzała uważnie.

– To Carolyn z kapitanem statku, prawda?

– Tak – zgodziła się Pamela. – Ale po co je przycinała?

– Myślę, że Carolyn chciała mi przysłać tylko fragment zdjęcia, gdzie był mężczyzna, który podarował jej pierścionek z turkusem. Nie chciała, żeby ktoś rozpoznał ją na fotografii.

– Tylko że teraz zdjęcie zniknęło.

– No to co? – odparła Susan, układając skrawki papieru w całość.

– Popatrz na to. To koperta, w której przechowuje się zdjęcia – znajduje się na niej londyński adres firmy i instrukcja, jak zamawiać dodatkowe odbitki. – Odsunęła krzesło i wstała. – Zadzwonię tam, a jeśli nadal mają

negatyw tego zdjęcia, zdobęde je, Pamela – oświadczyła głosem drżącym z podniecenia. – Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli nam się uda, wpadniemy na trop seryjnego mordercy?

Nat Smali nie podejrzewał nawet, że tak bardzo będzie mu brakować przyjaciela i sąsiada w interesach, Abdula Parkiego. Zaledwie trzy dni temu, w poniedziałkowy poranek, widział, jak Parki zamiata chodnik przed sklepem, i nawet zażartował, że mógłby przyjść ze swoją miotłą na drugą stronę ulicy i zrobić porządek przed „Mrocznymi rozkoszami”.

Parki uśmiechnął się wówczas znajomym, jakby nieśmiałym uśmiechem, i odparł „Nat, wiesz, że chętnie ci pomogę, lecz obawiam się, że ja i moja miotła nie wystarczą, by doprowadzić do porządku twój sklep”. Nieźle się wtedy ubawili. Nazajutrz Parki znowu zamiatał chodnik, bo jakiś głupi dzieciak rozsypał prażoną kukurydzę. I na tym się skończyło – Nat nigdy więcej nie zobaczył już Parkiego i martwił się tym, że ani policja, ani media zdają się nie przykładać wielkiej wagi do śmierci jego przyjaciela. Pewnie, powiedziano o morderstwie w lokalnych wiadomościach i nawet pokazano kilkusekundową migawkę z miejsca zbrodni, ale tego samego dnia aresztowano jakiegoś ważniaka z mafii i to on skupił całą uwagę mediów. Nikt nie przejmował się tym, „przestępstwem związanym z narkotykami”, jak je nazywano, najwyraźniej nikomu nie chciało się w tym grzebać.

Minęły zaledwie dwa dni, a sklep Khylema wygląda jak dawno opuszczony. Myślałby kto, że jest zamknięty od wieków, stwierdził Nat. Na drzwiach umieszczono już nawet wywieszkę: „Do wynajęcia”. Mam nadzieję, że nie wynajmie go konkurencja, pomyślał. I bez tego nie jest lekko.

W czwartek Nat skończył pracę o dziewiątej wieczorem. Zanim wyszedł do domu, zajął się jeszcze witryną sklepu. Wyglądając na ulicę, przypominał sobie, że we wtorek koło pierwszej stał tu ten nieprzyjemny facet, pogapił się chwilę na wystawę, po czym przeszedł na drugą stronę i wszedł do Parkiego. Może jednak powinienem powiedzieć o nim gliniarzom, zastanawiał się Nat. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że nie warto. To tylko strata czasu, pomyślał. Facet pewnie wyszedł ze sklepu szybciej, niż wszedł. Tacy jak on nie kupują w sklepie Khylema, już prędzej można by przyłapać ich na buszowaniu w zakazanych towarach, jakie oferują „Mroczne rozkosze”. Parki sprzedawał pamiątki dla turystów, a ten człowiek nie wyglądał na turystę.

Nat skrzywił się na wspomnienie idiotycznego prezentu, jaki Parki ofiarował mu w zeszłym roku – mały tłusty facecik z głową słonia, siedzący na tronie.

– Jesteś dobrym przyjacielem, Nat – oznajmił mu Parki; jak zawsze w jego głosie słychać było śpiewny akcent. – Zrobiłem to dla ciebie. To Ganesz – bóg z głową słonia. W Indiach opowiada się pewną legendę. Kiedy Ganesz miał pięć lat, jego ojciec, Siwa, obciął mu przypadkowo głowę. Gdy matka chłopca zażądała, by przymocował ją z powrotem, Siwa pomylił się i obdarzył syna głową słonia. Matka protestowała, twierdząc, iż oszpecił dziecko i nikt nie będzie mógł patrzeć nań bez odrazy, lecz Siwa rzekł: „Uczynię go bogiem mądrości, pomyślności i szczęścia. Zobaczysz – wszyscy go pokochają”.

Nat wiedział, że Parki włożył sporo wysiłku w wykonanie tej małej figurki. I jak większość pamiątek, które sam robił, ozdobił ją turkusami.

W sercu Nata Smalla rzadko gościły sentymenty, ale tym razem

odstąpił od reguły i w hołdzie dla zamordowanego przyjaciela poszedł na zaplecze, wygrzebał figurkę boga i ustawił ją w witrynie tak, aby trąba słoniowej głowy wskazywała na sklep Parkiego. Niech tu stoi, dopóki nie znajdzie się nowy właściciel lokalu, pomyślał. Przez wzgląd na pamięć tego miłego, drobnego człowieczka.

Gdy Nat zmierzał w kierunku domu, przepełniał go smutek, ale i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Pocieszał się myślą, że może w sklepie Parkiego ktoś otworzy lombard. Nie tylko byłoby mu to na rękę, ale z pewnością wpłynęłoby korzystnie na interesy.

Donald Richards uprzedził swoją gospodynię, Renę, że kolację zje na mieście. Ponieważ nie umówił się z nikim na wieczór, pod wpływem nagłego impulsu postanowił zadzwonić do Marka Greenberga, przyjaciela i kolegi po fachu, który swego czasu pomógł mu pozbierać się po śmierci żony. Szczęśliwym trafem Greenberg nie miał żadnych planów: „Betsy wybiera się ze swoją matką do opery – oświadczył. – Mnie udało się wykręcić”.

Spotkali się w Kennedy's, restauracji mieszczącej się na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Greenberg, mężczyzna przed pięćdziesiątką o wyglądzie naukowca, zaczekał, aż kelner przyniesie drinki, po czym odezwał się:

– Don, dawno nie widziałem cię w swoim gabinecie. Jak sobie radzisz?

Richards uśmiechnął się:

– Jestem bardzo zajęty – to chyba dobry objaw?

– Czytałem twoją książkę. Podoba mi się. Powiedz, dlaczego ją napisałeś?

– Już drugi raz ktoś mnie o to pyta – zauważył Richards. – Przede wszystkim dlatego, że zainteresował mnie ten temat. Miałem kiedyś pacjenta, którego żona zaginęła. Ciężki przypadek. Pozbierał się dopiero dwa lata temu, kiedy w końcu znaleziono samochód z jej ciałem w środku. Okazało się, że wpadła w poślizg i utonęła w jeziorze. Przyczyną tej śmierci był wypadek, ale większość kobiet, o których mówię w swojej książce, padła ofiarą przestępstwa. Napisałem ją po to, żeby ostrzec

wszystkie kobiety przed niebezpieczeństwami, które mogą im grozić, oraz żeby pokazać, w jaki sposób mogą unikać sytuacji prowadzących do tragedii.

– Spłacasz osobisty dług, prawda? Nadal winisz się za śmierć Kathy? – wtrącił łagodnie Greenberg.

– Chciałbym wierzyć, że uda mi się z tym pogodzić, lecz czasami to naprawdę boli. Mark, słyszałeś to ode mnie wiele razy. Kathy nie chciała jechać na te zdjęcia. Czowała się niedobrze, miała mdłości. Ale powiedziała tylko: „Wiem doskonale, co mi zaraz powiesz, Don. Nie wolno zawodzić innych”. Zawsze wypominałem jej, że w ostatniej chwili zmienia plany, zwłaszcza jeśli chodzi o pracę. Cóż, usłuchanie mojej rady kosztowało ją życie. – Don pociągnął z kieliszka łyk alkoholu.

– Ale Kathy nie powiedziała ci, że podejrzewa, iż jest w ciąży – przypomniał mu Greenberg. – Gdybyś wiedział, na pewno namówiłbyś ją, by została w domu, zwłaszcza że czowała się niewyraźnie.

– Nie, nie powiedziała. Później, gdy o tym myślałem, przypomniałem sobie, że od sześciu tygodni nie miała okresu – przyznał Don Richards. – Czasami nadal jest ciężko, ale zmierzam ku lepszemu. Może to zbliżające się czterdzieste urodziny przypominają mi, że czas porzucić przeszłość.

– Myślałeś o tym, żeby wybrać się w rejs statkiem? Nie musi to być długa wycieczka, a sądzę, że byłby to przełomowy krok w twojej sytuacji.

– Prawdę mówiąc, chciałbym wybrać się już wkrótce. W przyszłym tygodniu jadę na promocję książki do Miami i zamierzam rozejrzeć się za jakimś statkiem.

– To świetnie – pochwalił Greenberg. – I ostatnie pytanie. Czy spotykasz się z kimś?

– Wczoraj byłem na randce z panią psycholog Susan Chandler. Prowadzi prywatną praktykę i ma własną audycję w radiu. Bardzo interesująca i atrakcyjna dama.

– Rozumiem z tego, że na jednym spotkaniu się nie skończy? Don uśmiechnął się.

– Powiedziałbym, że mam co do niej poważne plany.

Don Richards wrócił do domu o dziesiątej wieczorem. Przez chwilę zastanawiał się, czy zadzwonić do Susan, po czym doszedł do wniosku, że nie jest jeszcze za późno na telefon.

Podniosła słuchawkę prawie natychmiast.

– Susan, po południu byłaś wyraźnie przegrana. Jak się czujesz teraz?

– Lepiej, jak sądzę – odparła Susan. – Cieszę się, że zadzwoniłeś, Don. Chciałam cię o coś spytać.

– Pytaj.

– Swego czasu sporo pływałeś na statkach wycieczkowych, prawda? Richards nieświadomie mocniej ścisnął słuchawkę.

– Zarówno przed ślubem, jak i potem. Oboje z żoną uwielbialiśmy morze.

– I wiele razy byłeś na „Gabrielle”? – Tak.

– Nigdy nie brałam udziału w rejsie, więc będziesz musiał mi pomóc. Z tego, co słyszałam, na statkach pracują zawodowi fotografowie. Robią mnóstwo zdjęć wycieczkowiczom.

– Oczywiście. To bardzo opłacalny interes.

– A nie wiesz czasem, czy przechowują negatywy zdjęć ze wszystkich rejsów?

– Nie wiem.

– Trudno. A nie masz przypadkiem jakichś fotografii zrobionych na „Gabrielle”? Chciałabym się dowiedzieć, jaka firma zajmuje się – czy też zajmowała – robieniem zdjęć na „Gabrielle”.

– Chyba mam jakieś zdjęcia z czasów, gdy pływaliśmy z Kathy na liniowcach.

– Zechciałbyś sprawdzić? Naprawdę, bardzo mi na tym zależy. Mogłabym spytać panią Clausen, ale nie chcę zawracać jej tym głowy.

– Poczekaj chwilę.

Donald Richards odłożył słuchawkę na stolik i podszedł do szafki, w której przechowywał zdjęcia i pamiątki z czasów małżeństwa z Kathy. Z górnej półki zdjął pudełko podpisane „Wakacje” i podszedł z nim do telefonu.

– Jeszcze moment – powiedział do słuchawki. – Jeśli mam jakieś zdjęcia, to będą w pudełku, które trzymam właśnie na kolanach. Cieszę się, że jesteś ze mną, przynajmniej głosem. Odkopywanie starych wspomnień może być bolesne.

– Właśnie tym zajmowałam się w mieszkaniu Justina Wellsa – oznajmiła Susan.

– Byłaś u niego? – Don Richards nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

– Tak. Pomyślałam, że będę mogła mu pomóc.

Nie powie mi nic więcej, stwierdził w duchu Richards. Przeglądał stos jaskrawo niebieskich kartonowych kopert.

Otworzył jedną z nich i spojrzał na zdjęcie, na którym siedział z Kathy przy stoliku na „Gabrielle”. Za nimi widać było panoramiczne okno, przez które wpadał blask słońca zachodzącego nad oceanem.

Wyjął zdjęcie z koperty i odwrócił na drugą stronę. Widniał tam adres, pod którym można zamawiać dodatkowe odbitki. Podał go Susan spokojnym głosem.

– To prawdziwy przełom w moich poszukiwaniach – oznajmiła Susan.

– Ta sama firma robiła zdjęcia na statku, którym płynęła Carolyn. Teraz mogę zdobyć kopię zdjęcia, które zamierzała mi wysłać.

– Mówisz o fotografii mężczyzny, który dał jej pierścionek z turkusem?

Susan nie odpowiedziała wprost.

– Chyba nie powinnam cieszyć się przedwcześnie. Pewnie już dawno pozbyli się negatywów.

– Słuchaj, w przyszłym tygodniu wybieram się na ostatnią część kampanii promocyjnej mojej książki – powiedział Richards. – Wyjeżdżam z miasta w poniedziałek, ale bardzo chciałbym spotkać się z tobą przed wyjazdem. Co powiesz na śniadanie, obiad czy kolację w niedzielę?

Susan zaśmiała się.

– Niech będzie kolacja. Mam już plany na niedzielne popołudnie. Kilka minut później Donald Richards odłożył słuchawkę, ale nadal siedział przy telefonie, przeglądając zdjęcia ze wspólnych wypraw w Kathy. Teraz tamten etap życia wydawał mu się bardzo odległy.

Nadchodził czas zmian. Wiedział, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym tygodniu zakończy się udręka ostatnich czterech lat.

Susan spojrzała na zegarek – minęła dziesiąta. To był długi dzień – szkoda, że tego samego nie będzie można powiedzieć o nadchodzącej nocy. Za niecałe sześć godzin trzeba być znowu na nogach i wykonać pewien telefon.

Czwarta rano w Nowym Jorku to dziewiąta w Londynie. O tej godzinie zamierzała zadzwonić do Ocean Cruise Pictures Ltd. i dowiedzieć się, czy istnieje możliwość zamówienia odbitek zdjęć robionych na „Gabrielle” i „Seagodivie” w czasie rejsów, w których uczestniczyły Regina Clausen i Carolyn Wells.

Mimo że było już późno, Susan postanowiła, że weźmie prysznic – może woda choć trochę spłucze zmęczenie całego dnia. Dłuższy czas stała, spowita parą, w strumieniach gorącej wody. Potem energicznie wytarła się ręcznikiem, wilgotne włosy zebrała pod aksamitną opaskę, włożyła koszulę nocną i szlafrok i wyraźnie odprężona ruszyła do kuchni, by przygotować kakao. To na pewno ostatnia rzecz, jaką dzisiaj robię, stwierdziła stanowczo i nastawiła budzik na czwartą rano.

Gdy zadzwonił w sześć godzin później, Susan wydała jęk protestu, ale zmusiła się do otwarcia oczu. Jak zwykle przed zaśnięciem, otworzyła wszystkie okna w sypialni i wyłączyła ogrzewanie, więc teraz w pokoju było zimno jak w lodówce.

Usiadła na łóżku i szczelnie owijając się kołdrą, sięgnęła po telefon, notatnik i długopis. Niecierpliwie wystukała długi ciąg cyfr numeru studia

fotograficznego w Londynie.

– Ocean Cruise Pictures Ltd. Dzień dobry.

Przez chwilę Susan zawahała się, podświadomie oczekując szeregu instrukcji, po których wysłuchaniu uda jej się porozmawiać z jakąś żywą istotą. Ale zamiast mechanicznego głosu z taśmy usłyszała:

– W czym mogę pomóc?

Wkrótce potem rozmawiała z pracownikiem działu zamówień.

– Tak, proszę pani, prawdopodobnie mamy zdjęcia z tych rejsów. Zwykle przechowujemy je dłużej niż inne firmy.

Jednak gdy dowiedziała się, ile fotografii wykonano na „Seagodivie” między Bombajem a Atenami i na „Gabrielle” między Perth a Hongkongiem, była załamana.

– Widzi pani, wygląda na to, że na obu liniowcach znajdował się komplet pasażerów – wyjaśnił mężczyzna. – Jeśli więc na pokładzie jest około siedmiuset ludzi, to nawet zakładając, że pięciuset z nich to pary, zostaje jeszcze całkiem sporo pojedynczych pasażerów, a zawsze staramy się zrobić co najmniej kilka zdjęć każdemu z nich. Nasi fotografowie są na statku od samego początku, a pasażerowie często żądają, by robić im zdjęcia przy wszelkich możliwych okazjach: we wszystkich portach, z kapitanem, przy stoliku w restauracji podczas imprez, balów i tak dalej. Zatem sama pani widzi, że jest mnóstwo okoliczności, w których robimy zdjęcia.

Setki zdjęć po dwanaście i pół dolara każde, pomyślała Susan. To będzie kosztować majątek.

– Chwileczkę – powiedziała. – Zdjęcie z „Seagodivy”, o które mi chodzi, przedstawia pewną kobietę z kapitanem. Czy nie moglibyście

przejrzeć negatywów i zrobić mi odbitki tylko tych fotografii, na których widać kapitana statku i kobietę?

– Chodzi o etap z Bombaju do Aten w październiku dwa lata temu? – Tak.

– Naturalnie musi pani zapłacić z góry.

– Oczywiście. – Tata pożycz mi pieniądze ze swojego konta, pomyślała Susan. Oddam mu później. – Proszę posłuchać – powiedziała. – Potrzebuję tych zdjęć jak najszybciej. Jeśli zaraz dokonam przelewu, czy zdołacie wysłać mi zdjęcia przez kuriera jeszcze dzisiaj?

– Raczej jutro. Chyba zdaje sobie pani sprawę, że w grę może wchodzić kilkaset zdjęć?

– Tak, naturalnie.

– Jestem pewien, że da się załatwić jakąś zniżkę. Niestety, w tej sprawie będzie pani musiała skontaktować się z panem Meyhew, a on będzie w biurze dopiero po południu.

Susan przerwała urzędnikowi w pół słowa:

– Później się tym zajmę. Proszę podać mi numer konta, na które mam wysłać pieniądze. Powinny dotrzeć do was najpóźniej o trzeciej po południu.

– Rozumiem. Ale i tak nie zdołamy przesłać pani zdjęć wcześniej niż jutro. Tak czy inaczej, będzie je pani miała do końca tygodnia.

To musiało Susan wystarczyć.

Po tej rozmowie zdołała jeszcze się położyć, ale nie pospala długo. O ósmej rano była już gotowa do wyjścia do pracy. Zastanawiała się, czy nie poczekać do dziewiątej i nie zadzwonić do ojca do biura, ale stwierdziła, że nie ma pewności, czy go tam zastanie. Wykręciła zatem numer do domu

w Bedford Hills, modląc się w duchu, żeby słuchawkę podniósł ojciec, a nie Binky.

Telefon odebrała nowa gospodyni. Oznajmiła Susan, że państwo Chandler spędzają weekend w Nowym Jorku.

– Wyjechali wczoraj wieczorem.

I na pewno nie płaczesz z tego powodu, dodała w duchu Susan. Binky znana była z tego, że żadna pomoc domowa nie utrzymuje się długo w jej domu.

Zadzwoiła do mieszkania ojca i jęknęła bezgłośnie, gdy słuchawkę podniosła macocha. Tym razem w jej głosie nie słychać było zwykłego podniecenia.

– Na Boga, Susan, nie mogłaś zadzwonić później? – spytała z rozdrażnieniem. – Twój ojciec bierze prysznic. Powiem mu, żeby do ciebie oddzwonił.

– Dobrze – odparła krótko Susan. Ojciec zadzwonił kwadrans później.

– Susan, Binky bardzo przeprasza. Kiedy zadzwoniłaś, była taka zaspana, że nawet nie spytała, co u ciebie słychać.

Proszę, tato, pomyślała Susan. Czyżbyś nie rozumiał, że ona daje mi do zrozumienia, że jestem okropnie źle wychowana, budząc ją o tej porze?

– Powiedz jej, że u mnie wszystko w porządku – rzuciła do słuchawki.

– Tato, to znaczy Charles, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Dla mojej dziewczynki wszystko.

– Świetnie. Muszę jak najszybciej wysłać na konto w Londynie pięć tysięcy trzysta dolarów. Jeśli chcesz, zadzwonię do twojego biura i powiem sekretarce, żeby to zrobiła, ale muszę mieć te pieniądze natychmiast. Oczywiście oddam ci. Po prostu muszę podjąć pieniądze ze

swojego konta, a to zajmie kilka dni.

– Nie ma sprawy. Z przyjemnością ci pomogę, kochanie. Ale czy coś się stało? Masz jakieś problemy? Nie jesteś chyba chora czy coś takiego?

Bardzo miło z twojej strony, pomyślała Susan. W końcu zachowujesz się jak ojciec.

– Nie, nic z tych rzeczy. Prowadzę małe śledztwo dla mojej znajomej. Próbujemy zidentyfikować kogoś na podstawie zdjęcia zrobionego podczas rejsu wycieczkowego.

– Co za ulga! Podaj mi wszystkie dane, a zajmę się tym. Wiesz, Susan, szkoda, że tak rzadko prosisz mnie o pomoc. Czułbym się lepiej, gdybyś robiła to częściej. Rzadko się widzimy i tęsknię za tobą.

Susan poczuła przelotne ukłucie tęsknoty, ale głos Binky dochodzący z głębi mieszkania natychmiast ją otrzeźwił.

Ojciec tymczasem zachichotał głupawo i rzucił do słuchawki:

– Kochanie, muszę kończyć. Binky chce się położyć, więc nie będę jej przeszkadzał.

W piątkowy poranek Chris Ryan usadowił się wygodnie w starym fotelu obrotowym i zabrał do przeglądania informacji na temat Douglasa Laytona, które do tej pory zebrali jego informatorzy.

Dane, które podała mu Susan, okazały się prawdziwe: Layton rzeczywiście otrzymał wykształcenie, którym się chlubił, więc na pewno nie był jednym z tych, co to twierdzą, że ukończyli college, który tak naprawdę widzieli tylko na zdjęciach. Jednak następny punkt był dla Chrisa wyraźną wskazówką, że z Laytonem jest coś nie tak. Od ukończenia studiów prawniczych czterokrotnie zmieniał pracę i mimo że wydawało się, iż odznacza się wszelkimi cechami, które powinny gwarantować mu stanowisko partnera w jakiejś firmie, nigdy nim nie został.

Chris uniósł wysoko brwi, czytając informacje na temat aktualnej sytuacji Laytona. Najwyraźniej ma teraz wyjątkowo korzystną pozycję zawodową – administracja funduszem powierniczym Clausenów dawała duże możliwości i nadzieję na dalsze sukcesy, zwłaszcza gdy stary Hubert March, który najwyraźniej uznawał Laytona za swego kontynuatora, odejdzie na emeryturę. A z tego, co mówiła mi Susan, Layton jest też pupilkiem pani Clausen, przypomniał sobie Ryan.

Studiując raport, podkreślił pewne punkty, którym należało przyjrzeć się bliżej. Jak na kogoś, kto zajmuje się oszczędzaniem i wydawaniem dużych sum cudzych pieniędzy, Layton miał podejrzanie mało własnych. Ciekawe dlaczego? – rozważał dalej Ryan. Facet po trzydziestce, samotny,

bez żadnych zobowiązań finansowych, myślał. Pracował w dobrych firmach za niezłe pieniądze, a wygląda na to, że powodzi mu się źle. Samochód kupiony na raty, mieszkanie – wynajęte. Sumy z rachunku bieżącego z ledwością pokrywają miesięczne wydatki. Żadnych danych na temat rachunku oszczędnościowego.

Co w takim razie Layton robi z zarobioną forszą? – zastanawiał się Ryan. Rzecz jasna, może być narkomanem. A jeśli tak, to istnieje szansa, że jak większość uzależnionych, zaopatruje się gdzieś w towar i pewnie nie wystarcza mu na to goła pensja.

Chris uśmiechnął się krzywo. Z pewnością te informacje są dobrym punktem wyjściowym do bardziej szczegółowego śledztwa. Uwielbiał chwilę, w której wpadał na ślad czegoś intrygującego i podejmował trop. Zadzwoń do Susan, zdecydował. Zawsze lubi być na bieżąco, od samego początku sprawy. A pewnie sprawi jej niezłą satysfakcję fakt, że miała rację – źle się dzieje w państwie duńskim, przynajmniej jeśli chodzi o Douga Laytona.

Kiedy Susan przyszła do gabinetu, na sekretarce czekała na nią wiadomość zostawiona przez Pete'a Sancheza. Z uczuciem triumfu wysłuchiwała informacji, że policja znalazła pierścionek. To może być bardzo ważne, pomyślała.

Usiadła na chwilę przy biurku, próbując dopasować w myślach niektóre kawałki układanki. Być może pierścionki nie są kluczem do rozwiązania zagadki tych morderstw, ale z pewnością to one są elementem, który łączy wszystkie ofiary. I miała rację – Tiffany nie zginęła dlatego, że miała pierścionek, ale dlatego, że mogła zidentyfikować mężczyznę, który kupił ich kilka w sklepie w Village.

Spróbuję przekonać do mojej teorii Pete'a i zobaczymy, co się stanie, postanowiła, sięgając po telefon.

Sądząc po głosie, Sanchez był w wyśmienitym nastroju.

– Biuro prokuratora przyciska podejrzanego – oznajmił jej zadowolonym tonem. – Jeden z moich informatorów doprowadził nas do świadków, którzy słyszeli, jak podejrzany odgrażał się, że zemści się na Tiffany, a nawet powiedział, że wraca do Grotto, żeby się nią zająć. Lada chwila się załamie. A propos, o co chodzi z tym pierścionkiem?

Susan zaczęła ostrożnie:

– Pete, być może się mylę, lecz uważam, że istotne w tej sprawie są pierścionki z turkusem. Jeden z nich znaleziono w bagażu kobiety, która zaginęła trzy lata temu. W poniedziałek do radia zadzwoniła inna kobieta i obiecała, że przyniesie mi taki sam pierścionek. Uważamy, że w ostatniej

chwili rozmyśliła się i uznała, że wyśle go pocztą – nie zdążyła, gdy szła na pocztę, została potrącona przez furgonetkę. Policja nadal prowadzi śledztwo, ale wygląda na to, że ktoś ją popchnął. Tiffany obiecała, że wyśle mi swój pierścionek, lecz też zmieniła zdanie i zdecydowała, że chce zatrzymać pamiątkę. Potem go wyrzuciła, ten jednak, kto ją zamordował, nie wiedział o tym, a poza tym nie jestem pewna, czy...

Sanchez przerwał jej:

– Susan, facet, który zaatakował Tiffany, siedzi w areszcie. Nie widzę tu żadnego związku z turkusowym pierścionkiem. Doniesiono nam, że rozmawiała z tobą o swoim byłym chłopaku, Matcie Bauerze, więc sprawdziliśmy go. W środę wieczorem był wraz z rodzicami w Babylon, z wizytą u swoich przyszłych teściów. Omawiali sprawy związane z organizacją wesela. Cały czas był z rodziną i wspólnie wrócili do domu dobrze po północy. Jest czysty jak łąka.

– Pete, zaufaj mi. Ten pierścionek może być bardzo ważny. Czy masz go przy sobie?

– Tak.

– Poczekaj chwilę. – Susan sięgnęła po torebkę i wyjęła z portmonetki pierścionek, który dostała od Jane Clausen. – Pete, możesz mi go opisać?

– Pewnie. Mały kamyk osadzony na taniej obrączce. Susan, takich pierścionków jest pełno!

– Czy po wewnętrznej stronie obrączki jest jakiś napis?

– A, tak. Bardzo niewyraźny. Dobra, napisano tu: „Jesteś tylko moja”.

Susan gwałtownie wysunęła szufladę biurka i poszperała w niej chwilę, po czym wyjęła szkło powiększające. Skierowała pierścionek Reginy Clausen w stronę światła i obejrzała go uważnie pod lupą.

– Pete, masz może szkło powiększające?

– Powinno gdzieś tu być.

– Daj mi jeszcze chwilę, dobrze? Chcę porównać oba napisy. Na moim J jest bardzo szerokie a t wąskie i nie ma poprzecznej kreseczki. A przy m jest duży zawijas.

– J i t są takie same, ale przy m nie ma żadnych ornamentów – odparł Pete. – Susan, o co tu chodzi?

– Pete, czy mógłbyś coś zrobić? – spytała błagalnym tonem. – Proszę, potraktuj ten pierścionek jak dowód rzeczowy. Niech w laboratorium policyjnym sfotografują go ze wszystkich stron, a ty wyślij mi powiększone odbitki faksem. I jeszcze jedno – muszę sama porozmawiać z Mattem Bauerem. Możesz dać mi jego numer telefonu?

– Susan, ten facet jest niewinny – przypomniał Pete.

– Tak, wiem. Pamiętaj, Pete, gdy pracowałam w prokuraturze, nieraz wyświadczałam ci przysługi.

Zapadła cisza. Sanchez odezwał się dopiero po chwili:

– Masz coś do pisania? – Susan powtórzyła podyktowane cyfry, a policjant dodał oficjalnym tonem: – Susan, jestem przekonany, że facet, którego złapaliśmy, jest zabójcą Tiffany Smith, ale jeśli wpadniesz na jakiś inny trop, chcę o tym wiedzieć.

– Umowa stoi – obiecała Susan.

Ledwie odłożyła słuchawkę, Janet zawołała, że na linii czeka Chris Ryan. Detektyw opowiedział jej wszystko, czego zdołał się dowiedzieć na temat Laytona.

Zakończył stwierdzeniem:

– Susan, wpadłem na obiecujący ślad.

O tak, przyznała w duchu Susan, ale nie tylko ty. Poprosiła Chrisa, by informował ją na bieżąco, po czym uprzedziła Jane, że czeka na faks z Yonkers.

Przez krótką chwilę w piątek rano wydawało się, że Carolyn Wells jest bliska odzyskania przytomności. Jej umysł nie był jednak w stanie myśleć jasno. Carolyn miała wrażenie, że dryfuje na falach, jakby zanurzona w mrocznych wodach morza. Wszystko było takie nieprzejrzyste. Nawet ból, choć silny, wydawał się nie mieć źródła, lecz ogarniać całe jej ciało.

Gdzie jest Justin? – zastanawiała się. Był jej potrzebny. Co się stało? Skąd ten ból? Tak trudno przypomnieć sobie cokolwiek. Zadzwoił do niej... Był zły... Mówiła coś o mężczyźnie, którego poznała na statku... Justin pytał ją o to... Justin, nie gniewaj się. Kocham cię... nigdy nie było nikogo innego... Krzyczała, ale nikt nie mógł jej usłyszeć. Przecież nadal była pod wodą.

Dlaczego czuje się tak okropnie? Carolyn się wydało, że zbliża się do powierzchni.

– Justin – wyszeptała. – Nie wiedziała, że nad jej łóżkiem pochyła się pielęgniarka. Carolyn chciała tylko powiedzieć Justinowi, by nie gniewał się na nią, by nie było mu przykro. – Justinie, proszę, nie! – powiedziała i znowu odpłynęła w nieświadomość; zamknęły się nad nią kojące fale zapomnienia.

Pielęgniarka, zgodnie z poleceniem, miała informować policję o wszystkim, czego zdoła się dowiedzieć od Carolyn Wells. Dlatego też od razu zadzwoniła na posterunek. Na centrali przełączono ją bezpośrednio do kapitana Shei, który siedział w swoim gabinecie i raz jeszcze wypytywał Justina Wellsa o to, co robił w poniedziałkowe popołudnie –

dzwonił do żony, dał jej do zrozumienia, że jest zły o to, co powiedziała w radiu, potem poszedł do domu, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy, ale nie zastał Carolyn w mieszkaniu, więc zmienił płaszcz i wrócił do biura. Przez cały dzień nie widział żony.

Shea wysłuchał relacji pielęgniarki, po czym powiedział:

– A może sam pan tego posłucha, panie Wells?

Justin mocno zacisnął usta, a jego twarz przybierała coraz żywszy odcień czerwieni, gdy pielęgniarka powtórzyła mu z wahaniem słowa Carolyn.

– Dziękuję – powiedział cicho. Odłożył słuchawkę i wstał.

– Czy aresztuje mnie pan? – spytał kapitana wyzywającym tonem.

– Na razie nie.

– W porządku. W razie czego znajdzie mnie pan w szpitalu. Kiedy moja żona odzyska świadomość, będzie mnie potrzebowała. Niezależnie od tego, czy pamięta, co się stało, mogę obiecać panu jedno: jakkolwiek starałby się pan dowieść, że jestem winien, moja żona wie, że prędzej poświęciłbym własne życie, niż spróbował ją w jakikolwiek sposób skrzywdzić.

Shea poczekał, aż Wells opuści pomieszczenie, po czym przywołał oficera dyżurnego.

– Wyślij policjantkę do szpitala Lennox Hill – polecił. – Powiedz jej, że ma pilnować Justina Wellsa; nie można dopuścić, żeby choć na chwilę znalazł się sam na sam z żoną.

Dłuższy czas siedział pogrążony w myślach, układając sobie w głowie wydarzenia związane ze sprawą i myśląc z niesmakiem o kolejnym spotkaniu z Oliverem Bakerem, który już zapowiedział się telefonicznie.

Ale wygląda na to, że Baker jest przydatnym świadkiem, zreflektował się. Widział kopertę zabraną Carolyn Wells; stwierdził, że była ofrankowana i zaadresowana do kogoś, kto posługiwał się tytułem doktora. No i zauważył, że kopertę zabrał mężczyzna ubrany w płaszcz burberry.

Może skoro poprosił o spotkanie, rozumował Shea, przypomniał sobie jeszcze jakiś szczegół? On sam kilka godzin temu brał udział w pogrzebie Hildy Johnson i nic nie ucieszyłoby go tak bardzo, jak widok Justina Wellsa za kratkami. Hilda Johnson nie wpuściłaby obcego do swojego mieszkania w środku nocy, myślał. Chyba że intruz powiedziałby, iż jest mężem kobiety, która na jej oczach została wepchnięta pod samochód.

Wells był winien – co do tego Shea nie miał żadnych wątpliwości. I wściekał go fakt, że morderca Hildy wyszedł sobie stąd jak wolny człowiek.

Trudno byłoby odwołać poranne spotkania, zwłaszcza że za kilka dni wyjeżdżał. Dlatego zdołał wysłuchać jedynie części programu doktor Susan. Tak jak przypuszczał, wielu słuchaczy było nadal pod wrażeniem śmierci Tiffany.

„Doktor Susan, ja i moja przyjaciółka miałyśmy nadzieję, że Tiffany pogodzi się z Mattem. Widać było, że naprawdę jej na nim zależało... „

„Doktor Susan, czy myśli pani, że Matt mógłby to zrobić? Może spotkali się i pokłócili, czy coś takiego?...”

„Doktor Susan, mieszkam w Yonkers i wiem, że ten facet, którego podejrzewają o zamordowanie Tiffany, to nic dobrego. Siedział już za zabójstwo. Wszyscy uważamy, że to on ją zabił...”

„Doktor Susan, czy Tiffany miała na palcu ten pierścionek, gdy ją zamordowano?”

To było interesujące pytanie i sam je sobie zadawał. Czy miała pierścionek na palcu? Chyba nie, ale żałował, że wówczas tego nie sprawdził.

Susan odpowiadała na większość pytań zgodnie z jego oczekiwaniami. Z tego, co wiedziała, Matt nie był podejrzewany; nie słyszała też, żeby wspomniano o pierścionku w relacjach z miejsca zbrodni. Przypomniała również o zasadzie domniemania niewinności, nawet w wypadku gdy podejrzany był już sądzony za podobny czyn.

Wiedział, o co jej chodzi. Susan nie podzielała teorii policji co do tożsamości zabójcy. Nie była taka naiwna, by nie łączyć zabójstwa Tiffany

z innymi zdarzeniami. Zmysł prokuratorski zawsze czuwa, pomyślał z przekąsem.

Ale mój też, zauważył ze zjadliwą satysfakcją. Nie martwił się. Nakreślił już w myślach plan pozbycia się Susan. Teraz pozostało jedynie dopracowanie szczegółów.

W ukrytej przegródce teczki umieścił pierścionki, które zabrał ze sklepu Parkiego – trzy nowe oraz ten, który Carolyn Wells chciała wysłać Susan. Rzecz jasna, potrzebny był mu tylko jeden. Pozostałe spoczną na dnie oceanu, gdy tylko rozprawi się z ostatnią samotną ofiarą. Z przyjemnością wsunąłby jeden na palec Susan Chandler, kiedy już ją zabije, ale wiedział, że wzbudziłoby to zbyt wiele podejrzeń. Nie, nie może ryzykować, może jednak uda się choć na chwilę włożyć pierścionek na jej palec i poczuć tę satysfakcję, wiedzieć, że tak jak inne, Susan należy do niego.

Do poniedziałku. Żegna się z wami doktor Susan Chandler. Czerwona lampka ostrzegawcza zgasła, a Susan zajrzała przez szybę do reżyserki, gdzie Jed właśnie zdejmował z uszu słuchawki.

– Jak poszło? – spytała niecierpliwie.

– Dobrze. Sporo telefonów od słuchaczy. Jak zwykle byłaś świetna, zresztą nie muszę ci tego powtarzać, ale dziś przeszłaś samą siebie. Czy ktoś z rozmówców powiedział coś, co cię zaniepokoiło?

Susan spojrzała w notatki.

– Chyba nie. Po prostu czuję się okropnie wyczerpana. Jed rzucił łagodniejszym tonem:

– Ostatnie dni były ciężkie, nie musisz mi mówić. Ale idzie ku lepszemu. Hej, dzisiaj przyszedłaś do studia dwadzieścia minut wcześniej, a od jutra mamy weekend!

Susan zrobiła stosowną minę.

– Cudownie! – rzuciła, wstając z krzesła. – Do poniedziałku.

Gdy tylko przekroczyła próg biura, Janet wręczyła jej strony przesłane faksem z Yonkers.

– Dzwonił detektyw Sanchez. Chciał się upewnić, że je pani dostała – poinformowała sekretarka. – Jest zabawny. Powiedział, że musi wiedzieć na bieżąco wszystko, co zdoła pani ustalić, bo inaczej, kiedy następnym razem będzie kopiować dla pani dokumenty, nie zetrze z nich resztek lasagni.

– Dobrze. Dzięki, Janet. Aha, zamów dla mnie jak zwykle „zestaw

smakosza”. I niech się pośpieszą – pani Price będzie tu za dwadzieścia minut.

– Już to zrobiłam, pani doktor – odparła Janet z wyrzutem.

Wygląda na to, że dziś następuję wszystkim na odcisk, stwierdziła Susan, zmierzając do gabinetu. Najpierw Binky, teraz Janet. Kto jeszcze? – zastanawiała się. Usiadła za biurkiem i rozłożyła przefaksowane kopie powiększonych zdjęć, by porównać je z pierścionkiem otrzymanym od Jane Clausen.

Fotograf wykonał świetną robotę, zdołał nawet zrobić kilka ujęć napisu wygrawerowanego wewnątrz obrączki. Tak jak Susan przypuszczała, było wiele istotnych podobieństw między pierścionkiem Reginy a tym na fotografii.

Mam rację, pomyślała. Jednak to pierścionki są kluczem do całej sprawy. Pierścionek od pani Clausen na pewno wykonał ten sam człowiek, co pierścionek Tiffany, a to z kolei oznacza, że pierścionek Reginy prawie na pewno został kupiony w sklepie z pamiątkami w Village. Założę się, że Tiffany zginęła, ponieważ ktoś usłyszał, jak opowiadała na antenie o mężczyźnie, którego zobaczyła w tym sklepie, i przestraszył się, że dziewczyna może go rozpoznać.

Do gabinetu weszła Janet, niosąc w ręce papierową torebkę z lunchem. Postawiła ją na biurku, a gdy zobaczyła, że Susan odkłada pierścionek z turkusem, wzięła go do ręki i obejrzała z bliska.

– Jaka ładna inskrypcja – powiedziała, mrużąc oczy, by odczytać napis.
– Moja mama kocha stare piosenki, a „Jesteś tylko moja” jest jedną z jej ulubionych. – Lekko fałszując, zanuciła: – „Zwiedź piramidy nad Nilem, na dzikiej plaży zatrzymaj się chwilę”. – Urwała, nie pamiętając słów. –

Potem jest coś o „bazarach starego Algieru” i o fotografiach czy pamiątkach. Nie pamiętam dokładnie, ale to naprawdę ładna piosenka.

– Tak – odparła odruchowo Susan. Słowa piosenki włączyły w jej głowie jakiś niewidzialny alarm; nie mogła pozbyć się wrażenia, że są ważne. Dlaczego? – zastanawiała się. Wzięła pierścionek z biurka i schowała go do portmonetki.

Do pierwszej brakowało dziesięciu minut. Powinna przygotować się do kolejnej wizyty, ale nie chciała czekać z dzwonieniem do Matta Bauera aż do drugiej. Dawny chłopak Tiffany był teraz jedyną osobą, która mogła powiedzieć jej, gdzie znajduje się sklepik, w którym sprzedają pamiątkowe pierścionki z turkusem.

Telefon odebrała matka Bauera.

– Doktor Chandler, syn jest w pracy. Policja już z nami rozmawiała. Bardzo mi przykro z powodu śmierci Tiffany, ale to nie ma nic wspólnego z moim synem. Umówił się z nią tylko kilka razy – po prostu nie była w jego typie. Znajomi mówili mi, że Tiffany dzwoniła do pani, i muszę pani powiedzieć, że wszyscy czuliśmy się z tego powodu bardzo niezręcznie. Wczoraj zatelefonowałam do Tiffany i zawiadomiłam ją, że Matt wkrótce się żeni. W środę wieczorem byliśmy na kolacji u rodziców jego narzeczonej – to cudowni, mili ludzie. Nie wiem, co by sobie pomyśleli, gdyby w tę sprawę wmieszano Matta. Myślę... Susan zdołała przerwać potok słów i wtrąciła:

– Pani Bauer, jeśli chce pani ocalić dobre imię Matta, proszę pozwolić mu porozmawiać ze mną – zupełnie prywatnie. Czy mogłaby pani podać mi jego numer telefonu?

Pani Bauer z wyraźnym wahaniem wyjawiała, że Matt pracuje w firmie

ubezpieczeniowej Metropolitan Life na Manhattanie i podała jej numer telefonu do biura syna. Susan zadzwoniła tam, ale poinformowano ją, że Bauer wyszedł i wróci najwcześniej o trzeciej. Zostawiła wiadomość, prosząc, by jak najszybciej się do niej odezwał.

Zabrała się właśnie do jedzenia, gdy zadzwonił Pete Sanchez.

– Susan, dzwonię tylko, żeby powiedzieć ci, że wszystko zaczyna się wyjaśniać. Ten facet nie tylko przyznał się do tego, iż zamierzał wrócić do The Grotto, by rozprawić się z Tiffany, ale teraz zeznał w dodatku, że poszedł na parking za restauracją. Twierdzi jednak, że kręcił się tam ktoś jeszcze, więc przestraszył się i uciekł.

– Może mówi prawdę? – zasugerowała Susan.

– Nie żartuj. Przecież pracowałaś w prokuraturze, więc wiesz, jak jest. Żli faceci zawsze mówią to samo: „Przysięgam, wysoki sędzie. To nie ja – to tamten facet, który uciekł”. Susan, słyszałaś to setki razy!

Zanim nadszedł wieczór, Chris Ryan dysponował już zarówno niepodważalnymi faktami, jak i setką plotek na temat Douglasa Laytona. Wiedział, że Layton jest nieuleczalnym hazardzistą i stałym bywalcem kasyn w Atlantic City. Było powszechnie wiadome, że kilkanaście razy przegrał spore sumy pieniędzy. I to tłumaczy, dlaczego nie ma złamanego grosza, stwierdził Chris.

Jedna z plotek głosiła, że kilka agencji organizujących ekskluzywne rejsy wystawiło mu wilczy bilet, ponieważ podejrzewano, że oszukuje w pokładowych kasynach. Mówiono również, że Layton został zmuszony do odejścia z dwóch firm inwestycyjnych, ponieważ odnosił się pogardliwie do zatrudnionych tam kobiet.

Za pięć piąta Chris Ryan porządkował zebrane do tej pory informacje. Wtedy właśnie zadzwoniła Susan.

– Mam kilka interesujących informacji na temat Laytona – oznajmił jej.
– Niejednoznacznie obciążającego, ale sporo interesujących faktów.

– Nie mogę się doczekać, by je usłyszeć – odparła Susan. – Ale najpierw muszę cię o coś spytać. Czy można w jakiś sposób zdobyć wykaz sexshopów w Greenwich Village?

– Chyba żartujesz – odparł Chris. – Trudno przypuszczać, by reklamowały się w książce telefonicznej.

– Tak mi się właśnie wydawało – odrzekła Susan. – A sklepy z pamiątkami?

– Sprawdź wszystkie działy od „Antyków” po „Złom”. Susan zaśmiała

się.

– Aleś mi pomógł! Dobrze, to powiedz mi w takim razie, czego dowiedziałeś się o Douglasie Laytonie.

Dla Olivera Bakera kończący się tydzień był wyjątkowo emocjonujący. Krótkie wystąpienie w telewizji w poniedziałek zmieniło jego życie. Stał się kimś w rodzaju lokalnej sławy. Jego utytułowani klienci ciągle nagabywali go o szczegóły wypadku, a kobieta zatrudniona w sąsiedniej pralni czyniła wokół niego tyle szumu, jakby był jakąś gwiazdą filmową. Nawet wyniosły urzędnik z Wall Street, który do tej pory nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, skinął mu głową na powitanie.

Dla Betty i dziewczynek Oliver stał się prawdziwym bohaterem. Nawet siostra Betty, która zwykle kwitowała każde jego słowo grymasem i jękiem zniecierpliwienia, teraz osobiście zadzwoniła, by spytać go o wrażenia z pobytu na komisariacie. Rzecz jasna, nie omieszkała zepsuć mu humoru, przypominając o staruszce, która też zeznawała w sprawie tego wypadku i zaraz potem została zamordowana. A rozmowę zakończyła ostrzeżeniem: „Uważaj, żeby tobie nie przytrafiło się coś podobnego”. Naturalnie nie bał się, ale po rozmowie ze szwagierką poczuł się trochę nieswojo.

Tak czy owak, Oliverowi bardzo spodobały się wizyty na policji; polubił zwłaszcza kapitana Sheę. W jego obecności czuł się dobrze i bezpiecznie. A już najbardziej lubił siedzieć z kapitanem sam na sam w gabinecie ze świadomością, że ktoś w końcu przykłada wagę do słów jego, Olivera Bakera.

W piątek na szóstej stronie „Post” zamieszczono krótką notatkę ze zdjęciem Justina Wellsa wychodzącego ze szpitala. Z treści artykułu

wynikało, że Wells był przesłuchiwany w związku z wypadkiem swojej żony.

Przez cały poranek gazeta leżała na biurku Olivera, otwarta na tej stronie. Krótco po dwunastej Baker zadzwonił do kapitana, prosząc o spotkanie.

Dlatego też o wpół do szóstej po południu znowu siedział w biurze kapitana ze zdjęciem Wellsa w ręce. Delektując się powrotem do roli „ważnego świadka”, wyjaśniał, dlaczego chciał jeszcze raz porozmawiać z Sheą.

– Kapitanie, im dłużej patrzę na to zdjęcie, tym bardziej jestem przekonany, że to ten człowiek zabrał kopertę, próbując, jak do niedawna myślałem, pomóc tej kobiecie.

Oliver uśmiechnął się szeroko, patrząc na kapitana, który spoglądał na niego z pełnym zrozumieniem.

– Kapitanie, chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo wstrząsnął mną ten wypadek – oświadczył. – Pewnie dlatego nie od razu przypomniałem sobie jego twarz, no nie?

Matt Bauer lubił swoją pracę. Chciał pewnego dnia zająć fotel dyrektora i mając to na uwadze, z całym zapalem poświęcał się obecnym obowiązkom, to jest sprzedawaniu pakietów ubezpieczeniowych małym firmom. W wieku dwudziestu pięciu lat przekonał się, że jego plan zaczyna dawać pewne rezultaty. Skierowano go na kurs dla pracowników wyższego szczebla, a teraz zaręczył się z siostrzenicą szefa, Debbie, kobietą, która idealnie nadawała się do tego, żeby towarzyszyć mu w drodze na szczyt. A oprócz tego kochał ją, co też nie było bez znaczenia.

Właśnie dlatego był wyraźnie zdenerwowany, gdy o wpół do szóstej wszedł do kawiarni na stacji Grand Central, by spotkać się z Susan Chandler.

Susan od razu polubiła tego gładko ogolonego mężczyznę o twarzy, z której biła uczciwość, rozumiała jego zaniepokojenie. Wiedziała, że mówi prawdę, twierdząc, że jest mu strasznie przykro z powodu Tiffany, i spokojnie wysłuchiwała wyjaśnień, dlaczego nie chce być zamieszany w śledztwo w tej sprawie.

– Doktor Chandler – powiedział. – Spotkałem się z Tiffany tylko kilka razy, dokładnie trzy. Poznaliśmy się, gdy jadłem kolację w The Grotto – umówiłem się z nią na randkę, a ona poprosiła, żebym jej towarzyszył na weselu przyjaciółki.

– Nie chciałeś iść, prawda? – spytała Susan.

– Niespecjalnie. Tiffany była zabawna, ale od razu wiedziałem, że nie ma między nami tej iskry – wie pani, o czym mówię? Widać było, że ona

liczy na poważny związek i nie skończy się na jednej randce.

Susan kiwała głową ze zrozumieniem, przypominając sobie pełen nadziei, niemal błagalny głos Tiffany.

Kelnerka przyniosła im kawę i Matt łyknął napoju, zanim odezwał się ponownie.

– Na tym weselu wspomniałem o filmie, który chciałem zobaczyć. Wygrał jakąś nagrodę na festiwalu w Cannes i sporo o nim pisano. A Tiffany powiedziała, że też bardzo chce go obejrzeć.

– Więc naturalnie zaprosiłeś ją do kina? Matt skinął głową.

– Tak. Grali go w jakimś małym kinie w Village. Myślę, że Tiffany się nie podobał, chociaż udawała, że jest zachwycona. Przed seansem poszliśmy na lunch. Spytałem ją, czy lubi sushi, a ona powiedziała, że uwielbia. Doktor Chandler, prawie zwymiotowała z obrzydzenia, gdy spojrzała na jedzenie! Poprosiła, żebym zamówił sushi dla nas obojga, a ja zakładałem, że wie, że robi sieje z surowej ryby. Potem trochę wałęsaliśmy się po okolicy, oglądając wystawy sklepów. Dla mnie całe Village wygląda tak samo i ona pewnie też nie wiedziała, gdzie jesteśmy.

– To wtedy poszliście do sklepu z pamiątkami? – wtrąciła Susan. Boże, żeby tylko przypomniał sobie, gdzie to było, dodała w duchu.

– Tak. Wtedy. Tiffany zatrzymała się, bo spodobało jej się coś na wystawie. Powiedziała, że świetnie się bawi i chciałaby mieć coś na pamiątkę tego dnia, więc weszliśmy do środka.

– Ty też tego chciałeś? – spytała Susan. Matt wzruszył ramionami.

– Chyba nie.

– Matt, czy zapamiętałeś jakieś szczegóły? – Urwała. – A może wolisz, żeby nazywać cię Matthew?

Uśmiechnął się.

– Mama tak mnie nazywa. Dla reszty świata jestem Mattem.

– Dobrze, Matt, co zapamiętałeś z tego sklepu? Pomyślał chwilę.

– Był zapchany tanimi upominkami, ale mimo to panował w nim porządek. Właściciel, sprzedawca czy kto tam, był Hindusem. Oprócz typowych pamiątek, takich jak Statuy Wolności, podkoszulki czy plakietki z napisem „I Love New York”, miał sporo mosiężnych figurek – małpek, słoni, małych kopii Tadź Mahal i różnych indyjskich bogów.

Susan otworzyła torebkę i wyjęła z niej pierścionek Reginy Clausen. Położyła go na dłoni i pokazała Bauerowi.

– Poznajesz go?

Uważnie przyjrzał się pierścionkowi, ale nie wziął go do ręki.

– Czy wewnątrz obrączki jest napis: „Jesteś tylko moja”? – Tak.

– W takim razie to jest pierścionek, który dałem Tiffany albo bardzo do niego podobny.

I do tego, który dostała Carolyn, dodała w myśli Susan, a głośno powiedziała:

– Tiffany mówiła mi, że kupiłeś go po wejściu do sklepu jakiegoś mężczyzny, a sprzedawca powiedział wam później, że ten człowiek kupił kilka identycznych pierścionków. Pamiętasz to?

– Pamiętam, ale ja nie widziałem tego faceta – odparł Matt. – Przypominam sobie, że sklepik był bardzo mały, a z miejsca, w którym stałem, nie widziałem lady, bo przesłaniał ją drewniany parawan. Poza tym akurat czytałem informację zamieszczoną przy jednej z figurek – to był posążek człowieka z głową słonia. Na etykiecie przytoczono legendę związaną z tą postacią; figurka przedstawiała podobno indyjskiego boga

mądrości, pomyślności i szczęścia. Pomyślałem, że byłaby to niezła pamiątka, lecz gdy się odwróciłem, by pokazać go Tiffany, ona stała przy ladzie i rozmawiała ze sprzedawcą. Trzymała w ręku pierścionek z turkusem, a Hindus właśnie mówił jej, że poprzedni klient kupił kilka identycznych pierścionków.

– Pokazałem jej figurkę, ale nie podobała jej się. Chciała mieć ten pierścionek. – Bauer uśmiechnął się. – Ona naprawdę była zabawna. Kiedy zobaczyła bożka, powiedziała, że zbyt przypomina jej klientów The Grotto, by mogła uwierzyć, że przyniesie jej szczęście. Wobec tego zrezygnowałem z figurki i kupiłem Tiffany pierścionek. – Pokiwał głową, uśmiech zniknął z jego twarzy. – Kosztował tylko dziesięć dolców, a ona zachowywała się tak, jakbym wręczył jej pierścionek zaręczynowy. Gdy szliśmy do metra, cały czas trzymała mnie za rękę i podśpiewywała „Jesteś tylko moja”.

– Czy spotkaliście się jeszcze?

– Tylko raz. Wydzwaniała do mnie do domu, a gdy nikt nie podnosił słuchawki, nagrywała się na sekretarce – zamiast zostawić wiadomość, śpiewała kilka linijek tej piosenki. W końcu zaprosiłem ją na drinka i powiedziałem, że zbyt wiele obiecuje sobie po tym pierścionku. Dodałem też, że fajnie było spotykać się z nią, ale na tym koniec.

Dokończył kawę i spojrzął na zegarek.

– Doktor Chandler, przepraszam, ale muszę już iść. O wpół do siódmej umówiłem się z moją narzeczoną, Debbie. – Gestem dłoni poprosił o rachunek.

– Ja płacę – rzuciła szybko Susan. Celowo nie pytała o adres sklepu. Nadal w głębi ducha żywiła nadzieję, że Matt, choćby nieświadomie,

zapamiętał klienta, który był wtedy w sklepie, a w trakcie rozmowy przypomni sobie jakieś szczegóły na temat tego miejsca.

Gdy zapytała wprost, Matt nie potrafił jej wiele pomóc. Pamiętał jedynie, że kino, w którym byli, znajdowało się niedaleko Washington Square, a bar sushi był oddalony o jakieś cztery przecznice od kina. Powiedział też, że sklep musiał być w pobliżu stacji metra u zbiegu Zachodniej Czwartej i Szóstej Alei.

Susan zadała jeszcze jedno pytanie, mając nadzieję, że to pomoże Bauerowi odświeżyć pamięć.

– Matt, Tiffany mówiła coś o sexshopie po drugiej stronie ulicy. Pamiętasz go?

– Nie – odparł, wstając z krzesła. – Doktor Chandler, żałuję, ale nie mogę pani pomóc. – Urwał. – Wie pani, Tiffany na pierwszy rzut oka nie była zbyt interesująca, ale to naprawdę miła dziewczyna. Za każdym razem, gdy przypomnę sobie, jak porównała swoich klientów do indyjskiego boga, chce mi się śmiać. Mam nadzieję, że znajdą tego, kto jej to zrobił. Do widzenia.

Susan zapłaciła, wyszła z kawiarni i pojechała taksówką na róg Zachodniej Czwartej i Szóstej Alei. Po drodze studiowała mapę Greenwich Village. Mimo iż mieszkała tu ładne parę lat, niezbyt dobrze znała okolicę. Zamierzała zacząć poszukiwania od stacji metra i przemierzać uliczki Village tak długo, aż natrafi na sklep z pamiątkami naprzeciwko sexshopu. To nie powinno być trudne – ostatecznie ile takich sklepów może być w jednej dzielnicy?

Mogłabym poprosić o pomoc Chrisa Ryana, zastanawiała się. Ale z drugiej strony, Village nie jest aż tak rozległe, bym nie mogła

przynajmniej spróbować. Postanowiła, że kiedy znajdzie sklep, wejdzie do środka i spróbuje wciągnąć sprzedawcę w rozmowę. A potem, gdy będzie już miała kopię zdjęcia, które chciała jej wysłać Carolyn Wells, pokaże je Hindusowi i spyta, czy poznaje mężczyznę z tej fotografii.

Jeszcze nie dotarła do samego sedna, ale czuła, że coraz bardziej zacieśnia krąg wokół mordercy. Była o tym przekonana.

Carolyn znowu czuła ból i bardzo się bała. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, a gdy próbowała coś powiedzieć, usta wcale nie reagowały na polecenie wysłane z mózgu. Chciała podnieść rękę, lecz coś nie pozwalało jej się ruszyć.

Pragnęła przeprosić Justina, ale jak go znaleźć? Gdzie on jest? Dlaczego nie przychodzi?

Wyczuła jakiś ruch w ciemnościach. Coś chciało ją skrzywdzić! Gdzie jest Justin? On by pomógł. W końcu udało jej się poruszyć wargami; słowa wreszcie wydobyły się z jej gardła:

– Nie... Proszę... nie! Justin!

Ale mroczny kształt był znowu przy niej i poczuła, że znowu tonie, a ból raz jeszcze odpływa w niebyt.

Gdyby zachowała resztkę przytomności, usłyszałaby przerażony krzyk Justina, ale była już za daleko. W pomieszczeniu ostro zabrzączał dzwonek ostrzegawczy, a na monitorach błyskał alarm.

Nie zdążyła także zobaczyć wyrazu potępienia na twarzy policjantki, która spoglądała oskarżającym wzrokiem na Justina.

W piątek Alex Wright wrócił do domu dopiero koło siódmej wieczorem. Spędził cały dzień w biurze, dopinając na ostatni guzik plan przyszłotygodniowej podróży. Rozliczne zajęcia zmusiły go do zjedzenia lunchu w biurze, choć bardzo tego nie lubił.

Po tak pracowitym dniu z utęsknieniem czekał na wieczór – zamierzał spędzić go w spokoju domowego zacisza, toteż wszedłszy do mieszkania, pierwsze kroki skierował ku garderobie, gdzie przebrał się w powypychane spodnie i sweter. Jak zwykle pogratulował sobie w duchu sposobu, w jaki poradził sobie z problemem przyciasnych szaf.

Kilka lat temu kazał przerobić część sypialni na garderobę, w której bez trudu mieściła się jego okazała kolekcja ubrań. Szczególnie zadowolony był z półki z otwieranym blatem, na którym zawsze leżała otwarta walizka. Nad nią zawiesił listę przedmiotów przydatnych w podróżach do różnych zakątków świata.

Walizka była zawsze częściowo zapakowana: spoczywały w niej świeżo uprane: bielizna, skarpetki, chusteczki, piżama, szlafrok i koszule. Po każdej podróży oddawał je do prania, po czym natychmiast pakował z powrotem, by czekały na następny wyjazd.

W wypadku dalszych podróży, takich jak niedaleki wyjazd do Moskwy, Alex wolał pakować się osobiście. Jeśli zdarzało się, że był zbyt zajęty, robił to za niego Jim Curley. Często wspominali ze śmiechem pewien wyjazd, kiedy to pakowaniem zajęła się gospodyni Aleksa, Marguerite. ‘ Zapomniała wówczas o eleganckiej koszuli, a Alex odkrył ten fakt

dopiero, gdy był już w Londynie i szykował się do wyjścia na ekskluzywną kolację.

Wsuwając bose stopy w znoszone mokasyny, uśmiechnął się do siebie, wspominając, co powiedział wtedy Jim: „Pana ojciec, niech spoczywa w pokoju, wylałby ją za to na zbity pysk!”

Wychodząc z garderoby, Alex rzucił okiem na listę, przypominając sobie, że październik w Rosji bywa bardzo zimny i należałoby wziąć ze sobą cieplejszy płaszcz.

Zszedł na dół, przygotował szkocką z lodem i dopiero wówczas pozwolił sobie na rozmyślenia, które doprowadziły go do nieciekawych wniosków. Nadal nie dawał mu spokoju chłód, z jakim potraktowała go wczoraj Susan, i odmowa, jakiej mu udzieliła, gdy zaproponował, by spotkała się z nim i Dee na drinku.

Ciekawe, jak będzie jutro na kolacji w bibliotece z Dee przy jednym boku, a Susan przy drugim? – rozważał. Sytuacja na pewno jest nieco niezręczna.

Nagle uśmiechnął się. Mam pomysł, pomyślał. Zaproszę też Binky i Charlesa. Dla Fundacji przeznaczono cztery stoliki, więc przy jednym posadzę ich i Dee, postanowił. Susan powinna odebrać to jednoznacznie.

– I Dee też – dodał głośno.

Nazwy mijanych ulic brzmiały w jej głowie jak litania: Christopher, Groove, Barrow, Commerce, Morton. W przeciwieństwie do regularnej siatki przecznic na Manhattanie, ulice w Village tworzyły własny nieregularny wzór. Po długich poszukiwaniach Susan poddała się – kupiła „Post” i wstąpiła do restauracji Tutta Pasta przy Carmine Street na późny obiad.

Przeglądając gazetę, leniwie jadła gorący chleb maczany w oliwie z oliwek i popijała chianti. Na trzeciej stronie zauważyła zdjęcie Tiffany wzięte z kroniki szkolnej, a pod nim krótką notatkę na temat przesłuchania jej mordercy. Twierdzono, że wkrótce należy oczekiwać jego przyznania się do winy.

Kilka stron dalej ze zdumieniem natknęła się na fotografię Justina Wellsa i informację, że jest przesłuchiwany w związku z wypadkiem żony.

Nie zdołam przekonać nikogo, że te dwie sprawy mają ze sobą coś wspólnego, dopóki nie znajdę sklepu z pamiątkami i nie porozmawiam ze sprzedawcą, uznała. I, co daj Boże, będę mogła pokazać mu zdjęcie ze statku, jak tylko je przyślą. Dziś nie znalazłam sklepu, tłumaczyła sobie, ale wrócę tu jutro rano.

Do domu wróciła o dziesiątej wieczór. Zamknęła drzwi mieszkania i padając ze zmęczenia, rzuciła torebkę na stolik w holu. Po diabła noszę w niej tyle rzeczy? – zastanawiała się, rozprostowując ramiona. Jest ciężka jak trumna z nieboszczykiem.

Nie najszcześniejsze porównanie, zreflektowała się, przypominając

sobie zdjęcie Tiffany. Wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, pomyślała ze smutkiem. Za dużo makijażu, włosy wyczesane jak u pudła, a mimo to widać, że była ładna i miła.

Z wyraźną niechęcią podeszła do telefonu, gdyż automatyczna sekretarka sygnalizowała nagrane wiadomości. Pierwszą zostawił Alex, który dzwonił o dziewiątej: „Dzwonię, by spytać, co u ciebie. Czekam na jutrzejszy wieczór. Na wypadek, gdybyś nie miała czasu zadzwonić do mnie wcześniej – przyjadę po ciebie o wpół do siódmej”.

Chce, bym wiedziała, że dzisiejszy wieczór spędza w domu, pomyślała Susan. To dobrze.

Drugi telefon był od jej matki. „Jest wpół do dziesiątej. Zadzwoń później, kochanie”.

Pewnie akurat gdy będę pod prysznicem, dodała Susan w myślach. Lepiej od razu oddzwonię.

Już pierwsze słowa utwierdziły ją w przekonaniu, że matka nie jest w dobrym nastroju.

– Susan, wiedziałaś, że Dee nie tylko chce przeprowadzić się do Nowego Jorku, ale nawet wynajęła już mieszkanie?

– Nie – odparła Susan, a po chwili dodała: – Czy to nie trochę niespodziewana decyzja?

– O tak. Dee zawsze była impulsywna, ale muszę ci powiedzieć, że poczułam się urażona tym, że poszła do biura wynajmu z Żoną Mistrza.

– Z Binky? Po co?

– Żeby ktoś jej doradził, czy dobrze robi, przynajmniej tak twierdziła. Przypomniałam jej, że nie jestem ślepa i też mogłabym z nią pójść, ale Dee powiedziała, że byli inni chętni na to mieszkanie i musiała działać

szybko.

– Być może – bąknęła Susan. – Mamo, nie przejmuj się takim głupstwem. Nie warto. Obie wiemy, że cieszysz się na myśl o tym, że Dee zamieszka w Nowym Jorku.

– To prawda – przyznała matka łagodniejszym tonem. – Ale martwi mnie... No, wiesz. Rozmawialiśmy o tym wczoraj.

Boże, daj mi cierpliwość, pomyślała w duchu Susan.

– Mamo, jeśli mówisz o Aleksie Wrightcie, to pamiętaj, że byliśmy tylko na jednej randce! Trudno nazwać to stałym związkiem.

– Wiem, wiem. Ale nadal uważam, że gnanie na łeb, na szyję do Nowego Jorku jest dosyć podejrzane, nawet w wypadku Dee. A, jeszcze jedno, Susan: jeśli potrzebujesz pieniędzy, nie musisz zwracać się z tym do ojca. Wiem, jak bardzo cię zranił. Ja też mam konto w banku, pamiętaj o tym.

– Po co mi to mówisz? – zdumiała się Susan.

– Nie prosiłaś Charleya-Charlesa, żeby zrobił w twoim imieniu przelew na konto w Londynie?

– Jakim cudem dowiedziałaś się o tym?

– Na pewno nie od twojego ojca. Dee mi powiedziała.

A ona z pewnością wie o tym od Binky, uzupełniła w myślach Susan. To nie ma żadnego znaczenia, ale Binky na pewno poczuła się dotknięta do żywego!

– Mamo, nie potrzebuję pieniędzy. Po prostu musiałam pilnie coś zamówić, a nie miałam czasu, żeby załatwić przelew z lokaty terminowej. Dlatego poprosiłam tatę. Zwrócę mu wszystko w przyszłym tygodniu.

– A po co? Ma mnóstwo forsy i jeszcze płaci za wycieczkę Dee. Susan,

nie bądź taka dumna. Weź te pieniądze – należą ci się.

Przed chwilą przekonywałaś mnie, żebym nie brała od niego pieniędzy, pomyślała Susan.

– Mamo, dopiero wróciłam i jestem trochę zmęczona. Zadzwoń jutro czy pojutrze. Masz jakieś plany?

– Tak. Helen Evans umówiła mnie, wyobraź sobie, na randkę w ciemno. Nigdy nie sądziłam, że w moim wieku będę się bawić w coś takiego!

Susan uśmiechnęła się, słysząc ukrywane zadowolenie w głosie matki.

– Świetnie – odparła serdecznym tonem. – Baw się dobrze.

Dziś sam prysznic nie wystarczy, stwierdziła, odkładając słuchawkę. Po takim dniu potrzebna mi długa, gorąca kąpiel w wannie. Nie ma takiej części mego ciała czy umysłu, która nie byłaby zraniona, smutna, niespokojna czy zdenerwowana.

Czterdzieści minut później zrobiła ostatnią rzecz przed pójściem spać – otworzyła okna w sypialni. Przelotnie wyjrzała na ulicę i zobaczyła, że jest zupełnie pusta. Z mroku wyłaniała się tylko niewyraźna sylwetka jakiegoś spóźnionego przechodnia.

Chyba niespecjalnie mu się śpieszy, pomyślała. Nie mógłby już iść wolniej.

Mimo śmiertelnego zmęczenia, a może właśnie dlatego, Susan nie spała zbyt dobrze. W ciągu nocy budziła się trzykrotnie i łapała na tym, że nasłuchuje uważnie, czekając podświadomie na nieznane dźwięki, które zdradzałyby w mieszkaniu obecność jakiegoś intruza. Za pierwszym razem, gdy się obudziła, była przekonana, że słyszy trzask otwieranych drzwi wejściowych. Wrażenie to było tak intensywne, że natychmiast zerwała się i pobiegła do holu, by przekonać się, że drzwi są zamknięte na wszystkie zamki. I mimo że wiedziała, iż postępuje nieracjonalnie, sprawdziła wszystkie okna w kuchni i w pokojach.

Wróciła do sypialni, lecz chociaż nadal miała wrażenie, że coś przeoczyła, nie zamknęła okien w sypialni. Przecież nie mieszkam na parterze, przywołała się do porządku. Nikt nie wspiąłby się po ścianie tak wysoko, chyba że w okolicy grasuje Spiderman.

W nocy temperatura na dworze gwałtownie spadła i teraz w pokoju panował lodowaty chłód. Szczelnie owinęła się kocami, przypominając sobie sen, który tak ją zaniepokoił, a w końcu sprawił, że się obudziła. Widziała w nim, jak Tiffany przebiega przez jakieś drzwi i niknie w zamglonej dali. Miała turkusowy pierścionek i podrzucała go w powietrze. I wtedy z otchłani wynurzyła się dłoń i chwyciła pierścionek, a Tiffany krzyknęła: „Nie! Nie zabieraj go! Chcę go zatrzymać. Może Matt zadzwoni do mnie”. Nagle jej oczy rozwarły się z przerażenia i krzyknęła przeraźliwie.

Susan zadrżała. Tiffany nie żyje, dlatego że zadzwoniła do mnie,

pomyślała. O Boże, tak mi przykro.

Wtem rozległ się szelest zasłon poruszonych gwałtownym podmuchem wiatru. To to mnie zaniepokoiło, uświadomiła sobie Susan. Przez moment zastanawiała się, czy nie wstać i nie zamknąć okna. Ale zanim podjęła decyzję, otuliła się jeszcze szczelniej kocem i w chwilę później już znowu spała.

Kiedy obudziła się ponownie, natychmiast zerwała się z łóżka, przekonana, że ktoś stoi przy oknie. Chyba wariuję, pomyślała, kładąc się na powrót i otulając kocem po czubek głowy.

Trzeci raz ocknęła się ze snu o szóstej rano. Chociaż była bardzo zaspana, jej umysł pracował zdumiewająco jasno i uświadomiła sobie, że przez całą noc próbowała podświadomie rozpracować listę pasażerów „Seagodivy”. Znalazła ją w dokumentach Carolyn Wells, a Justin pozwolił jej zabrać listę do domu.

Tuż po przebudzeniu uderzył ją fakt, że Carolyn zapisała imię „Win” na jednej z ulotek z planem dnia, rozdawanych codziennie na statku. Win prawie na pewno był mężczyzną, z którym planowała zejść na ląd w Algierze, doszła do wniosku Susan. Powinnam od razu sprawdzić listę pasażerów. Wiemy, że ten facet był również pasażerem, więc jego nazwisko musi znajdować się na liście.

Wiedząc, że już nie zaśnie, uznała, że może pozwolić sobie na kawę, która na pewno pomoże jej zebrać myśli. Szybko przygotowała napój i wróciwszy z pełnym kubkiem do łóżka, obłożyła się poduszkami i zabrała do przeglądania listy. „Win” musi być skrótem jakiegoś imienia, uznała. Szybko sprawdziła wykaz, szukając Winstonów lub Winthropów, ale najwyraźniej nikt o takich imionach nie brał udziału w rejsie.

Może to przezwisko, pomyślała. Dwóch pasażerów nosiło obiecujące nazwiska: Winne oraz Winfrey, ale obaj panowie podróżowali z żonami.

Prawie przy żadnym nazwisku nie pojawił się inicjał drugiego imienia, toteż jeśli mężczyzna, którego Carolyn nazywała Win, posługiwał się drugim imieniem, lista pasażerów nie mogła tu wiele pomóc.

Susan zauważyła, że małżonków wymieniano w kolejności alfabetycznej, tak więc po pani Alice Jones występował pan Robert Jones, i tak dalej. Wiedząc to, wykreśliła wszystkie prawdopodobne małżeństwa, a następnie skupiła się na tych nazwiskach, które nosili tylko mężczyźni. Pierwszym z nich okazał się pan Owen Adams.

Interesujące, pomyślała po opracowaniu w ten sposób całego spisu pasażerów. Na statku, było sześciuset pasażerów, z tego sto dwadzieścia pięć niezamężnych kobiet i zaledwie szesnastu samotnych mężczyzn. To znacznie zawężyło pole poszukiwań.

Wtedy uderzyła ją inna myśl. Czy wśród rzeczy Reginy Clausen była lista pasażerów „Gabrielle”? – zastanawiała się. A jeśli tak, czy jest możliwe, by jeden z szesnastki z „Seagodivy” znajdował się również na tym statku?

Susan wyskoczyła z łóżka i poszła pod prysznic. Nawet jeśli pani Clausen nie ma ochoty mnie oglądać, mogę poprosić ją o spis pasażerów „Gabrielle”, uznała, o ile, rzecz jasna, został on jej przekazany wraz z resztą bagażu Reginy. Przekonam ją, by pozwoliła mi wziąć tę listę.

Piórka na wietrze. Piórka na wietrze. Mógł wyobrazić sobie, jak tańczą wokół niego, muskają go, unoszą się lekko, pędzone wiatrem. Teraz wiedział już, że nie zdoła wybierać wszystkich. Spytał doktor Susan, jeśli nie wierzysz, pomyślał ze złością. Żałował, że nie ma sposobu, by przyspieszyć realizację jego planu, ale teraz było już za późno. Pierwszy krok został zrobiony i nie można go było cofnąć. Pozostanie przy swoim planie, ale potem wróci i skończy z nią.

Zeszłej nocy, gdy przechodził koło kamienicy, w której mieszkała, akurat wyjrzała przez okno. Wiedział, że nie widziała go na tyle wyraźnie, by rozpoznać, lecz to uświadomiło mu, że nie może podejmować takiego ryzyka.

Po powrocie do Nowego Jorku znajdzie jakiś sposób, żeby jej się pozbyć. Nie będzie jej śledził czy próbował skorzystać z zamieszania, tak jak w wypadku Carolyn Wells. Ta metoda nie okazała się skuteczna, bo chociaż Carolyn wciąż była nieprzytomna i miała małe szanse na powrót do zdrowia, to jednak nadal żyła – a dopóki żyła, stanowiła zagrożenie. Nie, musi dopaść Susan, gdy będzie sama – tak jak Tiffanyy Tak będzie najlepiej.

Chociaż może uda się to zrobić inaczej, pomyślał.

Dziś po południu w przebraniu gońca wejdzie do wieżowca, w którym mieści się jej biuro, i sprawdzi wszystko: rozkład pomieszczeń na piętrze, liczbę strażników. Jest sobota, więc w budynku nie powinno być tłoczno. To dobrze – mniej ciekawskich oczu, mniej przypadkowych

obserwatorów.

Myśl o zamordowaniu Susan w jej własnym gabinecie była bardzo kusząca. Zdecydował, że uhonoruje ją taką samą śmiercią, jaką podarował Veronice, Reginie, Constance i Monice – taką samą, jaką szykował swej ostatniej ofierze, kobiecie, która wybierze się, by „zobaczyć, co to dżungla zaklęta”.

Złapie ją, zwiąże i zaknebluje, a potem na jej oszalałych ze strachu oczach, cal po calu, z koszmarną powolnością rozwinie plastikowy worek i włoży go na nią. Następnie zamknie go i zapieczętuje. Bez wątpienia w środku zostanie odrobina powietrza – tylko tyle, by ofierze zostało jeszcze kilka minut nadziei. I wtedy, patrząc, jak folia powoli oblepia jej twarz i zatyka usta i nos, wyjdzie.

Niestety, nie będzie mógł pozbyć się ciała Susan tak jak pozostałych. Inne zakopał w piasku albo obciążył kamieniami i posłał na dno oceanu. Susan Chandler będzie musiała zostać tam, gdzie ją zabije. Ale wiedział, że gdy z nią skończy, kolejna, ostatnia ofiara zostanie pogrzebana, tak jak jej poprzedniczki, i to napawało go zadowoleniem.

Susan wyszła z domu o siódmej i poszła prosto na Siódmą Aleję. Stamtąd rozpoczęła poszukiwania w kwartałach ulic położonych na zachód, w kierunku rzeki Hudson – najpierw West Hudson i plac św. Łukasza, potem ulice Clarkson i Morton. Postanowiła, że dojdzie tylko do Greenwich Street, ulicy równoległej do alei, a następnie skręci na północ i będzie kierować się; na wschód, z powrotem do Szóstej Alei. Gdy wróci do punktu wyjścia, znowu pójdzie w kierunku zachodnim, sprawdzając kolejną ulicę.

W dużej części ulice miały typowo mieszkalny charakter, aczkolwiek Susan natknęła się na kilka sklepów z upominkami. Niestety, w żadnym z nich nie znalazła nic, co przypominałoby charakterystyczne wyroby hinduskie. Zastanawiała się, czy nie spytać w jednym z tych sklepików o miejsce, którego szukała, ale postanowiła, że nie zrobi tego. Jeśli uda jej się znaleźć sklep, wolałaby porozmawiać ze sprzedawcą bez uprzedzenia.

Koło południa zadzwoniła z telefonu komórkowego do szpitala Memoriał Sloan-Kettering, do Jane Clausen. Ku jej zdziwieniu, pani Clausen z ochotą przystała na propozycję odwiedzin, a nawet wydawała się oczekiwać z niecierpliwością na spotkanie.

– Bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, Susan. Możesz przyjść dziś po południu? – spytała.

– Będę o czwartej – powiedziała Susan.

Początkowo zamierzała wstąpić gdzieś na lunch, ale w końcu poprzestała na preclu i coli, które kupiła u ulicznego sprzedawcy, a zjadła i

wypiła na ławce w parku przy Washington Square. Chociaż mocno ograniczyła zawartość torebki, w miarę upływu czasu ciążyła jej coraz bardziej, a nogi zaczęły Susan boleć ze zmęczenia.

Dzień wstał pochmurny i mroźny, ale wczesnym popołudniem słońce zdołało przebić się przez chmury, opustoszałe zaś wcześniej ulice zaczęły tętnić życiem. Wędrówka zaułkami Village była znacznie przyjemniejsza, gdy spotykało się po drodze przeróżnych przechodniów – od stałych mieszkańców dzielnicy po ciekawskich turystów. Susan uwielbiała Greenwich Village. Nie ma drugiego takiego miejsca, pomyślała. Babcia Susie miała szczęście, mogąc dorastać w tej okolicy.

Czy właśnie taki dzień w zeszłym roku Matt i Tiffany wybrali na wędrówkę po Village? – zastanawiała się. Zdecydowała, że będzie kontynuować poszukiwania po wschodniej stronie Szóstej Alei, skręciła zatem na MacDougal Street. Oddalając się od Washington Square, myślała o wczorajszej rozmowie z Mattem Bauerem. Uśmiechnęła się na wspomnienie porównania, jakiego użyła Tiffany, zobaczywszy boga z głową słonia.

Bóg z głową słonia.

Susan zatrzymała się w pół kroku, tak że idący za nią młody człowiek wpadł prosto na nią.

– Przepraszam – bąknął.

W ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Stała, gapiąc się w okno wystawowe pobliskiego sklepu. Spojrzała przelotnie na wejście do sklepu i zauważyła, że nad drzwiami wisi owalny szyld z napisem „Mroczne rozkosze”.

A jakże, pomyślała, spoglądając z powrotem na witrynę. Na wystawie

ułożono wymyślny stos kaset wideo; ich okładki nie pozostawiały wiele pola wyobraźni. Całość zwieńczono niedbale rzuconą podwiązką z czerwonego aksamitu. Wokół porozkładano przeróżne akcesoria o wyraźnie erotycznym charakterze, ale nie one przykuły uwagę Susan. Obiektem jej zainteresowania był przedmiot umieszczony w centralnym punkcie witryny – figurka boga z głową słonia, inkrustowana turkusami.

Susan obejrzała się za siebie. Po drugiej stronie ulicy zauważyła okno wystawowe sklepu Khylema, a w nim tabliczkę z napisem „Do wynajęcia”.

O nie! – przeleciało jej przez myśl. Przepychając się pomiędzy samochodami, dotarła do sklepu i zajrzała doń przez szybę w drzwiach. Chociaż pomieszczenie było zapchane towarem, sprawiało wrażenie opuszczonego. Na wprost wejścia stała lada z kasą. Po lewej stronie dojrzała duży malowany parawan, który najwyraźniej pełnił rolę ścianki działowej. To musi być ten parawan, o którym wspominał Matt, uznała. To za nim stali z Tiffany, gdy do sklepu wszedł nabywca pierścionków z turkusem.

Ale gdzie jest Hindus, który tutaj wówczas był? – zastanawiała się.

Wtedy zorientowała się, że jest pewna osoba, która może odpowiedzieć na to pytanie. Przeszła przez ulicę i znów znalazła się przed wejściem do sexshopu. Drzwi były otwarte na oścież, a sądząc po ruchu w sklepie, interes szedł nieźle. Jeden klient płacił przy ladzie, a w kolejce za nim ustawilo się dwóch następnych – niechlujnie wyglądający młodzieńcy o długich, przetłuszczonych włosach.

Mężczyzna przy ladzie zapłacił i skierował się do wyjścia, ale odwrócił wzrok, gdy zauważył, że Susan mu się przygląda. Chwilę później ze

sklepu wyszli chłopcy, a na ich twarzy malowało się wyraźne poczucie winy i zawstydzenie. Na pewno nie mają osiemnastu lat, stwierdziła Susan, dopuszczając do głosu tkwiącego w niej nadal prokuratora.

Widząc, że w sklepie ma innych klientów, weszła do środka. Cały personel stanowił jeden człowiek – chudy, nieatrakcyjny mężczyzna; podobnie jak pomieszczenie, w którym pracował, wyglądał trochę nieświeżo.

Nerwowo obserwował, jak Susan zbliża się do lady. Natychmiast uprzytomniła sobie, że prawdopodobnie uznał ją za policjantkę w cywilu, która zamierza narobić mu sporo kłopotów za sprzedawanie towaru nieletnim.

Jest solidnie zaniepokojony, pomyślała. Szkoda, że muszę wyprowadzić go z błędu. Wskazała ręką na sklep Khylema i spytała:

– Kiedy zlikwidowano tamten sklep?

Nastawienie sprzedawcy uległo natychmiastowej zmianie. Nerwowość ustąpiła miejsca łaskawemu, pełnemu wyższości uśmiechowi.

– Nie słyszała pani, co się stało? Abdul Parki, właściciel, został zamordowany we wtorek po południu.

– Zamordowany! – Susan nie próbowała nawet ukryć przerażenia w głosie. Jeszcze jeden, pomyślała, jeszcze jeden. Tiffany mówiła o właścicielu sklepu w rozmowie na antenie.

– Czy znała pani Parkiego? – spytał mężczyzna. – Był świetnym facetem.

Pokręciła w milczeniu głową, starając się opanować zdenerwowanie.

– Znajoma polecała mi jego sklep – odparła z rezerwą. – Ktoś dał jej kupiony tam pierścionek z turkusem. Proszę spojrzeć – dodała, wyjmując z

torebki pierścionek otrzymany od Jane Clausen.

Mężczyzna rzucił nań okiem, po czym podniósł wzrok na Susan.

– Taa, to pierścionek Parkiego. Miał bzika na punkcie turkusów. A tak w ogóle, jestem Nat Smali. To mój sklep.

– Susan Chandler – odrzekła Susan, wyciągając dłoń. – Wydaje mi się, że byliście dobrymi przyjaciółmi, prawda? Jak on zginął?

– Załatwiony nożem. Gliny twierdzą, że to robota narkomanów, chociaż ze sklepu nic nie zginęło. Parki naprawdę był miłym facetem. I wie pani co? Zanim go znaleźli, przeleżał prawie dobę. To ja zadzwoniłem po gliny, gdy w środę nie otworzył sklepu.

Susan zauważyła, że na twarzy Nata maluje się nieklamany smutek.

– Moja znajoma też mówiła, że był bardzo miłym człowiekiem – powiedziała. – Czy są jacyś świadkowie?

– Nikt nic nie widział – odparł Smali, unikając jej wzroku. Czegoś mi nie powiedział, pomyślała Susan. Muszę to z niego wyciągnąć.

– Prawdę mówiąc, dziewczyna, która wspomniała mi o sklepie Parkiego, została zakłuta nożem w środę w nocy – rzuciła spokojnym głosem. – Uważam, że zarówno ją, jak i Parkiego zamordował mężczyzna, który przez ostatnie lata kupował turkusowe pierścionki.

Szara twarz Nata spopieliała jeszcze bardziej, gdy usłyszał te słowa.

– Parki mówił mi o tym facecie. Twierdził, że to prawdziwy dżentelmen.

– Czy opisał jego wygląd? Smali pokręcił głową przecząco. – Nie.

Susan zaryzykowała.

– Nat, myślę, że nie powiedział mi pan wszystkiego.

– Myli się pani. – Utkwił wzrok w drzwiach wejściowych. – Proszę

posłuchać, nie mam nic przeciwko rozmowie z panią, ale odstrasza pani moich klientów. Na zewnątrz kręci się jakiś facet, ale nie wejdzie, dopóki pani jest tutaj.

Susan spojrzała mu prosto w oczy.

– Nat, Tiffany Smith miała dwadzieścia pięć lat. Zabito ją, gdy wracała do domu po pracy. Prowadzę pewien program w radiu i ona dzwoniła do mnie w trakcie audycji, żeby opowiedzieć o sklepie z pamiątkami w Village, w którym chłopak kupił jej pierścionek z turkusem i inskrypcją: „Jesteś tylko moja”. Opisała sklep i powiedziała, że właściciel był Hindusem. Mówiła też, że gdy byli w sklepie, natknęli się na człowieka, który kupował właśnie turkusowy pierścionek, taki sam jak podarowany jej przez chłopaka. Jestem przekonana, że dlatego musiała zginąć – dlatego, że widziała to, czego nie powinna. I założę się o wszystko, że Parki nie żyje, ponieważ także mógłby zidentyfikować tego człowieka. Nat, czuję, że coś ukrywasz. Musisz mi to powiedzieć, zanim zginie kolejna osoba.

Nat Smali znów spojrzał nerwowo w kierunku drzwi, jakby bał się czegoś lub kogoś.

– Nie chcę być w to wmieszany – powiedział cicho.

– Nat, jeśli coś wiesz, czy chcesz, czy nie, już jesteś w to wmieszany! Proszę, powiedz mi.

Odezwał się niemal bezgłośnie:

– Około pierwszej po południu we wtorek kręcił się tu jakiś facet. Gapił się na wystawę, tak jak ten tutaj. Uznałem, że szuka jakiegoś konkretnego towaru, a może wstydzi się wejść, bo wyglądał na faceta z klasą, ale on przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do Parkiego. Zaraz potem miałem

klienta i zapomniałem o całej sprawie.

– Czy powiedziałaś o tym policji?

– Właśnie tego nie chciałbym robić. Policja kazałaby mi przeglądać katalog przestępców lub opisać go rysownikowi, a to wszystko strata czasu. Taki facet na pewno nie był nigdy notowany, a ja nie potrafię opisywać ludzi. Widziałem go tylko z profilu. Elegancki, przed czterdziestką. Miał kapelusz, okulary słoneczne i płaszcz nieprzemakalny, ale i tak dobrze mu się przyjrzałem.

– Myślisz, że rozpoznałbyś go, gdybyś zobaczył go jeszcze raz?

– Proszę pani, w tym biznesie muszę rozpoznawać ludzi. Jeśli nie zapamiętam tajniaków, przyskrzynią mnie, a jeśli nie rozpoznam ćpuna, mogę zginąć. Proszę posłuchać, niech sobie pani już idzie. Psuje mi pani interes. Faceci nie wejdą do sklepu, w którym jest taka elegancka babka jak pani.

– Dobrze, już idę. Ale, Nat, powiedz mi jeszcze jedno – poznałbyś tego człowieka na zdjęciu?

– Pewno. A teraz proszę wyjść.

– Już, za chwilę. Nat, nie mów o tym nikomu. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Żartuje pani? Pewnie, że nie powiem. Przyrzekam. A teraz proszę sobie iść i pozwolić mi zarobić.

Gdy Douglas Layton wszedł o wpół do czwartej do pokoju Jane Clausen, zobaczył, że kobieta siedzi na krześle. Miała na sobie bladoniebieski peniuar z kaszmiru, a nogi przykryła kocem.

– Douglas – odezwała się znużonym głosem. – Przyniosłeś tę niespodziankę? Próbowałam zgadnąć, co to może być.

– Proszę zamknąć oczy, pani Clausen.

Wymuszony uśmiech wyraźnie świadczył, że jest nieco rozdrażniona.

– Nie jestem dzieckiem – mruknęła.

Douglas właśnie nachylał się, by pocałować ją w czoło, ale widząc jej niezadowolenie, zrezygnował. Błąd, pomyślał. Nie bądź głupcem, bo przedobrzysz.

– Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona – powiedział, odsłaniając szkic schroniska oprawiony w ramki; na pierwszym planie przedstawiono tabliczkę z napisem informującym, iż sierociniec otrzymał imię Reginy.

Jane Clausen otworzyła oczy i dłuższą chwilę wpatrywała się w rysunek. Tylko łza w kącie oka wskazywała na to, jak jest wzruszona.

– Wspaniale – powiedziała. – Sama nie wymyśliłabym lepszego sposobu upamiętnienia Reginy. Kiedy, na Boga, udało wam się to załatwić?

– Zarząd sierocińca wręcz nas błagał, byśmy zgodzili się na nadanie imienia Reginy schronisku. Oficjalna uroczystość odbędzie się w przyszłym tygodniu, przy okazji oddawania do użytku nowego skrzydła budynku. Początkowo zamierzaliśmy zaczekać i poinformować panią

dopiero po uroczystości; wtedy będziemy mieli także zdjęcia z tej ceremonii. Ale przekonałem zarząd, że na pewno podniesie to panią na duchu, więc uznaliśmy, że powinna pani wiedzieć już teraz.

– Mówiąc wprost, chciałeś, bym zobaczyła to przed śmiercią? – wtrąciła rzeczowo Jane.

– Nie, wcale nie miałem tego na myśli, pani Clausen.

– Doug, nie patrz na mnie tak żałośnie. Umrę – oboje o tym wiemy. A ta niespodzianka uczyniła mnie bardzo szczęśliwą – dodała, uśmiechając się ze smutkiem. – Wiesz, co jeszcze mnie cieszy?

Wiedział, że pani Clausen nie oczekuje odpowiedzi na to pytanie. Wstrzymał oddech, mając nadzieję, że wspomni coś o jego wrażliwości i oddaniu rodzinie.

– Cieszy mnie, że pieniądze, które miała odziedziczyć Regina, zostaną spożytkowane w dobrym celu – by pomóc potrzebującym. W ten sposób Regina będzie żyła w tych, których los polepszy się dzięki niej.

– Obiecuję pani, pani Clausen, że ani jeden cent wydany w imieniu Reginy nie zostanie zmarnowany.

– Jestem o tym przekonana. – Urwała i spojrzała na Laytona, który stał u jej boku napięty jak struna. – Douglas, obawiam się, że Hubert przestaje sobie radzić. Chciałabym zmienić tę sytuację – powiedziała.

Layton czekał w milczeniu. To właśnie chciał usłyszeć. W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do pokoju wsunęła się Susan Chandler.

– Och, pani Clausen, nie wiedziałam, że ma pani gościa. Posiedzę w poczekalni, aż będzie pani wolna.

– Nie ma mowy. Wchodź, Susan. Pamiętasz Douglasa Laytona,

prawda? Poznaliście się w twoim gabinecie w poniedziałek.

Susan przypomniała sobie, co Chris Ryan powiedział jej o Laytonie.

– Tak, pamiętam – odparła chłodnym tonem. – Dzień dobry, panie Layton.

– Witam, doktor Chandler. – Ona coś wie, pomyślał Layton. Lepiej zostanę. Nie odważy się powiedzieć nic w mojej obecności.

Uśmiechnął się do Susan.

– Jestem pani winien przeprosiny – rzekł. – W poniedziałek wypadłem z pani gabinetu, jakby się paliło, ale czekała na mnie klientka, starsza pani z Connecticut, a ja pomyliłem terminy.

Jest bardzo elokwentny, pomyślała Susan, siadając na krześle, które jej podsunął. Miała nadzieję, że Layton zaraz wyjdzie, ale on przyniósł jeszcze jedno krzesło, dając do zrozumienia, że zamierza zostać.

– Douglas, „nie będę cię zatrzymywać – oznajmiła Jane Clausen. – Chcę porozmawiać z Susan, a potem, niestety, będę musiała się położyć.

– Och, naturalnie. – Zerwał się z krzesła, całą postawą wyrażając uprzedzającą grzeczność.

Facet z klasą, przed czterdziestką, pomyślała Susan, przypominając sobie słowa, jakimi Nat Smali określił mężczyznę, który kręcił się koło jego sklepu w dniu, w którym zamordowano Abdula Parkiego. Ale z drugiej strony, taki opis pasuje do wielu mężczyzn. A to, że Layton kręcił na temat rzekomej rozmowy z Reginą Clausen, nie znaczy jeszcze, że ją zamordował, pomyślała, karcąc się w myśli za wyciąganie pochopnych wniosków.

Znowu ktoś zapukał do pokoju, a przez szparę w drzwiach wsunęła się głowa pielęgniarki.

– Pani Clausen, za chwilę przyjdzie do pani lekarz.

– O Boże, Susan. Obawiam się, że ciągnęłam cię tu na darmo. Zadzwoń do mnie jutro rano, dobrze?

– Oczywiście.

– Zanim wyjdiesz, musisz zobaczyć niespodziankę, jaką przygotował dla mnie Doug. – Wskazała na oprawiony szkic. – To jest sierociniec w Gwatemali, który w przyszłym tygodniu otrzyma imię Reginy.

Susan uważnie obejrzała zdjęcie.

– Jak miło – powiedziała ciepło. – Z tego, co wiem, w wielu krajach, zwłaszcza w Ameryce Środkowej, brakuje tego typu instytucji.

– Rzeczywiście – przyznał Layton. – A fundacja Clausenów wspomaga ich budowę.

Szykując się do wyjścia, Susan zauważyła kątem oka jaskrawoniebieską kopertę, leżącą na stoliku nocnym przy łóżku. Wyglądała identycznie jak ta, której szczątki znalazła w koszu na śmieci w mieszkaniu Carolyn Wells. Podeszła i wzięła ją do ręki. Tak jak przypuszczała, na okładce znajdowało się logo Ocean Cruise Pictures. Spojrzała na panią Clausen.

– Mogę?

– Naturalnie. To prawdopodobnie ostatnie zdjęcie Reginy.

Bez wątpienia kobieta na zdjęciu była córką Jane Clausen. Te same oczy, prosty nos, podobna fala włosów nad czołem. Na fotografii Regina stała koło kapitana „Gabrielle”. Obowiązkowa pamiątka z rejsu, pomyślała Susan, ale wyjątkowo udana. Szukając materiałów do programu (Reginie, widziała wiele jej zdjęć zamieszczanych w prasie, ale żadne nie było tak ładne jak to.

– Regina była bardzo atrakcyjną kobietą, pani Clausen – powiedziała ciepło.

– Tak, rzeczywiście. Jeśli wierzyć dacie na kopercie, zdjęcie zostało zrobione na dwa dni przed jej zniknięciem – odparła Jane Clausen. – Wygląda tu na bardzo szczęśliwą. W pewien sposób przynosi mi to ulgę, ale z drugiej strony, pogłębia moją udrękę. Zastanawiam się, czy radość mojej córki ma coś wspólnego „z mężczyzną, który jest odpowiedzialny za jej zaginięcie.

– Proszę nie myśleć w ten sposób – wtrącił Doug Layton.

– Przykro mi, ale muszę przeszkodzić. – W drzwiach pokoju pojawił się lekarz. Najwyraźniej się niecierpliwił.

Susan nie mogła już dłużej czekać, aż Layton zostawi ją sam na sam z panią Clausen.

– Pani Clausen – rzuciła szybko. – Nie pamięta pani, czy wśród rzeczy Reginy była lista pasażerów „Gabrielle”?

– Jestem pewna, że jedna była w kopercie razem z innymi informacjami o rejsie. A dlaczego pytasz?

– Bo jeśli można, bardzo chciałabym ją wziąć na kilka dni. Mogę zgłosić się po nią jutro?

– Nie. Jeśli to takie ważne, lepiej weź ją od razu. Przekonałam Verę, żeby wzięła sobie kilka dni wolnego i pojechała do córki. Wyjeżdża jutro o świcie.

– W takim razie od razu się do niej zgłoszę, dobrze?

– Naturalnie. Doktorze Markley, przepraszam, że musi pan czekać – rzuciła nagle pani Clausen oficjalnym tonem. – Douglas, podaj mi, proszę, torebkę. Jest w szufladzie szafki.

Jane Clausen wzięła do ręki portfel i wyjęła zeń wizytówkę. Na odwrocie skreśliła kilka słów i wręczyła ją Susan.

– Vera jest teraz w domu. Zadzwoń do niej, by uprzedzić ją, że przyjdiesz. Ale na wszelki wypadek weź ze sobą tę wizytówkę, masz tam mój adres. Porozmawiamy jutro – zakończyła.

Douglas Layton wyszedł razem z Susan. Zjechali na dół windą i wyszli na ulicę.

– Chętnie pójdę z panią – oświadczył. – Vera mnie zna.

– Nie, dziękuję. Wezmę taksówkę.

Jak zwykle, na ulicach panował spory ruch, więc Susan dotarła na Beekman Place dopiero o piątej. Wiedząc, że zaraz musi wracać do domu i przygotować się na wieczór, bezskutecznie próbowała przekonać taksówkarza, żeby na nią zaczekał.

Była wdzięczna Jane Clausen za to, że zadzwoniła do swej gospodyni – dzięki temu obyło się bez żadnych problemów.

– Tu są rzeczy Reginy – oznajmiła Vera, wprowadzając Susan do pokoju gościnnego. – Meble pochodzą z jej mieszkania. Pani Clausen przesiaduje tu czasami. Kraje mi się serce, gdy na to patrzę.

Śliczny pokój, pomyślała Susan. Elegancki, ale wygodny i ciepły. Pokoje mogą sporo powiedzieć o ludziach, którzy je zamieszkują.

Vera wysunęła górną szufladę antycznego biurka i wyjęła małą szarą kopertę.

– Tu są wszystkie papiery i dokumenty znalezione w kajucie Reginy. W kopercie znajdowały się ulotki podobne do tych, które miała Carolyn Wells. Oprócz spisu pasażerów Susan znalazła pół tuzina gazetek pokładowych, ulotki na temat odwiedzanych portów i mnóstwo

widokówek, kupionych tamże. Regina nabyła je zapewne jako pamiątki z miast, które widziała, pomyślała Susan. Być może zamierzała wysłać je znajomym.

Schowała spis pasażerów do torebki, po czym szybko przejrzała pocztówki i ulotki. Jej uwagę przykuła widokówka z Bali, przedstawiająca ogródek jakiejś restauracji. Stolik z widokiem na ocean został zakreślony długopisem.

Czy jadła przy nim? – zastanawiała się Susan. A jeśli tak, dlaczego to miało takie znaczenie? W stosie folderów wyszukała ulotkę na temat Bali.

– Wezmę tę kartkę i folder – oznajmiła Verze. – Pani Clausen na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. Idę do niej jutro, więc powiem jej, że wzięłam te rzeczy.

Długo czekała na taksówkę, a kiedy w końcu dotarła do domu, była za dziesięć szósta. Tylko czterdzieści minut na przygotowania do wielkiej randki, pomyślała. A na dodatek nie mam pojęcia, w co się ubrać.

Pamela Hastings siedziała w poczekalni oddziału intensywnej terapii szpitala Lennox Hill i próbowała pocieszyć szlochającego Justina Wellsa.

– Myślałem, że ją straciłem – powtarzał głosem łamiącym się z emocji.
– Myślałem, że ją straciłem.

– Carolyn nie poddaje się tak łatwo, da sobie radę – pocieszała go Pamela. – Justin, dzwonił doktor Donald Richards. Pytał o ciebie i Carolyn. Zostawił swój mimer. Czy to nie on był tym psychiatrą, do którego chodziłeś, gdy mieliście z Carolyn problemy?

– Do którego miałem chodzić – poprawił Wells. – Byłem u niego tylko raz.

– Tak czy inaczej, pytał, w czym mógłby pomóc. – Urwała, niepewna jego reakcji na to, co zamierzała powiedzieć. – Justin, mam do niego zadzwonić? Sądzę, że powinieneś z kimś porozmawiać. – Zauważyła, że wyraźnie zeszywniał.

– Pam, nadal uważasz, że zrobiłem to Carolyn, prawda?

– Nie. Wcale nie – odparła stanowczo. – Powiem ci to najprościej, jak można. Wierzę, że Carolyn wyjdzie z tego, ale wiem także, że przed nią jeszcze daleka droga. A jeśli, nie daj Boże, jej się nie uda, naprawdę potrzebna ci będzie fachowa pomoc. Proszę, pozwól mi do niego zadzwonić.

Justin wolno skinął głową.

– Dobrze.

Kilka minut później Pamela wróciła do poczekalni, a na jej twarzy

gościł uśmiech.

– Jedzie tutaj – powiedziała. – Wydaje mi się, że to miły człowiek.
Proszę, pozwól mu sobie pomóc.

Sądzę, że znalazłem wyjście z kłopotliwej sytuacji, Jim – oznajmił radosnym głosem Alex Wright. Jim Curley nie miał wątpliwości, że jego szef jest dziś w świetnym humorze. Wygląda wspaniale, pomyślał, spoglądając ukradkiem w lusterko wsteczne. A co więcej, wygląda na szczęśliwego.

Jechali na Downing Street po Susan Chandler, którą mieli zabrać na kolację wydawaną w głównym budynku biblioteki przy Piątej Alei. Alex uparł się, by wyjechać wcześniej na wypadek, gdyby utknęli w korku. Jednak na Siódmej Alei było dziś o wiele mniej samochodów niż zwykle, więc oczywiście dojechali sporo przed czasem. Znowu zadziałało prawo Murphy'ego, pomyślał Jim.

– A co to za sytuacja, panie Wright?

– Na dzisiejszą kolację zaprosiłem też ojca i macochę doktor Chandler, w związku z czym mogłem poprosić ich, żeby podjechali do St. Regis po siostrę doktor Chandler. Wyglądałbym idiotycznie, wkraczając do biblioteki z dwiema kobietami u boku.

– Och, na pewno dałby pan sobie radę.

– Tu nie chodzi o to, czy dałbym sobie radę, Jim, ale o to, czy chciałbym się znaleźć w takiej sytuacji. A odpowiedź brzmi: nie.

Co należy tłumaczyć, pomyślał Jim, że interesuje go Susan, a nie Dee. I z tego, co widział, gotów był zgodzić się ze swym szefem. Bez wątplenia Dee robiła duże wrażenie. Miał okazję przyjrzeć się jej tamtego wieczoru, gdy podwoził ich do restauracji. Wydawała się miła. Ale to w jej siostrze,

Susan, było coś, co zauroczyło Jima. Bardziej naturalna, sprawiała wrażenie osoby, którą można spokojnie zaprosić do domu, nie obawiając się, że uzna go za zbyt mało elegancki, uznał Jim.

Pięć po szóstej zajechali przed wejście kamienicy z piaskowca, w której mieszkała Susan.

– Jim, jakim cudem zawsze udaje ci się znaleźć miejsce do parkowania? – spytał Alex Wright.

– Czysty przypadek. Panie Wright, czy mam włączyć radio?

– Nie. Idę na górę.

– Jest dość wcześnie.

– Nic nie szkodzi. Usiądę sobie w holu i będę pstrykał palcami.

– Wcześnie przyszedłeś – zauważyła Susan z przyganą w głosie, gdy usłyszała go w słuchawce domofonu.

– Nie będę ci przeszkadzał, obiecuję – odparł Alex. – Nie znoszę czekać w samochodzie. Czuję się wtedy jak taksówkarz.

Susan roześmiała się.

– Dobrze. W takim razie chodź na górę. Obejrzysz sobie dziennik. Co za pech, pomyślała. Na głowie miała wielki turban z ręcznika.

Strój wyjściowy, czarny żakiet i długa wąska spódnica, wisiały jeszcze nad wanną w łazience, gdzie gorąca para miała poradzić sobie z zagnieceniami, którym nie dało rady żelazko. Susan miała na sobie puszysty biały szlafrok, w którym czuła się jak wielkanocny króliczek. Alex roześmiał się szczerze, widząc ją w drzwiach.

– Wyglądasz jak dziesięciolatka – stwierdził. – Pobawimy się w doktora?

Wykrzywiła twarz w udawanym grymasie i odparła:

– Ręce przy sobie. Włącz telewizor.

Poszła do łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi, po czym przysiadła na krawędzi umywalki i włączyła suszarkę. Muszę coś zrobić z tymi włosami, pomyślała. Chociaż i tak nigdy nie będą wyglądać jak u Dee.

– Cholera, spóźnię się – wymamrotała, przełączając suszarkę na najwyższy bieg.

Kwadrans później, dokładnie o szóstej dwadzieścia osiem, spojrzała w lustro. Włosy wyglądały w porządku, makijaż na specjalne okazje zdołał usunąć z jej twarzy zmęczenie – skutek bezsenności, spódnicy nie szpeciły żadne zagniecenia, nie ma żadnych powodów do niepokoju. A jednak mimo to czuła, że coś tu nie gra. Może to przez te zmartwienia i pośpiech? – zastanawiała się, pakując torebkę.

Alex zgodnie z poleceniem siedział w salonie i oglądał telewizję. Kiedy weszła do pokoju, spojrzął na nią i uśmiechnął się:

– Wyglądasz cudownie – powiedział.

– Dziękuję.

– Obejrzałem wiadomości, więc po drodze do biblioteki opowiem ci o wszystkim, co zdarzyło się dziś w Nowym Jorku.

– Nie mogę się doczekać.

Wygląda wspaniale, pomyślał Jim Curley, otwierając Susan drzwi samochodu. Naprawdę wspaniale. Po drodze do biblioteki zwracał baczną uwagę na ruch uliczny, ale także nadstawiał uszu, by usłyszeć, o czym rozmawiają pasażerowie na tylnym siedzeniu.

– Susan, chcę wyjaśnić jedną rzecz – zaczął Alex Wright. – Nie zamierzałem zapraszać twojej siostry na dzisiejszą kolację.

– Niech cię to nie martwi. Dee jest moją siostrą i kocham ją.

– Oczywiście, ale podejrzewam, że nie przepadasz za Binky, i nie wiem, czy dobrze zrobiłem, zapraszając również ją i twojego ojca.

No to się zacznij, pomyślał Jim.

– Nie wiedziałam o tym – zauważyła Susan. W jej głosie czuło się narastającą irytację.

– Susan, spróbuj zrozumieć. Chciałem spędzić ten wieczór tylko z tobą. Nie zamierzałem zapraszać Dee, ale stało się. Dlatego pomyślałem, że jeśli będzie jeszcze twój ojciec i Binky, i to oni pojedą po Dee, to dam wszystkim jasno do zrozumienia, jakie są moje intencje.

Niezła wymówka, skomentował w myślach Jim. No, Susan – odpuść mu.

Usłyszał jej śmiech.

– Alex, chyba źle mnie zrozumiałeś. Nie chciałam być taka opryskliwa. Musisz mi wybaczyć, to był okropny tydzień.

– Więc opowiedz mi o nim.

– Nie teraz. Ale dzięki, że chcesz mnie wysłuchać. Będzie dobrze, pomyślał Jim z ulgą.

– Susan, nie lubię o tym mówić, ale chyba rozumiem twoje odczucia względem Binky. Też miałem macochę, ale w moim wypadku było trochę inaczej. Ojciec ożenił się powtórnie po śmierci mamy. Jego nowa żona miała na imię Gerie.

Nigdy o niej nie mówi, pomyślał Jim. Naprawdę stara się być szczery z Susan.

– I jak ci się układało z Gerie? – spytała Susan. Lepiej nie pytaj, odparł w duchu Jim.

Susan Chandler wiele razy była w olbrzymim budynku filialnym Biblioteki Publicznej Miasta Nowy Jork przy Piątej Alei, ale nie przypominała sobie, by widziała wcześniej Rotundę McGrawa, doprawdy olśniewającą salę. Strzeliste kamienne ściany i potężne gzymsy sprawiały, iż miała wrażenie, że cofnęła się w czasie do zeszłego wieku.

Ale mimo wspaniałego otoczenia i niekłamanej przyjemności, jaką czerpała z towarzystwa Aleksa Wrighta, już godzinę później Susan czuła się śmiertelnie zmęczona i spięta. Powinnam cieszyć się udanym wieczorem, pomyślała, a nie wałkować w myślach spotkanie z niezbyt przyjemnym właścicielem sexshopu, który mógłby pewnie zidentyfikować zabójcę Reginy Clausen, Hildy Johnson, Tiffany Smith i Abdula Parkiego oraz niedoszłego mordercę Carolyn Wells.

Cztery z tych nazwisk zostały dopisane do listy w ciągu ostatnich siedmiu dni.

Czy były także inne?

Czy będą kolejne?

I skąd ta pewność, że odpowiedź brzmi: tak?

Może nie powinnam odchodzić z prokuratury, pomyślała, sącząc powoli wino i udając, że słucha Gordona Mayberry'ego, starszego dżentelmena, który uparł się, że opowie jej o niespotykanej hojności Fundacji Wrightów, jakiej doświadczyła biblioteka.

Zaraz po przyjściu Alex przedstawił ją kilku, jak jej się wydawało, najważniejszym osobom. Nie była pewna, czy powinna się cieszyć z tego

powodu, czy niepokoić, on bowiem najwyraźniej chciał pokazać wszystkim, że – przynajmniej dziś wieczorem – jest jego dziewczyną.

Dee, ojciec i Binky przyszli wkrótce po nich. Dee, w eleganckiej białej sukni z lejącego się materiału, uścisnęła Susan na powitanie.

– Susie, słyszałaś, że wracam do Nowego Jorku? Przeprowadzam się z całym majdanem. Będziemy się świetnie bawić. Brakowało mi ciebie.

Wierzę, że naprawdę tak myśli, pomyślała Susan. I właśnie dlatego to, co próbuje robić z Alekssem, jest takie niesprawiedliwe.

– Widziała pani książkę, którą zaprezentujemy dziś Aleksowi? – zagadnął Gordon Mayberry.

– Nie, nie widziałam – odrzekła Susan, zmuszając się do skupienia uwagi na swoim rozmówcy.

– Naturalnie została wydana w bardzo małym nakładzie. Każdy z gości otrzyma jeden egzemplarz, ale może zechce pani rzucić na nią okiem przed kolacją. Da to pani pewne wyobrażenie o tym, jak bardzo pomogła nam Fundacja Wrightów przez ostatnie szesnaście lat. – Wskazał ręką podświetloną witrynę przy wejściu do sali. – O, tam jest.

Książka leżała otwarta na którejś z dalszych stron, ale Susan zamknęła ją i spojrzała na okładkę. Na szarej obwolucie umieszczono zdjęcia rodziców Aleksa: Alexandra i Virginii Wrightów. Nie wyglądają na szczęśliwych, zauważyła, przyglądając się ich twarzom pozbawionym uśmiechu. Szybko przebiegła wzrokiem spis treści, z którego wynikało, że na pierwszych stronach książki zamieszczono krótki opis historii Fundacji Wrightów. Dalsze rozdziały poświęcone były różnym działaniom charytatywnym, które wspierała Fundacja: szpitale, biblioteki, sierocińce, centra badawcze.

Przeglądała książkę bez większego zainteresowania, lecz przypomniawszy sobie o Jane Clausen, odszukała rozdział poświęcony sierocińcom. Na jednej ze stron zatrzymała się dłużej, studiując fotografię jakiejś ochronki. Typowy budynek, pomyślała. I otoczenie też.

– Ależ fascynujące, prawda? Przy jej boku pojawił się Alex.

– Robi wrażenie – przyznała Susan.

– Hm, jeśli zdołasz się oderwać od tej książki, to właśnie podają kolację.

Mimo wyszukanego menu Susan nawet nie zauważyła, co je, na nowo ogarnięta dziwnym niepokojem. Przeczucie, że zdarzy się coś złego, było tak silne, że nie potrafiła go opanować. Nat Smali, właściciel sexshopu – nie mogła przestać o nim myśleć. Przypuśćmy, że zabójca doszedł do wniosku, iż Nat widział go przed swoim sklepem? Z pewnością zajmie się i nim, pomyślała Susan. Carolyn Wells może nie przeżyć, a nawet jeśli wyzdrowieje, nie wiadomo, czy będzie pamiętać wypadek. A to oznacza, że Nat jest prawdopodobnie jedyną osobą, która może rozpoznać mordercę Parkiego i pozostałych.

Nagle zdała sobie sprawę, że Alex zadał jej jakieś pytanie, i zmusiła się, żeby odpowiedzieć:

– Nie, wszystko w porządku. A jedzenie jest po prostu cudowne. Tylko że nie jestem specjalnie głodna.

W poniedziałek powinnam otrzymać zdjęcia z rejsu Carolyn, pomyślała. Ale czy coś na nich znajdę? Kiedy Carolyn zadzwoniła do radia i powiedziała o zdjęciu, mówiła, że mężczyzna, który chciał jechać z nią do Algieru, znajdował się w tle. A co z wycieczką Reginy? Może na zdjęciach z tego rejsu widać go wyraźniej? Je też powinnam była

zamówić, doszła do wniosku, wyrzucając sobie, że o tym nie pomyślała. Muszę go dopaść, zanim będzie za późno i zginie kolejna osoba.

Prezentacja książki odbyła się po głównym daniu kolacji. Dyrektorka biblioteki opowiadała o hojności Fundacji Wrightów i o ostatniej darowiźnie, która umożliwiła zakup i konserwację cennych białych kruków. Napomknęła również o „oddaniu i poświęceniu pana Alexandra Cartera Wrighta, który tak wspaniałomyślnie poświęcił swe życie Fundacji, a prywatnie jest skromnym człowiekiem, unikającym rozgłosu”.

– Widzisz, jakim jestem wspaniałym facetem – szepnął Alex do Susan, wstając, by odebrać z rąk dyrektorki książkę.

Alex był świetnym mówcą – przemawiał z polotem i łatwością, nie skąpiąc dowcipnych uwag. Gdy wrócił na miejsce, Susan rzuciła cicho:

– Alex, czy nie masz nic przeciwko, żebym zamieniła się miejscami z Dee?

– Czy coś się stało?

– Ależ nie. Idealna rodzina i tak dalej. Po prostu widzę, że Dee wije się w męczarniach, zmuszona do wysłuchiwania Gordona Mayberry’ego. Może jeśli ją wybawię, staniemy się sobie bliższe – dodała ze śmiechem. – A poza tym muszę zamienić kilka słów z tatą.

Idąc do sąsiedniego stolika i proponując Dee, by zamieniły się miejscami, słyszała zduszony chichot Aleksa. Był jeszcze jeden powód tej zamiany: jeśli zamierzam spotykać się z Alekssem, muszę mieć pewność, że Dee zniknie z widnokregu. Jeśli ma być moją rywalką, chcę ją pokonać, zanim cokolwiek się zacznie. Nie chcę powtórki tego, co było z Jackiem.

Poczekala, aż Mayberry odwrócił się do Binky, po czym zagadnęła ojca:

– Tato, to znaczy Charles, wiem, że to wyda ci się idiotyczne, ale czy mógłbyś w poniedziałek skoro świt wysłać do tego studia fotograficznego w Londynie kolejne tysiąc pięćset dolarów?

Spojrzał na nią ze zdumieniem, które zaraz ustąpiło miejsca zaniepokojeniu.

– Naturalnie, kochanie, ale czy na pewno nie wpakowałaś się w jakieś kłopoty? Bez względu na wszystko mogę ci pomóc.

Naturalnie. „Mogę pomóc”.

Tata chce powiedzieć, że bez względu na Binky i jej oczywistą niechęć, on zawsze będzie po mojej stronie, pomyślała Susan. Muszę o tym pamiętać.

– Przysięgam, że nie dzieje się nic złego. Ale chcę, żeby ta sprawa została tylko między nami – odparła. – Staram się komuś pomóc.

Wiem, że Nat Smali może być w niebezpieczeństwie, dodała w myśli. A być może nie tylko on. Być może kolejna osoba ma dostać pierścionek z turkusem i napisem: „Jesteś tylko moja”.

Dlaczego słowa tej piosenki tak utkwily mi w głowie? – zastanawiała się. Teraz wciąż słyszała „Na dzikiej wyspie zatrzymaj się chwilę”.

Oczywiście! Te słowa umieszczono w ulotce z „Gabrielle”, którą znalazła dziś w rzeczach Reginy Clausen.

W poniedziałek będę miała zdjęcia z „Seagodivy”, przypomniała sobie. Poproszę Neddę, żeby pozwoliła mi skorzystać ze stołu konferencyjnego w jej biurze – tam je rozłożę. Jeśli dobrze pójdzie, do wieczora znajdę zdjęcie Carolyn. A jeśli studio zrobi odbitki zdjęć z „Gabrielle” do wtorku, powinnam otrzymać je w środę. Choćbym miała zarwać noc, przejrzę je wszystkie.

Binky udało się w końcu spławić Gordona Mayberry'ego.

– O czym rozmawiacie? – spytała, zwracając się do Susan i Charlesa.

Susan zauważyła, że ojciec puszcza do niej ukradkiem oko, odpowiadając:

– Susan mówiła mi właśnie, że zainteresowała się zbieraniem dzieł sztuki.

W niedzielę Pamela Hastings dotarła do szpitala w południe. Jak zwykle, ruszyła dobrze znanymi korytarzami w kierunku poczekalni oddziału intensywnej terapii. Tak jak przypuszczała, Justin Wells był już na miejscu – siedział, na wpół przysypiając, nie ogolony, ze zmierzwionymi włosami.

– Spędziłeś tu całą noc? – spytała oskarżycielskim tonem. Spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

– Jakże mógłbym wyjść? Twierdzą, że stan Carolyn stabilizuje się, ale nie mógłbym opuścić jej na dłużej niż kilka minut. Mimo to nie wejdę do pokoju. Tutaj panuje przekonanie, że w piątek Carolyn zaczęła się budzić, lecz potem o czymś sobie przypomniała, a strach i panika spowodowały ponowną utratę przytomności. Tak czy inaczej, zdążyła powiedzieć: „Nie... proszę... nie! Justin!”

– Zdajesz sobie sprawę, że niekoniecznie należy to tłumaczyć jako: „Nie wpychaj mnie pod samochód, Justin”? – zauważyła, siadając obok niego.

– Powiedz to gliniarzom. A także lekarzom i pielęgniarce. Przysięgam, że gdy tylko próbuję zbliżyć się do Carolyn, oni zachowują się tak, jakby podejrzewali, że zamierzam odłączyć ją od aparatury.

Pam zauważyła, że mówiąc, Justin bezwiednie zaciska i rozwiera dłonie. Jest na skraju załamania, pomyślała.

– Czy byłeś wczoraj na kolacji z doktorem Richardsem? – zapytała.

– Tak. Poszliśmy do kawiarni. – I jak było?

– Pomógł mi. Teraz, rzecz jasna, wiem, że nie powinienem był rezygnować z niego dwa lata temu. Znasz ten cytat, Pam?

– Jaki?

– „Szukając gwoźdźcia, można stracić podkowę, szukając podkowy, można stracić konia, szukając konia, można stracić jeźdźca” – nie pamiętam dokładnie.

– Justin, to nie ma żadnego sensu.

– Ależ ma. Gdyby psychiatra naprawił moją głowę, nie zareagowałbym tak ostro, słysząc, jak Carolyn opowiada w radiu o tym facecie. Gdybym nie zdenerwował jej swoim telefonem, być może spotkałaby się z doktor Chandler. A wtedy wsiadłaby do taksówki przed domem, a nie szła pieszo na pocztę.

– Justin, przestań! Tym gdybaniem doprowadzisz się do szaleństwa. – Wzięła go za rękę. – To nie twoja wina i powinieneś w końcu przestać się oskarżać.

– Dokładnie to samo powiedział doktor Richards: „Przestań!” – Jego oczy wypełniły się łzami, a głos przeszedł w rozpaczliwy szloch.

Pamela otoczyła go ramieniem i przyglądała jego zmierzwione włosy.

– Musisz stąd wyjść. Jeśli dalej będziemy tak siedzieć, zaczną na nas dziwnie patrzeć – rzuciła cicho.

– Mam nadzieję, że George nie przyłączy się do grona moich oskarżycieli. Kiedy wraca do domu?

– Dziś wieczorem. A teraz ty powinieneś wrócić do domu. Połóż się, prześpij kilka godzin, a potem weź prysznic, doprowadź się do porządku i wróć do szpitala. Kiedy Carolyn się obudzi, będziesz jej potrzebny, a jeśli zobaczy cię w takim stanie, natychmiast zapisze się na następny rejs.

Pamela wstrzymała oddech, przez moment przekonana, że posunęła się za daleko, ale usłyszała tylko słaby śmiech.

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką, wiesz? – powiedział Justin. Poszła z nim do windy. Po drodze przekonała go, by wstąpił do Carolyn. Razem z nim do sali weszła policjantka.

Justin ujął dłoń żony w swoją i pocałował delikatnie. Nie odezwał się ani słowem.

Gdy wsiadł do windy, Pamela ruszyła z powrotem do poczekalni, ale po drodze zatrzymała ją pielęgniarka.

– Znowu mówiła, tuż po waszym wyjściu.

– Co powiedziała? – spytała Pamela, ze strachem oczekując odpowiedzi.

– To samo~ – odparła siostra. – „Win. O, Win”.

– Proszę nie mówić o tym jej mężowi.

– Nie powiem. Jeśli spyta, powiem tylko, że próbowała się odezwać, a to dobry znak.

Pamela minęła poczekalnię i podeszła do automatu telefonicznego. Rano dzwoniła do niej Susan Chandler i opowiedziała o swoich poszukiwaniach „Wina” na liście pasażerów „Seagodivy”. „Powiedz im, żeby uważnie słuchali, jeśli Carolyn znowu się odezwie – poprosiła Susan. – Może powie coś więcej. »Win« musi być przewiskiem albo skrótem dłuższego imienia – może Winston lub Winthrop?”

Susan nie było w domu, więc Pamela zostawiła wiadomość na sekretarce: „Carolyn znowu przemówiła. Ale nie powiedziała nic nowego, tylko: »Win. O, Win«,„.

W niedzielę rano często chodziliśmy z Reginą na mszę do Świętego Tomasza, a po niej na wczesny lunch – opowiadała Jane Clausen Susan. – Muzyka w tym kościele jest po prostu anielska. Gdy straciłam córkę, przez ponad rok nie mogłam zmusić się, by tam pójść.

– Właśnie wracam z mszy o wpół do jedenastej u Świętego Patryka – rzuciła Susan. – Tamtejsze organy też są niezwykle. – Przyszła do szpitala pieszo, prosto z kościoła. Był piękny jesienny dzień, a Susan złapała się na tym, że się zastanawia, co w zeszłą niedzielę robiła Tiffany Smith. Czy nie czuła, że to ostatnia niedziela jej życia, że za kilka dni zginie? No pewnie, że nie, stwierdziła Susan i skarciła się w duchu za psucie sobie dnia ponurymi rozmyślaniami.

Jane Clausen doskonale wiedziała, że pozostało jej bardzo niewiele czasu. Susan miała wrażenie, że świadomość nieuchronności losu przebija z każdego słowa starszej pani. Dziś siedziała na łóżku, na ramiona miała narzucony szal. Nie była już taka blada, ale Susan wiedziała, że to wpływ trawiącej jej gorączki.

– Bardzo się cieszę, że znalazłaś czas, by przyjść do mnie – powiedziała pani Clausen. – W szpitalu niedziele wloką się bez końca. Poza tym wczoraj nie miałam okazji, żeby porozmawiać z tobą sam na sam, a muszę to zrobić. Douglas Layton zachował się bardzo uprzejmie i miło. Pamiętasz, mówiłam ci, że chyba źle go oceniałam, podejrzewałam, że które żywiłam, okazały się bezpodstawne. Lecz z drugiej strony, jeśli wykonam ruch, który od jakiegoś czasu planowałam – to znaczy, jeśli

poproszę obecnego prezesa funduszu, by ustąpił, i awansuję na jego miejsce Douglasa, tym samym dam mu do ręki prawie nieograniczoną władzę i możliwość dysponowania niebagatelnyymi sumami.

Nie rób tego! – pomyślała Susan.

Jane Clausen mówiła dalej:

– Zdaję sobie sprawę, że w obecnej sytuacji jestem niezwykle podatna na wszelkie objawy zainteresowania czy, jak wolisz, oddania i przyjaznych uczuć. – Urwała. Sięgnęła po szklankę z wodą, wypła kilka łyków, po czym podjęła wątek: – I dlatego chcę, żeby, zanim podejmę tę decyzję, Douglas został dokładnie sprawdzony, a także pragnę, żebyś to ty się tym zajęła. Wiem, że znamy się zaledwie od tygodnia i ta prośba może wydać ci się dziwna. Ale mimo to myślę o tobie jak o zaufanej przyjaciółce – masz dar zjednywania sobie ludzi. Pewnie dlatego jesteś takim dobrym psychologiem.

– Będę szczęśliwa, mogąc pani pomóc. I dziękuję za te miłe słowa. – Susan wiedziała, że to nie najlepszy moment, by wyjawiać pani Clausen, że Layton został już sprawdzony i nawet na podstawie niepełnych informacji wiadomo, iż bardzo potrzebuje pieniędzy. Powiedziała ostrożnie: – Uważam, pani Clausen, że rozsądne jest podjąć pewne środki ostrożności, przed podjęciem tak ważnej decyzji. Obiecuję, że zajmę się tym.

– Dziękuję. Sprawiałaś mi dużą ulgę.

Susan wydawało się, że oczy Jane Clausen z dnia na dzień stają się większe. Dziś rozjaśniał je niezwykle blask, choć nie było w nich niepokoju. Jeszcze kilka dni temu była taka smutna, pomyślała Susan, ale teraz chyba pogodziła się z losem i spokojnie czeka na to, co przyniosą

najbliższe dni. Przez moment zastanawiała się, jak wyrazić to, o co zamierzała prosić panią Clausen, ale uznała, że najlepiej będzie powiedzieć wprost.

– Pani Clausen, przyniosłam aparat polaroidowy. Czy mogłabym zrobić kilka zdjęć tego rysunku sierocińca?

Jane Clausen szczerzej otuliła się szalem i dopiero wtedy odparta:

– Na pewno nie prosisz o to bez powodu. O co chodzi, Susan?

– Czy mogę odpowiedzieć na to pytanie jutro?

– Naturalnie wolałabym wiedzieć już teraz, ale dobrze. Miło będzie czekać na twoją wizytę. Jednak zanim wyjdiesz, powiedz mi jeszcze jedno – czy odezwała się do ciebie ta kobieta, która dzwoniła w poniedziałek? Wiesz, ta, która twierdziła, że ma taki sam pierścionek z turkusem jak Regina.

Susan odparła, ostrożnie ważąc słowa:

– Mówi pani o Karen? I tak, i nie. Naprawdę nazywa się Carolyn Wells. Tego samego dnia uległa poważnemu wypadkowi i zapadła w śpiączkę, więc nie mogłam z nią porozmawiać.

– Co za straszny zbieg okoliczności!

– Od kilku dni woła przez sen kogoś imieniem Win. Myślę, że może chodzić o mężczyznę, którego poznała na statku, ale trudno coś powiedzieć, dopóki jest nieprzytomna. Pani Clausen, czy Regina dzwoniła do pani z „Gabrielle”?

– Tak. Kilka razy.

– A czy kiedykolwiek wspomniała o jakimś Winie?

– Nie, nigdy nie opowiadała o współpasażerach.

Susan widziała, że pani Clausen jest coraz bardziej zmęczona.

– Zrobię zdjęcia i już mnie nie ma – rzuciła. – Powinna pani odpocząć.
Jane Clausen przymknęła powieki.

– Po tych lekach jestem bardzo senna.

Rysunek stał na biurku naprzeciwko łóżka. Susan zrobiła cztery zdjęcia i poczekała, aż wysuną się z aparatu. Potem schowała go do torebki i cicho ruszyła w kierunku drzwi.

– Do widzenia, Susan – rzuciła Jane Clausen sennym głosem. – Wiesz, przypomniałaś mi o czymś bardzo miłym. Na balu debiutantek poznałam pewnego młodego człowieka imieniem Owen. Nie widziałam go od wielu lat, ale pamiętam, że wtedy szalałam za nim. Rzecz jasna, to było bardzo dawno temu.

Owen, pomyślała Susan. O mój Boże, to właśnie mówiła Carolyn. Nie „O, Win”, tylko „Owen”.

Przypomniała sobie, że na liście pasażerów „Seagodivy” widniało nazwisko Owen Adams. Był pierwszym mężczyzną podróżującym samotnie, którego nazwisko rzuciło jej się w oczy, gdy przeglądała spis pasażerów.

Dwadzieścia minut później Susan weszła do swojego mieszkania. Pobiegnęła prosto do biurka i wyjęła zeń listę pasażerów „Gabrielle”. Oby tam był, modliła się w duchu, oby był.

Niemal od razu spostrzegła, że na liście nie ma Owena Adamsa. Jednak wiedząc, że mężczyzna, którego szuka, mógł podróżować pod fałszywym nazwiskiem, uważnie sprawdziła całą listę.

Znalazła go dopiero przy końcu wykazu. Jednym z niewielu pasażerów, których zapisano z podaniem drugiego imienia, był niejaki Henry Owen Young. To musi być to, uznała.

Alex Wright wydzwaniał do Susan co godzinę – o dziesiątej, jedenastej, dwunastej, ale złapał ją dopiero o pierwszej. – Dzwoniłem wcześniej, ale cię nie było – oznajmił na wstępie.

– Mogłeś zostawić wiadomość – zauważyła.

– Nie lubię rozmawiać z automatem. Chciałem spytać, czy pozwolisz się zaprosić na lunch.

– Dzięki, ale i tak nie miałabym czasu – wyjaśniła Susan. – Byłam w szpitalu odwiedzić znajomą. A właśnie, Alex, może orientujesz się, czy w Ameryce Środkowej istnieje coś takiego jak standardowy dom dziecka?

– Standardowy? Nie bardzo wiem, o co ci chodzi, ale sądzę, że nie. Jeśli masz na myśli wygląd budynku, to podobnie jak w wypadku szpitali czy szkół, istnieją, rzecz jasna, pewne podobieństwa. A dlaczego pytasz?

– Ponieważ zrobiłam kilka zdjęć i chcę, żebyś je zobaczył. O której jutro wyjeżdżasz?

– Niestety, wcześnie. Dlatego chciałem spotkać się z tobą dzisiaj. Może pójdziemy na kolację?

– Przykro mi, ale mam już inne plany.

– Trudno. W takim razie ja wybiorę się do ciebie. Będziesz w domu?

– Całe popołudnie.

– W takim razie już jadę.

Wiem, że się nie mylę, pomyślała Susan, odkładając słuchawkę. Te sierocińce nie są po prostu podobne – one są identyczne. Ale muszę mieć stuprocentową pewność. Na biurku przed nią leżała książka opisująca

działania Fundacji Rodziny Wrightów, otwarta na stronie ze zdjęciem ochronki w Gwatemali. Każdy szczegół wyglądał dokładnie tak samo, jak na rysunku, który stał na szpitalnym biurku w pokoju Jane Clausen. Ale to rysunek, a nie fotografia, przypomniała sobie. Może Alex dostrzeże jakieś różnice, których nie zauważyłam.

Oglądając zdjęcia, Alex rzeczywiście dostrzegł szczegół, który przeoczyła, tyle że nie była to różnica, ale kolejne podobieństwo. Na rysunku pani Clausen nad drzwiami wejściowymi do budynku widniało małe zwierzątko.

– Popatrz na to – powiedział Alex. – To antylopa. A teraz spójrz na fotografię w książce. Tam też jest. Antylopa jest w herbie naszej rodziny i umieszczamy ją nad drzwiami każdego budynku, który wybudowano za pieniądze Fundacji Wrightów.

Siedzieli obok siebie przy biurku Susan.

– W takim razie przed waszym sierocińcem na pewno nikt nie umieści tablicy z nazwiskiem Reginy Clausen – rzekła Susan.

– Susan, ten rysunek to fałszywka. Myślę, że ktoś bierze do własnej kieszeni pieniądze, które miały być przeznaczone na odbudowę tego obiektu.

– Muszę mieć pewność. – Susan pomyślała o Jane Clausen i o tym, jak bardzo rozczarowana i smutna będzie starsza pani, gdy dowie się, że Douglas Layton ją oszukiwał.

– Susan, wyglądasz na mocno zmartwioną – zauważył Alex.

– Jestem, ale nie martwię się o siebie. – Uśmiechnęła się bez przekonania. – Napijesz się kawy? Nie wiem jak ty, aleja potrzebuję

pewnej dawki kofeiny.

– Tak, chętnie. Chcę się przekonać, jak dobra jest twoja kawa. To może być bardzo ważne.

Susan zamknęła książkę.

– Jutro pokażę tę fotografię pani Clausen. Musi dowiedzieć się o tym jak najszybciej. – Spojrzała na biurko, uświadamiając sobie, że Alex musiał uznać ją za bałaganiarę. – Zwykle nie panuje tu taki nieład – wyjaśniła. – Pracowałam nad kilkoma rzeczami jednocześnie i stąd te wszystkie papiery.

Alex wziął do ręki ulotkę z wykazem pasażerów „Seagodivy” i otworzył ją.

– Brałaś udział w tym rejsie?

– Nie, nigdy nie płynęłam statkiem wycieczkowym. – Susan miała nadzieję, że Alex poprzestanie na tym pytaniu. Nie chciała opowiadać nikomu, nawet jemu, o swoich podejrzeniach.

– To tak jak ja – odparł, odkładając folder na biurko. – Cierpię na chorobę morską.

Przy kawie Alex przyznał się, że Binky dzwoniła do niego i próbowała wyciągnąć go na lunch.

– Spytałem, czy ty też będziesz, a kiedy odpowiedziała, że nie, wykręciłem się od spotkania.

– Mam wrażenie, że Binky za mną nie przepada – odparła Susan. – I chyba nie powinnam mieć jej tego za złe. Niemal na kolanach błagałam tatę, żeby się z nią nie żenił.

– Na kolanach? W miejscu publicznym? – spytał.

– Słucham? – Susan spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale dojrzała w

jego oczach iskierki rozbawienia i zrozumiała, że żartuje.

– Pytam, bo sam padłem na kolana przed swoim ojcem, prosząc, by nie zenił się z Gerie. To i tak nic nie pomogło, a Gerie znienawidziła mnie tak samo, jak Binky ciebie. – Wstał. – Powiniennem już iść. Moje biurko też czeka na sprzątnięcie. – W drzwiach odwrócił się i dodał: – Susan, wyjeżdżam na tydzień, najwyżej dziesięć dni. Masz czas, żeby nadgonić wszystkie sprawy, bo po moim powrocie chciałbym widywać cię częściej, dobrze?

Gdy tylko zamknęła za nim drzwi, rozległ się dzwonek telefonu. Dee dzwoniła, żeby się pożegnać.

– Jutro odlatuję do Kostaryki. Tam wsiadam na statek – wyjaśniła. – Popłynę aż do Callao. Wczoraj świetnie się bawiliśmy, prawda?

– Tak, było wspaniale.

– Zadzwoiłam do Aleksa, żeby podziękować mu za zaproszenie, ale nie było go w domu.

Susan wychwyciła pytający ton w głosie siostry, ale nie zamierzała tłumaczyć Dee, że Alex był u niej. , a tym bardziej podawać powodu tej wizyty.

– Może złapiesz go później. Baw się dobrze, Dee.

Odłożyła słuchawkę, boleśnie świadoma prawdziwej przyczyny, dla której nie potrafi cieszyć się z towarzystwa Aleksa. Nadal czuła, że między nim a Dee może się coś wydarzyć, zwłaszcza jeśli Dee nadal będzie mu się tak narzucać. A Susan nie miała najmniejszej ochoty na odstępowanie kolejnego mężczyzny własnej siostrze.

Don Richards cały dzień czuł dziwny niepokój. Bładym świtem ruszył do Central Parku pobiegać. Po powrocie do domu przygotował sobie śniadanie – omlet serowy. Czynność ta przypomniała mu, że gdy był mężem Kathy, zawsze w niedziele robił śniadania. Po śmierci żony zrezygnował z tego zwyczaju, nie czując potrzeby gotowania tylko dla siebie. Podczas śniadania próbował czytać „Timesa”, ale nie mógł się skoncentrować i w końcu, przy drugiej filiżance kawy, odłożył gazetę i podszedł do okna.

Była jedenasta rano. Okna jego mieszkania wychodziły na park; pełno w nim było teraz nowojorczyków, których rześki, słoneczny poranek skłonił do wyjścia z domu. W alejkach pojawiło się sporo amatorów joggingu. Zapaleńcy na łyżworolkach przemykali zygzakiem pomiędzy pieszymi. W parku pełno było par i całych rodzin. Richards zauważył jakąś starszą kobietę, która przysiadła na ławeczce i wystawiła twarz do słońca.

Odwrócił się od okna i poszedł do sypialni. Musiał spakować się na jutrzejszy wyjazd i sama myśl o tym napawała go wstrętem. Tak czy inaczej, już niedługo koniec. Jeszcze tylko tydzień promocji, a potem będzie miał czas dla siebie. Z biura podróży przefaksowano mu wykaz rejsów, na których były jeszcze wolne miejsca w pierwszej klasie i które odbywały się w interesującym go okresie.

Wrócił do biurka i zaczął przeglądać nadesłane informacje.

O drugiej po południu dotarł do Tuxedo Park. Gdy jego matka wróciła

z lunchu z przyjaciółmi, zastała go siedzącego na schodach werandy.

– Don, kochanie, dlaczego nie zawiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz? – spytała z ukrywaną irytacją.

– Wsiadając do samochodu, jeszcze nie byłem pewien, czy tu przyjadę. Świetnie wyglądasz, mamó.

– Ty też. Lubię cię w swetrach. Wyglądasz w nich młodziej. – Zobaczyła walizkę. – Czyżbyś wprowadzał się do mnie?

Uśmiechnął się.

– Nie, chciałem tylko zostawić to gdzieś na strychu. Zdjęcia Kathy, pomyślała.

– Pewnie, tam jest mnóstwo miejsca – odparła.

– Nie spytasz mnie, co jest w środku?

– Jeśli chcesz, żebym wiedziała, sam mi powiedz. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z Kathy.

– Spakowałem wszystkie rzeczy Kathy, które były jeszcze w mieszkaniu. Jesteś zdziwiona, mamó?

– Don, widocznie potrzebowałeś tych rzeczy, skoro je zachowałeś. A myślę, że teraz chcesz zamknąć za sobą przeszłość. Zaczynasz nowe życie i wiesz, że Kathy nie może być jego częścią. Czterdzieste urodziny skłaniają większość ludzi do uważnego spojrzenia za siebie – ale również przed siebie, w przyszłość. A propos, masz przecież klucz do domu. Dlaczego po prostu nie wszedłeś do środka?

– Zobaczyłem, że nie ma twojego samochodu i poczułem, że nie chcę wchodzić do pustego domu. – Wstał i przeciągnął się. – Chętnie napiję się herbaty, ale potem muszę jechać. Mam randkę dziś wieczorem. To już druga w tym tygodniu, a na dodatek z tą samą kobietą. I jak ci się to

podoba?

Krótko po siódmej zadzwonił do Susan z automatu w holu jej kamienicy.

– Chyba weszło mi w krew przeproszenie za spóźnienie – powiedziała, otwierając mu drzwi mieszkania. – Przez cały tydzień mój producent zmywał mi głowę za wpadanie do studia w ostatniej chwili. Kilka razy wbiegałam do gabinetu tuż przed pacjentem, a sam dobrze wiesz, że pacjenci psychologa nie powinni czekać. No a dziś, cóż... Nie będę kłamać: kilka godzin temu położyłam się na chwilę, a obudziłam dopiero teraz. Straszliwie zasnęłam.

– Widocznie potrzebny był ci sen – zauważył.

– Daj mi piętnaście minut na przygotowanie się, a w zamian dostaniesz kieliszek wina, dobrze? – spytała Susan.

– Zgoda.

Zauważyła, że bez żenady rozgląda się po mieszkaniu.

– Doktor Chandler, ma pani śliczne gniazdko – zauważył. – Jedna z moich pacjentek pracuje w biurze nieruchomości. Twierdzi, że wchodząc do jakiegoś mieszkania, potrafi wyczuć wibracje mieszkających tam ludzi.

– Wierzę w to – powiedziała Susan. – Cóż, nie wiem, jakie wibracje panują w tym miejscu, ale czuję się tu dobrze. Teraz naleję ci wina i pójdę się przebrać, a ty obejrzyj sobie mieszkanie.

Don poszedł za nią do kuchni.

– Nie musisz ubierać się elegancko – rzucił. – Jak widzisz, nie wystroiłem się dzisiaj. Po południu wpadłem na chwilę do matki. Powiedziała, że dobrze wyglądam w swetrach, więc narzuciłem tylko marynarkę.

W Donie Richardsie jest coś dziwnego, stwierdziła Susan, poprawiając kołnierzyk błękitnej bluzki i wkładając zakiet w jodełkę. Nie wiem, co to jest, ale na pewno jest w nim coś, co mnie jakoś niepokoi.

Wyszła z sypialni do przedpokoju i już miała powiedzieć: „Jestem gotowa”, gdy ujrzała, że Donald Richards przystanął przy biurku i z uwagą studiuje obie listy pasażerów.

Musiał ją usłyszeć, bo podniósł głowę i cicho powiedział:

– Po co ci te ulotki, Susan?

Zawahała się, a on odłożył foldery na biurko.

– Przepraszam, chyba zbyt ochoczo skorzystałem z pozwolenia obejrzenia mieszkania. To biurko to piękna dziewiętnastowieczna robota i wszedłem tu, bo chciałem obejrzeć je z bliska. Wykaz pasażerów nie jest chyba poufny, prawda?

– Niedawno powiedziałaś, że często pływałaś na „Gabrielle”, prawda?

– zagadnęła Susan. Nie była zadowolona, że Don grzebie w jej prywatnych papierach, ale postanowiła pominąć to milczeniem.

– Tak, wielokrotnie. To piękny statek. – Podeszedł do niej i dodał:

– Wyglądasz ślicznie, a ja umieram z głodu. Chodźmy już.

Poszli do przytulnej restauracji, serwującej owoce morza, przy Thompson Street.

– Właścicielem jest ojciec jednego z moich klientów – wyjaśnił Don.

– Zawsze daje mi zniżkę.

– Nawet bez zniżki tutejsze jedzenie warte jest swojej ceny – zauważyła Susan jakiś czas później, gdy kelner zabrał brudne naczynia.

– *Apompano* była wyborna.

– Łosoś też. – Urwał i pociągnął łyk wina z kieliszka. – Susan, chcę cię

o coś zapytać. Wczoraj i dziś po południu pojechałem do szpitala zobaczyć się z Justinem Wellsem. Powiedział mi, że też się z nim widziałaś. – Tak.

– Tylko tyle mi powiesz?

– Tylko tyle mogę ci powiedzieć. No i jeszcze to, że jestem przekonana, iż wypadek żony Justina nie był jedynie zbiegiem okoliczności i nie Wells jest zań odpowiedzialny.

– Tak. Wiem, że świadomość, iż ktoś wierzy w jego niewinność, jest dla Justina bardzo ważna, zwłaszcza teraz.

– Cieszę się. Naprawdę go polubiłam.

– Ja też, chociaż tak jak mówiłem ci kilka dni temu, uważam, że gdy tylko jego żona wydobrzeje, powinien podjąć leczenie, u mnie lub kogokolwiek innego. A przy okazji, powiedziano mi, że Carolyn czuje się lepiej. Niestety, Justin nadal wini się za jej wypadek i przeżywa w związku z tym prawdziwy koszmar. Znasz ten scenariusz, prawda? Jest przekonany, że gdyby nie zdenerwował żony, dzwoniąc wtedy do niej, nie wycofałaby się ze spotkania z tobą i wzięła taksówkę zamiast iść na pocztę pieszo. – Wzruszył ramionami.

– Rzecz jasna, dzięki temu, że tylu ludzi ma nadmierne poczucie winy, ja mam pracę. Ale naprawdę szczerze im współczuję. O, jest nasza kawa.

Kelner postawił przed nimi filiżanki.

Susan spróbowała napoju, po czym spytała prosto z mostu:

– A czy ty czujesz się winny?

– Do niedawna tak było, ale chyba w końcu zaczynam pozbywać się tego uczucia. Jednak zastanowiło mnie coś, co powiedziałaś kilka dni temu. To, że po rozwodzie rodziców czułaś się tak, jakby każde z was wylądowało na innej tratwie ratunkowej. Dlaczego właśnie tak?

– Hej, nie baw się w psychoanalizę – zaprotestowała Susan.

– Pytam jako przyjaciel.

– Dobrze, w takim razie odpowiem. W wypadku rozwodu taka sytuacja zdarza się często – uczucie rozdarcia. Mama miała złamane serce, a ojciec rozpowiadał wszystkim, że nigdy nie był szczęśliwszy. To postawiło pod znakiem zapytania wszystkie lata, kiedy żywiłam, najwyraźniej mylne, przekonanie, że jesteśmy naprawdę szczęśliwą rodziną.

– A twoja siostra? Czy jesteście ze sobą blisko? Nie, nie musisz odpowiadać – powinnaś zobaczyć teraz wyraz swojej twarzy.

Susan odparła:

– Siedem lat temu byłam w przeddzień zaręczyn, gdy na horyzoncie pojawiła się Dee. Zgadnij, która z nas zaręczyła się i została panną młodą?

– Twoja siostra.

– Właśnie. A potem Jack zginął pod lawiną, a ona znowu próbuje odbić mi faceta, z którym zaczęłam się spotykać. Miło, nie?

– Czy nadal kochasz Jacka?

– Nie sądzę, by można było przestać kochać kogoś, kogo kochało się równie mocno. Nie należy także usiłować wymazywać tego faktu z pamięci, bo i tak nie jest to możliwe. Jak zawsze tłumaczę swojej matce, chodzi o to, by zapomnieć o bólu i żyć dalej.

– A ty tak zrobiłaś?

– Tak, myślę, że mi się udało.

– Czy jesteś zainteresowana tym nowym mężczyzną?

– Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Ale może zmienilibyśmy temat. Porozmawiajmy o pogodzie. Chociaż nie, lepiej powiedz mi, dlaczego tak zainteresowały cię te spisy pasażerów?

Z oczu Dona Richardsa zniknął wyraz życzliwego zrozumienia.

– Dobrze, ale ty mi powiedz, dlaczego wykreśliłaś niektóre nazwiska, a dwa: Owena Adamsa i Henry’ego Owena Younga, wzięłaś w kółka?

– Owen to jedno z moich ulubionych imion – odparła Susan. – Don, jest już późno. Jutro wcześniej wyjeżdżasz, a przede mną kolejny długi dzień. – Pomyślała o Chrisie Ryanie, do którego miała zadzwonić o ósmej rano i o paczce pełnej zdjęć, która powinna nadejść z Londynu po południu. – Chociaż prawdę mówiąc, na miejscu muszę być dopiero o dziewiątej.

W poniedziałki Chris Ryan lubił przychodzić do pracy wcześniej. Niedziele przeznaczał na spotkania w gronie rodzinnym. Zawsze co najmniej dwoje z sześciorga jego dzieci przyjeżdżało wraz z rodzinami na obiad do rodziców.

Oboje z żoną uwielbiali towarzystwo wnuków, ale czasami, kiedy wieczorem padali na łóżko nieżywi ze zmęczenia, Chris z przyjemnością przypominał sobie, że nazajutrz idzie do pracy, a ludzie, których będzie przesłuchiwał, nie będą bić się o rower czy kłąć na wyścigi.

Wczorajszy dzień był wyjątkowo męczący, toteż dziś Chris wkroczył do biura już dwadzieścia po ósmej. Sprawdził wiadomości na automatycznej sekretarce i uznał, że kilka z nich wymaga natychmiastowej reakcji. Pierwszą zostawił w sobotę jego informator z Atlantic City, twierdząc, że dowiedział się sporo interesujących rzeczy na temat Douglasa Laytona. Drugą wiadomość nagrała dziś rano Susan Chandler: „Chris, tu Susan. Odezwij się, jak tylko przyjdiesz”.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Chris, chyba coś znalazłam i chcę, żebyś sprawdził dla mnie dwóch ludzi. Jeden to pasażer, który brał udział w rejsie „Gabrielle” trzy lata temu, drugi to pasażer „Seagodivy” sprzed dwóch lat. Sedno w tym, iż uważam, że to nie są dwie różne osoby. Myślę, że pod dwoma nazwiskami ukrywa się jeden człowiek, a jeśli moje podejrzenia są słuszne, możemy mieć do czynienia z seryjnym mordercą.

Chris pogrzebał w kieszonce koszuli i wyjął stamtąd długopis, a drugą

ręką sięgnął po kartkę papieru.

– Podaj mi nazwiska i daty. – Gdy zapisał je, zauważył: – W obu wypadkach chodzi o połowę października. Czy wtedy oferują jakieś zniżki?

– Nie zwróciłam na to uwagi – przyznała Susan. – Ale jeśli ten termin ma szczególne znaczenie, to lada dzień kolejna kobieta może znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Zajmę się tym. Moi ludzie w FBI potrafią wiele. A, Susan, wygląda na to, że twój kumpel Douglas Layton ma poważne kłopoty. W zeszłym tygodniu spędził sporo czasu przy stołach do gry w Atlantic City.

– Wiesz, że on nie jest moim kumplem. A co ma znaczyć „sporo czasu”?

– Tyle, ile trzeba, żeby stracić, powiedzmy, czterysta tysięcy dolarów. Spodziewam się, że ma bogatą ciotkę.

– Kłopot w tym, że tak mu się wydaje. – Suma czterystu tysięcy dolarów wprawiała ją w osłupienie. Człowiek, który potrafi przepuścić takie pieniądze na hazard, naprawdę jest w poważnych tarapatach. A w związku z tym może być zdesperowany i niebezpieczny. – Dzięki, Chris – rzuciła. – Skontaktuję się z tobą.

Susan odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Miała jeszcze chwilę czasu, by wpaść przed audycją do pani Clausen.

Starsza pani musi natychmiast dowiedzieć się o Laytome, pomyślała. Jeśli ma takie długi w kasynie, na pewno musi je natychmiast spłacić, a pieniądze na ten cel weźmie z funduszu powierniczego Clausenów.

Gdy Susan zadzwoniła i poprosiła o spotkanie tak wcześnie, Jane Clausen od razu zorientowała się, że stało się coś bardzo niedobrego. W przekonaniu tym utwierdził ją napięty ton głosu Douglasa Laytona, który zadzwonił chwilę później, by powiedzieć, że musi do niej wstąpić po drodze na lotnisko. Twierdził, że pani Clausen powinna podpisać jeszcze jeden dokument związany z sierocińcem.

– Możesz przyjść, ale dopiero o dziewiątej – oświadczyła twardo.

– Pani Clausen, spóźnię się na samolot.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Za kilka minut będzie tutaj Susan Chandler. – Urwała, po czym dodała oschłym tonem: – Wczoraj przyszła, żeby zrobić parę zdjęć rysunku ochronki. Nie powiedziała mi, do czego są jej potrzebne, ale zdaje mi się, że właśnie o tym chce dziś ze mną porozmawiać. Spodziewam się, że nie ma żadnych problemów z tym sierocińcem, Douglas?

– Oczywiście że nie, pani Clausen. Może jednak pani podpis nie będzie potrzebny...

– Mogę spotkać się z tobą o dziewiątej i oczekuję, że przyjdiesz.

– Tak, tak. Dziękuję, pani Clausen.

Kiedy Susan weszła do pokoju, Jane Clausen oznajmiła:

– Susan, nie musisz obawiać się mojej reakcji na to, co zamierzasz mi powiedzieć. Zaczynam wierzyć, że Douglas Layton oszukuje lub próbuje mnie oszukać. Jednak chciałabym zobaczyć jakieś dowody.

Po obejrzeniu książki o Fundacji Rodziny Wrightów Jane Clausen

zadzwoiła do Huberta Marcha, który nie wyszedł jeszcze z domu.

– Hubercie, jedź natychmiast do biura, zwołaj pilne posiedzenie komisji rewizyjnej i dopilnuj, żeby Douglas Layton nie miał żadnego dostępu do naszych kont, a przede wszystkim, by nie mógł wypłacić z nich żadnej sumy. I zrób to zaraz!

Odłożyła słuchawkę i wróciła do studiowania fotografii sierocińca zamieszczonej w książce:

– Wszystko jest identyczne, z wyjątkiem napisu na tablicy – zauważyła.

– Przykro mi – rzuciła cicho Susan.

– Niepotrzebnie. Nawet gdy Douglas był taki uprzejmy, czułam, że coś jest nie tak.

Zamknęła książkę i spojrzała na okładkę, po czym zaśmiała się.

– Gerie musi przewracać się w grobie – powiedziała. – Chciała, żeby fundacja została nazwana imieniem jej i Alexandra. Naprawdę nazywała się Virginia Marie, chociaż wszyscy zwracali się do niej „Gerie”. Ta głupia kobieta zapomniała, że pierwsza żona Aleksandra też miała na imię Virginia. A jak widzę, młody Alexander umieścił na wszystkich wydawnictwach sponsorowanych przez Fundację fotografię swojej matki.

– No i dobrze! – podsumowała Susan i obie roześmiały się.

Douglas Layton zaczął rozumieć, jak czuje się zwierzę złapane w potrzask. Zadzwoił do Jane Clausen z aparatu w hotelu znajdującym się w pobliżu szpitala. Miał nadzieję, że przyjmie go od razu, a on zyska upragniony podpis bez większych komplikacji.

Ty głupcze, karciał się teraz w myślach. Po co ją ostrzegałeś? Może i jest umierająca, ale nadal bystra. Teraz zadzwoni do Huberta i każe mu zablokować konta. A wtedy jesteś ugotowany – ludzie tacy, jak twoi wierzyciele, nie słuchają żadnych wymówek.

Choćby nie wiem co, musi mieć te pieniądze. Wzdragał się na myśl, co mu zrobią, jeśli nie spłaci długów w kasynie. Gdyby tylko tamtej nocy nie był taki pewien wygranej. Pieniądze otrzymane z czeku podpisanego przez Jane Clausen zamierzał wpłacić na swoje konto, z przeznaczeniem na czarną godzinę. Ale potem uznał, że mógłby za nie zagrać. Był przekonany, że tym razem naprawdę mu się poszczęści. I przez chwilę rzeczywiście tak było. W jednej grze wygrał prawie osiemset tysięcy, tyle że wkrótce przegrał całą tę sumę i jeszcze kolejne kilkaset tysięcy.

Powiedzieli mu, że ma czas do jutra na uregulowanie długu, lecz wiedział, że jutro może być już za późno. Do tej pory Susan Chandler niewątpliwie dowie się o jego tajemnicy, a wtedy na pewno pójdzie prosto do pani Clausen. Może nawet skontaktują się z policją. A wszystkiemu winna była właśnie Susan Chandler. To od niej wszystko się zaczęło.

Stał przy automacie, zastanawiając się, co robić. Dłonie spotniały mu ze zdenerwowania. Zauważył, że przy sąsiednim automacie stoi jakaś

kobieta i gapi się na niego z zaciekawieniem.

Zostało mu jeszcze jedno wyjście, które być może zadziała. Nie, nie „być może” – musi zadziałać. Jaki jest numer domowy Huberta Marcha?

Złapał Huberta, gdy ten właśnie wychodził do biura. Zaniepokojony głos Marcha, pytający: „Douglas, o co tu chodzi?”, tylko utwierdził go w przekonaniu, że pani Clausen już do niego dzwoniła.

– Jestem u pani Clausen – oznajmił Doug. – Obawiam się, że nie jest z nią najlepiej. Co chwila traci świadomość. Teraz uznała, że powinna zadzwonić do ciebie i przeprosić, za to co powiedziała.

Bez troski śmiech Huberta Marcha zdjął mu kamień z serca.

– Nie mnie należą się przeprosiny, ale tobie, mój chłopcze.

Jim Curley odwiózł Aleksa Wrighta na lotnisko Kennedy'ego. Zatrzymał się przed wejściem do sali odpraw i wystawił bagaże na chodnik.

– Ale tłok, prawda? – zagadnął, zerkając nerwowo na kręcącą się nieopodal policjantkę, gotową wlepić mandat każdemu, kto zbyt długo zwleka z odstawieniem samochodu na parking.

– A czego spodziewałeś się w poniedziałek o dziewiątej rano? – zapytał Alex Wright. – Wracaj do auta i odjeżdżaj, zanim każą nam płacić mandat. Pamiętaj, co masz zrobić?

– Oczywiście, panie Wright. Mam zadzwonić do doktor Chandler i powiedzieć, że jestem do jej dyspozycji.

– Tak jest – rzucił Alex .

– I?... – dodał zachęcającym tonem.

– I ona pewnie wygłosi – jak pan to nazwał? – notę protestacyjną, że nie potrzebuje samochodu, i tak dalej. A ja mam wtedy powiedzieć: „Pan Alex błaga, by zechciała pani skorzystać z moich usług, ale pod jednym warunkiem: nie może pani wozić jego samochodem swoich chłopaków”.

Alex roześmiał się głośno i poklepał kierowcę po ramieniu.

– Wiem, że mogę liczyć na ciebie, Jim. A teraz zjeżdżaj. Ta policjantka ma wyraźną ochotę na uszczuplenie bloczku z mandatami.

W poniedziałek Susan po raz pierwszy od dawna nigdzie się nie śpieszyła. Kiedy po skończeniu programu pojechała do swego gabinetu, przekonała się, że do wizyty pierwszego pacjenta pozostało jej jeszcze ponad półtorej godziny. Rzadko kiedy miała tyle wolnego czasu i nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić.

Zdecydowała, że przejrzy teczkę z materiałami dotyczącymi wydarzeń ostatniego tygodnia. Umieściła w niej ulotki, które Regina Clausen dostała na „Gabrielle”, i podobne z „Seagodivy”, zabrane z mieszkania Carolyn Wells, a także zdjęcia pierścionka Tiffany, przesłane przez Pete’a Sancheza.

Przejrzała je wszystkie jeszcze raz, ale nie doszła do żadnych nowych wniosków.

Wreszcie przesłuchiwała nagrania trzech ostatnich programów: poniedziałkowego z telefonem od Carolyn Wells oraz wtorkowego i środowego z wypowiedziami Tiffany Smith. Uważnie wsłuchiwała się w głos Carolyn, przerażonej i zdenerwowanej perspektywą wplątania się w kłopoty, i Tiffany, która po obietnicy pokazania pierścionka we wtorek zadzwoniła w środę pełna skruchy i przeproszająca.

Niestety, uważne przesłuchanie taśm również nie na wiele się zdało. Tu także Susan nie odkryła nic nowego.

Poprosiła Janet, żeby wstrzymała się z zamawianiem lunchu do pierwszej. O pół do drugiej sekretarka wkroczyła do jej gabinetu z torebką wypchaną jedzeniem. Pod nosem nuciała „Jesteś tylko moja”.

– Doktor Chandler – oznajmiła, kładąc lunch na biurku Susan – ta piosenka kołatała mi się po głowie przez cały weekend. Nie mogę się jej pozbyć. A jeszcze na dodatek nie pamiętałam słów. W końcu zadzwoniłam do mamy i zaśpiewała mi całą piosenkę. To naprawdę śliczna melodia.

– Tak – przytaknęła bezmyślnie Susan, otwierając torebkę, by wyjąć z niej Zupę firmową. Dziś była nią groszkowa, której nie znosiła, o czym Janet dobrze wiedziała.

W przyszłym miesiącu wychodzi za mąż i wyjeżdża do Michigan, przypomniała sobie Susan. Nie ma sensu się z nią kłócić. To już niedługo.

– „Zwiedź piramidy nad Nilem, na dzikiej wyspie zatrzymaj się chwilę... „ – Janet nie proszona zaczęła wyśpiewywać słowa piosenki.

– „Ujrzyj cuda algierskich bazarów... „

W jednej chwili Susan zapomniała o złości.

– Janet, przestań na chwilę – powiedziała. Janet wyglądała na zmieszaną.

– Przepraszam, jeśli przeszkadza pani mój śpiew.

– Nie, nie. Wcale mi nie przeszkadza – rzuciła Susan. – Po prostu coś mi się przypomniało w związku z tą piosenką.

Susan pomyślała o gazetkach pokładowych z „Gabrielle”, w których Bali określano mianem „dzikiej wyspy” i o pocztówce przedstawiającej restaurację na Bali, na której zakreślono kółkiem jeden ze stolików.

Susan dopadła nagła fala mdłości, gdy uświadomiła sobie, że kawałki układanki zaczynają dopasowywać się do siebie. Tak, widziała je już, ale nadal nie wiedziała, kto je układa.

„Win”, czy też Owen, chciał zabrać Carolyn Wells do Algieru, pomyślała. „Ujrzyj cuda algierskich bazarów”.

– Janet, mogłabyś zaśpiewać resztę zwrotki? Teraz, dobrze? – poprosiła Susan.

– Skoro pani chce... Nie mam dobrego głosu. Zaraz, zaraz... A, już pamiętam: „Uleć ptakiem srebrnym w kraj czarów...”

Trzy lata temu Regina zaginęła po pobycie na Bali, rozważała Susan. Rok później to samo mogło spotkać Carolyn – a może spotkało jakąś inną kobietę – w Algierze. W zeszłym roku mógł upatrzeć swą ofiarę nie na statku, lecz w samolocie. A wcześniej? – zastanawiała się. Czy przed czterema laty uwiódł jakąś kobietę w Egipcie? To by pasowało do schematu, stwierdziła.

– „Zobacz, co to dżungla zaklęta... „ – ciągnęła Janet.

To może być hasło dla tegorocznej ofiary, pomyślała Susan. Kogoś nowego. Kogoś, kto nawet nie podejrzewa, że jest naznaczony dotknięciem śmierci.

– „Lecz nim wrócisz do domu, pamiętaj...” – Janet najwyraźniej przypadła do gustu ta piosenka. Ścisząc głos, zakończyła patetycznie:

– „Jesteś tylko moja”.

Natychmiast po wyjściu Janet Susan zadzwoniła do Chrisa Ryana.

– Chris, spróbujesz sprawdzić dla mnie jeszcze jedną rzecz? Muszę się dowiedzieć, czy cztery lata temu, mniej więcej w połowie października, zgłoszono zaginięcia jakichś kobiet – najpewniej turystek – w Egipcie.

– To nie powinno być trudne – rzekł Ryan. – I tak miałem właśnie do ciebie dzwonić. Pamiętasz nazwiska, które mi podałaś? No wiesz, tych pasażerów statków wycieczkowych.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytała Susan.

– Ci faceci nie istnieją. Ich paszporty były fałszywe. Wiedziałam! –

pomyślała Susan. Wiedziałam!

Chris Ryan zadzwonił pięć po piątej po południu. Susan złamała jedną z podstawowych zasad, przerywając spotkanie z pacjentem, ale podniosła słuchawkę.

– Susan, wygląda na to, że uderzasz we właściwe struny – oznajmił Ryan. – Cztery lata temu w Egipcie zaginęła trzydziestodwuletnia wdowa z Birmingham w stanie Alabama. Brała udział w rejsie po portach Bliskiego Wschodu. Najprawdopodobniej zrezygnowała ze zorganizowanego zwiedzania portu i wybrała się do miasta na własną rękę. Nigdy nie znaleziono jej ciała, ale biorąc pod uwagę niepokoje społeczne w Egipcie, uznano, że zapewne została zamordowana przez jedną z grup terrorystycznych, działających na terenie kraju.

– Trudno mi w to uwierzyć, Chris – odparła Susan.

W chwilę później, gdy odprowadzała pacjenta do wyjścia, natknęła się na gońca, który przyniósł pękatą paczkę. Wysłano ją z Ocean Cruise Pictures Ltd. w Londynie.

– Otworzę ją, pani doktor – zaproponowała Janet.

– Nie trzeba – rzuciła szybko Susan. – Niech leży, później się nią zajmę.

Akurat dzisiaj większość pacjentów była umówiona na popołudnie, więc Susan wiedziała, że nie skończy z nimi przed siódmą. Ale po pracy będzie mogła przejrzeć zdjęcia i, jeśli dopisze jej szczęście, ujrzy w końcu twarz mężczyzny, który zabił Reginę Clausen i inne kobiety.

Kusiło ją, by od razu zobaczyć fotografie. Należało znaleźć mordercę, zanim uderzy po raz kolejny.

Był jeszcze inny powód, szczególnie ważny dla Susan: zrobiłaby

wszystko, by stojąc przed umierającą Jane Clidbsen, móc jej powiedzieć, że człowiek, który zabrał jej córkę, już nigdy nie złamie serca żadnej matki.

Don Richards przybył na lotnisko w West Palm Beach zgodnie z rozkładem – w poniedziałek o dziewiątej rano. Na lotnisku czekał na niego przedstawiciel wydawnictwa, który zawiózł go do księgarni Liberty's w Boca Raton, gdzie o dziesiątej trzydzieści Richards miał podpisywać swoją książkę. Po przyjeździe na miejsce stwierdził mile zaskoczony, że przed sklepem ustawiła się długa kolejka oczekujących.

– Dzwoniło ze czterdzieści osób i wszyscy chcieli zamówić pańską książkę – poinformował go uszczęśliwiony sprzedawca. – Powinien napisać pan drugą część „Znikających kobiet”.

Chyba to nie najlepszy pomysł, stwierdził w duchu Richards, siadając za specjalnie przygotowanym na tę okazję stołem. Wyjął długopis i zabrał się do podpisywania książek. Wiedział, co go jeszcze dziś czeka, i wiedział również, co powinien zrobić. Nadal trawił go dziki niepokój i z trudnością powstrzymywał się od ucieczki z tego miejsca.

W godzinę (osiemdziesiąt podpisanych książek) później wyruszył do Miami, gdzie o drugiej miał kolejne spotkanie z czytelnikami.

– Przepraszam, ale nie będzie żadnych dedykacji, tylko podpis – oznajmił na wstępie właścicielowi księgarni. – Wypadło mi coś nagłego i mogę zostać najwyżej do trzeciej.

Kilka minut po trzeciej siedział z powrotem w samochodzie.

– Następny przystanek – Fontainebleau – oznajmił radośnie szofer.

– Nie. Następny przystanek – lotnisko – poprawił Don. Samolot do Nowego Jorku odlatywał o czwartej. Richards zamierzał znaleźć się na

jego pokładzie.

Dee przyleciała do Kostaryki w poniedziałek rano i z lotniska udała się prosto do portu, gdzie zacumował właśnie jej statek – „Valerie”.

Po południu bez większego entuzjazmu dołączyła do wycieczki po porcie. Kiedy zapisywała się na ten rejs, wydawało jej się, że to świetny pomysł. „Wielka ucieczka”, jak nazwał go jej ojciec. Ale teraz nie była już taka pewna. A poza tym po przyjeździe stwierdziła z niejakim zmieszaniem, że nie bardzo wie, od czego ucieka.

Wróciła na „Valerie” przemoczona do suchej nitki ulewą, która zaskoczyła ich w środku dżungli, żałując, że nie zrezygnowała z rejsu. Racja, kajuta na górnym pokładzie była cudowna, miała nawet własny taras. Współpasażerowie również wydawali się całkiem sympatyczni. A mimo to była niespokojna, a nawet zdenerwowana – czuła, że nie powinna wyjeżdżać teraz z Nowego Jorku.

Jutro statek zawijał na wyspy San Blas u wybrzeży Panamy. Powinien dotrzeć do portu koło południa. Może tam złapię samolot do Nowego Jorku, pomyślała. Zawsze mogę powiedzieć, że zachorowałam.

Wjeżdżając windą na pokład, Dee była już zdecydowana wracać do domu. W Nowym Jorku miała sporo do zrobienia.

Wyszła z windy i skierowała się do swojej kajuty, ale po drodze zatrzymała ją stewardesa:

– Właśnie przyniesiono dla pani cudowny bukiet kwiatów – powiedziała. – Postawiłam go na toaletce.

Dee przyśpieszyła kroku, zupełnie zapominając o wcześniejszym

przygnębieniu. Otworzyła drzwi i natychmiast zauważyła wazon wypełniony dwoma tuzinami bladozłotych róż. Szybko przeczytała karteczkę z dedykacją; napisano na niej tylko krótkie zdanie: „Zgadnij, od kogo”.

Dee zmięła kartkę w dłoni. Nie musiała zgadywać – wiedziała, kto jest ofiarodawcą.

Kiedy podczas kolacji w sobotę usiadła koło Aleksa Wrighta, ten powiedział:

– Cieszę się, że Susan zamieniła się z tobą miejscami. Nie mogę patrzeć, jak taka piękna kobieta siedzi samotnie. Chyba jestem podobny do swego ojca bardziej, niż przypuszczałem. Moja macocha była równie piękna i równie smutna jak ty, gdy ojciec poznał ją na statku wycieczkowym. I też była wdową. Ojciec przerwał jej samotność, żeniąc się z nią.

Dee przypomniała sobie, że zażartowała wówczas, iż małżeństwo jest dosyć drastyczną metodą walki z samotnością, lecz Alex ujął jej dłoń i powiedział:

– Może tak, ale istnieją gorsze rozwiązania.

Jest znowu tak jak z Jackiem, pomyślała, wachając róże. Nie chciałam wtedy skrzywdzić Susan i teraz też tego nie chcę. Ale ona chyba jeszcze nie zaangażowała się w tę znajomość. Przecież ledwie go zna. Na pewno zrozumie.

Dee wzięła prysznic, umyła włosy i przebrała się do kolacji, myśląc o tym, że gdyby Alex zamiast do Rosji wybrał się na ten rejs, mogłoby być całkiem zabawnie.

Dziękuję, doktor Chandler. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Dziesięć po siódmej Susan odprowadzała do drzwi ostatnią pacjentkę, Annę Ketler. Przechodząc obok biurka, zauważyła, że ktoś otworzył paczkę z Londynu i rozsypał wszystkie zdjęcia na blacie. „Mają uszy, a nie słyszą”, pomyślała.

Otwierając drzwi przed panią Ketler, zauważyła, że nie zostały zamknięte na klucz. Janet to naprawdę miła osoba, pomyślała, i niezła sekretarka, ale jest okropnie roztrzepana. I denerwująca. Dobrze, że odchodzi w przyszłym miesiącu, nie wiem, czy potrafiłabym sama ją wyrzucić.

– Ale tu ciemno – zauważyła pani Ketler, gdy wyszły na korytarz. Susan spojrzała w głąb holu. Spowijał go mrok, nieznacznie rozjaśniony blaskiem dwóch lamp.

– Rzeczywiście – odparła. – Proszę wziąć mnie pod rękę. Odprowadzę panią do windy.

Pani Ketler, kobieta po siedemdziesiątce, nie była specjalnie bojaźliwa, ale udzielił jej się ponury nastrój pomieszczenia. Pojawiła się w gabinecie Susan rok temu, mając nadzieję na pozbycie się depresji, której nabawiła się, gdy po sprzedaniu mieszkania przeprowadziła się do domu opieki.

Susan poczekała na windę, a gdy ta przyjechała, wprowadziła doń Annę Ketler, wcisnęła guzik z napisem „Parter”, po czym zawróciła z powrotem do gabinetu. Zatrzymała się na moment przy kancelarii Neddy, ale drzwi były zamknięte.

W końcu posłuchała moich rad, pomyślała. Postanowiła, że jednak nie skorzysta z sali konferencyjnej przyjaciółki. Skoro dostała zaledwie kilkaset zdjęć, nie potrzebowała do ich przejrzenia tak wiele miejsca.

Jutro wieczorem to co innego – będzie musiała sprawdzić tysiące fotografii wykonanych na „Gabrielle”. Wtedy długi, szeroki stół Neddy bardzo się przyda do posortowania i przejrzenia tych zdjęć. Poproszę o pomoc Chrisa Ryana, doszła do wniosku. Jest świetnym obserwatorem i ma dobre oko do szczegółów.

Może ten Owen pojawi się w tle kilku fotografii, pomyślała. Wtedy byłoby o wiele łatwiej.

Wchodząc do recepcji, zebrała z biurka Janet stosy zdjęć. Nie zauważyła wiadomości, którą sekretarka zostawiła dla niej koło telefonu. Szybkim krokiem ruszyła do gabinetu. W budynku panowała idealna cisza, tak że Susan niemal słyszała przyspieszone bicie własnego serca – wiedziała, że to podniecenie jest wywołane perspektywą ujrzenia twarzy człowieka, który stał za tymi wszystkimi zabójstwami. Dlaczego się tak denerwuję? – zastanawiała się, mijając szafę ze szczotkami i środkami czystości. Drzwi były lekko uchylone, ale nie miała jak ich zamknąć – obie ręce miała zajęte.

Rozkładając zdjęcia na biurku, potrąciła przypadkowo wazon, który dostała od Aleksa. Naczynie spadło na podłogę, rozbijając się na kawałki. Szkoda, pomyślała, zmiatając skorupy na śmietniczkę.

To jeden ze skutków ostatnich wydarzeń, pomyślała, chowając akta Anny Ketler do dolnej szuflady biurka. Zeszły tydzień był jednym wielkim koszmarem. Zamknęła szufladę i schowała klucz do kieszeni żakietu. Później odniosę go do recepcji, pomyślała. Teraz muszę zająć się

zdjęciami.

Ciekawe, jak on wygląda? – zastanawiała się. Wiedziała, że prawdopodobnie i tak go nie pozna. Cała nadzieja w tym, że zdjęcie będzie na tyle wyraźne, by policja miała z niego jakiś pożytek.

Godzinę później Susan nadal tkwiła przy biurku – do tej pory nie znalazła zdjęcia Carolyn Wells. Musi tu być, myślała. Powiedzieli przecież, że wyślą wszystkie zdjęcia kapitana statku z kobietami.

Zachowała fragment zdjęcia znaleziony w koszu na śmieci w mieszkaniu Carolyn. Starła się dopasować go do którejś z fotografii rozrzuconych na biurku. Ale mimo że obejrzała je wszystkie kilka razy, nie znalazła tej, której szukała. Tego zdjęcia po prostu nie było.

– Gdzież ono jest, do diabła? – rzuciła głośno, czując jak ogarniają znużenie i rozczarowanie. – Dlaczego wśród tylu innych brakuje właśnie tego?

– Bo ja je mam, Susan – odezwał się znajomy głos.

Susan odwróciła się błyskawicznie, na tyle szybko, że zdołała jeszcze usłyszeć świst przycisku do papierów opadającego na jej skroń.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Wobec Susan Chandler zastosuje tę samą metodę, która sprawdziła się w wypadku jej poprzedniczek. Przywiąże jej ręce do tułowia, a nogi zwiąże razem; skrępuje ją tak, że gdy obudzi się i zrozumie, co się stało, będzie jej się wydawało, że ma jakieś szanse. Lekko poluzuje więzy – na tyle, by mogła się poruszyć, ale nie wystarczająco, by zdołała się oswobodzić.

Obwiązując sznurkiem jej bezwładne ciało, naturalnie wyjaśni jej, dlaczego to robi. To samo mówił poprzednim ofiarom, i chociaż tej śmierci nie planował, gdyż wynikała raczej z przykrewj konieczności, uważał, że Susan ma prawo wiedzieć, iż bierze udział w rytuale, który stanowi zadośćuczynienie za grzechy jego macochy.

Gdyby chciał, z łatwością zabiłby ją tym przyciskiem, ale celowo nie uderzył zbyt mocno. Cios jedynie ją oszołomił i już zaczynała odzyskiwać przytomność. Na pewno będzie teraz na tyle przerażona, że z uwagą wysłucha tego, co on zamierza jej powiedzieć.

– Musisz zrozumieć, Susan – zaczął uspokajającym tonem. – Gdybyś nie zaczęła wtrącać się w nie swoje sprawy, nie musiałbym ci tego robić. Wiesz, polubiłem cię. Naprawdę. Jesteś interesującą i bardzo inteligentną kobietą. Ale ty wszystko zepsułaś. Być może zgubiła cię właśnie twoja inteligencja.

Delikatnie podniósł ją, by opasać sznurem jej ramiona. Leżała na podłodze koło biurka; znalazł gdzieś poduszkę i podłożył jej pod głowę. Przygasił światło. Lubił przebywać w półmroku i jeśli było to możliwe,

chętnie korzystał ze światła świec. Rzecz jasna, w tej sytuacji było to niemożliwe.

– Susan, dlaczego musiałaś opowiadać o Reginie Clausen w swoim programie? Powinnaś była zostawić tę sprawę w spokoju. Ona umarła trzy lata temu. Jej ciało leży na dnie zatoki Kowloon. Byłaś kiedyś nad zatoką Kowloon? Reginie bardzo się tam podobało. To piękne miejsce. Te wszystkie łódki na powierzchni – w każdej mieszkają ludzie, lecz nikt z nich nie wie, że wiele metrów pod nimi spoczywa pewna samotna kobieta. – Obwiązywał teraz sznurem jej tułów. – Regina zakończyła swą podróż w Hongkongu, ale to na Bali zakochała się we mnie. To dziwne, lecz mimo że była taka bystra, z łatwością dała się namówić na zejście ze statku. Ale tak właśnie się dzieje, gdy człowiek czuje się samotny. Strasznie chce się zakochać, więc jest skłonny zawierzyć każdemu, kto się nim zainteresuje. – Zaczął krępować dolną połowę ciała Susan. Chociaż miała na sobie spodnie, wyczuwał dłońmi idealny kształt jej nóg, gdy podniósł je, by owinąć sznurem. Niezłe, przyznał w duchu. – Wiesz, Susan, mój ojciec też dał się ogłupić. Czy to nie śmieszne? Razem z mamą stanowili ponurą, smutną parę, ale kiedy zmarła, ojcu naprawdę jej brakowało. Był bogaty, a mama też miała niezłą fortunę. W testamencie zapisała mu wszystko, z nadzieją, że podzieli się ze mną. Nie była osobą ciepłą, czułą czy szczodrobliwą, lecz na swój sposób mnie kochała. Powtarzała mi, że mam być podobny do ojca – zarabiać dużo pieniędzy, przykładać się do pracy i znać się na interesach.

Wspominając kazania matki, nieświadomie mocniej zacisnął więzy. – Wiesz, co mi mówiła? Mówiła: „Alex, pewnego dnia zbijesz prawdziwą fortunę. Musisz wiedzieć, jak ją pomnażać. Kiedyś będziesz miał własne

dzieci. Naucz je tego. Nie wolno ci ich rozpuścić”. – Klęczał obok Susan. Chociaż z jego słów przebijała złość, mówił spokojnie, niemal gawędziarskim tonem: – W szkole zawsze miałem najmniejsze kieszonkowe i trudno mi było imponować rówieśnikom. Dlatego zostałem samotnikiem – nauczyłem się sam organizować sobie czas. Zainteresowałem się teatrem. W szkolnych przedstawieniach grałem wszystkie role, jakie mi proponowano. W domu miałem nawet miniaturowy teatrzyk – prezent od przyjaciela rodziców, który dzięki pomocy mego ojca zbił majątek na akcjach. Z wdzięczności chciał mi ofiarować jakiś prezent. Powiedział, że mogę wybrać, co tylko chcę – więc wybrałem ten teatrzyk. Odgrywałem w nim całe sztuki. Grałem wszystkie role. Z czasem stałem się w tym naprawdę dobry, może nawet mógłbym być zawodowym aktorem. Umiałem wcielić się w każdą postać, nauczyłem się wyglądać i zachowywać tak, jak wymagała tego rola.

Susan słyszała znajomy głos, ale głowę rozsadzał jej potworny ból i nie odważyła się otworzyć oczu. Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się. Gdzieś w pobliżu jest Alex Wright, ale kto mnie uderzył? Zanim upadła, w ostatnim przeblysku świadomości zdołała dostrzec jakąś postać. Twarz ukryta pod strąkami długich włosów i czapką, brudna przeupocona koszula.

Zaraz, zaraz, pomyślała, próbując się skoncentrować. To głos Aleksa, czyli nadal tu jest. Więc dlaczego zamiast mi pomóc, tylko coś mówi? – zastanawiała się, powoli odzyskując świadomość.

Wtedy dotarło do niej znaczenie słyszanych słów i otworzyła oczy. Pochylał się nad nią, tak że tuż przed oczami miała jego twarz. W lśniących oczach widać było błysk szaleństwa, który tak często obserwowała u pacjentów przebywających na oddziale zamkniętym.

Oszalał! – pomyślała. Teraz widziała wyraźnie – pod rozczochraną peruką skrywał się Alex! Alex ubrany w jakieś stare szmaty! Alex, którego spojrzenie zdawało się przewiercać ją na wylot niczym ostre odłamki turkusu.

– Przygotowałem ci całun, Susan – wyszeptał. – Nie jesteś jedną z mych samotnych dam, ale mimo to chcę ci go dać. Jest taki sam jak ten, którym spowiłem pozostałe.

Wstał i wtedy ujrzała, że w ręce trzyma długi plastikowy worek, podobny do tych, w których przechowuje się smokingi i suknie wieczorowe. O, Boże! – pomyślała. Chce mnie udusić!

– Zrobię to powoli, Susan – oznajmił. – Ten moment lubię najbardziej. Chcę widzieć twoją twarz. Chcę ofiarować ci ten moment oczekiwania na chwilę, gdy zużyjesz całe powietrze i zacznie się ostateczna walka. Dlatego zrobię to powoli i nie zwiążę cię zbyt mocno. W ten sposób będziesz umierała dłużej, co najmniej kilka minut.

Znowu ukląkł przed nią i podniósł jej stopy, wsuwając pod nie folię, tak by znalazły się w środku worka. Próbowwała kopać, ale położył się na niej i patrząc jej prosto w oczy wsuwał folię dalej, przez biodra, talię. Jej wysiłki na nic się nie zdały, nawet na chwilę nie zdołała go zatrzymać. Dociągnął folię aż do jej szyi i wtedy zatrzymał się.

– Widzisz, po śmierci matki ojciec wybrał się w rejs – powiedział. – Na statku poznał Virginie Marie Owen, samotną wdowę – przynajmniej ona tak mówiła. Była bardzo dziewczęca, zupełnie inna niż moja matka. Kazała nazywać się Gerie. Była trzydzieści pięć lat młodsza od ojca i bardzo atrakcyjna. Powiedział mi kiedyś, że gdy tańczyli, lubił cicho podśpiewywać jej do ucha. Ulubioną piosenką Gerie była „Jesteś tylko

moja”. Zgadnij, jak spędzili miesiąc miodowy? Pojechali do Egiptu, a stamtąd w miejsca, o których mowa w tej piosence.

Susan obserwowała twarz Aleksa. Widać było, że jeszcze raz przeżywa tę historię. Ale jego dłonie cały czas bawiły się folią i Susan miała świadomość, że lada chwila zarzuci torbę na jej głowę. Zastanawiała się, czy nie zacząć krzyczeć, ale kto ją usłyszy? Nie miała żadnych szans ucieczki, a w budynku nie było nikogo oprócz ich dwojga. Nawet Nedda wyszła dziś wyjątkowo wcześniej.

– Mój ojciec zachował choć tyle rozsądku, że kazał Gerie podpisać umowę przedślubną. Ona jednak znienawidziła mnie tak bardzo, że dołożyła wszelkich starań, żeby ojciec zamiast zapisać swój majątek mnie, utworzył fundację. Ja miałem poświęcić swoje życie zarządzaniu nią. Tłumaczyła ojcu, że otrzymam godziwą pensję, rozdając jego pieniądze. Moje pieniądze. Powiedziała mu, że w ten sposób ich nazwiska zostaną na zawsze uwiecznione w pamięci potomnych. Ojciec początkowo sprzeciwiał się temu pomysłowi, ale w końcu dał się przekonać. Ostatni gwóźdź do trumny stanowiła moja własna bezmyślność – Gerie odkryła i pokazała ojcu dziecinną listę, którą kiedyś sporządziłem – spis rzeczy, które kupię, gdy w końcu przejmę majątek. Znenawidziłem ją za to i poprzysiągłem jej zemstę. Niestety, zmarła wkrótce po ojcu, nie płacąc za moje krzywdy. Możesz sobie wyobrazić, jakie to było frustrujące? Nienawidziłem Gerie z całego serca, a jej udało się oszukać przeznaczenie, pozbawiła mnie tego, na co tak czekałem.

Susan wpatrywała się w jego twarz, gdy patrzył na nią nieobecny spojrzeniem. On jest naprawdę szalony, pomyślała. Jest szalony i zabije mnie. Zginę tak, jak wszystkie jego ofiary!

O ósmej wieczorem Doug Layton wylądował przy stole do black jacka w jednym z ostatnich kasyn Atlantic City. Dzięki szybkiemu działaniu i przesunięciu pewnych funduszy zdołał zgromadzić sumę potrzebną do pokrycia długu, który zaciągnął podczas ostatniej wizyty w tym miejscu, nadal jednak nie miał wstępu do kasyna, które lubił najbardziej. W oczach wielu znajomych z Atlantic City Layton był zwykłym próżniakiem.

Z drugiej strony, ludzie, których właśnie spłacił, wydawali się nie żywić żadnej urazy – nawet zaprosili go na lunch. W pewnej mierze Doug cieszył się ze sposobu, w jaki załatwił tę sprawę. Prędzej czy później komisja rewizyjna i tak odkryłaby, że podkrada pieniądze fundacji Clausenów, a poza tym nadal istniało duże prawdopodobieństwo, że Jane Clausen jeszcze raz zadzwoni do Huberta Marcha – może nawet uda jej się przekonać go, by zgłosił wszystko na policji. Ale ponieważ Doug w porę zorientował się, co się święci, postanowił, że ucieknie z półmilionową wygraną, którą zdobył dzisiaj wieczorem. Zarezerwował już miejsce w samolocie do St. Thomas. Stamtąd dostanie się na jedną z tych małych wysepek, które nie podpisały ze Stanami umowy o ekstradycji. Tak właśnie zrobił jego ojciec i nigdy go nie złapano.

Pół miliona to nieźle jak na początek nowego życia. Layton wiedział o tym i był zdecydowany wyjechać z kraju z taką sumą.

– Nie możesz wyjść bez pożegnalnej gry – powiedział jeden z jego nowych znajomych.

Doug Layton zastanawiał się przez chwilę, czy podjąć to wyzwanie. Doszedł do wniosku, że dziś szczęście mu dopisuje.

– Dobrze, ale tylko jeden raz. Niech będzie Black jack – powiedział. Wyszedł z kasyna już o dziewiątej. Ledwie zwracając uwagę na otoczenie, skierował się prosto na plażę. Tym razem nie miał już skąd wziąć potrzebnych pieniędzy – pieniędzy, które znowu pożyczył od niedawnych wierzycieli, gdy szczęście raz jeszcze odwróciło się od niego. Wszystko skończone. Wiedział, co go teraz czeka: oskarżenie o defraudację. Więzienie albo jeszcze gorzej.

Zdjął marynarkę i położył na niej zegarek i portfel. Czytał gdzieś, że tak się zwykle robi, i teraz wydało mu się to całkiem logiczne.

Do jego uszu dobiegał huk fal bijących o brzeg. Nad oceanem wiał silny, chłodny wiatr; dziś przyływ był wyjątkowo wysoki. Layton zadrżał z zimna. Zastanawiał się, ile czasu potrzeba, by utonąć, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie wiedzieć. To jedna z tych rzeczy, których nie poznasz, dopóki jej nie zrobisz – jak wiele innych, które pojawiały się w jego życiu. Ostrożnie postąpił do przodu – jeden krok i kolejny, dłuższy.

A wszystkiemu winna jest Susan Chandler, pomyślał, gdy lodowata woda zaczęła obmywać jego łydki. Gdyby nie zaczęła się wtrącać, nikt nigdy by się nie dowiedział, a przede mną byłoby jeszcze wiele szczęśliwych lat...

Wstrzymał oddech i parł dalej w wodę, aż do miejsca, w którym nie sięgał już nogami dna. Porwała go nadchodząca fala, potem następna. Zaczął się krztusić, popychany przez fale, wstępował w krainę chłodu i ciemności. Nie próbował walczyć.

Cicho przeklął Susan Chandler: „Niech cię diabli!” To były statnie

słowa Douglasa Laytona.

Don Richards w ostatniej chwili złapał samolot na lotnisko La Guardia. Niestety, nie był to bezpośredni lot – Don wściekał się na przesiadkę w Atlancie, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdy tylko samolot wystartował z lotniska i pozwolono na korzystanie z telefonów komórkowych, zadzwonił do Susan Chandler.

– Przykro mi, doktorze Richards, ale ma teraz pacjenta i nie wolno jej przeszkadzać – poinformowała go sekretarka Susan. – Proszę zostawić wiadomość, to przekażę jej, jak skończy. Chociaż zaraz ma następną wizytę, więc nie wiem, czy będzie mogła...

– Do której doktor Chandler będzie w gabinecie? – wtrącił niecierpliwie Don.

– Ostatnią wizytę kończy o siódmej, ale wcześniej mówiła coś, że zostanie dłużej, żeby uporządkować papiery.

– W takim razie proszę słuchać uważnie i zapisać tę wiadomość dokładnie tak, jak powiem: „Doktor Richards musi zobaczyć się z tobą w sprawie Owena. Samolot doktora ląduje koło ósmej. Doktor przyjedzie po ciebie do gabinetu. Zaczekaj na mego”.

– Dobrze, proszę pana. Zostawię kartkę na moim biurku, tak żeby na pewno ją zauważyła – odparła sekretarka wyraźnie chłodniejszym tonem.

I Susan zauważyłaby ją, gdyby kartka nie została wsunięta pod telefon. Stewardesa zaproponowała mu drinka i przekąski.

– Proszę tylko kawę – odparł Don Richards. Teraz nie mógł sobie pozwolić na alkohol – musiał zachować jasny umysł. Potem pójdą z Susan

na drinka i kolację, pomyślał. Powiem jej to, czego pewnie sama się już domyśliła – że osoba, którą wzywa nieszczęsna Carolyn, nie nazywa się Win, ale Owen. Od kiedy zobaczył na biurku Susan obie listy pasażerów z zakreślonym imieniem Owen, nie dawało mu to spokoju. W końcu doszedł do wniosku, że to jedyne wytłumaczenie.

Powie jej też – i właśnie dlatego tak desperacko gnał do Nowego Jorku – że kimkolwiek byłby ów Owen, najprawdopodobniej to on jest mordercą. A jeśli te przypuszczenia są słuszne, Susan znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

Brałem udział w obu audycjach, w czasie których telefonowały Carolyn i Tiffany, pomyślał Don, spoglądając przez okno na ciemniejące niebo. Carolyn nieomal zginęła pod furgonetką. Tiffany – od ciosu nożem. Zabójca zrobi wszystko, by ochronić swoją tajemnicę, jakakolwiek ona jest.

Podczas programu powiedziałem Susan, że moim celem jest pomoc kobietom, uświadomienie im zagrożeń, z którymi mogą się zetknąć, i wyczulenie ich na wszystkie niepokojące oznaki. Cztery lata żyłem wściekły na samego siebie, przekonany, że mogłem ocalić Kathy. Teraz wiem, że się myliłem. Lepiej późno niż wcale – wiem, że jeśli mielibyśmy szansę jeszcze raz przeżyć te ostatnie kilka minut, zrobiłbym dokładnie tak samo – nie zatrzymywałbym jej w domu.

Kłębiaste chmury przepływały wokół samolotu niczym fale odbijające się od burt statku. Don pomyślał o dwóch wyprawach statkiem, które próbował podjąć w ostatnich dwóch latach – krótkie rejsy po basenie Morza Karaibskiego. Za każdym razem rezygnował z wycieczki już w pierwszym porcie. Ilekroć wyglądał za burtę, widział w wodzie twarz

Kathy. Teraz wiedział, że to się już nie powtórzy.

Szarpał nim niepokój. Susan nie może dłużej podążać tą drogą samotnie, powtarzał sobie. To zbyt niebezpieczne. Groźniejsze, niż mogła przypuszczać.

Samolot wylądował za kwadrans ósma.

– Proszę uzbroić się w cierpliwość – oznajmił kapitan. – Dziś jest wyjątkowo dużo pasażerów i chwilowo wszystkie bramki są zajęte.

Don wysiadł z samolotu dziesięć po ósmej. Szybkim krokiem podszedł do aparatu telefonicznego i wykręcił numer gabinetu Susan. Nikt nie podnosił słuchawki, więc rozłączył się, nie zostawiając wiadomości.

Może skończyła wcześniej i poszła do domu, pomyślał. Ale w jej mieszkaniu też nikt nie odpowiadał.

Spróbuję jeszcze raz zadzwonić do gabinetu, zdecydował. Może wyszła tylko na chwilę. Niestety, znowu nikt nie odbierał, więc tym razem Don nagrał się na automatycznej sekretarce: „Susan – powiedział – podjadę do twojego biura. Mam nadzieję, że sekretarka przekazała ci wiadomość ode mnie i czekasz na mnie w gabinecie. Jak dobrze pójdzie, będę tam za pół godziny”.

Susan, na pewno rozumiesz, dlaczego jestem taki zły. Gerie uważała moje zarządzanie Fundacją Wrightów za rodzaj romantycznej sprawiedliwości. Codziennie musiałem podpisywać czeki i rozdawać pieniądze, które należały do mnie. Możesz to sobie wyobrazić? Kiedy szesnaście lat temu ustanawiano Fundację, była warta około stu milionów dolarów. Teraz mamy ponad miliard, i to głównie dzięki mojemu zaangażowaniu. Ale bez względu na to, ile pieniędzy jest w skarbcu, ja i tak dostaję tylko golą pensję.

Niech mówi jak najdłużej, modliła się Susan. O której wkracza ekipa sprzątaczek? – zastanawiała się rozpaczliwie, ale natychmiast sobie przypomniała, że widziała sprzątaczkę koło szóstej, tuż przed przyjściem pani Ketler. A to oznacza, że wszystkie dawno już sobie poszły. Teraz głaskał ją delikatnie po szyi.

– Naprawdę myślałem, że u twojego boku mógłbym być szczęśliwy, Susan – ciągnął dalej. – Gdybym się z tobą ożenił, usiłowałbym zapomnieć o przeszłości. Ale to nie miało szans powodzenia, prawda? Wtedy w bibliotece przysłałaś Dee do mojego stolika. Zrobiłaś to, bo nie chciałaś być ze mną, czy tak? Przyznaj się. Mam rację, prawda?

Wiem, że w tamtą sobotę byłam niespokojna, pomyślała Susan. Ale czy dlatego? Sądziłam, że denerwuję się tym, co wcześniej powiedział mi Nat Smali.

Nat Smali. Kolejny świadek. Czy Alex zajmie się i nim?

– Alex – zaczęła łagodnym głosem. – To, że mnie zabijesz, niczego nie

zmieni. Jutro przyjdzie paczka z kolejnymi setkami zdjęć. Nie zdołasz ich zniszczyć. Policja obejrzy je dokładnie. Na pewno zwrócą uwagę na postacie w tle.

– Piórka na wietrze – wymamrotał Alex nieobecny głosem. Może mi się uda, pomyślała Susan.

– Ktoś na pewno cię rozpozna. Podobno nie chodzisz na duże przyjęcia, ale pamiętasz, wtedy gdy poszliśmy razem na kolację, powiedziałaś, że spotkałaś Reginę na raucie wydawanym przez Future Industries. To było duże przyjęcie, Alex. Tamtego wieczoru zastanawiałam się, dlaczego czuję, że coś jest nie tak.

– Piórka na wietrze – powtórzył. – To ty, Susan, rozrzuciłaś moje. Wiem, że to już długo nie potrwa, ale zakończę swoją misję, zanim ktokolwiek zdoła mnie powstrzymać. Pamiętasz słowa piosenki? „Zobacz, co to dżungla zaklęta”. Wiesz, kto był dzisiaj w dżungli? Dee. Była na wycieczce w lasach Kostaryki. Nawet pasuje, prawda? Jutro odkryją twoje ciało. Ale nie nastąpi to prędzej niż o dziewiątej rano. Wtedy będę już jadł śniadanie z Dee w Panamie. Statek wpływa do portu o ósmej i zamierzam sprawić jej niespodziankę, czekając tam na nią. Mam dla niej pierścionelek z turkusem. Będzie myślała, że to coś poważnego. – Urwał. – Prawdę mówiąc, kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że bardzo mi pomogłaś. Dałaś mi ostatnią samotną damę. Dee jest idealna.

Wolno, nieskończenie wolno zamykał worek. Folia pokryła jej twarz.

– Alex, potrzebujesz pomocy, jesteś bardzo chory! – krzyknęła Susan, starając się stłumić rozpacz w swoim głosie. – Szczęście zaczyna cię opuszczać. Jeśli teraz przestaniesz, masz jeszcze szansę.

– Aleja nie chcę przestać, Susan – wyjaśnił rzeczowym tonem. Wtem

przenikliwy dzwonek telefonu poderwał go na równe nogi.

Oboje słuchali w napięciu Dona Richardsa, który informował, że jedzie do gabinetu.

Boże, oby przybył tu jak najszybciej, modliła się Susan.

– Już czas – powiedział spokojnie Alex. Szybkim ruchem pociągnął worek, tak że zakrył całą głowę Susan, po czym zawiązał go szczelnie. Następnie wepchnął Susan pod biurko.

Wstał i spojrzał na swoje dzieło.

– Umrzesz, zanim Richards zdoła tu dotrzeć – oznajmił z pewnością siebie człowieka, który robił to już wiele razy. – To potrwa jakieś dziesięć minut. – Urwał, pozwalając, by jego słowa zapadły jej głęboko w umysł. – Tyle wytrzymała Regina.

Słuchaj pan, to nie ja wymyśliłem korki – oznajmił taksówkarz Donowi Richardsowi. – Tunel śródmiejski jest zapchany. Zresztą czego można się było spodziewać?

– Rozmawiał pan przez radio z dyspozytorem. Nie mógł powiedzieć, gdzie są korki? Pojechałby pan inną trasą.

– Wystarczy, że gdzieś jest stłuczka i w pół minuty tworzy się gigantyczny korek.

Awantura nic nie pomoże, stwierdził Don, próbując się opanować. Ale ta okropna bezsilność jest nie do zniesienia – tkwię tu wraz z innymi i nic się nie dzieje.

Susan, pomyślał, sekretarka na pewno przekazała ci wiadomość. Gdy dowiedziałaś się, że dzwoniłem w sprawie Owena, z pewnością postanowiłaś zaczekać. Więc dlaczego nie podnosisz słuchawki?

– Susan, proszę – wyszeptał. – Bądź tam i pozostań bezpieczna.

Odrobina powietrza, która pozostała w worku, powoli, lecz nieubłaganie wyczerpywała się. Susan czuła, że robi jej się słabo. Oddychaj krótkimi, płytkimi haustami, tłumaczyła sobie. Nie zużywaj całego tlenu.

Powietrza, powietrza, wołały jej płuca.

Wtem przez głowę przemknęło jej wspomnienie jednej z pierwszych spraw, którą prowadziła jako asystent prokuratora okręgowego. Ofiarą była kobieta, którą znaleziono z plastikowym workiem na głowie. Tylko ja nie wierzyłam, że popełniła samobójstwo, i miałam rację. Ta kobieta zanadto kochała swoje dzieci, by dobrowolnie je porzucić.

Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać. Poczula ból nabrzmiewający w piersiach.

Nie wolno ci zemdleć, zaklinała sama siebie.

Tamta zamordowana kobieta miała krwistoczerwoną twarz, gdy ją znaleziono. Tak dzieje się zawsze, gdy przyczyną śmierci jest tlenek węgla, wyjaśnił koroner.

Nie mogę oddychać. Chcę spać. Czuła, że jej umysł zaczyna się wycofywać, jakby zdecydowany się poddać.

Dee. Alex spotka się z nią jutro. Ma być jego ostatnią ofiarą.

Zasnę, pomyślała Susan. Nie dam rady – zasnę.

Nie chcę umierać. I nie chcę, żeby umarła Dee. Ostatnim wysiłkiem woli starała się wytrzymać, toczyła beznadziejną walkę o uciekające powietrze.

Leżała zaklinowana pod biurkiem. Z wysiłkiem zdołała odepchnąć się stopami od bocznej ścianki i przesunąć kilka cali. Pod prawym barkiem poczuła kosz na śmieci.

Kosz na śmieci! A w nim szkło z rozbitego wazonu!

Ciężko dysząc, zdołała przetoczyć się na bok. Poczowała, że kosz się przewraca, a skorupy z cichym trzaskiem wysypują na podłogę. Odwróciła głowę w kierunku dźwięku, ale kosz zaczął się rozmywać przed jej oczami i poczuła, że ogarnia ją ciemność.

Ostatkiem sił gwałtownie uderzyła głową o podłogę i zaczęła nią rozpaczliwie kręcić. Poczowała przenikliwy ból, gdy odłamek szkła leżący na podłodze przeciął folię tuż koło szyi. Po ramieniu ściekała jej krew, ale poczuła, że worek zaczyna się rozrywać. Ze zdwojoną siłą turlała się po podłodze. Poczowała krew płynącą z kolejnych ran, w końcu jednak dotarł do niej pierwszy, prawie niezauważalny powiew świeżego powietrza.

Właśnie tam, na podłodze gabinetu, znalazł Susan pół godziny później Don Richards. Była ledwie przytomna. Wyglądała okropnie – posiniaczona twarz, włosy zlepione krwią, głęboka rana na plecach, a ręce i nogi pokryte siniakami i otarciami powstałymi, gdy próbowała rozluźnić więzy. Dookoła niej walały się odłamki szkła.

Ale żyła! Żyła!

Gdy „Valerie” wpłynęła do portu w San Blas we wtorek rano, na nabrzeżu czekał na nią Alex Wright. Była ósma rano. Opuścił Nowy Jork wczoraj w nocy – prosto z gabinetu Susan Chandler pojechał na lotnisko.

Zastanawiał się, czy Don Richards zrezygnował w końcu ze spotkania z nią. Wychodząc z biura, Alex zgasił wszystkie światła, więc Richards musiał uznać, że Susan po prostu nie zaczekała na niego. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, lada chwila znajdzie ją jej sekretarka.

Sporo pasażerów „Valerie” stało przy burcie. Jest coś magicznego w chwili, gdy statek pod pływa do nabrzeża, pomyślał. A może symbolicznego, bo każdy nowy port oznacza dla kogoś koniec podróży.

Tym razem – dla Dee. Dee jest jego ostatnią samotną damą. Potem on wyruszy do Rosji. Tam dowie się o tragicznej śmierci dwóch sióstr, które zaprosił na sobotnią kolację. Susan twierdziła, że mógł zostać uwieczniony na zdjęciach z podróży Reginy. Być może, pomyślał. Ale wtedy wyglądał zupełnie inaczej. Czy ktoś mógłby z całą pewnością stwierdzić, że to on? Nie sądzę, pomyślał z przekonaniem.

Zauważył Dee stojącą na pokładzie. Uśmiechała się i machała do niego. A może pokazywała go komuś?

Nagle zauważył, że przy jego boku pojawiło się kilku mężczyzn. A potem usłyszał niski, spokojny głos:

– Panie Wright, jest pan aresztowany. Proszę spokojnie pójść z nami.

Alex Wright opanował zdziwienie i Wzruszył ramionami, potem odwrócił się i ruszył we wskazanym kierunku. Z gorzką ironią uświadomił sobie, że tu kończy się jego podróż.

Don Richards czekał w holu szpitala na Susan, która poszła odwiedzić panią Clausen. Dziś starsza pani leżała w łóżku. Dłonie splotła na kołdrze. W pokoju panował półmrok – wszystkie zasłony były zasunięte.

Mimo ciemności natychmiast zauważyła siniaki na twarzy Susan.

– Co się stało, Susan? – spytała.

– Och, nic takiego. Po prostu potknęłam się.

– Jak to miło, że przyszedł do mnie – powiedziała Jane Clausen. – Susan, nie sądzę, bym doczekała jutra, ale przynajmniej zdążyłam zająć się fundacją. Poprowadzą ją dobrzy, uczciwi ludzie. Słyszałaś, co się stało z Douglasem?

– Tak. Nie wiedziałam, że pani wie.

– Żał mi go. Mógł tak wiele osiągnąć. I żał mi jego matki – był jej jedynym synem.

– Pani Clausen, nie potrafię przekazać tego delikatnie, ale jest coś, co powinna pani wiedzieć. Mężczyzna, który zabił Reginę i co najmniej pięć innych osób, został aresztowany. Istnieją niepodważalne dowody jego winy. I to dzięki pani pomocy udało mi się rozwiązać zagadkę tych morderstw.

– Cieszę się. Czy mówił coś o Reginie? Chciałabym wiedzieć, czy bardzo się bała.

Musiała być przerażona, pomyślała Susan. Ja byłam.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała głośno. Jane Clausen spojrzała na nią.

– Susan, teraz najważniejsze jest to, że już wkrótce się z nią spotkam. Do widzenia, kochana. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Zjeżdżając na dół windą, Susan myślała o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Czyżby naprawdę trwało to tak krótko? – zastanawiała się z niedowierzaniem. Czyżbym naprawdę poznała Jane Clausen zaledwie dziewięć dni temu? Tak, zagadka zniknięcia Reginy Clausen została rozwiązana, ale tymczasem zginęły kolejne trzy osoby, a czwarta została poważnie ranna.

Pomyślała o Carolyn Wells i jej mężu, Justinie. Rozmawiała z nim dziś rano – Carolyn w końcu obudziła się ze śpiączki, lekarze zaś przewidywali, że odzyska w pełni zdrowie, choć czekają długotrwała rehabilitacja. Susan zaczęła gorąco przeproszać Justina – bądź co bądź, to ona, zaczynając sprawę Reginy Clausen, przyczyniła się do wszystkich nieszczęść, które spotkały jego i Carolyn. Justin jednak upierał się, że nic nie dzieje się bez przyczyny, a skutki tej sprawy są mimo wszystko pozytywne. Zamierzał ponownie podjąć leczenie u doktora Richardsa – Poza tym – dodał ze złośliwym uśmiechem – nie mogę darować sobie przyjemności ujrzenia, jak kapitan Shea, czerwony z zażenowania, prosi mnie o wybaczenie. On naprawdę był przekonany, że to ja jestem mordercą.

Przynajmniej Justin i Carolyn wyszli z tego cało, pomyślała Susan. Niestety, nie można powiedzieć tego samego o biednej Tiffany Smith i dwóch innych ofiarach tej sprawy – Hildzie Johnson i Abdulu Parkim. Zanotowała sobie w myśli, by w tym tygodniu odwiedzić Nata Smalla i powiedzieć mu, że ujęto zabójcę jego przyjaciela.

A wszystko zaczęło się tak niewinnie. Susan chciała jedynie opowiedzieć o tym, jak samotne, niczego nie podejrzewające kobiety, mimo całej swej inteligencji i błyskotliwości, wplątują się w prowadzące donikąd, a często zgubne znajomości z mężczyznami. To był świetny temat i sprawdził się w kilku audycjach. Ale stał się także przyczyną trzech morderstw, pomyślała. A potem zadała sobie pytanie: czy będę jeszcze miała odwagę, by poruszyć na antenie podobny temat? Chcę wierzyć, że tak. Bądź co bądź, doprowadziłam do schwytania seryjnego mordercy. Kto wie, ile osób – oprócz mnie i Dee – zginęłoby jeszcze,

gdyby nie został złapany?

Ale były też dobre strony. Poznała Jane Clausen i stała się osłodą jej ostatnich dni. Poznała też Dona Richardsa. To dziwny człowiek, psychiatra odmawiający sobie pomocy, którą codziennie daje innym, ale w końcu znajdujący siły, by pokonać dręczące go demony.

Gdybym leżała tam całą noc, wykrwawiłabym się na śmierć, pomyślała. Wzdrygnęła się na wspomnienie szwów spinających rany na jej plecach i ramionach. Gdy Don dotarł do biura i zobaczył, że jest zamknięte, jakiś instynkt nakazał mu zmusić strażnika do otworzenia drzwi i przeszukania gabinetu. Jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyłam się tak na czyjś widok, pomyślała. A gdy rozrywał foliowy worek i podnosił ją z podłogi, na jego twarzy malowała się czułość i niewysłowiona ulga.

Gdy Susan wyszła z windy, Don Richards ruszył w jej kierunku. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem ona uśmiechnęła się, on zaś objął ją ramieniem. Susan nie protestowała. Oboje czuli, że to właśnie powinien zrobić.